



PIŁKARKI

URODZONE, BY GRAĆ

WYDANIE DRUGIE



**PIŁKA
KOBIECA**

PIŁKARKI

URODZONE, BY GRAĆ

WYDANIE DRUGIE

Piłkarki. Urodzone, by grać

Publikacja powstała z inicjatywy Departamentu Grassroots PZPN. Wydanie drugie zostało przygotowane we współpracy z Departamentem Piłkarstwa Kobiecego PZPN.

Redaktorzy prowadzący:

Adam Drygalski, Zuzanna Walczak

Autorzy tekstów:

Adam Drygalski, Paula Duda, Hanna Urbaniak, Maciej Witkowski

Wsparcie redakcyjne:

Aneta Galek, Krystian Juźwiak, Magdalena Paduch

Opracowanie graficzne:

Jakub Malicki

Konsultacja merytoryczna:

Joanna Tokarska

Druk:

ArtDruk

Fotografie w publikacji (oprócz zdjęć osobno podpisanych):

str. 3, 81, 122–127, 151 (zdjęcia Pajor, Winczo), 161 – Łukasz Grochala, PZPN

str. 7 – Paula Duda, PZPN

str. 8–11 – Przegląd Sportowy nr 18 z dn. 17.09.1921 (ilustracja do 1921 roku), arch. Checzy Gdynia (ilustracja do 1980 roku), arch. prywatne Zofii Klim (ilustracje do 1981 i 1985 roku), Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl (ilustracja do 2003 roku), Hanna Urbaniak (ilustracja do 2013 roku), Paula Duda, PZPN (ilustracja do 2015 roku), Łukasz Grochala, PZPN (ilustracja do 2020 roku), Łukasz Skwiot (ilustracja do 2021 roku), PZPN (ilustracja do 2022 roku)

str. 13 – arch. prywatne Zofii Klim

str. 151 – Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl (zdjęcie Szondermajer)

str. 151 – arch. prywatne Marty Otrębskiej (zdjęcie Otrębskiej)

str. 151 – Katarzyna Plewczyńska, PZPN (zdjęcie Żelazko)

Na okładce wykorzystano zdjęcia zawodniczek z rozdziału I.

© Polski Związek Piłki Nożnej

Warszawa 2022, Wydanie II

ISBN 978-83-63491-32-1



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



Drugie wydanie książki zostało zrealizowane w ramach przedsięwzięcia pod nazwą „Poznaj Polskę na Sportowo”, prowadzonego przez Polski Związek Piłki Nożnej na zlecenie Ministra Edukacji i Nauki.



Szanowni Państwo!

Przed dwoma laty Polski Związek Piłki Nożnej przygotował i wydał publikację, której przedtem na rynku nie było. Książka „Piłkarki. Urodzone, by grać” to zbiór inspirujących historii osób, które mimo wielu przeciwności losu przez lata od zera tworzyły w naszym kraju piłkę nożną kobiet. To dzięki ich uporowi i determinacji dzisiaj możemy mówić o tym, że futbol to – biorąc pod uwagę sport kobiet – jedna z najprężniej rozwijających się dyscyplin w Polsce. Piłkarskie perspektywy kobiet nigdy nie wyglądały lepiej i obecnie jesteśmy już w miejscu umożliwiającym nam realne starania o organizację mistrzostw Europy kobiet w 2025 roku.

Nie mam wątpliwości, że nie dotarlibyśmy do tego miejsca bez zaangażowania bohaterki i bohaterów niniejszej publikacji. To oni, często wbrew wszelkiej logice, przesuwali granice i udowadniali, że się da. Że kobiety mogą grać, sędziować, trenować i nie muszą – a wręcz nie powinny – mieć żadnych kompleksów względem mężczyzn. Przekonali się o tym czytelnicy, którzy bardzo pozytywnie przyjęli publikację, doceniając również jej wartość edukacyjną.

Pragnąc dotrzeć z tym przekazem jeszcze dalej i dbając o dalszy rozwój futbolu kobiet zgodny z przyjętym w 2022 roku dokumentem „Czas na nas! Strategia piłki nożnej kobiet w Polsce na lata 2022-26”, jako Polski Związek Piłki Nożnej zdecydowaliśmy o drugim wydaniu książki i jej szerszej dystrybucji. Jesteśmy pewni, że zawarte w niej ponadczasowe treści jeszcze długo będą źródłem wiedzy i inspiracji dla każdego, kto po tę publikację sięgnie.

Druga, zaktualizowana edycja książki „Piłkarki. Urodzone, by grać” została zrealizowana w ramach projektu „Poznaj Polskę na Sportowo”. To nie przypadek. „Piłkarki. Urodzone, by grać” to bowiem publikacja doskonale wpisująca się w założenia inicjatywy realizowanej we współpracy z Ministerstwem Edukacji i Nauki. Edukacja przez sport, poszukiwanie inspiracji w historiach sukcesu innych osób, zgłębianie wiedzy o piłce nożnej – to wszystko łączy projekt „Poznaj Polskę na Sportowo” z książką, której nowe wydanie mam zaszczyt polecić Państwu do lektury.

Łączy nas piłka!

Cezary Kulesza

Cezary Kulesza
Prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej

Spis treści

Wstęp.....	6
Najważniejsze wydarzenia polskiej piłki nożnej kobiet	8

ROZDZIAŁ I: PIŁKARKI13

Zofia Klim: 333 kilometry do Katowic	14
Zofia Wojtas: Z bramki na bramkę	18
Małgorzata Gospodarczyk: Dziesiątka	22
Maria Makowska: Siłaczka	26
Anastazja Kubiak: Decyzja należy do mnie	30
Marta Otrębska: VO2 max. 63	34
Luiza Pendyk: Listy do Polski	38
Barbara Rembiesa: Na motocyklu przez świat!	42
Jolanta Niecypor: Jolle.....	46
Anna Żelazko: Nikt nie strzela tak jak Żela.....	50
Agnieszka Śmiechowska: Autokarem w bramę	54
Anna Gawrońska: Rivaldo	60
Agnieszka Winczo: Szczęście leży na boisku	66
Ewa Pajor: Od łez i przerażenia po najdrożej wycenianą piłkarkę świata.....	70
Katarzyna Kiedrzynek: Kiedyś zagramy na Narodowym!	76
Reprezentacja Polski kobiet na 100-lecie PZPN.....	80

ROZDZIAŁ II: JESTEŚCIE REPREZENTACJĄ POLSKI! 81

Początek	82
Jesteście reprezentacją Polski!.....	86
Irena Póttorak: Matka Polka	90
La Maddalena: Nocne granie	94
Władysław Szyngiera: 450 złotych	96
Wspólny lot	100
Misja Portugalia: Mecze, których nie było	104
Robert Góralczyk: Praca w trybie warunkowym	108
Mamy złoto!	112
Zbigniew Witkowski: Trener mistrzyń	116
Dziewięć lat po złocie	120
Miłosz Stępiński: Generał i jego wojsko	128

Nina Patalon: Droga na skróty nie istnieje.....	132
Selekcjonerzy reprezentacji Polski	136
Wszystkie „naj” kobiecej reprezentacji Polski.....	140
Zwycięstwa, które pamiętamy. Porażki, których nie możemy zapomnieć.....	144
Najwyższe zwycięstwa reprezentacji Polski	150
Najskuteczniejsze piłkarki w historii reprezentacji Polski	151
Snajperki	152
Diamenty utracone	156
ROZDZIAŁ III: MISTRZYNI	161
Na osi czasu	162
Mistrzynie Polski.....	164
Checz Gdynia: Nieoficjalnie.....	166
Czarni Sosnowiec: Szczęśliwa trzynastka.....	170
Pafawag Wrocław: Strefa zero	174
Zagłębianka Dąbrowa Górnicza: Drużyna z Paryża	178
Stilon Gorzów Wielkopolski: Propozycja z NRD	182
Piastunki Gliwice: Mistrz bez ziemi	186
AZS Wrocław: Witajcie w wielkim świecie!	190
Unia Racibórz: Komety ze Śląska	194
Medyk Konin: Historia jak z bajki o Kopciuszku	198
Górnik Łęczna: Historia wciąż się pisze	202
UKS SMS Łódź: Praca organiczna	206



Wstęp

Na tę książkę czekaliśmy bardzo długo. Jeśliby przyjąć, że historia kobiecego futbolu w Polsce zaczyna się 27 czerwca 1981 roku, czyli w dniu debiutu biało-czerwonych w meczu międzypaństwowym, to nietrudno policzyć, że minęło już prawie czterdzieści lat. A przecież nie był to wcale „dzień zero”. W latach siedemdziesiątych minionego stulecia pierwsze mistrzowskie tytuły zdobywała Checz Gdynia. Jeszcze wcześniej w piłkę panie grały w barwach Polonii Warszawa, Widzewa Łódź, Ślązy Wrocław i wielu innych klubów. A może ten początek, ten pierwszy punkt na osi czasu jest jeszcze wcześniej? Przecież w 1921 roku – dwa lata po powołaniu do życia Polskiego Związku Piłki Nożnej – na placu Ciętym w Poznaniu ustawiły się do zdjęcia futbolistki Unii z osiemna-stoletnią Ireną Paczkowską – prawdopodobnie pierwszą kapitanką polskiej drużyny kobiecej.



Piłkarki nie miały lekko. Futbol kobiecy przez bardzo długie lata miał pod górę na całym świecie. W Polsce też i nie ma co tego kryć. Nie będzie to więc opowieść o niezapomnianych bataliach drużyny narodowej na mistrzostwach świata czy Europy. To raczej historia osób, które każdego dnia musiały udowadniać, że są pełnoprawnymi sportowcami. To historia kobiet, które wychodząc na boisko, jako pierwsze wcieliły w życie hasło, że piłka jest dla wszystkich. Że nie da się z niej nikogo wykluczyć. I książka, którą teraz trzymacie w dłoniach, jest tego najlepszym dowodem.

Meczów piłki nożnej w wydaniu pań jest w naszym życiu coraz więcej. Są na wyciągnięcie ręki. Wystarczy włączyć telewizor, by na żywo śledzić rozgrywki ligowe, czy spotkania reprezentacji. Dużo zostało już zrobione, a jeszcze więcej jest przed nami. Zanim jednak stadiony zapelną się do ostatniego miejsca, a futbolistki zderzą się z każdym odcieniem popularności, cofnijmy się właśnie do początków. Poznajcie

polskie piłkarki. Reprezentantki, królowe strzelczyń, czołowe zawodniczki wielu europejskich lig. To wszystko zaczęło się na dużo przed tym, zanim Ewa Pajor zaczęła strzelać mnóstwo goli, a Katarzyna Kiedrzynek stała się jedną z najlepszych bramkarek na świecie.

Dziś wszystkim piłkarkom chcemy powiedzieć, że jesteśmy z Was dumni. Z każdej z Was, która zechciała założyć piłkarskie buty i wyjść na murawę, Polski Związek Piłki Nożnej jest dumny. Niezależnie od tego, w której lidze gracie i ile macie lat, wasza pasja jest dla nas najważniejsza. A my jako federacja dotożymy wszelkich starań, aby futbol sprawiał Wam radość. Bo po to jest piłka nożna. Ma dawać radość tym, którzy w nią grają i tym którzy ją oglądają.

Natomiast wszystkich kibiców zapraszamy do świata, którego możecie jeszcze nie znać. Nie jest to jednak świat kobiet. To świat piłki nożnej, którego kobiety są równie ważną częścią co mężczyźni.

Najważniejsze wydarzenia polskiej piłki nożnej kobiet

Pierwszy mecz

Z inicjatywy Mariana Suchogórskiego rozegrano pierwszy odnotowany przez prasę mecz piłki nożnej kobiet w Polsce. W Szczecinie miejscowy klub Czarni uległ katowickiemu Kolejarzowi 0:4.

Pierwszy oficjalny sezon ligowy...

...i chyba najdłużej trwający, bowiem mecz finałowy rozegrano dopiero 3 maja 1981 roku! Trofeum trafiło do gąbloty Czarnych Sosnowiec, który to klub pokonał ustępującego czterokrotnego nieoficjalnego mistrza Polski – Checz Gdynia 4:0. O rozpoczęciu oficjalnej rywalizacji zdecydowano 8 grudnia 1979 roku. Założycielami ligi były: Czarni Sosnowiec, Jawor Skarszewy, Irena Inowrocław, Walter Radom, Wedel Płońsk, Polam Warszawa, Telpod Kraków, Ziemia Tryniecka Tryńcza i Checz Gdynia.

1957

SIERPIEŃ

1980

1921

17 WRZEŚNIA



Na pierwszej stronie!

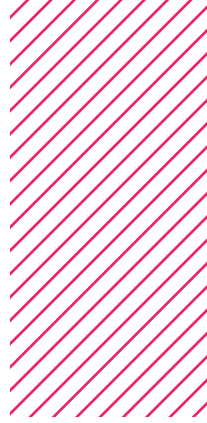
Na tytułowej stronie „Przeglądu Sportowego” pojawiło się zdjęcie piłkarek Unii Poznań, „pierwszej żeńskiej futbolowej drużyny w Polsce”. Inne czasopismo, dwutygodnik „Sport Polski” w październiku anonsował mecz tej drużyny przeciwko rywalkom z Wolnego Miasta Gdańska.

1975

Pierwsze nieoficjalne rozgrywki ligowe

Rywalizowano w dwóch grupach: północnej i południowej. Następnie odbyła się faza play-off – półfinały oraz finał, który rozegrano 26 października 1975 roku w formie przedmeczów starcia mężczyzn w eliminacjach mistrzostw Europy, gdzie Polacy na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie podejmowali Włochów. Mecz panów zakończył się bezbramkowym remisem oznaczającym brak kwalifikacji, natomiast w meczu pań Checz Gdynia pokonała Zakłady Azotowe Puławy 4:0.





Pierwszy finał Pucharu Polski kobiet

W pierwszej edycji rozgrywek wzięło udział szesnaście drużyn. W półfinałach Czarni Sosnowiec pokonali Ogniwo Sopot (w tym czasie pod taką nazwą grała gdyńska Checz), a wrocławski Pafawag zwyciężył w spotkaniu derbowym AZS AKP. Finał rozegrano na stadionie Marymontu w obecności około 5000 widzów. Czarni pokonali Pafawag 2:1, pierwszą bramkę zdobyła Marzena Jamroz reprezentująca zwycięski klub. Sędziował Michał Listkiewicz.



Pierwszy baraż kadry

Kampania eliminacyjna do mistrzostw świata Dywizji B w sezonie 1997/98 zakończyła się pomyślnie. Podopieczne Władysława Szyngiery wygrały pięć meczów na sześć, jedynie Walijki były w stanie z nimi zremisować. Nagrodą były mecze barażowe z najgorszą drużyną Dywizji A – Szwajcarią. Niestety, przyszło im zapłacić frycowe. Mimo dobrej postawy i przygniatającej przewagi Polek w drugiej połowie, bardziej doświadczone Szwajcarki wykorzystały swoją sytuację i dowiozły minimalne zwycięstwo do końca. W rewanżu Szwajcarki były już zdecydowanie lepsze i pokonały Polki 4:0.

1985

28 WRZEŚNIA

1998

12 WRZEŚNIA

1981

27 CZERWCA



Pierwszy mecz kadry

Determinacja kierowniczki drużyny, Ireny Pótorak, brak oficjalnych struktur oraz stan wojenny na horyzoncie to okoliczności, w jakich doszło do premierowego meczu kobiecej reprezentacji Polski z Włoszkami. Pierwsi równorzędni selekcjonerzy: Roman Bieszke i Tadeusz Maślak mieli do dyspozycji jedynie czternaście zawodniczek, w tym jedną bramkarkę. W panującym wówczas w sycylijskiej Katanii potężnym upale, nasze reprezentantki uległy bardziej doświadczonym gospodyniom 0:3.

26 PAŹDZIERNIKA

Piłka nożna kobiet częścią PZPN

Do tej daty Komisja ds. Piłki Nożnej Kobiet działała w Polsce bez umocowania prawnego. Była zaledwie komórką podokręgu sosnowieckiego w katowickim Okręgowym Związku Piłki Nożnej. Na mocy uchwały przyjętej tego dnia komisja ta stała się integralną częścią Polskiego Związku Piłki Nożnej.

1989

15 PAŹDZIERNIKA

Pierwszy mecz o punkty

Już w 1984 roku działacze czechostowaccy namawiali delegację polską do zgłoszenia się do eliminacji mistrzostw Europy. Debiut w meczu o punkty nastąpił dopiero pięć lat później. W Knurowie Polki zmierzyły się z reprezentacją Francji, ulegając jej 1:3. Honorową bramkę zdobyła Maria Makowska z rzutu karnego.



Polska sędzia w finale

Katarzyna Wierzbowska była pierwszą polską sędzią, której przypadł zaszczyt sędziowania na linii finału mistrzostw świata kobiet pomiędzy Niemcami, a Szwecją (2:1 po dogrywce w amerykańskim Carson).



2003

12 PAŹDZIERNIKA

Złoto U-17

Jedyna do tej pory zdobywca medalowa polskiej kobiecej piłki i od razu z najcenniejszego kruszcu. Było to przełamanie dotychczasowej hegemonii Hiszpanii i Niemiec w tej kategorii wiekowej. Trzyznaście zawodniczek z kadry na turniej finałowy zadebiutowało w pierwszej reprezentacji, a takie zawodniczki jak Paulina Dudek (50 występów w kadrze A - 7 goli) czy Ewa Pajor (73 A - 52 gole) odgrywały w niej czołowe role.



2013

28 CZERWCA

2001

1 PAŹDZIERNIKA

Debiut w pucharach

Pierwszym reprezentantem Polski w kobiecym Pucharze UEFA był AZS Wrocław. W swoim europejskim debiucie pokonał w szwajcarskim Bernie Hapoel Tel-Awiv 7:0. Niestety, wobec dwóch kolejnych porażek w turnieju eliminacyjnym (z FC Berno 1:3 i Arsenalem 1:2), Polki odpadły z dalszej rywalizacji.

2007

15 KWIEŹNIA

Pierwszy awans

Eliminacje mistrzostw Europy U-19 składały się z dwóch faz. W pierwszej, Polki pokonały Armenię (2:0) i Łotwę (7:0), przegrywając z Hiszpankami 0:4. Do drugiej fazy drużyna awansowała z drugiego miejsca. W niej Polki rozpoczęły od pokonania reprezentacji Walii 4:0, a następnie bezbramkowo zremisowały z Finlandią. Do meczu decydującym o awansie, Polki stały z dorobkiem czterech punktów. W dramatycznym spotkaniu, w którym Anna Bocian obroniła rzut karny, pokonały Rosjanki 1:0 i po raz pierwszy w historii awansowały do finałów mistrzostw Europy. W samym turnieju Polska zremisowała z Anglią 1:1 po голу straconym w ostatniej minucie oraz uległa Hiszpanii 0:2 i Francji 0:4.



Polka w finale Ligi Mistrzyń

W wielkim finale rozgrywanym w Berlinie spotkały się ekipy FFC Frankfurt i Paris Saint-Germain z reprezentantką Polski, Katarzyną Kiedrzynek w bramce. Mimo dobrej postawy między słupkami, drużyna Polki uległa rywalom 1:2.



Wielka reorganizacja

Tego dnia Zarząd PZPN przyjął uchwałę o reorganizacji systemu kobiecych rozgrywek piłkarskich w Polsce oraz wprowadzenia planu rozwoju projektów piłkarstwa kobiecego. Począwszy od powołanych w każdym województwie Lig Orliczek U-11, poprzez rozgrywki U-13, aż do nowo powołanych Centralnych Lig Juniorek U-15 i U-17. Znacząco zwiększeniu uległy także nakłady finansowe i zainicjowane zostały nowe projekty.

Kobieta selekcjonerką

Nina Patalon jest pierwszą w historii kobietą, która została selekcjonerką kadry Polski w piłce nożnej. Swoją reprezentacyjną karierę zaczęła od kategorii U-15, gdzie asystowała Andrzejowi Soroce, poprzez samodzielne prowadzenie kadr U-17 i U-19 aż po najważniejszą reprezentację. Selekcjonerka jest również jedyną do tej pory Polką z najwyższą licencją trenerską – UEFA Pro.



2015

14 MAJA

2019

23 MAJA

2021

29 KWIETNIA

2020

8 SIERPNIA



Pierwszy mecz Ekstraligi w TVP Sport

Dzięki umowie zawartej na sezony 2020/21, 2021/22 oraz 2022/23 podczas każdej kolejki ligowej TVP Sport pokazuje jeden, wybrany mecz. Już w pierwszym sezonie spotkanie GKS Katowice – Medyk Konin zgromadziło przed telewizorami 150 143 widzów.

9 PAŹDZIERNIKA

Departament Piłkarstwa Kobiecego

W strukturze biura Polskiego Związku Piłki Nożnej powstał Departament Piłkarstwa Kobiecego. Celem stworzenia tej nowej jednostki, wyspecjalizowanej w sprawach dotyczących kobiecej piłki nożnej w Polsce, jest lepsza współpraca w zakresie koordynowania działań służących rozwojowi piłkarstwa kobiecego.

2022

16 LISTOPADA

Czas na nas!

Zarząd PZPN przyjął dokument „Czas na nas! Strategia piłki nożnej kobiet w Polsce na lata 2022-2026”. Równoległe opublikowano również supplement Narodowego Modelu Gry zatytułowany „Piłka nożna kobiet”. To pierwsza tego typu publikacja w kraju poświęcona w całości szkoleniu w futbolu kobiecym oraz pokazująca jego specyfikę.





POLSKA



EKSKLUZYWNE TREŚCI ZNAJDZIESZ NA
Łączy nas piłka

BĄDŹ BLIŻEJ REPREZENTACJI
WEJDŹ NA **WWW.LACZYNASPIILKA.PL**

🚩 **NEWSY** 🚩 **WYWIADY** 🚩 **UNIKATOWE ZDJĘCIA** 🚩 **VLOGI**



Rozdział I

PIŁKARKI

Zofia Klim: 333 kilometry do Katowic

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Kiedy otworzyły się drzwi samolotu, buchnęło gorące powietrze. Wiedziałam, że nie będzie to łatwe spotkanie, bo weź tu graj w takich warunkach. Cud, że w ogóle doleciałyśmy, bo w samolocie oprócz nas były same zakonnice. Lot z międzylądowaniem w Rzymie. Jak nic przyniosą nam pecha i spadniemy. Ale nie spadłyśmy. Napisaliśmy pierwszy rozdział. Postawiliśmy pierwszą literę. Na naszych dresach widniał napis „Czarni Sosnowiec”, ale to nie był mecz Czarnych. Dwa dni później piłkarska reprezentacja Polski kobiet rozegrała swój pierwszy mecz w historii. „Polki ładniejsze, Włoszki skuteczniejsze” – taki tytuł pojawił się nazajutrz w prasie.

KRZYSTKOWICE, OBECNIE NOWOGRÓD BOBRZAŃSKI / WARSZAWA

Rozpoczęłam od zera. Od momentu, gdy nie było ligi, gdy grało się w trampkach, a kąpało w zimnej wodzie. Tego nie da się teraz zrozumieć. Wyobrażasz sobie, jak dziewiętnastoletnia dziewczyna po maturze jedzie z bratem pociągami ponad pięćset kilometrów, aby stawić się na treningu Varsovii? Nie było proste znaleźć się w wielkim mieście i iść na trening w sąsiedztwie pierwszego drapacza chmur, mając obycie tylko na obozach harcerskich na Warmii i Mazurach. To był świat, który teraz nie robi na nikim wrażenia, podobnie jak wieżowiec Intraco. Ale wtedy był wielki, tajemniczy i stwarzał szansę na spełnienie marzeń. Czy je spełniłam? Bycie pierwszym stwarza przywileje. Piszesz historię, jesteś jej początkowym momentem, punktem wyjścia, ale czy nie



▲ Zofia Klim, pierwsza kapitanka reprezentacji / Arch. prywatne Zofii Klim

osiągnęłabym więcej, gdyby ten szlak był już przetarty? Albo gdybym urodziła się później? Wtedy w ogóle o tym nie myślałam.

„Pele w spódnicy. Na trening zgłosiła się Zofia Klim celem sprawdzenia umiejętności. Okazało się, że gra jak Pele. Strzela z obu nóg, znakomicie drybluje. Trener zakwalifikował ją do drużyny reprezentacyjnej.” („Express Wieczorny”, 21 sierpnia 1975 r.)

Denerwowało mnie trochę, że gram w zespole, który o futbolu nie miał większego pojęcia. Miałam trzech braci i jedną siostrę. Od rana do wieczora grałam w piłkę. Jak nie miałam z kim, grałam sama. Odbijałam piłkę o ścianę komórki. Godzinę, dwie, cały dzień. Nie było jeszcze rozgrywek ligowych. Brałyśmy udział w turniejach. Rozegrałyśmy mecz z reprezentacją Berlina na Stadionie Dziesięciolecia przy okazji czerwcowego festynu Trybuny Ludu. Przegrałyśmy 0:4. Kto by się wtedy mógł ścigać z zespołem z NRD w korkotrankach? Obiekt był

wypełniony gdzieś w połowie, czyli skromnie licząc nasz mecz obserwowało około czterdziestu tysięcy kibiców. Na pamiątkę do dziś zostały zdjęcia z „Przyjaciółki”. Uścisk dłoni z Kazimierzem Górskim. Z Varsovii trafiłam do Okęcia. Co prawda w dni meczowe dostawałam od klubu pokój w hotelu przy lotnisku, ale na każde spotkanie musiałam pokonywać ponad pięćset kilometrów w jedną stronę. W pewnym momencie powiedziałam: Dość! Nie umiecie grać w piłkę. To był zły wybór. Wracam do domu. To jest sport dla mężczyzn.

SOSNOWIEC

Tata pracował na kolei. Stąd przejazdy w tę i z powrotem do Warszawy nie były aż takie trudne. Bilet nic nie kosztował, ale wyjeżdżając w piątek po pracy na turniej, wracałam prosto do fabryki domów w poniedziałek bladym świtem. Po meczu Okęcia poszłam zobaczyć w telewizji mecz naszych z Portugalią. 1:1, gol Kazimierza Deyny. Obsługa hotelowa ledwo zwłóka mnie na pociąg do domu. Na dłuższą metę taka zabawa nie miała sensu. Ale wspo-



▲ Zofia Klim na jednym z meczów towarzyskich w Warszawie / Arch. prywatne Zofii Klim

minam ojca nie dlatego, że mogłam jeździć pociągami po całej Polsce. Tata pełnił na kolei na tyle ważną funkcję, że przystugiwał nam telefon. I ten telefon na korbkę pewnego dnia zadzwonił. – Mówi Władek Aniszkiewicz! Zosiu, przyjeżdż na mecz Czarnych do Jaworzyny Śląskiej. Grają z Karolinkami. – Długo nie chciałam dać się namówić, bo powiedziałam sobie, że z kobiecą piłką nie chcę mieć nic wspólnego, ale w końcu trenerowi, który był mikrego wzrostu, ale z wielkim darem przekonywania, uległam. Błoto było niemilosierne. Zagrałam mecz i zostałam piłkarką Czarnych Sosnowiec.

Z Czarnymi zdobyłam sześć mistrzostw Polski, ale świętowanie wygranych mnie ominęło. Słynną salonką z Czarnymi jechałam tylko raz, na turniej do Wiednia. Na co dzień nie trenowałam z Czarnymi, tylko z Błękitnymi Krzystkowiec, męskim zespołem z Klasy B, który prowadził mój brat. Akurat w moim przypadku opowieści o tym, jak to faceci naśmiewają się z dziewczyn na treningach, można włożyć między bajki. Traktowali mnie na równych zasadach. Po treningu miałam tyle samo siniaków, co oni. Jedyne problemy, jakie miałam, przytrafił się na turnieju szkół powiatowych, o wiele wcześniej. Grałam z moimi kolegami aż do finału, ale w końcu ktoś nadgorliwy dopatrywał się w regulaminie, że w turnieju chłopców nie może grać dziewczyna. Dziś patrzę na to w kategoriach żartu, a nie nierówności społecznej. Zresztą w 1981 roku zostałam nie tylko piłkarką, ale i trenerką. Pierwszą dyplomowaną trenerką w Polsce.

Na mecze Czarnych dojeżdżałam sama. Sama też z nich wracałam. Do Katowic z domu

miałam 333 kilometry pociągiem. Taka liczba widniała na bilecie. A zdarzały się spotkania w Gdyni, Krakowie, Szczecinie czy mecz Pucharu Polski w Przemyślu, na który w jedną stronę jechałam szesnaście godzin. Strzeliłam w nim sześć z dwunastu goli.

We Wrocławiu nabawiłam się kontuzji. Przewadziliśmy z Pafawagiem 5:1. Teoretycznie nic w tym meczu nie mogło stać się złego. A jednak. Lidka Wypych rzuciła mi piłkę z autu, a ja niefortunnie na niej stanęłam. Ostatecznie siłą dotarłam do domu, ale kolano nie pozwalało zasnąć. Przez kilka dni. Gdy zobaczył mnie lekarz, ściągnął od razu dwie miski krwi. Gips, cztery tygodnie i... kolejna operacja, bo wszystko się odnowiło. Trafiłam na trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia do szpitala w Piekarach Śląskich. Same ciężkie przypadki. Ofiary wypadków, ludzie balansujący na granicy życia. – Dziewczyno, po co tu przyszłaś, jak ci nic nie jest? – pytali. – Bo muszą mi otworzyć kolano, żebym mogła dalej grać w piłkę. – To módl się, aby otworzyli ci to, które powinny. Zanim jednak zobaczyłam, jak z bliska wygląda moja łąkotka, widziałam już kawałek świata. Szczęście w nieszczęściu, że kontuzja przytrafiła się już po oficjalnym debiucie w reprezentacji.

KATANIA

Dotarcie do Włoch na pierwszy w historii mecz reprezentacji Polski wcale nie było łatwe. Od Ireny Póttorak, kierowniczkich drużyny, dostałam sześć wykluczających się nawzajem wiadomości. Wszystkie przychodziły faksem do fabryki domów, w której pracowałam. Za każdym razem, kiedy urządzenie zaczynało zapisywać słowa, biegłam do niego co tchu. Zosiu, wyjeżdżamy. Zosiu, jednak nie jedziemy. Zo-



▲ Reprezentacja Polski przed pierwszym meczem w historii, Katania, 1981 rok / Arch. prywatne Zofii Klim



▲ Reprezentacja Polski w drodze na pierwszy historyczny mecz w Katanii, 1981 r. / Arch. prywatne Zofii Klim

siu, bądź gotowa, ale potwierdzę ci to jeszcze. Jednak nie. Jednak tak! Mam te wszystkie telegramy zachowane. Podobnie jak pamiątkowy puchar, który dostałam od Włochów, o który Irenka przez wiele lat walczyła, żeby przekazać go do związku. Przepraszam, Irenko. Nie gniewaj się na mnie. Dowiołam go pociągiem do Krzystkowic i niech tam już zostanie na zawsze.

Wsiadłyśmy do samolotu. Nie miałyśmy jeszcze strojów reprezentacji Polski. Dresy pożyczone od Czarnych i koszulki meczowe Zagłębia Sosnowiec. Nawet pasowały, bo były czerwone. W samolocie tylko my, zakonnice i kilku księży. Przez te zakonnice drużyna przez cały lot nie robiła w zasadzie nic innego, tylko odmawiała „zdrowaśki”. Ale udało się. W Rzymie przesiadłyśmy się do innej maszyny i doleciałyśmy na Sycylię. Gdy otworzyły się drzwi, fala gorącego afrykańskiego powietrza niemal wepchnęła mnie do środka. Wiedziałam, że nie będzie to łatwe spotkanie.

– Dziewczyny! To są owoce morza! Nikt wcześniej w Polsce czegoś takiego nie jadł – krzyczał rozentuzjasmowany trener Maślak. A my patrzyłyśmy a to na krewetki i małże, a to na lśniące przed nami w szeregu noże i widelce. A po cóż ich aż tyle? – Tylko pamiętajcie, od zewnętrznego do środka – instruuwał selekcjoner. Tadeusz Maślak był pierwszym trenerem w historii reprezentacji Polski, ja pierwszą panią kapitan. Pamiętam, jak stawał przed nami w szatni i wygłaszał swoje bon moty niczym Kazimierz Górski. – Cieszę się, że jest was

szesnaście, ale niestety facet, który wymyślił piłkę nożną, uznał, że jest to sport dla jedenaśtu osób w drużynie. Kompletnie się z nim nie zgadzam, ale nic nie mogę zrobić. Niech się rezerwowe nie denerwują.

Hotel był przepiękny. Z ogromnym basenem i palmami. W przeciwieństwie do stadionu, ale Włosi chyba do tej pory lubują się w takich ruinkach. W każdym razie gdy rzucano mi w przerwie lód na szyję, zorientowałam się, gdzie jestem. Hymny, opaska kapitańska, 27 czerwca 1981 roku. Mecz inny niż wszystkie do tej pory, mimo że kibiców mało. Dopóki miałyśmy siłę, grałyśmy jak równy z równym. Ale zmęczenie dało o sobie znać. Włoszki wygrały 3:0.

W 1981 roku wprowadzono w Polsce stan wojenny. Międzynarodowe kontakty możliwe były wyłącznie na niwie klubowej. Następnym oficjalnym meczem kadra zagrała dopiero trzy lata później z Czeszkami.

ZOFIA KLIM jest pierwszą kapitanką piłkarskiej reprezentacji kobiet w historii. Z Czarnymi Sosnowiec zdobyła sześć mistrzostw Polski. Czterokrotnie wywalczyła tytuł mistrzyni Polski w hali. Nie porzuciła rodzinnej ziemi. Mieszka tam, gdzie się wychowała, w Krzystkowicach, które zostały wchłonięte przez Nowogród Bobrzański.



Zofia Wojtas: Z bramki na bramkę

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Napisałam list do Czarnych Sosnowiec z prośbą, by przyjęli mnie do zespołu. Po kilku tygodniach dostałam odpowiedź. „Zuwagi na ograniczone możliwości organizacyjne gra w naszym klubie możliwa jest tylko dla zawodniczek z Sosnowca i województwa katowickiego”. Dla dziewczyny z Żywca nie było wielkiej nadziei. Wróciłam do pływanina, ale wszystko skończyło się tak, jak sobie wymarzyłam. Zostałam piłkarką, zdobywałam mistrzostwa Polski, byłam kapitanką Czarnych i występowałam w reprezentacji. Maratony pływakie odeszły w zapomnienie.

ŻYWIEC

Mając pięciu braci, nie sposób było nie grać w piłkę. Byłam najmłodsza z rodzeństwa, ale gdy trochę podrosłam, to ja miałam mieć ich na oku. Gra w piłkę bardzo to ułatwiało. Stawiali mnie oczywiście na bramce i to bronienie weszło mi do tego stopnia w krew, że później nie widziałam dla siebie innej pozycji, choć moim idolem od zawsze był Włodzimierz Lubański. W drużynie miałam też Marka Motykę, z którym mieszkaliśmy po sąsiedzku, a całkiem niedaleko nas mieścił się stadion Koszarawy Żywiec, w której kilka lat później zresztą trenowałam.

Zanim wzięłam się za piłkę, biegałam na nartach. To jest morderczo ciężki sport. Jeśli chcesz być w dobrej formie, to mając piętnaście lat, musisz biegać po pięćdziesiąt kilometrów dziennie. Nie ma tam innej



▲ Opex Ostende z Zofią Wojtas (piąta od prawej w górnym rzędzie) i Marzeną Jamroz (druga od prawej w dolnym rzędzie) w składzie / Arch. prywatne Zofii Wojtas

drogi do osiągnięcia sukcesu. Narty jednak nie były moją pasją, choć trener Edward Walant powtarzał mi: „Nawet jeśli nie zostaniesz mistrzynią w biegach, to na boisku zrobisz z tej formy użytek”.

Narty wylądowały ostatecznie na strychu, a ja wraz z braćmi wzięliśmy się za pływanie. Tak się złożyło, że tworzyliśmy drużynę ratowników. Ciekawsze było jednak to, że startowałam w maratonach pływackich i całkiem dobrze mi szło. Na Jeziorze Żywieckim byłam nawet pierwsza. Dystans wynosił wtedy trzy i pół kilometra. Z kolei w innym wyścigu zabrakło mi około pięciuset metrów do zwycięstwa. Zdrętwiałam w wodzie, która miała wtedy około dziesięciu stopni Celsjusza. Ścigaliśmy się na osiemnaście kilometrów, więc strasznie tego żałowałam. Jak się okazało, wyziębłam organizm do tego stopnia, że nabawiłam się urazów i więcej już w maratonach nie brałam udziału. Po jakimś czasie Zdzisia Smaczek powiedziała mi, że z tymi Czarnymi to może nie będzie tak źle. – Kończę z graniem, bo wychodzę za mąż – usłyszałam. – Podpowiem trenerowi, żeby dał ci szansę. Zdzisia, która miała szesnaścioro

rodzeństwa, została więc szczęśliwą żoną, a ja wsiadłam w pociąg i po kilku godzinach byłam już w Sosnowcu.

SOSNOWIEC

– Widzę cię albo na stoperze, albo na forstoperze, albo na bramce – powiedział do mnie Tadeusz Maślak, gdy zobaczył mnie po raz pierwszy. – No, siadaj na ławce, bo zaraz gramy. Byłam w szoku. Nie spodziewałam się, że tak szybko dostanę szansę. Pamiętam, że grałyśmy z Telpodem Kraków, weszłam w drugiej połowie na prawą pomoc i zdobyłam bramkę. Jak to wspominam? Cieszyłam się jak dziecko! Piłka nożna to zupełnie co innego niż biegi narciarskie i pływanie.

Był 1981 rok. Czarni grali wówczas o pierwsze oficjalne mistrzostwo Polski. Wiedziatyśmy, że jeśli wejdziemy do finału, to czekać na nas będzie zapewne Checz Gdynia. Checz była bardzo mocna. Wcześniej nie sposób było z nią wygrać. Zanim jednak tam dotarłyśmy, prawdziwym koszmarem były treningi, a precyzując – dojazd na nie. Wspominałam,



▲ Wywiad dla Telewizji Polskiej po meczu z Czechosłowacją / Arch. prywatne Zofii Wojtas

że w jedną stronę zajmowało mi to pociągami dwie godziny. Dużo czasu i sporo pieniędzy. A płacą ci coś za to, Zosiu? – pytali mnie rodzice, którzy niechętnie patrzyli na moją piłkarską karierę. – Płacą, płacą – odpowiadałam. Ale wcale nie płacili. W klubie postanowiono ostatecznie, że nie ma sensu ciągać mnie w tę i z powrotem, więc zdecydowano, że... potrenuję z piłkarzami Koszarawy Żywiec. Poszło pismo. W Żywcu nie robili problemów i w taki sposób mogłam trenować pod domem, a dojeżdżać na same mecze.

Ćwiczyłam z juniorami. Oprócz jednego wyjątku. – Chodź Zośka, pograsz z nami! – Zaprosił mnie szkoleniowiec pierwszej drużyny. To był trening wytrzymałościowy. Gdy później zobaczył mnie klubowy lekarz, najpierw się przeżegnał, po czym tonem nieznośnym sprzeciwu nakazał tydzień odpoczynku. Dobrze się składało, bo akurat za siedem dni grałyśmy w halowych mistrzostwach Polski. Wygrałyśmy turniej, a mnie wybrano najlepszą zawodniczką. Mogłam sobie tylko przypomnieć słowa mojego trenera od narciarstwa. Na boisku zrobisz z tej formy użytek.

Osobną kwestią było też zwalnianie mnie na mecze. Pracowałam w fabryce śrub, w której zatrudnionych było ponad trzy tysiące osób. Śruby i śrubki eksportowano nawet do Stanów Zjednoczonych. Kiedy trzeba było puścić mnie na mecz, czy to ligowy, czy reprezentacyjny, dyrektor fabryki dostawał pismo. Na początku był mocno zdziwiony, ale z czasem do tego przywykł. Przychodził tylko do mojego stanowiska, wyciągał rękę i mówił: Zosiu, minister sportu znów napisał, żeby cię puścić. Powodzenia, trzymamy kciuki!

Czarni jak na owe czasy byli fantastycznie zorganizowaną drużyną. Na mecze przeważnie jeździliśmy pociągami. Kolej podstawiła nam

osobny wagon i gdy jechało się z Sosnowca nad morze, cała ekipa skupiała się wokół Tadeusza Maślaka. Potrafił godzinami z nami rozmawiać. To był niesamowity człowiek. Widziałam w nim Kazimierza Górskiego, który był wtedy dla wszystkich wzorem. Zresztą trener Maślak też prowadził reprezentację i niewiele zabrakło, abym wystąpiła w jej pierwszym meczu. Grałyśmy z Włoszkami w Katanii i kiedy wyczytałam swoje nazwisko w prasie wśród powołanych, oniemiałam ze szczęścia. Niestety zamiast mnie ostatecznie do autokaru wsiadł jakiś działacz, ale nie podłamało mnie to w ogóle. Zaczęłam jeszcze ciężiej pracować. Z drugiej strony... nie miałam nikomu tego za złe. W Czarnych i w reprezentacji wszyscy pracowali za „dziękuję”, więc jak była okazja, aby gdzieś pojechać, ludzie zabijali się o miejsca.

Po meczu kadry zostałam nieoczekiwanie kapitanką Czarnych. Nie wiem, co dokładnie działo się we Włoszech, ale moja przyjaciółka Zosia Klim oddała mi opaskę. Zosia, podobnie jak ja, nie gryzła się w język, więc może powiedziała komuś kilka słów za dużo. Na nasze relacje nie miało to jednak żadnego wpływu. Wkrótce obroniłyśmy mistrzostwo i na długie lata zostałyśmy czołową drużyną w Polsce.

Zdarzało się, że w ramach nagrody za mistrzostwo klub fundował całej drużynie wakacje. Kiedyś cały zespół wybrał się więc pociągami do Mamai. W Rumunii mieszkaliśmy w pięknym hotelu, choć dało się wyczuć, że nie dzieje się tam za dobrze. Rumuni nie mieli wstępu za hotelową bramę. To był luksus zarezerwowany dla obcokrajowców i przyjaciół władzy. Normalny obywatel nie miał prawa tam wejść. Za wszystko odpowiadał reżim Nicolae



▲ Z Dariuszem Dziekanowskim grającym wówczas w Polsce Warszawa / Arch. prywatne Zofii Wojtas

Ceausescu. Obsługa hotelowa wiedziała, że jesteśmy piłkarkami i bardzo szybko zmontowano nam prowizoryczne boisko. Rozgrywałyśmy tam mecze. Wczasowicze przychodzili nam kibicować, a ludzi było tyle, że stali ściśnięci za prowizorycznymi liniami bocznymi. To były te miłe obrazki z Rumunii, ale pamiętam też, jak przyjechaliśmy tam kilka lat później na mecz kadry. Szczury biegały dosłownie wszędzie. Marzyłam, aby jak najszybciej znaleźć się w wagonie.

BRUGIA

Cercle Brugge wykupiło mnie i Marzenę Jamroz z Czarnych za dwa tysiące dolarów. To była śmieszna suma nawet jak na tamte czasy. Co więcej, w Brugii cieszyli się, że ubili doskonały interes, bo za transfery reprezentantek trzeba było zapłacić dużo więcej. Oczywiście nikt nie pomyślał, żeby dać mi chociaż drobny procent od całej sumy, ale w takich sytuacjach warto wyjść z założenia, że jak nie upomnisz się o siebie sam, to nikt się o ciebie nie upomni. – Nie dostanę nawet kilku franków na aparat fotograficzny? – zapytałam. – Przysłałabym wam zdjęcie, jak już będę na miejscu. I wyobraźcie sobie, pieniądze na aparat się znalazły.

Dlaczego zdecydowałam się na transfer? Zawsze chciałam zagrać jeden mecz za granicą. Na Zachodzie. Sprawdzić, jak to jest. Zderzenie z rzeczywistością było bolesne, bo Cercle był dużo gorzej zorganizowanym zespołem niż Czarni. Mieszkałyśmy w domu dyrektorki klubu, Aurory Costenobel. Nie do końca ze sobą wytrzymałyśmy i po pewnym czasie zadzwoniłam do brata i powiedziałam mu, żeby mnie stamtąd zabrał. Zawinęliśmy się, ale po kilkunastu dniach odebrałam telefon. – Gdzie jesteś? Idzie nam tak dobrze, a ciebie nie ma! Wracaj, załatwimy ci lepsze mieszkanie.

Jeśli ktoś myśli, że w Polsce piłkarki miały źle, to powiem wam, że w porównaniu do Belgii początku lat dziewięćdziesiątych nie ma się wcale czego wstydić. Nasz klub zapewniał samochody, żebyśmy miały jak dojeżdżać na treningi. Jeden na cztery zawodniczki. Inne zespoły oferowały rowery. Ja dostałam fiata uno i wszystko grało do momentu, gdy dałam kluczyki mojej koleżance, a ona pojechała na jakąś imprezę. Potem zrobiła się afera, bo w samochodzie, mówiąc delikatnie, panował twórczy nieład. Pracowałam w fabryce ciastek, która była sponsorem klubu. Nie było to lekkie zajęcie, bo stałam przy taśmie osiem godzin dziennie. Nie czułam rąk. Tylko tam zarabiałam pieniądze. Za grę nie dostawało się ani centa.

Były za to dość absurdalne prezenty. Oto twoja nagroda za ostatni miesiąc treningów. Odkurzac. A dla ciebie mamy bon podarunkowy. W sklepie obok możesz sobie zrobić zakupy.

Po pracy jechałam na trening. W klubie nikt nie przejmował się tym, że nie znamy języka. Wychodzono z założenia, że im mniej rozumiemy, tym trudniej będzie nam zmienić klub. Przyjechałaś tu pracować, czy studiować? – bywały i takie pytania, ale koniec końców szkołę znalazłam sobie sama. Języka niderlandzkiego możesz się w Belgii uczyć za darmo, jeśli tylko masz na to ochotę. A ja miałam. Chciałam poznać ludzi i bez problemu się z nimi porozumiewać. Nauczyłam się go do tego stopnia, że na jednym z młodzieżowych turniejów pracowałam w biurze organizatora. Występowała w nim reprezentacja Polski i pamiętam jak dziś, że jakiś mężczyzna poprosił mnie o składki.

– Lubański? – aż zaniemówiłam.

– Tak, to ja.

Wyjazd na Zachód wcale nie był łatwy, tym bardziej że przyplątała mi się kontuzja. Skończyłam z grą i wyjechałam z Brugii, nie planując powrotu na boisko.

OSTENDA

Nie grałam w piłkę od dłuższego czasu, ale nie potrafiłam się nauczyć bez niej żyć. Spacerzy z psem zaczynały się nudzić. Inna sprawa, że podczas spaceru ból potrafił zatrzymać mnie na dobrych kilka sekund. Przeniostałam się już wtedy do Ostendy, która grała w pierwszej lidze. Tam poznałam mojego męża. Był sekretarzem w klubie. Razem zdecydowaliśmy, że pojawię się na treningu. Miałam już trzydzieści pięć lat, więc mogłam decydować sama o sobie. Klub z Brugii próbował robić pod górę. Straszliki wal-kowerami, domagali się zawieszenia. Podnosili kwestie transferu. Skoro my za nią zapłaciliśmy, to powinna grać u nas. Koniec końców, nic nie wywalczyli. Co więcej, pod koniec kariery wróciłam grać tam, gdzie marzyłam, jak byłam młodą dziewczyną. Na treningach lubiłam stanąć na bramce. Wreszcie nadarzyła się okazja w meczu. Weszłam między słupki i zagrałam w spotkaniu ligowym. Czy teraz już wiecie, co znaczy mieć marzenia?

ZOFIA WOJTAS rozegrała 27 spotkań w reprezentacji Polski (w tym 15 oficjalnych), strzeliła jednego gola. Z Czarnymi Sosnowiec zdobyła sześć tytułów mistrzowskich i cztery razy wygrała Puchar Polski. Na stałe mieszka w Belgii.




Małgorzata Gospodarczyk: Dziesiątka

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

W klasie sportowej Technikum Łączności w Warszawie nie można było uprawiać piłki nożnej. Dostałam do ręki oszczep. Ale że przerzucałam tony żelastwa na siłowni, a oszczep nigdy nie chciał daleko polecieć, jakoś szybko się do niego zniechęciłam. Kolega pokazał mi ogłoszenie w gazecie. Polam Warszawa szukał piłkarek. Doświadczenie nie było wymagane, trzeba było mieć więcej niż piętnaście lat. Pojechałam na trening, ale szybko stamtąd uciekłam.

WARSZAWA



Mój tata grał w piłkę w Naprzodzie Brwinów i po cichu liczył, że syn pójdzie w jego ślady. Ale brat nie garnął się do futbolu. Co innego ja. Często grywałam z chłopakami na podwórku. Stawiali mnie oczywiście na bramce, więc kupiłam sobie żółtą bluzę i czerwone spodenki, bo chciałam wyglądać jak Tomaszewski. Ale rwało mnie do przodu, często wychodziłam z tą piłką jak wariatka i słyszałam tylko: „Gośka, wracaj!”.

Próbowałam trenować z nimi w klubie, ale ostatecznie dałam sobie z tym spokój. Zresztą mama nie chciała, żebym została piłkarką. – Wszystko, tylko nie to – mawiała. Wtedy na pierwszym treningu Polamu wystraszyłam się, że marzenie z dzieciństwa może się nie spełnić. Wydawało mi się, że tamte zawodniczki po prostu zdmuchną mnie z boiska. Były wyższe, sprawiały wrażenie lepiej zbudowanych, ale... na drugim treningu już z nimi grałam. Trema odpuściła. – Jedziemy na mecz, bądź na Dworcu Centralnym na zbiórce – krzyknął do mnie trener, na którego wszyscy wołali Calvin. Czemu Calvin? Pojęcia nie mam. – Ale

► *Przed meczem Szwecja – Polska / Arch. prywatne Małgorzaty Gospodarczyk*

na zbiórkę nie dotarłam. Przy Cmentarzu Wolskim wsiadłam w „dziesiątkę”. Pech chciał, że tramwaj zepsuł się w połowie drogi, więc drużyna pojechała beze mnie. Zresztą... w „dziesiątkę”.

Na następne mecze docierałam już bez problemu, ale klub szybko popadł w ruinę. Fabryka żarówek zrezygnowała z protektoratu i w kolejnym sezonie występowałyśmy pod nazwą ZWAR Warszawa. Trzy z nas chodziły jeszcze do szkoły, reszta pracowała. Na wszystko trzeba było się zrywać, ale starsze dziewczyny powiedziały nam, że uczennice grają za darmo, a nie za kieszonkowe od rodziców. Wszystko załatwiały za nas. Na dłuższą metę ten system musiał się zawalić. Z trudem dograłyśmy sezon. Zostawiłam stolicę na zawsze.

MIERZYN

Mierzyn leży nieopodal Szczecina. Mierzyn to mieszkanie na poddaszu w wynajętym przez klub domu z łazienką znajdującą się... w misce i praca w spółdzielni rolniczej. I nie ma w tym krzty narzekania, bo jak Urszula Franków przybombiła w poprzeczkę, to ta trzęsie się pewnie do tej pory. Pamiętam to jak dziś. Teraz gdy będziecie mieli trochę szczęścia, to spotkacie Ulę w tramwaju, bo przemierza nim ulice Szczecina. Jedną z lepszych zawodniczek Iskry Mierzyn, klubu, do którego ściągnął mnie Roman Lukszted. Z dawnego Polamu trafiło tam w sumie pięć dziewczyn, ale tylko ja przeniosłam się na stałe. Reszta trenowała w Warszawie



i dojeżdżała na mecze. Grałam tam przez rok, ale klub zdołał sporo namieszać w rozgrywkach ligowych. Zdobyliśmy nawet halowe mistrzostwo Polski w Gdańsku. A potem zgłosiła się Zagłębianka, która dzięki opiece Kopalni Paryż mogła przebić każdą ofertę.

DĄBROWA GÓRNICZA

Zagłębianka zapewniała doskonałe warunki w porównaniu z całą resztą. Pracę w Kopalni Paryż na stanowisku papierowego górnika i mieszkanie. Z tym mieszkaniem to może przesada, ale pokój w hotelu robotniczym o wysokim standardzie to naprawdę było coś. Później zresztą papierowe górniczki stały się zwykłymi górniczkami, bo z roku na rok w „Paryżu” było coraz gorzej. Ale początki były obiecujące. Do Dąbrowy Górniczej ściągnięto najlepsze zawodniczki z różnych stron Polski. Kilka z nich nie musiało się w ogóle przeprowadzać, bo atrakcyjnymi warunkami z dobrym skutkiem skuszono kilka zdolnych dziewczyn z Czarnych Sosnowiec.

Ale nasza największa gwiazda, Ircia Mikołajczyk, przyjechała tu z Gdyni. Miała końskie zdrowie. Zresztą do dziś je ma, bo z tego, co



▲ *Małgorzata Gospodarczyk w barwach Mallbackens IF / Arch. prywatne Małgorzaty Gospodarczyk*

wiem, biega po kilkanaście kilometrów dziennie. Jakbym miała wybrać piłkarzkę, która może być dziś wzorem dla młodszych, to wskazałabym właśnie na nią. Profesjonalistka w każdym calu, która w przerwach w pracy na kopalni zamiast iść na śniadanie, szła na trening biegowy. Jeśli kochasz to, co robisz, odnajdziesz się w każdych warunkach. Nawet z łopata w rękę przed wielką górą węgla.

W Zagłębianie bardzo dobrą robotę wykonał Stefan Rygalik. Nasz trener. Swoją pracą wyprzedzał epokę, bo stawiał na taktykę, do której w latach osiemdziesiątych w kobiecym futbolu mało kto przywiązywał wagę. O mistrzostwo walczyłyśmy wówczas z Czarnymi i Pafawagiem i Rygalik potrafił podejrzeć rywalki i ustawić nas tak, abyśmy potrafiły zniwelować własne słabości. Zdało to egzamin, bo i jedne, i drugie dostały od nas łupnia.

Rok później skończyłyśmy ligę na drugim miejscu, aby w kolejnym sezonie odzyskać mistrzostwo i przy okazji sięgnąć po pierwszy w klubowej historii Puchar Polski. To był najlepszy czas dla klubu i najlepszy czas dla mnie. Zostawiłam Zagłębiankę za sobą, nie wiedząc, czy do niej kiedykolwiek wrócę. Ale życie potoczyło się tak, że moje losy zetknęły się jeszcze z Dąbrową Górniczą. Kilka lat później przyszło mi przeżyć śmierć klubu. Widzieć z bliska agonię. Działaczy mających problem z uregulowaniem rachunku w przydrożnym barze, w którym zatrzymałyśmy się na obiad, abyśmy kilkanaście godzin później mogły wywalczyć medale halowych mistrzostw Polski. I stadion zarastający chwastami, który mijam każdego dnia, idąc do pracy. Zanim wróciłam na ziemię, były jednak obłoki.

HELSINGBORG

Byłam tam krótko, ale rozegrałam w nim mecz, który miał wpływ na moje dalsze życie. Zanim zagrałyśmy ze Szwedkami, musiałyśmy tam

dojechać. Kłopoty zaczęły się na promie, bo nie mogłyśmy liczyć na kajuty. W tamtą stronę jeszcze dało radę się przemęczyć. Część spała na górnym pokładzie, część została w autobusie. Z powrotem, i wiercie mi, mam nadzieję, że ten prom poszedł na żyletki, tak bardzo go znienawidziłam, było już ekstremalnie ciężko. Spałyśmy na ziemi, w wąskich korytarzach. Wróciłam kompletnie wypruta, ale z trzema winylowymi płytami! Za ten mecz dostałyśmy po jakieś dwaście dolarów na głowę, a że wtedy uwielbiałam Whitney Houston, to całe kieszonkowe zostawiłam w sklepie muzycznym.

W tym meczu strzeliłam swoją jedyną bramkę w kadrze w oficjalnym spotkaniu. Marzena Jamrozy zagrała mi górną piłkę, rywalki się pogubiły i uderzyłam z całej siły na 1:1. W przerwie trener Kopeć motywował nas: Dziewczyny, mamy je! One już nie mają sił! Spojrzałam na niego i powiedziałam: A my? Mamy siły?

Na drugą połowę Szwedki wyszły, jak gdyby nic się nie stało. Wbiły nam jeszcze trzy gole, ale ja wpadłam w oko ludziom z Tyresö FF. Biegałam od szesnastki do szesnastki już na ostatnich nogach. Przegrałyśmy wyraźnie, ale postawiłyśmy się jednej z najlepszych drużyn na świecie. Tak zaczęła się dla mnie ponad czteroletnia gra w szwedzkich klubach. Tyresö okazało się małym rozczarowaniem, bo zaproponowano mi trenowanie junierek połączone z grą w pierwszej drużynie. Tyle że występy były sporadyczne, częściej lądowałam w rezerwach, które grały na takim poziomie, że sama mogłam przedryblować całe boisko. Zamieniłam Tyresö na Mallbackens. To był dobry ruch, bo mój nowy zespół grał w ekstraklasie, a trenowanie młodych dziewczyn mogłam odłożyć na później.

W kadrze Polski rozegrałam tylko dziewięć oficjalnych spotkań, ale jakimś niezbadanym zrzędzeniem losu trafiałam na historyczne momenty. Gol strzelony Szwedkom, wcześniej pierwszy mecz, jaki rozegrała drużyna narodowa. W Katanii, przeciwko Włoszkom. Pewniakiem do wyjazdu była Iwona Zienkiewicz. Kapitalna napastniczka. Ale w test meczu przeciwko reprezentacji Moraw Iwona nie strzeliła żadnego gola. Weszłam za nią po przerwie i skompletowałam hat trick. Przeciwniczki były zmęczone, ale... kogo powołasz? Tę, która nic nie strzeliła, czy tę, która trafiła trzy razy?

POWRÓT DO POLSKI

Gdy wróciłam ze Szwecji, nie było już tutaj wielkich pieniędzy. Nie było Irci Mikołajczyk ani mo- carstwowych planów. Kopalnia była wyłącznie



▲ Pierwsze mistrzostwo Polski z Zagłębianką Dąbrowa Górnicza / Arch. prywatne Małgorzaty Gospodarczyk

zabytkiem, zresztą klub również pomatu przechodził do historii. Upadła kopalnia, więc i Zagłębianka skazana była na to samo. Wszystko zapadło się jakby pod ziemię. Puchary, które zdobyliśmy. Te za mistrzostwo Polski i te za wygrane turnieje za granicą. Jedyne, co pozostało, to wspomnienia, jak chociażby te z Lugano, gdy wyjechałyśmy do wielkiego świata z wielkiej biedy. Miałyśmy w głowach to, co powtarzano nam w klubie. Jak któraś z was ucieknie na Zachód, nigdy już na żadną imprezę nie wyjedziecie. Działo to na wyobraźnię, czasami w ekstremalny sposób, ale każdy się pilnował. Uprawianie sportu otwierało granice.

Iwona Wojnarowicz dołączyła do Zagłębianki z Łodzi. Wszystkie jej akcje z boiska przyćmił numer jaki wywinęła w Szwajcarii. „Latawiec”, bo tak na nią wołaliśmy, z racji tego, że uwielbiała się gubić, zniknęła. Przeszukałyśmy kilka ulic. Przepadła jak kamień wodny. Wróciłyśmy przybite do autokaru, a ta wynurzyła się gdzieś z luku i z triumfalną miną powiedziała: Co?! Bałyście się, że dałam nogę? Trzeba mieć oczy dookoła głowy, nie tylko na boisku! Miałam ochotę ją wtedy zabić.

Kobietą sekcją cały czas zarządzał Jerzy Rajczykowski i kiedy nie było już pieniędzy na pociąg, wynajmował dwa busiki i wiózł nas na mecz. Klubowy lekarz kierował jednym, on drugim. Dowieźli nas tak na halowe mistrzostwa Polski w 1999 roku, gdzie zdobyłyśmy brązowe medale. Miałyśmy nadzieję, że da to jakiś impuls, ale... nic z tych rzeczy. Gryzłyśmy te medale ze szczęścia jak szalone.

Radość nie trwała długo. Rajczykowski, który wypruwał sobie dla nas żyty każdego

dnia, powiedział, że nie ma to już znaczenia. W taki sposób klub z prawie stuletnią historią wyzionął ducha.

RYBNIK

Zagrałam tam tylko dwa mecze. Przydarzyło się coś, co było brzemiennie w skutkach. Za każde wyjście na boisko dostawałyśmy sto złotych. Nie były to pieniądze, od których mogło się przewrócić w głowie. Tym bardziej jeśli widzisz, jak twojej koleżance z drużyny tamią nogę. Mecz z Medykem Konin i jej piszczel pęka na twoich oczach, a kostka wykręca się wbrew prawom logiki. Z wiekiem człowiek coraz mniej ryzykuje, coraz częściej podejmuje odpowiedzialne decyzje. I ta moja o zakończeniu gry w piłkę była wtedy najrozsądniejsza.

Ryzyko jest dobre, kiedy decydujesz się po raz pierwszy wejść na boisko, a nikogo na nim nie znasz. Albo kiedy twój tramwaj zatrzymuje się z niewiadomego powodu, ale ty wbrew wszystkiemu dążysz do celu i kilka miesięcy później znajdujesz się na drugim końcu Polski. Po latach warto jest jednak wyjść ze sportu w jednym kawałku z poczuciem, że zrobiło się swoje.

MAŁGORZATA GOSPODARCZYK debiutowała w reprezentacji Polski w jej pierwszym oficjalnym meczu w historii. Polki uległy wówczas w Katanii Włoszkom 0:3. Dwukrotnie zdobywała mistrzostwo Polski z Zagłębianką Dąbrowa Górnicza. Jest pierwszą Polką, która wyjechała grać poza granicami kraju. Po zakończeniu kariery wróciła do Polski.



Maria Makowska: Siłaczka

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

To nie jest opowieść o stu jedenastu grach w biało-czerwonej koszulce. Ani o zdobywaniu mistrzostwa i Pucharu Niemiec. Byłoby to zbyt proste. Historia Marii Makowskiej jest kwintesencją tego, o co w sporcie chodzi. To świadectwo siły charakteru, która pozwala wejść na szczyt, o ile tylko ma się marzenia i upór, aby je spełnić. Cała reszta jest nieistotna.



ZŁOTNIKI LUBAŃSKIE

Jak zostałam piłkarką? Siedziałam u sąsiadów na schodach i czytałam gazetę. Czasem trzeba się znaleźć w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Tak było w moim przypadku. Ze Złotnik Lubańskich do szkoły w Olszynie Lubańskiej było dobrych kilkanaście kilometrów, więc zabierałam się z sąsiadami, którzy prowadzili tam sklep z warzywami i owocami. Przychodziłam wcześniej, żeby na mnie nie czekali i kiedy oni kończyli śniadanie, mnie wpadł w ręce jakiś dziennik. Zaczęłam czytać o tym, że we Wrocławiu dziewczyny mają swój klub i grają w piłkę, a ja kochałam ten sport. Potrafiłam grać z chłopakami całymi dniami. Najpierw nie za bardzo chcieli przyjąć mnie do drużyny, ale z czasem nikt nie robił z tego problemów.

– A ty co tak czytasz, Marysiu? – zapytał mnie sąsiad i po chwili wiedział już, że nie było dla

mnie ważniejszej rzeczy na świecie niż gra w Pafawagu. Wiedział też, że ciężko mi będzie do tego pomysłu przekonać rodziców i rzeczywiście – następnego dnia wróciłam z płaczem. Tata się zgodził, ale mama powiedziała, żebym wybiła to sobie z głowy. Jak będziesz miała osiemnaście lat, to zrobisz, co zechcesz. Bała się, że w wielkim mieście wpadnę w nieodpowiednie towarzystwo i nic ze mnie nie będzie. – Porozmawiam z rodzicami, może uda mi się ich przekonać – usłyszałam w odpowiedzi.

WROCŁAW

Zdzisław i Lubomira Puchałowie nie mieli dzieci. Być może dlatego traktowali mnie trochę jak swoją rodzoną córkę i zależało im na tym, abym była w życiu szczęśliwa. Nie wiem, jakich argumentów użył mój sąsiad, ale w następny poniedziałek siedziałam już z mamą w peka-



▲ *Maria Makowska w akcji w meczu eliminacji mistrzostw świata Polska - Chorwacja w 2001 roku / fot. Włodzimierz Sierakowski, 400 mm.pl*

esie do Wrocławia. Jechaliśmy na mój pierwszy w życiu trening. Gdy okazało się, że po jego zakończeniu nie będzie już autobusu powrotnego, moja mama zrozumiała, że skoro już przebyliśmy taki kawałek drogi, nie mogę ot tak zejść wcześniej z boiska. Mówiąc górnolotnie, pozostałam na tym boisku przez następne trzydzieści lat. Dała jednak wyraźnie do zrozumienia, że jak się dowie, że zaplątałam się tam, gdzie nie powinnam, to szybko po mnie wróci, zabierze mnie do domu i będzie po karierze.

Klub załatwił mi miejsce w hotelu pracowniczym i przeniesienie do szkoły we Wrocławiu. Nowe miejsca zawsze poznaję w ten sposób, że najpierw piechotą po okolicy na spacer, a potem wsiadam na rower i sprawdzam, jak wszystko wygląda kawałek dalej. Najpierw więc był Nowy Dwór - osiedle, na którym mieszkałam. Zaczęłam naukę w szkole, ale przydzielono mnie do młodszej klasy. Albo nie dowierzano w jakość wiejskiej edukacji, albo ktoś się zwyczajnie pomylił.

Czy wszyscy moi trenerzy byli świetnymi ludźmi? Na pewno nie, ale miałam to szczęście, że na początku trafiłam na Henryka Owczarka, prowadzącego Pafawag w moich pierwszych latach gry w poważnej piłce. Pan Henryk mówił, że nie każda z nas zrobi wielką karierę, ale te, w których widział potencjał, starał się mo-

tywować, jak najlepiej umiał. Kładł bardzo duży nacisk na technikę gry, ale jeszcze większy na pracowitość. Mogę powiedzieć, że to on mnie ukształtował, bo oprócz tego, że nauczyłam się dobrze zachowywać na boisku, to przede wszystkim wiedziałam, że to, co robię poza nim, jest tak samo ważne, a być może nawet w niektórych sytuacjach ważniejsze.

Ta wiedza kilka razy mi się przydała, bo nie raz i nie dwa byłam świadkiem sytuacji, w której trenerzy i zawodniczki nie pili po treningach wyłącznie wody mineralnej. Zdarzały się dziewczyny, które zamiast iść do góry, po kilku latach szorowały po dnie. Należało powiedzieć „stop”. Odwrócić się, podziękować za propozycję i iść do pokoju.

Z czasem Pafawag zaczął podupadać. Fabryka wagonów będąca żywicielem piłkarek nie wytrzymała czasów transformacji. Odbiło się to też na samym klubie, z którego odchodzili wartościowi ludzie, a w ich miejsce przychodzili amatorzy. Kasa klubowa we wczesnych latach dziewięćdziesiątych świeciła pustkami, a na boisku czasem trudno było zebrać pełną meczową jedenastkę. Pafawag upadł i dziś po tym klubie nie ma już nawet śladu. Dwa mistrzostwa Polski, siedem tytułów wicemistrzowskich i stadion, który zamieniono w osiedle mieszkaniowe.



▲ Przed meczem Polska - Węgry. W tle sędzia, Piotr Werner / Arch. prywatne Władysława Szyngiera

GORZÓW WIELKOPOLSKI

Lubiłam grać ze Stilonem. Zawsze strzelałam mu sporo bramek, więc kiedy pojawiła się propozycja przejścia do Gorzowa, nie wahałam się długo. Mniej więcej dwa miesiące później mój poprzedni klub definitywnie się rozpadł. To było ciekawe doświadczenie, bo w czasach gry w Stilonie nadal mieszkaliśmy we Wrocławiu i tam trenowałam! Henryk Owczarek nie miał żadnego problemu, abym przygotowywała się z jego zespołem juniorów. W Gorzowie też zgodzili się na to, żebym po prostu dojeżdżała na mecze. System działał, bo dwa razy zdobyliśmy mistrzostwo Polski.

Meczów staram się nie rozpamiętywać. Nawet ten najlepszy, który był za mną, jest kompletnie nieważny przy tym, który miał nadejść. Ale jedną sytuację z gry w Stilonie zapamiętałam do końca życia. To była moja jedyna czerwona kartka w karierze. Grałyśmy na wyjeździe w Sosnowcu. Wybijaliśmy piłkę z piątego metra. Za naszą bramką stali kibice i non stop dogadywali, ale nie robili to na nikim żadnego wrażenia. Do czasu. Nagle jeden z nich wrzasnął – Opluła mnie! Opluła! Sędzia, niewiele myśląc, podbiegł do mnie wlepił mi czerwień. – Ale za co? – Oplułaś go! Marsz do szatni! Nawet gdybym chciała opluć tego człowieka, to z pięciu metrów, stojąc zresztą do niego plecami, byłoby to niemożliwe. Ale co zrobić? Arbiter wiedział lepiej.

Można powiedzieć, że z Wrocławia transferowałam się dwa razy. Raz właśnie do Gorzo-

wa, a drugi do Poczdamu. Nie wiem, skąd się to wzięło, ale piłkarki z tych miast bardzo często grywały ze sobą towarzysko, więc obie strony doskonale się znały i kiedy przychodziło co do czego, szybko się dogadywano. Grałyśmy wtedy dwumecz z reprezentacją Niemiec. Pierwsze spotkanie przegramy 1:2, ale w drugim zdarzyła się katastrofa. Było 0:8. Zostawmy to, dlaczego tak to się skończyło, bo w tej opowieści to i tak nieistotne. Po meczu skontaktowałam się ze mną prezes Turbine Poczdam. To był czas, kiedy niektóre zawodniczki pisały listy do zachodnich klubów z prośbą, aby im się przyrzekli. Mnie też radzono, abym tak zrobiła, ale nie byłabym w stanie. Jeśli jestem dobra, to silny klub sam się zgłosi. Z takiego wychodziłam założenia. W Gorzowie zwiertzyli interes i zażądali zaporowej sumy za transfer. Przez pół roku byłam zawieszona, ale ostatecznie trafiłam do Bundesligi.

Złote lata Stilonu skończyły się po odejściu Makowskiej i kilku innych doświadczonych zawodniczek. Zespół miał coraz większe kłopoty z utrzymaniem się w elicie i ostatecznie wyładował w drugiej lidze. Największymi sukcesami klubu z Gorzowa Wielkopolskiego są trzy mistrzostwa i trzy Puchary Polski.

POCZDAM

Bernd Schröder był takim gościem, który w towarzystwie lubił błyszczeć i zawsze chciał mieć decydujący głos. Gdy próbowało się coś z nim załatwić, a prezes nie był sam, wówczas nie było szans. Zawsze, choćby z przekory, stawał na swoim. Trzeba było udać się do niego na osobności i wtedy z groźnego wilka robił się potulny jak baranek. Schröder był alfą i omegą w Poczdamie. Zaliczył tam wszystkie możliwe kierownicze stanowiska. Raz był trenerem, raz prezesem. Zresztą jeszcze trzy lata temu był obecny w klubie.

– Muszę jechać na kadrę i już! – oświadczyłam, gdy po raz kolejny próbował nie puścić mnie na mecz. – Masz przecież w zespole kadrowiczki Niemiec i one normalnie jeżdżą na zgrupowania. Dla mnie kadra jest najważniejsza.

Trochę się zdziwiłam, że aż tak bardzo zależy mi na tej drużynie, ale ostatecznie się zgodziłam. Choć bywało, że w sobotę wieczorem kończyłam mecz reprezentacji w Białej Podlaskiej, od razu wsiadałam w klubowy samochód i gnałam do Poczdamu, żeby zagrać tam ligę o 11:00. Jechałam przez całą noc, prosto na meczową zbiórkę. Pamiętam, że już na samym spotkaniu byłam cholernie zmęczona, ale wytrzymałam do osiemdziesiątej minuty. Po meczu Schröder,

który nie słynął z wielkiej wylewności, powiedział mi: „Maria, kawał dobrej roboty”.

Bywały jednak i takie sytuacje, gdy nie tylko prezes klubu, ale i ja nie dowierzałam w to, jak niektóre sprawy były załatwiane na kadrze. Miałam dość poważną kontuzję i dłuższą pauzę. Powołanie jednak przyszło i gdy zadzwoniłam do trenera, pytając czy to nie pomyłka, usłyszałam w odpowiedzi, że symuluję i mam być na zgrupowaniu w Zawierciu, bo w innym razie mnie zawiesi. Znow słuźbowe auto i droga z Niemiec do Polski, z przymusowym postojem w Opolu, bo noga tak bolała, że nie byłam w stanie prowadzić. Kiedy dojechałam do celu, selekcjoner przekonał się, że jednak mówię prawdę. Zostałam z drużyną, ale zamiast zajmować się grą w piłkę, zajmowałam tylko uwagę lekarzy.

Kadra była grą w za dużych strojach, spodniach od dresu przesywanych przez panią Irenkę, kierowniczkę drużyny, żeby nam nie pospadały z tyłków. Zdarzało się, że nocowałyśmy w klasztorach, w których brama zamykała się na amen o osiemnastej. Dostawałyśmy po cztery dolary kieszonkowego, więc nie było to najlepiej opłacalne zajęcie na świecie. Nawet przy drużynach ze średniej półki wyglądałyśmy jak ubogie krewne, ale... dla niektórych pewnie było to dobre miejsce do odstresowania, a dla innych gra z orzełkiem była warta wszelkiego rodzaju wyrzeczeń. Czy mogłyśmy osiągnąć coś więcej? Czasem myślę, że gdybym urodziła się trzydzieści lat później, to pewnie zagrałabym na mistrzostwach świata lub Europy. Kiedy widziałam, jak dziewczyny z Poczdamu dostają nowy sprzęt na zgrupowaniach swojej drużyny narodowej, a my gramy w ciuchach po seniorach, robiło się zwyczajnie przykro, ale cóż. Orzełek był zawsze najważniejszy, nawet na koszulce wielkością przypominającą plandekę.

Wracając do Poczdamu. Walka o mistrzostwo opierała się na ciężkiej pracy. Sezon rozpoczynał się dla nas w połowie lipca od obozu przygotowawczego. Miałyśmy po trzy treningi dziennie. Rano – rozbieganie i siłownię, po południu znow słuźbowe i elementy gimnastyki, a wieczorem pełnowymiarowy trening. Walka trwała do ostatniej kolejki, do wyjazdowego meczu we Frankfurcie.

Zdobyłam mistrzostwo Niemiec, ale w decydującym meczu nie zagrałam. Schröder wiedział, że chcę odejść i posadził mnie na ławce. To on lubił zwalniać, nie cierpiał za to, gdy stawiano go przed faktem dokonanym. Ja z kolei wiedziałam, że z regularną grą mogę mieć kłopoty i szukałam klubu, w którym miałabym miejsce w wyjściowej jedenastce. Wybór padł na Słowenię. Zły wybór, ale i tam czegoś się nauczyłam.

Turbine Poczdam nadal gra w Bundeslidze. Pięciokrotnie zdobywało mistrzostwo Niemiec, trzykrotnie Puchar Niemiec. W 2005 roku wygrało rozgrywki Pucharu UEFA – jedyne wówczas rozgrywki klubowe w Europie pod egidą UEFA, a w 2010 roku Ligę Mistrzyń. Na swoim koncie ma też sześć tytułów mistrza NRD.

NOVE MESTO

W Słowenii mieszkała moja siostra. Jej syn grał w juniorach Krky, która miała też najlepszą w kraju sekcję kobiecą. Kiedy dowiedzieli się, że gram w Niemczech, zaczęli mnie namawiać przez rodzinę, abym się do nich przeniosta. I tak trafiłam do Novego Mesta. Ładna okolica i chyba to wszystko, co mogę pozytywnego powiedzieć o tym miejscu. Szybko zaczęły się problemy z pieniędzmi. Dużo gadano, uspokajano, ale przelewów jak nie było, tak nie było. Wytrzymałam tam cztery miesiące. To nawet nie była przygoda. To był epizod. Patrząc na to po latach, zupełnie niepotrzebny. Wróciłam do Niemiec.

NORYMBERGA, WEINBERG I HOCHSTADT

Trafiłam do Norymbergi, ale nie grałam tam długo. W 2006 roku wzięłam ślub, rok później zostałam mamą. W 2008 roku po raz ostatni zagrałam w kadrze Polski. Licznik zatrzymał się na stu jedenastu grach. To były skomplikowane życiowo czasy. Kiedy wracałam na boisko, moje małżeństwo się rozpadało. Musiałam wszystko poukładać od nowa. Utrzymanie domu, wychowanie dziecka i powrót do gry w Weinbergu. Zdarzało się, że mały jechał z drużyną na mecz. Mama grała w piłkę, a synek zostawał pod opieką kogoś z drużyny.

Zdawałam sobie sprawę, że nie da się grać w nieskończoność, mimo że propozycje gry nadchodziły z różnych stron. Kiedyś jednak trzeba było zejść z murawy, na którą zawiózł mnie pekaes ze Złotnik Lubańskich. Mama nie musiała po mnie przyjeżdżać. Przez całą karierę dotrzymałam danego jej słowa i osiągnęłam to, o czym marzyłam, siedząc u sąsiadów na schodach.

MARIA MAKOWSKA jest wieloletnią kapitanką oraz rekordzistką pod względem rozegranych meczów w reprezentacji Polski. Ma ich 111. Zdobyła mistrzostwo i Puchar Niemiec z Turbine Poczdam, a także halowe mistrzostwo Niemiec i dwukrotnie mistrzostwo Polski ze Stilonem Gorzów Wielkopolski. Mieszka w Niemczech. Trenuje jeden z lokalnych kobiecych klubów.




Anastazja Kubiak: Decyzja należy do mnie

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

*– O ja, pieju! – krzyknął kierownik drużyny.
– Po moim trupie! – wtórował mu trener.
Kilku dziewczynom momentalnie łyzy nabiegły do oczu.
Przed chwilą powiedziałam im, że odchodzę, ale to, co
zobaczyłam, złamało mnie. Stałam w samym środku
szatni, kompletnie nie wiedząc, co mam zrobić. Iść do
Zagłębianki i zdobywać mistrzostwa Polski, czy zostać
w biednym jak mysz kościelna Kolejarzu Łódź?*

ŁÓDŹ



Najbardziej bolało, gdy trafiło się nogą w pień. Graliśmy codziennie, do późnego wieczora na wykarczowanej polance niedaleko domu w Andrzejowie, który dziś jest już częścią Łodzi. Dom co prawda ciężko było stamtąd dojechać, ale wołanie mamy na kolację do nas docierało. Sam ból stopy nie był największym problemem, bo czasem Piotrek i Bogdan robili wszystko, żeby grać beze mnie, ale jako najmłodsza miałam prawo użyć każdego sposobu. „Bo powiem mamie!” działało zawsze. I w lecie, i w zimie. A kiedy zamarzył zbiornik przeciwpożarowy, piłka zostawała w domu, a my braliśmy się za hokej.

Pamiętam, że w piątek padał rześisty deszcz. Myślałam, że w ogóle nie będzie treningu i zamiast się poznać, rozjedziemy się do domów. Ale Maciej Nowak, jak później się okazało mój pierwszy trener, był zaangażowanym człowiekiem. – Drogie panie, zapraszam na boisko! – Tak zostałam piłkarką TKKF-u Teofilów, a precyzując, zostałam nią po zajęciach, kiedy trener powiedział, że mogę jechać na mecz. I pojechałam



▲ Po zwycięskim meczu Kolejarza Łódź / Arch. prywatne Anastazji Kubiak

do Wrocławia, żeby zagrać z tamtejszym AZS-em. Pociągiem bez rezerwacji, ale z biletem. Z bawełnianą koszulką z doszytym numerem i z korkotrampkami w plecaku. Jak dziś sobie wspominam korkotrampki, to myślę, Boże, jak można było w tym grać? Ale wszystkie byłyśmy tak podekscytowane, że żadne przeciwności losu nie mogły nas zniechęcić.

Teofilów przekształcił się później w Kolejarza Łódź. Ja dopięłam swego, bo choć koleżanki pokazywały mi ogłoszenia w prasie o naborach do Czarnych Sosnowiec, to powiedziałam sobie, że dopóki w Łodzi nie powstanie kobiecy zespół, to wystarczy mi moja polanka z pieńkami. Ale powstał. Zaledwie trzydzieści kilometrów od domu. Autobusem i tramwajem pokonanie tej trasy zajmowało mniej więcej półtorej godziny. Trenerem Kolejarza był Piotr Suski. Piłkarz ŁKS-u Łódź, reprezentant Polski, który zagrał na Maracanie przeciwko Brazylii z Garrinçą i Pele. Na nas wszystkich robiło to duże wrażenie.

Kolejarz nie był drużyną walczącą o mistrzostwo, ale żadna z nas o tym nie myślała. Wystarczała radość z gry. Każde zwycięstwo świętowałyśmy, jakbyśmy zdobyły mistrzostwo świata. Aż pewnego razu, po jednym z treningów Kolejarza, zjawili się u mnie w domu działacze Zagłębianki Dąbrowa Górnicza. Chociaż aby być dokładną, to ja się zjawiłam w domu, a oni już tam byli. Ustalili nawet

z rodzicami warunki transferu. Moja mama, która kibicowała mi od samego początku, jeżdżąc z trąbką dróżnika na mecze, tylko się uśmiechała. Trener i kierownik drużyny Zagłębianki też. Kontrakt był na tyle dobry, że i ja się uśmiechnęłam. Zmienię otoczenie, zmienię klub i wywalczę mistrzostwo Polski. Pozostało tylko pożegnać Łódź.

Stałam w samym środku szatni. Powiedziałam, że dostałam propozycję przejścia do Zagłębianki. Dobry nastrój prysł w okamgnieniu. Z każdą chwilą rosto za to napięcie. Zgodzisz się, czy się nie zgodzisz? Zostaniesz mistrzynią Polski, czy będziesz grać o środek tabeli? Zostawisz przyjaciół, czy pójdiesz do najlepszych? Powiedziałam, że odchodzę, ale... wcale nie odeszłam.

– O ja, pieju! – krzyknął kierownik drużyny, Józef Dobruchowski.

– Po moim trupie – wtórował mu trener Suski. Niektóre z dziewczyn zaczęły szlochać. Ciacho, Gosia, Iza, Ula, Latawiec, siostry Basia i Jadzia od razu zaczęły mnie przekonywać, żebym została. Do kogo zadzwonisz z prośbą o radę? Mama, trener albo ktoś z Zagłębianki? „Ciacho, przestań płakać, bo nie mogę myśleć!” – o niczym innym wtedy nie marzyłam. Zdałam się na siebie. I w ten sposób zostałam swoją menedżerką. Od tej chwili zawsze ja decydowałam o swoim losie. Gdzie będę grać i na jakich zasadach. Ważne w tej historii jest to, że kwe-

stie finansowe nie były priorytetem. Dobre warunki, praca na etat w kopalni i premie, jednak przegrały z czymś, co dziś modnie funkcjonuje pod nazwą „team spirit”. Zagłębianka zdobyła mistrzostwo Polski bez mnie. Ja wyjechałam do jednej z najsilniejszych lig na świecie bez pomocy Zagłębianki. Nikt nikomu niczego nie ułatwił ani nie utrudnił. Przyjaźnie zostały do dziś, bo cały czas mam kontakt z dziewczynami z drużyny, choć żadna z nas od dawna już nie gra w piłkę.

CHEMNITZ

Kolejarz często wyjeżdżał na turnieje towarzyskie do dawnego NRD. W czasach, gdy Chemnitz patronował jeszcze Karol Marks, grywałyśmy często z Wismutem, dziś Erzgebirge Aue. Zawiązywały się znajomości, często nawet przyjaźnie między zawodniczkami z obu klubów. Tak poznałam Carolę Schütze, która po meczu reprezentacji Polski z Niemcami spytała mnie, czy nie chciałabym przenieść się na Zachód. Wismut był na najlepszej drodze do Bundesligi. Nie zastanawiałam się długo i tym razem nie dałam się przekonać do pozostania w Łodzi.

Kilka dni później Carola przyjechała do mnie do domu razem z trenerem Wismutu. Ustaliliśmy warunki przejścia do Aue, a w Kolejarzu nikt nie robił kłopotów z odejściem. Co więcej, z prezesem Zdzisławem Kępą pojechaliśmy sprawdzić, jak to wszystko wygląda na miejscu. Nie byliśmy sami, bo do Wismutu udała się także Jolanta Adamska z Krzysztofem Słężakiem. Jola zupełnym przypadkiem znalazła się w moim domu, kiedy goście z Niemiec przyjechali ze mną negocjować warunki. Pan Krzysztof był kierownikiem jej klubu. Klub nazywał się Zagłębianka. Tak, świat jest mały, a ludziom i szczęściu trzeba czasem pomóc.

W Aue zastaliśmy piękne, wysokie góry, umeblowane mieszkanie i warunki do gry, o których w Polsce mogłyśmy pomarzyć. Decyzja nie była trudna. Obie wylądowałyśmy w Niemczech. Nie był to łatwy moment w moim życiu, bo przyplątała się kontuzja. Usunięto mi łąkotkę, więc wypadłam na kilka tygodni z gry. Niestety, zabieg się nie udał, bo po powrocie na boisko cały czas miałam problemy z kolaniem. Przy strzale coś przeskakiwało do tego stopnia, że noga nie chciała wrócić do normalnej pozycji. W klubie wszyscy wiedzieli, że jeśli muszę przykucnąć, to coś ze mną jest nie tak. Tylko w taki sposób kości miały szansę wrócić na swoje miejsce. Ostatecznie wylądowałam po raz drugi na stole chirurgicznym. Tym razem wszystko się udało, ale... spadłyśmy z Bundes-

ligi. Zaczęły się inne problemy, bo wycofał się sponsor i nagle z krainy mlekiem i miodem płynącej Wismut stał się klubem ledwo wiążącym koniec z końcem.

FRANKFURT

W Aue dorobiłam się samochodu. Opel Kadett koloru białego, z przyciemnianymi szybami z tyłu, z automatyczną skrzynią biegów. Kupiłam go zresztą od brata. Tego samego, którego straszylałam mamą, gdy obruszał się, że nie ma dla mnie miejsca na boisku pod lasem. Dojechałam tym autem do dworca we Frankfurcie, najbardziej charakterystycznego miejsca, które można było znaleźć na mapie. Byłam tam umówiona z Moniką Staab na podpisanie kontraktu. Nie było zacisza gabinetów i długich rozmów. Zamiast tego spotkanie w miejscu, które czasem sprzyja w podejmowaniu decyzji na lata.

Wcześniej zadzwoniłam do Frankfurtu. Nie miałam menedżera. Od rozmowy w szatni Kolejarza Łódź nic się nie zmieniło. Dalej byłam dla siebie sterem, żeglarzem i okrętem. – Jeśli szukacie piłkarek, to dajcie znać. – I po drugiej stronie linii była właśnie Monika. Do niedawna kapitanka SG Praunheim, teraz realizująca się w roli pierwszej trenerki. Dostałam zaproszenie na sparing, w którym ostatecznie nie zagrałam przez kłopoty ze stawem skokowym, ale mimo tego dano mi szansę.

We Frankfurcie zrobiłam olbrzymie postępy. Monika, której historia jest osobnym tematem na książkę lub film, mogła pracować w sztabie szkoleniowym, w którym znalazło się też miejsce dla trenera od przygotowania motorycznego. Dziś to podstawa, ale w tamtych



▲ Początki w Kolejarzu Łódź / Arch. prywatne Anastazji Kubiak

czasach nawet w Bundeslidze nie wszędzie było to standardem. Nie zaniedbywano żadnego obszaru. Zajęcia poprawiające koordynację, technikę, praca nad siłą i wytrzymałością. Praunheim był w pełni profesjonalnym klubem, nastawionym na walkę o mistrzostwo Niemiec. Ściągał najlepsze zawodniczki, jak choćby Steffi Jones czy Doris Fitschen. Tym, co scalało wszystkie piłkarki w prawdziwą drużynę, była wspaniała atmosfera, o którą dbała Monika. Wspomniałam już, że jej losy mogą być inspiracją dla wielu ludzi. Uczy grać w piłkę dziewczyny na całym świecie. Od Niemiec aż po Japonię, Bahrajn, Katar, Wietnam czy Gambię. Futbol jest nie tylko źródłem utrzymania, ale też pretekstem do walki o prawa kobiet, wszędzie tam, gdzie są one łamane.

Domyślałam się też, że wszędzie, gdzie Monika uczyła gry w piłkę, wprowadzała fantastyczną atmosferę, tak jak we Frankfurcie, gdzie na boisku, jak i poza nim trzymałyśmy się razem. Kiedy pewnego razu postanowiłam odwiedzić rodziców w Łodzi, Monika i Simone Damerau, kapitanka, stwierdziły, że potowarzyszą mi w podróży do Drezna, a stamtąd wrócą pociągiem. W Dreźnie okazało się, że tego dnia żaden pociąg w kierunku Frankfurtu nie przyjeżdża. – Coś się wymyśli! – usłyszałam tylko i po kilku chwilach stałyśmy już w kilkugodzinnej kolejce do granicy.

– Poproszę o paszporty – usłyszałam od celnika i podałam mu dokument. Monika zrobiła wielkie oczy i zapytała na cały głos udającej śpiącą Simone: „Jak to nie wziętaś? To ty nie wiesz, że trzeba mieć paszport przy wjeździe do Polski?”. I zaczęły się kłócić. Pogranicznik spoglądała to na nas, a to na gigantyczną kolejkę, słysząc tylko dobywające się z auta odgłosy awantury: „Jak można być tak nieodpowiedzialnym! I co my teraz zrobimy?”. Ostatecznie machnął ręką i rzucił długo wyczekiwane przez wszystkie uczestniczki tej zaplanowanej ze szczegółami szopki słowa: „A jedźcie w cholerę!”. W taki sposób o czwartej nad ranem dotarliśmy do Łodzi, gdzie zastaliśmy nie mniej zdziwionych niż celnik moich rodziców.

Z Praunheim dwukrotnie zdobyłam wicemistrzostwo Niemiec. W sezonie 1995/96 przegrałyśmy w finale 0:1 z TSV Siegen. Wtedy jeszcze istniał podział na grupy. Dwa lata później, grając już systemem obowiązującym do tej pory, wyprzedziło nas FSV Frankfurt. Wkrótce na bazie Praunheim powołano do życia 1. FFC Frankfurt. Klub, który na wiele lat zdominował niemieckie rozgrywki, siedmiokrotnie wygrywając Bundesligę i dokładając dziewięć krajowych pucharów.



▲ W barwach SG Praunheim
/ Arch. prywatne Anastazji Kubiak

WOLFSBURG

Kiedy we Frankfurcie rodził się prawdziwy piłkarski hegemon, ja byłam już w Wolfsburgu, aby, jak się potem okazało, przeżyć *déjà vu*. Miałam wówczas 32 lata i stwierdziłam, że czas poszukać sobie miejsca, w którym oprócz gry w piłkę będę mogła pracować. Choć namawiano mnie do pozostania, zdecydowałam, że dołączę do beniaminka grającego wówczas pod nazwą WSV Wendschott. Trafiłam tam wspólnie z Olą Lesiak i oprócz mieszkania i pracy w koncernie Volkswagena dostałam też sporo nowej energii do gry. Przed podpisaniem kontraktu długo zastanawiałam się, czy to ma jeszcze sens. Byłam już zmęczona grą. Myślałam, żeby po prostu już odpocząć od piłki. Jak zwykle decyzję podjęłam sama i po raz kolejny udało się dobrze wybrać.

Naszym celem było utrzymanie, ale wykręciłyśmy wynik zdecydowanie powyżej oczekiwań, zajmując miejsce w środku tabeli. W Volkswagenu trafiłam do działu logistyki. Kierownictwo szło nam na rękę, więc aby w spokoju trenować, pracowałyśmy tylko na pierwszą zmianę. Od mojej przeprowadzki do Wolfsburga minęły już 22 lata. Klub fantastycznie się rozwinął i mam to szczęście, że mogę kibicować grającym w nim Polkom, Ewie Pajor i Kasi Kiedrzynek. Jestem pewna, że w życiu czeka mnie jeszcze co najmniej jedna przeprowadzka. Chcę wrócić do Łodzi. Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Kto wie, może uda się wyrównać to boisko, na którym grałam z braćmi, aby żaden dzieciak nie kopnął już nogą w pieniek?

ANASTAZJA KUBIAK – rozgrywająca reprezentacji Polski i niemieckich Wismutu Aue, SG Praunheim, z którym zdobyła wicemistrzostwo, i Wendschottu Wolfsburg. Wybrana do jedenastki piłkarek na stulecie PZPN. Na stałe mieszka w Niemczech.



Marta Otrębska: VO2 max. 63

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Gdy kończył się mecz, mogłam od razu grać następny. Gdybym biegła maraton, to po ukończeniu jednego mogłabym rozpocząć drugi. Nie wiem, skąd się wzięła u mnie taka wydolność. Gdy miałyśmy próby wysiłkowe, to ja zaczynałam na samym końcu. Mówiłam koleżankom, żeby jechały do domu i nie czekały. Lekarz dopytywał mnie co jakiś czas. Już? Masz dość? Ale nie miałam. Mogłam tak biec i biec. Te testy często przerywano za mnie. Na zimowych obozach w górach, kiedy reszta miała dość, ja się dopiero rozkręcałam. Masz tętno jak śpiący niedźwiedź, słyszałam. Skąd u ciebie taka kondycja? Jak to osiągnęłaś? Wzruszałam ramionami. Co ja wam mogę powiedzieć? Taka się urodziłam. Mam biec dalej?



SOSNOWIEC

Jak byliśmy mali, wszyscy marzyliśmy o tym, żeby zostać piłkarzami. Wychowałam się w Jaworznie. Na podwórku same chłopaki, więc po szkole nic innego nie robiliśmy, tylko graliśmy w piłkę. Gdy miałam piętnaście lat, ktoś podpowiedział, żeby pojechać do Sosnowca i spróbować się w klubie, a nie na podwórku. Wsiadłam w autobus i po pół godzinie byłam pod stadionem Czarnych. Trochę stara jesteś, ale cię weźmiemy – usłyszałam od trenera. Kopałam tam piłkę z małymi przerwami przez dwanaście lat. Ta sama trasa pokonywana dzień w dzień autobusem tej samej linii. Mimo że klub wysłał nas na kurs prawa jazdy, a tata miał Fiata 126p,

wolałam wtedy komunikację miejską. I choć uwielbiam samochody, to w maluchu nie dało się ani myśleć, ani odpocząć.

W Czarnych trenowałam z dziewczynami i z chłopakami. Z tymi drugimi, wiadomo, było ciężiej, bo za wszelką cenę chcieli być lepsi. W szatni obowiązywało coś na kształt hierarchii. Młodsze ściągały siatki, nosiły sprzęt. Wszystko trzeba było sobie wywalczyć, ale funkcjonowało to na zdrowych zasadach. No może poza obozowymi chrztami. Piłyśmy tam takie świństwa, że wątroba przewracała się na drugą stronę, ale do dziś, gdy patrzę na zdjęcia z tamtych czasów, nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Kiedy byłam już reprezentantką Polski, spotkałam moich kolegów z osiedla pod

trzepakiem. „Panowie, dzięki, że wtedy chcieliście ze mną grać”, powiedziałam na przywitaniu. Uśmiechnęli się, choć żaden z nich nie został piłkarzem. Jeden poszedł do pracy w kopalni, drugi do policji, inni pozakładali rodziny.

W Czarnych nie było kokosów, mimo że był to klub, który na lata zdominował ligę. Zresztą wtedy w żadnym kobiecym zespole nie było wielkich pieniędzy. Ani niewielkich. Patrzone na nas jak na dziwadła. Jak już ktoś kiedyś przyszedł na mecz, to po to, żeby krzyknąć, że nadajemy się do garów. Tyle że my wcale nie pozostawałyśmy dłużne. – Wy za to ani do garów, ani do piłki. Z czasem, dość mozolnie ta świadomość się zmieniała. Przychodzili, ale zamiast szyderstw pojawiał się doping.

Podobnie jak piłkarze też miałam etat w państwowym przedsiębiorstwie. Z tym że koledzy z okolicy byli przeważnie papierowymi górnikami i po wypłatę chodzili wtedy, kiedy nikt ich nie widział. Ja pracowałam na kolei naprawdę. Nie była to ciężka praca, ale niestety nie nudna. Pilnowałam jakiejś zwrotnicy przez dwanaście godzin dziennie. Dwa razy dziennie przejeżdżał pociąg towarowy. Jak przejechał ten pierwszy, to ja buch tę zwrotnicę w lewo. I tak w kółko każdego dnia. Jeden pociąg, jeden ruch ręką i trening.

Pierwsze mistrzostwo zawsze się pamięta do końca życia. No dobra, żartuję. Myślę, że żadna z nas nie pamięta za wiele, bo zabawa trwała do rana. Miałyśmy to szczęście, że zdobywałyśmy je wiele razy. Rok w rok, aż wyszło tego z Czarnymi w sumie osiem tytułów (klub zdobył łącznie trzynaście tytułów mistrzowskich – przyp. red.).



▲ Marta Otrębska (przodem) walczy o piłkę / Arch. prywatne Marty Otrębskiej

POCZDAM

Mówiłam już, że mam dobrą wydolność, ale Niemcy nie były dla mnie odpowiednim miejscem. Tam najważniejsza była siła. Przerzucanie ton żelaza na siłowni. Do domu, a właściwie do hotelu, wracałam na czworakach. Klub posiadał hotelik przy stadionie, gdzie kilka z nas mieszkało. Do Poczdamu ściągnęła mnie właśnie Marysia Makowska, moja koleżanka z kadry. Oprócz nas w Turbine grały jeszcze dwie Rosjanki, ale nie było żadnych podziałów na przyjezdne i miejscowe. Co więcej, koleżanki z Niemiec zabrały nas na wycieczkę do Berlina. Innym razem pokazały Poczdam.

W Poczdamie szukano napastniczki, ale gra była tam dla mnie katogą. Nigdzie nie kopano tak po nogach, jak w Bundeslidze. Bez przerwy tylko łup, łup, łup. Nie szło wytrzymać. Spędziłam tam rok i wróciłam do Polski. Różnice w zarobkach nie były wtedy jeszcze aż tak wielkie, jak teraz. Lubiłam futbol, jaki grano we Włoszech, w Szwecji. Za tym w wydaniu niemieckim nie przepadałam, ale samą drużynę po latach bardzo dobrze wspominam. Grały tam naprawdę bardzo miłe dziewczyny, choć sama gra do miłych nie należała. W następnym sezonie trafiłam do Medyka Konin.



▲ Podczas zgrupowania reprezentacji Polski. Na zdjęciu (od lewej): Marta Otrębska, Marta Stobba, Marta Mika / Arch. prywatne Marty Otrębskiej

WROCŁAW

To najpiękniejsze miejsce na świecie. Kiedy pójdę na emeryturę, to na pewno wrócę. Tyle że do emerytury jeszcze bardzo daleko. Pamiętam wieczory na rynku po meczach. Potrafiłyśmy siedzieć tam do późnej nocy. Czym mnie przekonali, żebym tu przyjechała? A jak sądzicie? Ale pieniądze w życiu nie są wcale najważniejsze. Każdy człowiek potrzebuje nowych wyzwań, a ile razy możesz osiągać sukces z tą samą drużyną? Raz, drugi, dziesiąty. Wreszcie myślisz sobie: dość. Pora na zmianę. I tak dość okrężną drogą trafiłam na Dolny Śląsk. Zresztą o tytuł mistrzowski AZS walczył właśnie z Czarnymi. Przy wyniku 2:1 jedna z naszych nie strzeliła karnego, ale sędzia kazał go powtórzyć, bo rywalki wbiegły w „szesnastkę”. Patrycja, daj, ja to strzelę. Ciśnienie nie skoczyło, bo choć grałam przeciwko swojemu byłemu zespołowi, to... już dwie bramki w tym meczu zdobyłam. Wygrałyśmy 3:1.

Z karnymi miałam jednak różne przeżycia. W życiu zmarnowałam dwie jedenastki. Jedną w Koninie i pamiętam, jak potem w szatni trener Jaszczak powiedział wkurzony: „Ty już Marta strzelać karnych nie będziesz!”. Ale strzelałam później wiele razy i to zawsze w taki sam sposób. Wybierałam lewy róg bramkarci. Jak w bramce stała wysoka dziewczyna, a przeważnie takie były, uderzałam po ziemi. Raz tylko pamiętam, jak w którymś meczu broniła Chinka. Mojego wzrostu, ale w nogach miała sprężyny. Wtedy nie byłam pewna, jak ją oszukać, ale uderzyłam silnie pod poprzeczkę i jakoś wpadło.

Wracając do AZS-u. Po pierwszym mistrzostwie przyszło kolejne. I kolejne. W sumie sześć z rzędu (łącznie AZS zdobył osiem tytułów – przyp. red.). Moim pierwszym trenerem był we Wrocławiu Przemysław Przyłuski. Trak-

tował nas jak córki. Dla zawodnika to bardzo ważne, gdy może polegać na trenerze dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak było w tym przypadku i z Władysławem Szyngierą, który prowadził naszą reprezentację. Przyłuski potrafił nas dobrze opierdzielić, gdy coś szło nie tak, ale jak widział, że mamy już siebie dość na treningach i skaczemy sobie do oczu, zmieniał plany, przerywał zajęcia i mówił, żebyśmy dały sobie na wstrzymanie i pojechały na dzień, dwa do domów. Potem wszystko wracało do normy.

W Polsce nie miałyśmy z kim przegrać, ale już w Lidze Mistrzyń nie szło tak łatwo. Z grupy udawało się przeważnie wychodzić, ale potem trafiało się na silniejszych i nie było o czym mówić.

CZĘSTOCHOWA

Ktoś pukał do drzwi, a było już dobrze po dwudziestej trzeciej. – Marta, tu masz kontrakt. Zostawiłem ci miejsce, żebyś wpisała sobie, ile chcesz zarabiać. – O, panie prezesie! To wy będziecie musieli klasztor jasnogórski sprzedać – żartowałam. Ale wpisałam sobie tyle, że obie strony były zadowolone. Włodzimierz Seifryd odpowiadał tam za wszystko. To on stworzył Gola Częstochowa. Sam go wymyślił, sam zbierał pieniądze, sam go trenował. Działał tak, jak Roman Jaszczak w Medyku Konin. Oddany klubowi niemiłosiernie, ale mistrzostwa zdobyć nie mógł. Dwukrotnie lepszy okazywał się zespół z Wrocławia. Najpierw dojeżdżałam na treningi z Jaworzna, ale potem klub zorganizował bardzo ładne mieszkanie. Zresztą rzut beretem od Jasnej Góry. Zdarzało się, że przed meczami wpadałam tam na pacierz. Klub utrzymywała Huta Częstochowa, która zatrudniała też piłkarki. Ja pracowałam w sklepie spożywczym znajdującym się na jej terenie.

Wrocław i Częstochowa to były dwa zupełnie różne miasta, ale jedno miały ze sobą wspólne. Ludzie uwielbiali żużel, do którego akurat mnie nie ciągnęło. Raz w życiu byłam na meczu. We Wrocławiu. Ale mnóstwo huk i jazda w kółko jakoś nie przypadły mi do gustu, mimo że lubię jeździć motocyklem. Zdecydowanie bardziej wolałam tenis. I oglądać, i grać. Gram zresztą do tej pory. Niedaleko mojego domu są całkiem przyjemne korty.

POLSKA

Na Sardinii jechałyśmy autokarem 36 godzin. Pojazd nie był szczytem techniki. Z wygod,

które oferował, dało się na przykład otworzyć okna. Ale był rok 1989. Walił się komunizm, w Polsce rozpoczynała się transformacja. Kto by sobie zawracał głowę drużyną piłkarek? Jechałyśmy ubrane w za duże dresy, plecaki miałyśmy napakowane kajzerkami i konserwami. Myślałyśmy się po drodze w zajazdach. Wyglądałyśmy jak pomocniczki diabła. Dojechałyśmy tak do Genui, a potem już było z górki, bo na promie można było odetchnąć.

Graliśmy tam po raz pierwszy w życiu z Amerykankami. Na boisku było 0:0, ale to „boisko” weźmy jednak w duży nawias, bo w niczym nie przypominało ono normalnego placu gry. Nawierzchnia była mniej więcej taka jak do gry w tenisa. Kurzyło się niemiłosiernie. W tabunach pyłu trudno było rozpoznać, kto gra w której drużynie, nie mówiąc już o utrzymaniu równowagi. Coś, co udawało murawę, było tak twarde, że grając w normalnych korkach, trzeba było bardzo uważać, żeby się nie przewrócić, o dokładnym zagranium nie wspominając.

Ale tym autobusem zwiedziłyśmy kawał świata i myślę, że żadna z nas niczego nie żałuje. Często brałyśmy udział w turniejach towarzyskich w Warnie. Makabryczne warunki w podróży rekompensowała potem wspaniała okolica. Ciepło, piękne plaże, dobre boiska.

W kadrze zdarzały się mecze, w których wygrywałyśmy 13:0, ale dostawałyśmy też okrutne baty i to wcale nie od światowych potęg. Były takie spotkania, po których odczuwało się czegoś, jak na przykład po Islandii. Przegrałyśmy 0:10. Nie wiedziałam, gdzie się schować, tak było mi wstyd. Wcześniej jeszcze osiem bramek wrzuciły nam Szwedki. Też trudno to było zrozumieć, mimo że rywal był bardziej renomowany. Nie wiem, czy wyciśnięto z nas maksimum, na które było nas stać, ale wspominałam już raz nazwisko trenera Szyngiery. To był bardzo dobry fachowiec. Gdy odchodził, miałam łzy w oczach. Byłyśmy o krok od awansu do Dywizji A. Najmocniejszej. Ale koniec końców przegrałyśmy z broniącymi się przed spadkiem Szwajcarkami, mimo że w pierwszym meczu powinnyśmy wygrać i to zdecydowanie. Ale zamiast strzelić im ze trzy bramki, straciłyśmy gola po jednym błędzie. W rewanżu już się pogubiłyśmy. Bywa.

OSKARSHAMN

Wsiadasz na prom w Gdyni i po dwóch godzinach jesteś w Karlskronie. Potem mijasz Kalmar i witaj na miejscu. W Oskarshamn jest elektrownia jądrowa, fabryka Scanii, fabry-

ka Saaba, lotnisko, port, z którego odpływają promy na Gotlandię i wyspę Blaa Jungfrun, trochę hoteli i jeden sklep monopolowy czynny od poniedziałku do piątku. Krótko mówiąc, jest tu pięknie. Nadmorskie miasteczko. Mieszka tu niecałe dwadzieścia tysięcy ludzi, choć w lecie tętni życiem. Kurort, ale inny niż te po drugiej stronie Bałtyku. Pracuję w jednym z hoteli, do których w lecie przyjeżdżają setki wczasowiczów. W weekendy sporo tu ludzi, ale w tygodniu czasem ciężko kogokolwiek spotkać na ulicy. Tacy są Szwedzi.

Gdyby nie pewien Somalijczyk, nigdy w życiu nie nauczyłabym się tego języka. Jest trudniejszy od chińskiego i wcale nie przesadzam. Ale nie było wyjścia. W Szwecji dasz radę bez problemu dogadać się po angielsku. Problem w tym, że mnie w szkole nauczyli mówić po rosyjsku. Szwecję już znałam. Wcześniej wylądowałam tu na trzy lata. Grałam w Kristinebergu z Agnieszką Drozdowską. Wypatrzyli mnie na zgrupowaniu kadry. Później jednak pojawiły się problemy z wizami i przez Niemcy wróciłam do Polski.

A że historia lubi się powtarzać, w 2008 roku znów pojawiła się propozycja. Ówczesny selekcjoner powiedział, że Kalmar chciałby wypożyczyć mnie i dwie inne zawodniczki do końca sezonu. Znowu Szwecja? Zapytałam. A czemu nie! I tak z Lilianą Gibek i Justyną Nazarczyk zostałyśmy, żeby pomóc w awansie. Z awansu nic nie wyszło, bo było trochę tak, że trzy grały, a pozostałe osiem się przyglądało. Pomyślałam sobie, że czas wracać do Polski, ale na ostatnim meczu spotkałam dobrą koleżankę, Anneli Andelén, która prowadzi zresztą teraz szwedzką młodzieżówkę. – To ty jeszcze grasz, staruszek? – Ja staruszką? Żartujesz sobie, mam dopiero 37 lat. I tak od słowa do słowa trafiłam do Rödse BK, gdzie trenerem był jej mąż. Ale gdy po ośmiu sezonach gry strzeliła mi pachwina, stwierdziłam, że mając 45 lat na karku, można już sobie dać spokój z piłką. Zostałam w Szwecji. Mam tu piękne morze, czyste powietrze, ale tak jak wam mówiłam, przyjadę do Polski na starość. Do Wrocławia. Bo pewnie jest coś takiego jak starość, prawda?


MARTA OTRĘBSKA strzeliła w reprezentacji Polski 48 goli, co czyni ją drugą najskuteczniejszą reprezentantką Polski. Jest też rekordzistką (ex aequo z Nikolą Karczewską) pod względem zdobytych bramek w jednym meczu. W spotkaniu przeciwko Izraelowi sześciokrotnie trafiała do bramki rywalk.



Luiza Pendyk: Listy do Polski

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Tym razem nie będzie w pierwszej osobie, bo Luiza nie chce rozmawiać. Ma duży żal, że nazwano ją zdrajczynią, choć żadną zdrajczynią oczywiście nie jest. Ludzie, którzy nie byli wobec niej fair, w większości już nie żyją, ale rany, jak widać, nie chcą się zbliznić. Natomiast fakt, że Luiza, lub Iza – jak mówią o niej koleżanki, zasługuje na to, abyście ją poznali, jest dla nas bezsporny. Mimo że nawet w polskiej wersji Wikipedii nie znajdziecie o niej ani słowa, uwierzcie, to jedna z najzdolniejszych, o ile nie najzdolniejsza piłkarka, która grała w biało-czerwonych barwach.



Urodziła się we Wrocławiu i mając czternaście lat, zaczęła szukać klubu. Odbiła się najpierw od AZS-u, potem od Pafawagu i tak w kółko, aż w końcu zespół akademiczek się nad nią zlitował i pozwolił jej wejść na murawę. Gdy już się na niej pojawiła, w swoim debiucie przeciwko Sokółowi Drzonków strzeliła cztery gole. Dodajmy, grając w obronie. Mecz zakończył się wynikiem 9:2, a młodziutka piłkarka szybko została kluczową zawodniczką pierwszej drużyny. Nie była pokaźnego wzrostu, ale od razu zwróciła na siebie uwagę, grając równie dobrze prawą, jak i lewą nogą.

Jak zainteresowała się futbolem, trudno dociec. Ani jej ojciec, ani brat nie przejawiali większego zainteresowania tym sportem. Fama o bramkostrzelnej nastolatce szybko dotarła do Sosnowca, gdzie mieścił się najlepszy kobiecy zespół w tamtych czasach. Pendyk szybko więc opuściła Wrocław i przeniosła się do Zagłębia Dąbrowskiego.



▲ Luiza Pendyk przed finałem mistrzostw Szwecji: Malmö FF kontra Älvsjö AIK FF / Fot. Lars Dareberg

Transfer otworzył jej drzwi do kadry, gdzie przez długie lata była podstawową piłkarką, od której zaczynało się ustalanie składu. Później zresztą to kadra stanie się zarzewiem konfliktu między nią a ludźmi odpowiadającymi za polskie piłkarstwo. Iza mogła z powodzeniem występować w obronie, w pomocy i... w ataku. Tam właśnie przedstawiono ją do gry już w Szwecji, dzięki czemu strzelała bramki jak na zawołanie.

Przełomowym momentem w karierze Luizy Pendyk był właśnie transfer do Tyresö FF. Za jej przejście Czarni zarobili z miejsca milion siedemset tysięcy złotych. Na początku lat dziewięćdziesiątych milion znaczył o wiele mniej niż teraz, a wartość złotówki na skutek szalejącej hiperinflacji leciała na łeb, na szyję. W przeliczeniu na zdecydowanie stabilniejszą walutę było to pięć tysięcy dolarów, ale i mnóstwo innych dodatkowych opcji. Warto o nich tutaj wspomnieć, bo później Pendyk wszystko skrupulatnie działaczom wypomniła. Za jej przejście do Skandynawii Czarni otrzymali kolejne pieniądze w ratach. Każda z nich wynosiła dwa tysiące dolarów. Szwedzi zaprosili też reprezentację Polski na swój koszt na udział w dwóch turniejach. Łącząc to wszystko, możemy być pewni, że niezależnie od czasów, w których dopinano transfer Luizy, na kilka lat przed denominacją złotego polska strona wynegocjowała dobre warunki.

Piłkarka z tej kwoty nie zobaczyła złotówki. Z kolei powołania na mecze reprezentacji oznaczały przeważnie dokładanie do interesu. Dzienna dieta, która wynosiła wówczas mniej więcej cztery dolary, wystarczała na zakup dwóch puszek coca-coli. Litościwie pominiemy już w tej historii spartańskie warunki, w jakich funkcjonował cały zespół. Prowadziło to do wielu nieporozumień, wyniki były dalekie od oczekiwań. Bunt narastał. A że Luiza doskonale zdawała sobie sprawę ze swojej wartości, miała gorącą głowę i coraz gorsze zdanie o otoczeniu, w którym funkcjonowały piłkarki, musiało dojść do trzęsienia ziemi.

Ostatecznie Pendyk, czując, że nie jest traktowana sprawiedliwie lub przekładając to na język piłkarski, profesjonalnie, postawiła związkowi ultimatum. Albo podchodzicie do kadry na poważnie i nie dokładam do interesu, albo musimy się pożegnać. List o mniej więcej takiej treści podpisany przez Luizę Pendyk i Barbarę Rembiesę dotarł do ówczesnego prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej. Związek zaproponował rozwiązanie, jakim było płacenie piłkarkom dniówek równych średniej krajowej, ale propozycja została odrzucona. W Szwecji średnia krajowa była wyższa niż w Polsce. Polskie stawki nie robiły wrażenia na nikim, a już w szczególności nie przystawały do cen połączeń ze Szwecji do Polski. Z siedmiu tysięcy koron pensji

reprezentantka Polski na bilety wydawała połowę.

Przekładając to na dzisiejsze realia sposób rozstania z kadrą, śmiało można go nazwać boomerskim. List piłkarek adresowany do futbolowej centrali, ale też do byłego klubu i koleżanek z reprezentacji, był zaledwie preludium tego, co wydarzyło się kilkanaście dni później. Otóż gdy Władysław Szyngiera objął stanowisko trenera drużyny narodowej po Jerzym Miedzińskim, na którym Pendyk nie zostawiła zresztą suchej nitki, o czym za chwilę, postanowił podjąć się mediacji. Napisał swój list do zbuntowanych kadrowiczek, na który dostał mocną odpowiedź. Apelował w nim między innymi, aby nie przekreślały reprezentacji, która wspólnie z klubem wypromowała je na świecie.

BARDZO TRENERA POZDRAWIAMY Z WIOSENNEJ JUŻ SZWECJI!

„Dziękujemy za list, który odebrałyśmy z mieszanymi odczuciami. Może przejdę od razu do najważniejszego, czyli naszego pisma do klubu, reprezentacji i koleżanek. Doceniamy, że trener chce stworzyć nową reprezentację, która będzie prezentowała poziom europejski, do czego jest oczywiście daleka droga. Trener zarzucił nam »małe ale« w odniesieniu do klubu i reprezentacji i pełnionej tam przeze mnie funkcji kapitana. Uważam, że trener nie ma w niektórych przypadkach racji, ponieważ normalne jest to,

że zawodnik wypływa na szerokie wody dzięki klubowi. Za każdą z nas klub corocznie otrzymuje dwa tysiące dolarów, a związek też na naszych transferach nie jest stratny, bo dzięki funduszom na projekt (piłkarstwa kobiecego – przyp. red.) PZPN otrzymał od Szwedów dużą kwotę pieniędzy. Poza tym reprezentacja przyjechała na turnieje do Szwecji i to, o ile mi wiadomo, dwukrotnie na koszt Szwedów w ramach naszych transferów. Dziewczyny grające w innych klubach na pewno nie przynoszą tyle dochodów co my. Za kontrakty zawodniczek do Belgii (Jamrozy, Wojtas – przyp. red.) zapłacono trzy tysiące dolarów, co dla mnie jest śmieszną sumą. Nie mamy się zresztą co oszukiwać, ale poziom naszych koleżanek w kadrze jest bardzo przeciętny. Nigdzie nie wyjadą dzięki nam i to uważam za bzdurę. Mogą wyjechać tylko wtedy, gdy zaczną nad sobą pracować, a niektóre zaczną myśleć poważnie, jak przystało na zawodnika. Obserwuję to już wszystko zbyt długo i dla dziewczyn te mecze oznaczają rozrywkę. Dochodzę do wniosku, że nie można być tu uczciwym, gdyż tego nikt nie doceni. Myślę, że to już jest wystarczająco dużo argumentów, które tutaj przedstawiliśmy, które pokazują, że jednak jesteśmy uczciwe w stosunku do klubu, reprezentacji i koleżanek. Niestety, my dalej będziemy podtrzymywać swoje wymagania, gdyż nas nie interesują inne zawodniczki grające za granicą. Jeśli otrzymamy odpowiedź negatywną, wówczas oznacza to naszą rezygnację...”



▲ Luzia Pendyk (druga od prawej w środkowym rzędzie) razem z Barbarą Rembiesą (bramkarka) w barwach Tyresö FF / Arch. prywatne Barbary Rembiesy



▲ *Luiza Pendyk (po lewej) w meczu półfinałowym mistrzostw Szwecji Malmö FF – Hammarby w 1998 r. / Fot. Rolf Olsson*

Później następuje bezceremonialne odniesienie się do zarzutów sformułowanych podczas gry w kadrze za czasów trenera Miedzińskiego, których z racji na dość szczegółowy charakter nie ma tu większego sensu przytaczać. Poprzestańmy więc na tym, że w karierze piłkarskiej Luizy Pendyk i Barbary Rembiesy byli zapewne trenerzy, z którymi pozostawały w lepszych relacjach. Natomiast w dalszej części korespondencji futbolistka skupia się już na swojej przyszłości w klubie i przedstawia swoje najbliższe plany. Był to ostatni formalny kontakt Luizy z przedstawicielami polskiego piłkarstwa kobiecego. Później z jej gry i hurto-wo strzelanych goli cieszyli się kibice w Skandynawii.

Pendyk na stałe osiadła w Szwecji, gdzie poślubiła swoją partnerkę. Niedługo później zmieniła obywatelstwo, co wywołało wściekłość wśród polskich działaczy. Powołania straciły bezpowrotnie sens. To wtedy padły niesprawiedliwe i krzywdzące słowa o zdradzie, które odcisnęły piętno do dziś. Eksreprezentantka Polski w lidze szwedzkiej, wówczas jednej z najmocniejszych na Starym Kontynencie, grała jak z nut. Może pochwalić się niezwykłym bilansem osiągniętym w tamtejszych rozgrywkach. W 177 meczach zdobyła 177 goli (niektóre źródła wskazują na 163 bramki w 161 meczach). Tam również zdarzały się konflikty, ale

nikt nie odbierze jej prawa do bycia legendą Malmö FF, w barwach którego dwukrotnie zostawała królową strzelczyń i z którym osiągnęła największe sukcesy. W pewnym momencie zrezygnowała z gry i przez pół roku zajmowała się zdobywaniem wiedzy, kończąc między innymi kurs psychologii sportu. Uzupełniła zaniedbaną przez futbol edukację do tego stopnia, że dziś zna pięć języków i jak mówi koleżankom, jest szczęśliwa, zwiedzając świat. Zresztą jeszcze w czasach gry w reprezentacji Polski Pendyk była jej... nieformalnym tłumaczem. Pod koniec kariery dołączyła do zespołu Mallbackens IF Sunne. Z okazji jubileuszu stulecia Polskiego Związku Piłki Nożnej została wybrana do jedynastki wszech czasów. Zarzuty o zdradę poszły w niepamięć. Po latach pamięta o nich w zasadzie tylko jedna osoba.

LUIZA PENDYK była kapitanką i jedną z pierwszych liderok reprezentacji Polski. Po transferze do Szwecji zrezygnowała z gry w kadrze. Stała się jedną z najsukuteczniejszych zawodniczek ligi szwedzkiej. Wiadomości o jej boiskowych dokonaniach dotarły nawet do Stanów Zjednoczonych, gdzie w 1993 roku prowadziła serię treningów dla tamtejszych piłkarek. W wieku 32 lat zakończyła karierę. Na stałe mieszka w Szwecji.



Barbara Rembiesa: Na motocyklu przez świat!

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Mam 172 centymetry wzrostu. Mało. Ale, gdy pewnego razu jedna z koleżanek nie radziła sobie dobrze i wszystko, co leciało, wpadało do bramki, pomyślałam, że dam jej zmianę. – Jak chcesz spróbować, to stań – usłyszałam od trenera. Nie przypuszczałam wtedy, jak dobra to będzie decyzja. Po meczu już nie wypuścili mnie z bramki. Jesteś naszym Schumacherem. Nie boisz się niczego. Jesteś niezastąpiona. Aż głupio było słuchać tych wszystkich komplementów. Dzięki piłce zwiedziłam kawał świata. Trafiłam do reprezentacji Polski, przez wiele lat grałam z najlepszymi w lidze szwedzkiej. Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że ze swojej kariery wycisnęłam maksimum i tak! Jestem z tego powodu szczęśliwa.

TYRESÖ

Tyresö położone jest niedaleko Sztokholmu. Autobusem dojedziesz tam w godzinę. Ale trudno nazwać je miasteczkiem jak każde inne. Tyresö było krainą z bajki. – Patrz, Luiza, mamy pięciopokojowe mieszkanie! Pod domem samochód do naszej dyspozycji, gdybyśmy chciały zwiedzić okolicę. Na trening nie było sensu nim jechać. Na piechotę droga zajmowała kilka minut. Jeśli któraś z piłkarek miała czas i chęć na podjęcie pracy, mogła to zrobić i w klubie nawet w tym pomagano. Zaczynając grę w Szwecji, postanowiłam jednak, że skupię się wyłącznie na futbolu.



▲ Barbara Rembiesa w bramce Mallbackens IF Sunne / Arch. prywatne Barbary Rembiesy

Nie musiałam dorabiać do klubowej pensji, bo w Tyresö traktowano mnie jak profesjonalistkę.

Do Szwecji trafiłam 16 lipca 1992 roku. Taka data widnieje na kontrakcie. Luiza Pendyk i Gonia Gospodarczyk już tam grały. Ja dostałam propozycję rok później. Na turnieju w Warnie, gdzie przebywała też młodzieżowa reprezentacja Trzech Koron. Tyresö szukało bramkarki i po turnieju w Bułgarii, gdzie pojechałam z reprezentacją Polski, dostałam propozycję przejścia za granicę. Wypatrzyła mnie Marika Domansky, ale pierwsza zadzwoniła Luiza, która pełniła nieformalną rolę łączniczki między mną a moim nowym klubem. Zgodziłam się bez wahania. Czarni Sosnowiec też nie stwarzali problemów. Wyjechałam do Szwecji, nie myśląc w ogóle, że zostanę w niej do dziś.

Niedługo minie dwadzieścia osiem lat, odkąd tu mieszkam. A wszystko rozpoczęło się od artykułu w gazecie, od przekręcenia manetki gazu w motorynce, którą jeździłam na treningi do Tychów i Bierunia Starego. Życie nabrało rozpędu. Dosłownie i w przenośni.

ŚLĄSK

Urodziłam się w Oświęcimiu. Tam spędziłam pierwsze pięć lat życia, ale później mieszkałam na Śląsku. Bieruń jest moim kawałkiem ziemi. Miejscem, z którym jestem emocjonalnie związana. I właśnie tam wpadła mojemu bratu do rąk gazeta, w której wyczytał, że

powstała drużyna dla kobiet o nazwie Maluch Tychy i można zgłosić się do nich na casting. I tak mój brat, mama i ja pojechaliśmy na mój pierwszy w życiu trening. Tak wszystko się zaczęło. Maluch był klubem założonym przez dwóch włoskich trenerów – entuzjastów piłki nożnej, którzy znaleźli się w Polsce z ramienia koncernu Fiat. Pracowali w fabryce maluchów i w ramach urozmaicenia sobie czasu wolnego założyli zespół, o którym dziś już prawie nikt nie pamięta. Maluch grał w drugiej lidze, nie był potentatem, ale sezon spędzony w tym klubie przyniósł wymierny sukces, jakim było powołanie do reprezentacji U-19. I tak zabawa z piłką, którą zaczynałam wraz z chłopakami z familoków, stała się sposobem na życie. Jest nim zresztą do dziś. Wzrost w tym wszystkim był najmniej ważny. Każda górna piłka musiała być moja. Tak się zawzięłam na ten element gry, że... nie miałam sobie równych.

Pochodzę z górniczej rodziny. Bracia, z którymi grałam dniami i nocami, pracowali na kopalni. Ja też do niej trafiłam, choć nie zjeżdżałam na dół. Pracowałam na powierzchni i w oczyszczalni KWK Piast. Pamiętam, że kierownictwo Piasta było dumne, że ktoś od nich reprezentuje kraj na zewnątrz. Nigdy nie robili mi problemów, a nawet wymyślili, żeby nagrać ze mną film. Gdy wyjechałam do Szwecji, a nikt wtedy nie przypuszczał, że zostanę tu tak długo, dostałam bezpłatny urlop. Byłam na nim



▲ Barbara Rembiesa (z prawej) z Luizą Pendyk / Arch. prywatne Barbary Rembiesy

trzy lata, aż w końcu zrozumieliśmy, że ja już nigdy tu nie wrócę.

Górnictwo było dla mojej rodziny źródłem utrzymania, ale też pracą, którą lubiliśmy. Poza nią liczyły się tylko piłka nożna i motocykle. Motocykle i motorynki, bo tak się składa, że takim właśnie jednośladem docierałam z domu na treningi. Nówką sztuką! W moim przypadku można nawet ułożyć twierdzenie, że im większy klub, tym większa była pojemność silnika. Wraz z transferem do Czarnych przesiadłam się na mocniejszą maszynę.

SOSNOWIEC

Najpierw był radziecki Mińsk 125, potem Jawa 350. Przemieszczałam się tymi motocyklami właściwie wszędzie. Z rozwiązanego Malucha Tychy, w którym grałam trzy lata, droga prowadziła do Sosnowca. Była najkrótsza, najszybsza i najlepsza. Czarni byli klubem właściwie skazanym na wygrywanie. Bardzo mocny zespół z niezastąpioną panią Irenką Półtorak, kierowniczką sekcji piłkarskiej kobiet. Szybko wywalczyłam miejsce między słupkami i cieszyłam się każdym meczem. Przeskok był widoczny na każdym kroku. Poziom był zdecydowanie wyższy niż w drugiej lidze, klub dużo lepiej zorganizowany. Właściwie były to dwa światy, które dzieliło paręnaście kilometrów.

Pierwsze powołanie dostałam na mecz z Czechosłowacją, ale przesiadłam go na ławce. Prawdziwy debiut nastąpił z Włoszkami. Pojechałyśmy tam we trzy, ale dwie koleżanki miały drobne urazy. Padło więc na mnie. Wszłam do bramki i tak jak kiedyś zostałam w niej na bardzo długo. Bardzo trudno o dobre wspomnienia po przegranym meczu, ale w tym spo-

tkaniu pokazałyśmy, że jesteśmy silną drużyną. Jedyne, czego żałuję, to że nie wymieniłam się z nikim na koszulki. Wtedy zostałyby jakaś pamiątka, ale... miałyśmy przykazane, że z nikim nie możemy się wymieniać. Sprzętu było mało, więc każda sztuka musiała wrócić z powrotem do magazynu.

MALLBACKENS

Listy do PZPN i trenera Szyngiery napisałyśmy razem z Luizą, ale nie powiem wam, która z nas pierwsza wpadła na ten pomysł. Są na nich dwa podpisy. Mój i jej. Gdy przenieśliśmy się do Mallbackens, każdy wyjazd na zgrupowanie rujnował miesięczny budżet. Dotarcie spod granicy z Norwegią do Polski, stracone dniówki, to wszystko miało swoją cenę. Trwające na przykład tydzień zgrupowanie i bilety lotnicze oznaczały utratę połowy pensji. I tak kilka razy w roku. A zdarzały się dłuższe pobyty na kadrze. Złożyłyśmy uczciwą propozycję. Chciałyśmy być sprawiedliwie potraktowane i do dziś żałuję, że zakończyło się to wszystkim naszym odejściem. Dziś takie kwestie nie są dla nikogo problemem. Piłkarze i piłkarki jeżdżą po świecie, a krajowe federacje nawet nie myślą, aby kosztami dojazdów obciążać zawodników. Ale wtedy były to przeszkody nie do pokonania.

Tyresö zamieniłam na Mallbackens po półtora roku gry. Udało się awansować do ekstraklasy i przy okazji... zwiedzić kawał świata. W Tyresö grała bowiem Michelle Akers, jedna z najlepszych amerykańskich piłkarek w historii. I to dzięki niej znalazłyśmy się z Luizą w USA, gdzie przez dwa tygodnie na Florydzie pokazywałyśmy młodym dziewczynom, jak grać w piłkę nożną. W Stanach rozpoczęła się wtedy



▲ Początki w Maluchu Tychy / Arch. prywatne Barbary Rembiesy



▲ Klubowa Łada, którą Rembiesa i Pendyk miały do swojej dyspozycji / Arch. prywatne Barbary Rembiesy

wielka popularność soccera. To był czas, kiedy USA organizowało mundial, a popularność tej dyscypliny rosła w niesamowitym tempie zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn. Ogromną wagę przywiązywano do szkolenia i każdy college, który posiadał żeńską sekcję, robił, co mógł, aby podnieść poziom swojej drużyny. Dostałyśmy propozycję pozostania w Stanach, ale po pierwsze, gra była dla nas najważniejsza, po drugie, nie chciałyśmy odjeżdżać aż tak daleko od naszych rodzin, a po trzecie w Szwecji miałyśmy ważne kontrakty.

W 1994 roku podpisałam umowę z Mallbackens. Po dobrym sezonie w Tyresö miałyśmy z Luizą wiele propozycji, ale nasz nowy klub miał tę przewagę, że jedna z Polek już tam występowała. Nasza Gonia Gospodarczyk. I jak to w takich przypadkach bywa, to jej głos usłyszałam wtedy w słuchawce. A może by tak spróbować pograć tam rok albo dwa? Wsiadłam na Yamahę i ruszyłam przed siebie. Tyle że zostałam dużo dłużej. Do tej pory.

Miejsce w bramce oddałam w 2001 roku. Musiałam odpocząć, nie tyle fizycznie, co psychicznie. Niewiele wcześniej odeszła moja mama. Byłam jej oczkiem w głowie, najmłodszym dzieckiem, zapewne najbardziej rozpiesz-

czonym. Potrzebowałam czasu, aby wszystko zrozumieć. Rodziny, bliskich... i futbolu.

Po pięciu latach przerwy znowu stanęłam na bramce. Miałam wrócić tylko na jeden mecz z Malmö, bo golkiperka Mallbackens dostała wcześniej czerwoną kartkę i musiała pauzować. Nic nie wpadło do siatki. Być może dlatego w kolejnym sezonie dostałam propozycję powrotu na dłużej. Najpierw na rundę, potem na cały sezon, w którym wybrano mnie na koniec najlepszą bramkarką Superligi.

Do dziś zresztą jestem związana z klubem, w którym kończyłam seniorską karierę. Uczucie gry w piłkę sprawia mi olbrzymią frajdę. Podobnie jak wizyty w Polsce, bo każdy urlop staram się spędzać z moim rodzeństwem. W końcu piłka i motocykle to dwie największe pasje w życiu, a nikt tak dobrze nie jeździ na motorach jak my!

BARBARA REMBIESA – reprezentantka Polski i szwedzkich Tyresö FF i Mallbackens IF Sunne występująca na pozycji bramkarki. Wychowanka Malucha Tychy. Mistrzyni Polski w barwach Czarnych Sosnowiec. Na stałe mieszka w Szwecji.




Jolanta Nieczypor: Jolle

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

W Niemczech mówią na mnie Jolle. Dużo łatwiej jest wymówić Jolle niż Jolka czy Jolanta. Mnie ten pseudonim bardzo się podobał, bo w języku niemieckim „Jolle” to żaglówka. Czyli coś, co od zawsze kojarzy się ze słońcem i wakacjami. Ale Jolle Wambeck to Jolanta Nieczypor. Mimo że proponowano mi zmianę obywatelstwa, nigdy nie brałam tego pod uwagę. Mecze reprezentacji zawsze były najważniejsze, choć największe sukcesy przysły w piłce klubowej w Niemczech.

WROCLAW



Pamiętam, jak wyszłam z nią sam na sam, a potem... Potem to już właściwie nic nie pamiętam. To było w meczu z Telpodem Kraków. Ich bramkarka wjechała wyprostowaną nogą w moją. Kość gruchnęła tak, że nie sposób było tego nie usłyszeć. Potem karetka, diagnoza: złamanie kości strzałkowej i piszczelowej z przemieszczeniem, operacja, rehabilitacja i... kolejne łamanie nogi, która została źle nastawiona. Wszystko należało powtórzyć. Mam ciarki na skórze, kiedy sobie o tym przypomnę. W szpitalu odwiedził mnie trener Fryderyk Stanek z kierownikiem drużyny, Kazimierzem Kołodziejem. Któryś z nich zapytał: „Jolka, to kiedy widzimy się na treningu?”. Odpowiedziałam im wtedy bardzo krótko. Nigdy.

Ale w następnym sezonie z powrotem grałam w AZS-ie Wrocław. We Wrocławiu były dwie drużyny. Silny wówczas Pafawag i my. Kilukrotnie trener Owczarek namawiał mnie, abym do nich przeszła, ale wtedy było to dla mnie nie do pomyślenia. Nie mieściło mi się w głowie, że mogę

zmienić barwy klubowe i w dodatku przejść do lokalnego rywala. Zresztą wówczas w Polsce transfery w klubach kobiecych nie zdarzały się często. Drużyny przeważnie trzymały się razem i rzadko która zawodniczka decydowała się na taki krok. Pafawag miał lepsze wyniki. Ściągał się z Czarnymi Sosnowiec o pierwsze miejsce w lidze. My miałyśmy młody zespół, dobre warunki do trenowania, oczywiście jak na tamtejsze standardy. Kiedy przychodziłam pobrać sprzęt meczowy, magazynier pytał o rozmiar buta.

- Trzydzieści dziewięć.
- Nie ma trzydzieści dziewięć. Jest albo trzydzieści osiem, albo czterdzieści jeden.
- A lanki? Gramy na twardej nawierzchni. We wkrętach będzie ciężko.

Ale lanek nie było już żadnych. Kiedy kilka lat później wylądowałam w Niemczech, człowiek odpowiadający za sprzęt pytał, czy ma być pełny numer, czy może lepszy będzie rozmiar trzydzieści osiem i dwie trzecie. But to podstawa. W niedopasowanych nie zdziałasz za wiele, co nie znaczy, że jesteś kompletnie bez szans.

Grając we Wrocławiu przyszedł pierwsze powołania do reprezentacji. Pamiętam dwumecz w Związku Radzieckim z gospodyniami i Francją. Oba mecze wygrałyśmy po 2:1 i w obu zostałam wybrana najlepszą piłkarką. Organizator nie do końca przewidział taki bieg wydarzeń, bo w obu przypadkach nagrodą był zegar. Wróciłam więc do domu z dwoma wielkimi ruskimi zegarami. Zresztą zachowałam je na pamiątkę do dziś i wiecie co? Oba działają.

W innym meczu nie rozdawano już zegarów. W Aue grałyśmy z Niemkami i pamiętam dobrze, że przed meczem trener zrobił nam taką odprawę, że poruszył chyba wszystkie sporne kwestie, jakie mieliśmy z sąsiadami z Zachodu od czasów bitwy pod Grunwaldem. Fakt faktem, mocno nas to nakręciło i do ostatniej minuty trzymałyśmy się na boisku bardzo dzielnie. W jednej z ostatnich akcji Niemki strzeliły co prawda gola na 2:1, ale sam występ wypadł nieźle. Po meczu podeszło do mnie dwóch przedstawicieli z VfB Rheine. Pytali, czy nie chciałabym u nich grać, czy mogę im podać telefon i adres w Polsce. Byłam dość mocno speszona obrotem spraw, ale ostatecznie dałam im



▲ W barwach FCR Duisburg w finale Pucharu Niemiec / Arch. prywatne Jolanty Nieczydor

swój numer. W lipcu Alfred Werner przyjechał do Wrocławia z propozycją kontraktu. Zapukał do drzwi i pokazał dokumenty. Z pomocą przyszła babcia koleżanki z bloku, bo w przeciwieństwie do nas umiała się z nim porozumieć. Kilkanaście dni później już tam grałam.

RHEINE

Mój nowy klub grał w Bundeslidze, ale nie należał do potentatów. Byliśmy ligowym średniakiem. W Rheine trenowały same Niemki i bramkarka z Holandii, która zresztą dojeżdżała stamtąd na treningi. Mieszkałam razem z kilkoma innymi zawodniczkami w domu z rodziną trenera. Było to o tyle pomocne, że nie znałam wtedy jeszcze niemieckiego, ale mogłam się szybko osłuchać. To rozwiązanie odpowiadało też trenerowi, bo gdy jakiś inny klub z ligi robił pode mnie podchody, tak jak to miało miejsce po meczu w Aue, podawałam... domowy numer telefonu trenera Wernera. To kończyło wszelkie negocjacje.

Jednak z czasem wylądowałam w swoim mieszkaniu, więc numer telefonu oczywiście się zmienił. Z najkorzystniejszą propozycją za-

dzwonili z Wolfsburga. Nie był to jeszcze VfL Wolfsburg, bo ten klub powstał trochę później, ale Eintracht. Propozycja z każdej strony lepsza – sportowo, finansowo i logistycznie, bo było stamtąd o ponad trzysta kilometrów bliżej do domu. Teraz mogłam być wśród swoich po pięciu godzinach jazdy samochodem.

GOGOŁOWICE

Urodziłam się w Miliczu. Tam chodziłam do Szkoły Podstawowej nr 3, gdzie między lekcjami zawsze odbywały się błyskawiczne mecze. Później skończyłam tam liceum. Jednak większość mojego dzieciństwa spędziłam w oddalonych o trzy kilometry Gogołowicach. Małej wsi, gdzie stał nasz dom.

Skąd się wzięła ta cała piłka nożna? Dziś już nawet nie wiem, ale tam rozgrywałam swoje pierwsze mecze. Na boisku szkolnym, na łące. Wszędzie, gdzie się dało. Zawsze grałam z chłopakami i często się zdarzało, że druga drużyna doznawała szoku, kiedy już mecz trwał na dobre. Krótka obcięta dziewczyna niewiele się różniła od pozostałych zawodników i dekonspiracja następowała dopiero wtedy, gdy któryś z kolegów krzyknął do mnie: „Jolka! Podaj!”. Gdy byliśmy mali, nie było problemów z grą. Zawsze pomagał mi tata. Mój największy kibic. Kupował piłki. Pierwszą, jaką dostałam, była piłka do siatkówki, ale wtedy nie miało to żadnego znaczenia. Grałam nią aż do zderzenia. Gdy nie można było kupić nowej, ojciec zanosił tę zniszczoną do zecera i cudownie przywracał ją do życia.

Gdy dorastałam, coraz trudniej było o grę. Większość nie chciała mieć w drużynie dziewczyny. Zostało odbijanie piłki o mur. Ale ile można odbijać piłkę w ten sposób? Na pewno nie przez cztery lata. Dlatego wiele czasu minęło, aż ponownie kopnęłam futbolówkę. Miałam już wtedy osiemnaście lat i żadnych profesjonalnych treningów za sobą. Jedna z koleżanek podsunęła mi ogłoszenie klubu piłkarskiego z Wrocławia, który szukał piłkarek. Zgłosiłam się do naboru. Kopnęłam piłkę w kierunku bramki. Możesz to powtórzyć? Usłyszałam od trenera. A jeszcze raz? A jeszcze? Za tydzień mamy mecz. Chcesz zagrać?

DUISBURG

W Wolfsburgu nie układało się najlepiej. Poziom był co prawda wyższy, ale pojawiły się problemy z pieniędzmi. Do Rheine nie było już powrotu, bo ani ja nie chciałam się piłkarsko cofać, ani też trener Werner nie wyzbył się do końca żalu, że

pewnego razu nie podałam jego numeru telefonu. Aby zostać w Bundeslidze, potrzebna była wiza, a w Eintrachcie nie mieli za bardzo pomysłu, jak ją dla mnie zdobyć. Nie stać ich było na profesjonalny kontrakt, nie umieli załatwić pracy. Spędziłam tam rok, aż znów zadzwonił telefon. Mężczyzna w słuchawce przedstawił się jako Johann Zufall, główny sponsor FCR Duisburg, jedna z najważniejszych, o ile nie najważniejsza osoba w klubie.

Na spotkanie w hotelu Holiday Inn w Wolfsburgu pojechałam mercedesem. Takim bardzo długim mercedesem. Zapytał, ile chcę zarabiać, a ja powiedziałam sobie, że skoro jeżdżę takim wielkim autem, to musi mieć też wielki budżet na klub. Zdecydowałam się na twarde negocjacje. Przedstawiłam swoją propozycję. Tyle chcę zarabiać, a tyle chcę za podpis na kontrakcie, choć trochę obawiałam się, czy za mocno nie przeholuję. Zaczął się śmiać. Poczekaj. Sprawdzę, czy mam tyle w portfelu.

W pierwszym meczu ligowym wygrałyśmy 7:0. Strzeliłam pięć goli. Pięć, bo głupio było mi strzelać kolejne, więc wystawiałam piłki koleżankom. Zufall nie posiadał się ze szczęścia, ale najlepsze miało dopiero nadejść.

W 1998 roku dotarłyśmy do finału Pucharu Niemiec. Mecz był tym bardziej wyjątkowy, że rozgrywano go w Berlinie na Stadionie Olimpijskim przed spotkaniem panów. Zresztą Duisburg reprezentowany był wtedy przez dwie drużyny, bo w kolejnym meczu nasi seniorzy z Tomaszem Hajtą w składzie walczyli z Bayernem Monachium. Mimo że byłyśmy wtedy mocne, to rywalkom dawano trochę więcej szans na zwycięstwo. Oglądało nas trzydzieści tysięcy widzów. To było zdecydowanie największe przeżycie w całej mojej karierze. Obiekt, oprawa, atmosfera. Przy tym wszystkim me-



▲ Zawodniczki FCR Duisburg świętują zwycięstwo nad FSV Frankfurt, 1998 rok / Arch. prywatne Jolanty Niecypor



▲ Feta z okazji zdobycia Pucharu Niemiec przez FCR Duisburg, 1998 rok / Arch. prywatne Jolanty Niecypor

cze Bundesligi po prostu się chowały. Na rozgrzewce nic nam nie wychodziło. Murawa była skoszona wręcz do minimalnej wysokości. Często zamiast trafiać czysto w piłkę, ryłyśmy po ziemi. Jeszcze na chwilę przed rozpoczęciem meczu były z tego tytułu spore nerwy w szatni.

Ale spotkanie ułożyło się od początku po naszej myśli. Po sześciu minutach już prowadziłyśmy. Dodałam gola na 2:0, lobując bramkarkę. Potem w drugiej połowie uderzyłam z woleja w samo okienko. Mówiono mi wtedy, że jest to bezapelacyjnie gol miesiąca, ale czy to trafienie zostało uznane za najładniejsze? A jakie to ma znaczenie? Zwyciężyłyśmy w finale Pucharu Niemiec 6:2. Nic innego się wtedy nie liczyło.

WOLFSBURG

Los chciał, że Wolfsburg cały czas przewijał się w moim życiu. O ile pierwsza wizyta nie należała do najdłuższych, to teraz zakotwiłam tu na dobre. Wiedziałam, że z wielką piłką lada moment przyjdzie mi się pożegnać, więc poszukałam klubu, który mógłby mi dać też normalną pracę. To był czas, gdy w mieście nie było już Eintrachtu, a VfL nie miał jeszcze sekcji kobiecej. Dziewczyny grały wówczas w WSV Wendschott, z którego zresztą powstał w dużym uproszczeniu obecny Wolfsburg. Zresztą nieprzypadkowo znalazłam zatrudnienie w fabryce Volkswagena.

Bez piłki nie wyobrażałam sobie życia. Najpierw zrobiłam kurs sędziowski i gwizdałam kobietom i mężczyznom. Nie była to jednak rola

na boisku, o której marzyłam. Im wyższa liga, tym było lepiej. Większa kultura gry, mniej fauli. Ale czym niżej, tym większy dramat. Trzeba było solidnie się nabiegać, bo piłka fruwała raz tu, raz tam. Kopano się po nogach dosłownie i w przenośni, aż pewnego dnia stwierdziłam, że to nie dla mnie, choć nawet kierowniczka naszej reprezentacji, Irena Półtorak, próbowała odwieść mnie od tej decyzji. Będziesz międzynarodową, nie zniechęcaj się, dobrze ci idzie. Ale wolałam spróbować sił jako trenerka i to był doskonały wybór!

Na kursie byli oczywiście sami faceci. Na pierwszych zajęciach każdy musiał się przedstawić i powiedzieć o sobie kilka zdań. Nazywam się Marcus, w niższych ligach rozegrałem dwadzieścia sezonów, strzeliłem ponad sto goli... I następny, i następny. Każdy mówił ze szczegółami, niektórzy po dobrych kilka minut. Kiedy przyszła kolej na mnie, wstałam i powiedziałam tylko, że jestem byłą piłkarką. Nikt się nawet nie obejrzał. Zdecydowanie więcej uwagi skupiłam na sobie podczas zajęć praktycznych. Zaraz, zaraz! Umiesz tak kopnąć na bramkę? Możesz to powtórzyć? – usłyszałam od prowadzącego zajęcia. – A jeszcze raz? A jeszcze raz?


JOLANTA NIECYPOR wystąpiła w 36 meczach reprezentacji Polski, strzelając w nich 17 goli. Z FCR Duisburg zdobyła Puchar Niemiec i została wicekrólową strzelczyń Bundesligi Nord z 21 trafieniami w swoim premierowym sezonie. Jest trenerką MTV Isenbüttel. Na stałe mieszka w Niemczech.



Anna Żelazko: Nikt nie strzela tak jak Żela

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Kiedy strzelasz dużo goli, siłą rzeczy przeważnie cały czas biega przy tobie obrońca. Rywale potrafią wyciągać wnioski i przydzielają ci indywidualne krycie. Właściwie przez całą karierę nie miałam z tym jednak żadnego problemu. Wychodzisz na mecz, gubisz za sobą przeciwnika i zdobywasz bramkę. I tak 290 razy w lidze. Czy był ktoś, kogo się obawiałam? Najtrudniej było zawsze z Karoliną Wiśniewską. Miała prawie dwa metry wzrostu. Nie patyczkowała się z napastniczkami. Gdy robiła wślizg, lepiej było być z nogami daleko. Ale mimo że ani z nią, ani ze mną nie było żartów, prywatnie bardzo się lubiłyśmy.



Karczew to małe miasteczko pod Warszawą. Jednak nie na tyle małe, żeby nie było w nim klubu piłkarskiego. Czy byłam skazana na piłkę? Tata był prezesem Mazura, wujek ganiał z gwizdkiem, więc można przyjąć, że tak. Chociaż piłka w tamtych czasach to był sport bardziej dla chłopców niż dziewczyn. Jak by na to nie patrzeć, trafiłam na boisko i od samego początku nie dałam sobie w kaszę dmuchać. Nie będę stać na bramce i koniec. Przy okazji miałam sporo szczęścia, bo trafiłam na fantastycznego trenera. Marian Olszewski nauczył mnie wszystkiego od samego początku. Czasem warto poznać odpowiedniego człowieka w odpowiednim czasie. Gdy byłam dzieckiem i nie zdawałam sobie jeszcze z tego sprawy, tak właśnie się stało. Wylądowałam na prawym skrzydle. Grałam z chłopakami i nikt nie miał z tym żadnego problemu, a ja sama nie miałam pojęcia, że w ogóle istnieje coś takiego jak kobiecy futbol. Dowiedziałam się o nim, gdy pojawiły się problemy ze zgłoszeniem mnie do rozgrywek. I wtedy wszystko się zaczęło.



▲ Anna Żelazko podczas meczu Polska – Macedonia w ramach eliminacji mistrzostw Europy w 2013 roku / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

EKSTRALIGA

Abym mogła grać w rozgrywkach z chłopakami z Mazura, potrzebna była zgoda z samego PZPN-u. Trochę to trwało, ale ostatecznie udało się ją załatwić. Jednak gdy dowiedzieliśmy się, że w pobliskiej Wiązownej tamtejszy Advit próbuje utworzyć zespół dla dziewcząt, szybko pojechaliśmy z tatą sprawdzić, jak to wygląda. Nie zostałam tam długo, bo w 1997 roku w Warszawie Sławomir Magdziak założył Savenę. W pierwszych latach to był trochę taki klub na walizkach. Treningi i mecze odbywały się na stadionie Hutnika, na Bielanach. Potem nastąpiła przeprowadzka na Targówek, ale koniec końców drużyna wylądowała w pierwszej lidze, a mnie wypatrzyli Czarni Sosnowiec. Pożegnałam stolicę na długie lata, ale gdy do niej wracam, zawsze w pierwszej kolejności sprawdzam, jak radzą w niej sobie piłkarze. Od dziecka kibicuję Legii. Fajnie, że mogę teraz trzymać kciuki nie tylko za panów, ale i za panie.

Czarni Sosnowiec to był klub z zupełnie innej bajki, mimo że w dwutysięcznym roku dokonywała się zmiana warty w kobiecym futbolu. Mając siedemnaście lat, odchodziłam do aktualnego mistrza Polski, ale jak miało się też wkrótce okazać, do drużyny, która ustąpi pola

AZS-owi Wrocław. Czy pojawiły się wątpliwości? Na początku na pewno. W Czarnych grały w zasadzie same reprezentantki Polski, a ja nie miałam jeszcze nawet dowodu osobistego. Do tego nowe miejsce, nowe otoczenie, ale stres z tym związany szybko minął. Właściwie tydzień w tydzień widziałam się z moim tatą, który nie odpuszczał żadnego spotkania. Mama też trzymała za mnie kciuki, ale tak bardzo przeżywała każdą grę, że wizyta na stadionie nie była na jej nerwy.

W Sosnowcu było wiele bardzo pomocnych osób, dzięki którym szybko się zaaklimatyzowałam, z niezastąpioną Agnieszką Szondermajer na czele. Co ciekawe, obie pochodziłyśmy z Mazowsza, ale poznałyśmy się w Zagłębiu Dąbrowskim. Na początku zamieszkałam u pani Irenki Póttorak, bezgranicznie oddanej Czarnym i reprezentacji Polski. Potem, po mniej więcej roku, przygarnęli mnie do siebie rodzice Kasi i Patrycji Jankowskich, z którymi razem grałam w piłkę. Gdy poszłam na studia, wylądowałam z kolei w akademiku, by pod koniec pobytu w Sosnowcu przenieść się do Agnieszki.

Były to już czasy, gdy w Czarnych zaczynało robić się biednie i tam, gdzie było można, staraliśmy się oszczędzać. W Sosnowcu bardzo



▲ Anna Żelazko podczas sesji zdjęciowej reprezentacji Polski w 2012 roku / Fot. Katarzyna Plewczyńska, PZPN

wiele się nauczyłam, choć był niedosyt, że nie udało się wywalczyć mistrzostwa Polski. To jednak było wciąż przede mną. Po meczu z AZS-em Wrocław zagadnął mnie trener rywalek. „Nie chciałabyś zmienić otoczenia?”.

Zdobycie mistrzostwa pamięta się do końca życia, nawet jeśli zdobywasz te tytuły hurtowo. AZS był wtedy zdecydowanie najmocniejszą drużyną w kraju. Nie miał sobie równych w lidze, często sięgał też po Puchar Polski. Jeśli dodamy do tego całkiem dobre występy w europejskich pucharach, to można powiedzieć, że ze sportowego punktu widzenia była tam pełnia szczęścia. Większość z nas studiowała, więc dzień podzielony był na naukę i trening. We Wrocławiu znalazłam się w 2005 roku i grałam tam przez cztery lata. Z dobrej strony zapamiętałam i klub, i miasto. Pod koniec mojej gry na Dolnym Śląsku przydarzyło się coś w rodzaju déjà vu. Coraz trudniejsza sytuacja finansowa i propozycja przejścia do zespołu, który miał wielkie plany na przyszłość i prezesa, który do samego końca wierzył w ich spełnienie.

Remigiusz Trawiński, który stworzył Unię, wychodził z założenia, że albo coś robimy dobrze, albo w ogóle. Początek był niestety

mocny, bo prezes i trener w jednej osobie zebrał najlepsze zawodniczki w jednej drużynie. Poświęcił się Unii w stu procentach. Zainwestował swoje pieniądze. W Raciborzu grałam w zasadzie od początku jej wielkości, aż do samego końca. Trudno nie mieć mieszanych uczuć. Przeżyłam tam wszystko. Od chwil radości, bo co rok, cyklicznie zdobywałyśmy mistrzostwo Polski, aż do momentów wielkiego rozczarowania. W lidze nikt nie mógł nam zagrozić, w pucharach grałyśmy może bez rewelacji, ale na pewno nie schodziłyśmy poniżej pewnego poziomu. Problem polegał na tym, że za tymi sukcesami, koniec końców, nic nie poszło. Zaczynało brakować pieniędzy. Pod koniec gry w Raciborzu łapałam się na tym, że po opłaceniu mieszkania i zrobieniu zakupów w sklepie spożywczym w portfelu nie zostawało kompletnie nic.

Mimo to zgodziłyśmy się na obniżenie kontraktów, aby za wszelką cenę uratować klub. Doszło do tego, że same próbowałyśmy namówić sponsorów do uratowania Unii. Pojawiały się ogłoszenia w gazetach. Wszystko z marnym skutkiem. Ostatnim punktem mojej kariery okazała się łączna, choć zastanawiam się czasem, myśląc o Unii, co by było, gdyby w takiej sytuacji znaleźli się piłkarze, a nie piłkarki. Czy po pięciokrotnym wygraniu ligi też mogliby się rozpaść, ot tak, niczym domek z kart?

Gdy trafiłam na Lubelszczyznę, wszystko wyglądało tam już jak w klubie z prawdziwego zdarzenia, ale nie było jeszcze sukcesów. Można powiedzieć, że dla odmiany tym razem załapałam się na początek historii, a nie na jej koniec. W łącznej była już profesjonalna baza, normalne kontrakty dla zawodniczek, premie meczowe. Dziwiłam się, jak to możliwe, że tak dobrze zorganizowany klub nie może



▲ Anna Żelazko (po prawej) wraz z Agnieszka Winczo, strzelczynią bramki w meczu towarzyskim ze Szkocją w 2012 roku / Fot. Katarzyna Plewczyńska, PZPN



▲ *Finale Pucharu Polski w barwach Górnika Łęczna, w meczu przeciwko Medykowi Konin w 2015 roku / Fot. Łukasz Grochala, PZPN*

sięgnąć po mistrzowski tytuł. Jedyne, czego tam brakowało, to doświadczenie, ale to, jak widać, przychodzi z czasem. Być może gdyby nie kontuzja, wygrałabym ligę w trzecim klubie z rzędu, ale na pewne sprawy niestety nie mamy wpływu...

REPREZENTACJA POLSKI

Pewnie jesteście ciekawi, jak wyglądał tomat od Islandii. Przegrałyśmy tam 0:10 i miałam tę nieprzyjemność przebywać wtedy na boisku. Zdziwicie się, ale ten mecz wcale nie siedzi mi najmocniej w głowie, jeśli chodzi o porażki. To był obciach, ale sto razy bardziej boli stracona szansa. Szansa, która była na wyciągnięcie ręki. W sierpniu 2010 roku grałyśmy na wyjeździe z Ukrainą. Do gry w barażach o udział w europejskiej elicie wystarczał nam remis. Naszym trenerem był wtedy Robert Góralczyk. Człowiek, który wprowadził do reprezentacji standardy, którymi wcześniej nikt nie zaprzętał sobie głowy. Nie mówię już o takich podstawach jak dres treningowy w odpowiednim rozmiarze. Dziś można to traktować jako materiał na film science fiction, ale pamiętam sytuację, jak dostałam na zgrupowaniu sprzęt... po Tomaszu Hajcie, wyższym ode mnie o kilka głów.

Zaczęłyśmy dobrze, bo wygrywałyśmy 1:0. Dziwiłam się, że Ukrainki cofnęły się głęboko na swoją połowę i w ogóle nie były zainteresowane grą w piłkę. Do przerwy był

remis. Wynik, który nas urządził. Wszystko zaczęło się sypać, gdy z boiska zeszyły kontuzjowane Agata Tarczyńska i Natalia Chudzik. Nie miałyśmy na tyle mocnej ławki, aby tego nie odczuć. Jeden gol, drugi i głucho cisza w szatni. Kolejna bomba to zwolnienie trenera. Nie umiałam sobie tego poukładać w głowie, że człowiek, który zrobił z nas prawdziwy zespół, został zwolniony. Jeśli jest coś takiego jak zwątpienie i sportowiec może wątpić w to, co dzieje się nad jego głową, to chyba był ten moment. Jedną decyzją cała praca została przekreślona. Zostało przynajmniej poczucie, że nie jesteśmy już nikomu niepotrzebną drużyną, a reprezentacją, która trenuje jak prawdziwy zespół.

Trudne momenty jednak nie są w stanie zetrzeć wszystkich fantastycznych wspomnień z gry w drużynie narodowej. Gdy słuchasz hymnu, gdy nosisz koszulkę z orzełkiem, zawsze przechodzą ciarki. Niezależnie ile razy jesteś w takiej sytuacji. To niezapomniane uczucie dla każdego piłkarza i każdej piłkarki. Czy istnieje jeszcze coś lepszego w futbolu? Jasne. Jeśli tylko potrafisz strzelać gole.


ANNA ŻELAZKO rozegrała w reprezentacji Polski 78 meczów, zdobywając w nich 27 bramek. W polskiej lidze zdobyła 290 bramek w 283 spotkaniach, co do dziś pozostaje niepokonany rekordem. Mieszka w Anglii.



Agnieszka Śmiechowska: Autokarem w bramę

AUTORKA: HANNA URBANIAK

Między słupkami bramki reprezentacji Polski spędziła dziesięć lat. Szmata czasu. Ma za sobą i udaną batalię eliminacyjną o udział w mistrzostwach Europy, katastrofę na Islandii i... rozbicie autokaru, którym wjechała w bramę. Agnieszka Śmiechowska (Gajdecka) ma przede wszystkim całą masę wspomnień, które mogą posłużyć za gotowy scenariusz na film.



Masz takie poczucie, że gdyby nie wasze pokolenie piłkarek z lat 90., to tych sukcesów, które są teraz, też by nie było? Grałyście w piłkę w najtrudniejszych czasach, gdy nie dość, że nie było klimatu do rozwoju żeńskiego futbolu, to jeszcze po transformacji ustrojowej wiele klubów walczyło o przetrwanie lub po prostu upadło.

– Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy my przetarliśmy szlaki. Dla mnie to było naturalne, że piłka kobieca się rozwinęła. Przede wszystkim organizacyjnie, ale sportowo oczywiście też. Chociaż nie wiem, czy gdybyśmy my miały takie warunki treningowe, jakie są dzisiaj, to czy nie grałybyśmy na najwyższym poziomie. W sporcie charakter jest najważniejszy, to 70 procent sukcesu. A my ten charakter na pewno miałyśmy.

Patrząc, w jakich czasach grałyście, to zdecydowanie

trzeba było mieć w sobie dużo pasji i samozaparcia.

– Czasy były zupełnie inne. Na mecze reprezentacji jeździło się autokarem, a do jedzenia miałyśmy butki i kabanosy. Nie było sprzętu, nie dostawałyśmy za grę oczywiście żadnych pieniędzy. Rękawice bramkarskie otrzymywałam raz na dwa lata. A jak wystano mi pierwsze powołanie do seniorskiej reprezentacji na obóz w Kluczborku, to nawet butów nie miałam. Wtedy popularne były tzw. korkotramпки i pamiętam, że trener Roman Jaszczak powiedział mi, że jak ja sobie wyobrażam jechać na pierwszą kadrę w korkotrampkach i że on mi da swoje buty. Jak ja te buty zobaczyłam, to aż mi się oczy zaświeciły, takie były cudowne! To były buty Pумы czarne z takim kolorowym paskiem. Rewelacja. No ale były w rozmiarze 40, a ja nosiłam 41. Trener pyta się mnie, czy będą



▲ *Prezentacja koszulek i nowego sponsora Medyka Konin w latach 90. Od lewej: Hanna Serocka, Agnieszka Gajdecka, Agnieszka Szondermajer, Roman Jaszczak / Arch. prywatne Agnieszki Śmiechowskiej*

dobrze, a ja mu na to, że oczywiście! I chociaż były za małe, to całą kadrę w nich trenowałam, a potem przez cały następny rok schodziły mi paznokcie u stóp.

W latach 90. nie było tak łatwo zostać piłkarką. Nie było wielu klubów. Trzeba było mieć sporo szczęścia.

– Dzisiaj dzieci zaczynają uprawiać sport już nawet w wieku trzech lat, a ja zaczęłam grać w piłkę w ósmej klasie podstawówki. Pewnego razu trener Medyka Konin Roman Jaszczak zorganizował zawody szkolne dziewczynek, w których wzięłam udział, bo po prostu startowałam we wszystkim, co się w mojej szkole działo. Tam trener mnie wypatrzył. Nie wiem w sumie, co we mnie dostrzegł, bo nie miałam jeszcze wtedy umiejętności, nawet za bardzo zasad nie znałam, tam, gdzie była piłka, tam byłam ja. Może dostrzegł szybkość albo wytrzymałość, nie mam pojęcia. W każdym razie zaprosił mnie na trening Medyka, na który poszłam z moją przyjaciółką z dzieciństwa. Ona sobie nabiła limo i od razu zrezygnowała, a ja zostałam. Na początku biegałam trochę w polu, ale potem trener zdecydował, że zostanę bramkarką. Nie tak od razu. Musiałam przejść test. Ustawił mnie z inną zawodniczką Iloną Spirzak pod ścianą i sprawdzał, która z nas jest wyższa. Miałam o centymetr więcej

od koleżanki, więc trener stwierdził, że stanę na bramce. Jako były bramkarz zajął się mną, organizował mi treningi indywidualne – co wtedy było abstrakcją dla bramkarek – i jakoś tak szybko to chwyciłam, że trafiłam do młodzieżowej reprezentacji Polski.

Nie przypominamy sobie szybszej kariery w historii kobiecej piłki. W 1993 roku poszłam na pierwszy trening w życiu, a rok później już zameldowałam się na obozie dorosłej reprezentacji Polski.

– Miałam piętnaście lat, jak zaczęłam grać w piłkę, a szesnaście, gdy trafiłam do pierwszej reprezentacji Władysława Szyngiery. Na początku jeździłam głównie na obozy, a zadebiutowałam w 1995 roku na turnieju na Słowacji. Graliśmy z Austrią i w tym meczu zmieniałam Klaudię Kowalską, która była wtedy pierwszą bramkarką. Zagrałam 25 minut, wygraliśmy 3:0.

I krótko potem już byłaś pierwszą bramkarką. Imponujące.

– Jeszcze na tym samym turnieju zagrałam w pierwszym składzie z Ukrainą. Później jesienią był mecz z Estonią wygrany 8:0 i potem wiosną graliśmy z Austrią w Wiśle. Pamiętam to jak dziś, bo miałyśmy wtedy po kostki śniegu. Wygrałyśmy 3:0. Nie pamiętam, czy długo walczyłam o miejsce w składzie, ale na pewno byłam bardzo niecierpliwa. Od razu chciałam

grać. Byłam bardzo zawzięta, to sport mnie tak ukształtował, że byłam bardzo ambitna. Klaudia miała zresztą problemy zdrowotne z kręgosłupem. Nie wiem, czy też z tego powodu się nie wycofała z gry. I tak wskoczyłam do bramki.

Tak młoda bramkarka w tamtych czasach to pewnie miała ciężkie życie w szatni.

– To był kosmos, chociaż ja nie miałam żadnych problemów z wejściem do drużyny. Wiadomo, że była hierarchia, musiałam nosić za nimi piłki i tak dalej. Ale dla mnie to nie był żaden problem, dla mnie cel był jeden: grać i wygrać. I nie było to dla mnie żadnym utrudnieniem, że mam wiecznie dyżur, że muszę nosić piłki, że muszę sprzątać po treningu czy że muszę być na każde zawołanie. Fakt, że moja pozycja na boisku była specyficzna, ale nikt na mnie nie krzyczał za błędy i żadnej presji na mnie nie wywierał.

Na początku XXI wieku piłka kobieca zaczęła się coraz bardziej rozwijać w Polsce. Były pierwsze transmisje meczów reprezentacji Polski w Canal+.

– W łącznej wygraliśmy z Chorwacją 2:0, a w Białej Podlaskiej z Rumunią 3:1. Mam jeszcze te mecze nagrane na kasecie VHS!

Były też pierwsze zaproszenia na gale i wyróżnienia dla reprezentacji Polski kobiet...

– ...faktycznie, przecież odbierałam „Oscara”. Pamiętam, że siedziałam na gali Canal+ obok Bogustawa Lindy. Tak było!

Był to efekt wygranych preeliminacji do mistrzostw Europy. W latach 2001–2002 wygraliśmy 10 meczów z rzędu, a ty nie puściłaś bramki przez 800 minut!

– Czuło się, że coś pozytywnego zaczyna się dziać, media zaczęły się nami interesować. Miłyśmy nawet profesjonalną sesję dla magazynu „Pani”. Zostałyśmy ubrane, umalowane, fajnie to wyglądało.

I potem nagle, pod koniec 2002 roku, coś się zepsuło. Zaczęliśmy wszystko przegrywać.

– To okazał się dla nas megaprzeskok. Zaczęliśmy grać z najlepszymi drużynami. Pamiętam, że po tych wygranych preeliminacjach popłynęliśmy promem na mecz towarzyski do Szwecji. Na morzu połowa drużyny miała nudności, wymiotowała. Przegrałyśmy aż 0:8, z czego cztery gole straciłyśmy w pierwszych 11 minutach. To był jakiś komos. Nagle okazało się, że piłka dwa razy szybciej latała, one dwa razy szybciej biegały, były dwa razy chudsze. My naprawdę nie wiedziałyśmy, co się dzieje. Zobaczyłyśmy duży stadion, kibiców, organizacja meczu była tam wtedy taka jak teraz u nas. To był dla nas szok. Potem wszystko przegrywałyśmy, 0:2 z Węgrami, 0:6 z Rosją i to nieszczęsne 0:10 z Islandią. A to były już eliminacje do mistrzostw Europy. Zderzyłyśmy się z rzeczywistością.

Do dziś wielu kibiców piłki kobiecej zachodzi w głowę, jak doszło do tej porażki 0:10 na Islandii, najwyższej w historii naszej reprezentacji.



▲ Zgrupowanie reprezentacji Polski przed meczem z Walią (2:2) w Zamościu, 08.10.1997 r. Górny rząd (od lewej): Władysław Szyngiera (selekcjoner), Ireneusz Stokowacki (lekarz), Joanna Glice, Anastazja Kubiak, Agnieszka Leonowicz, Agnieszka Drozdowska, Anna Kijas, Agnieszka Szondermajer, Aneta Cienkosz, Irena Póttorak (kierowniczka drużyny), Agnieszka Gajdecka, Marek Dyląg (asystent selekcjonera), Bogdan Bacik (fizjoterapeuta). Dolny rząd: Grażyna Palus, Maria Makowska, Jolanta Cabała, Monika Grygorowicz, Marta Otrębska, Beata Mociak, Jolanta Niecypor, Hanna Serocka, Marzena Siwińska, Mariola Silwończyk, Izabela Kachnowicz / Arch. prywatne Agnieszki Śmiechowskiej



▲ Przed meczem Polska – Chorwacja (2:0) w Łęcznej, 28.10.2001 r. Górny rząd (od lewej): Sabina Żurek, Agnieszka Leonowicz, Agnieszka Gajdecka, Agnieszka Drozdowska, Maria Makowska. Dolny rząd: Agnieszka Szondermajer, Anna Kijas, Jolanta Cabała, Marta Otrębska, Anna Żelazko, Patrycja Pożerska / Arch. prywatne Agnieszki Śmiechowskiej

Islandia to była silna drużyna, ale nie należała nigdy do ścisłej czołówki.

– Nie mam pojęcia. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak się stało. Dokładnie pamiętam ten mecz, pamiętam nawet niektóre bramki. To było chyba jakieś ogólne zatamianie zespołu, wszystko się skumulowało. Staraliśmy się tłumaczyć to sobie, że lepiej przegrać raz 0:10 niż dziesięć razy 0:1. Tak nam też trener powiedział. Ale ciężko było. Czasami są takie mecze, że wszystko ci wychodzi i masz szczęście, a są takie, że nie idzie ci kompletnie nic. Nie stoisz w tym miejscu, w którym masz stać, nie masz szczęścia, nie możesz dogonić. Nie wiem, co się stało, chyba to było przesilenie. To była nasza czwarta porażka z rzędu.

A które mecze w twoim wykonaniu najbardziej zapadły ci w pamięć?

– Najbardziej zapadł mi w pamięć towarzyski mecz w Żywcu wygrany ze Słowacją 2:0 w 2001 roku. Byłam wtedy w takim gazie, że wybroniłam przynajmniej z pięć bramek i nikt nie wiedział, jak to zrobiłam. To był chyba jeden z najlepszych meczów. A drugi taki zapadł mi w pamięć w Medyku Konin jeszcze na początku mojej przygody. Grałyśmy ze Stilonem Gorzów Wielkopolski, który był wtedy największą potęgą obok Czarnych Sosnowiec. Oba te kluby wymieniały się tytułami. Przegralyśmy 1:4, ale

ja w tym meczu obroniłam cztery rzuty karne i chyba z pięć sytuacji sam na sam. A miałam wtedy 16 lat.

Numerem jeden w bramce reprezentacji Polski byłaś przez prawie 10 lat! Dopiero Katarzyna Kiedrzynek wyrównała twoje osiągnięcie.

– I byłoby jeszcze więcej! Śmiało mogłam dalej trenować, bo przecież skończyłam grać w wieku 25 lat. Nie był to moment na kończenie kariery, ale kilka spraw się na to złożyło. Wyszłam za mąż, przeprowadziłam się do Płocka i mimo że PZPN pomagał mi organizować treningi indywidualne, to zaczęło mi brakować zajęć z drużyną. Czułam, że to już nie jest to, a poza tym nie chciałam być nie w porządku w stosunku do dziewczyn. Nie chciałam oszukiwać zespołu. To już nie było to, brakowało mi treningu. Wówczas pracowałam w szkole i różnie patrzono na te moje wyjazdy. Musiałam brać bezpłatne urlopy, co komplikowało pracę szkoły, bo ktoś musiał mnie zastępować.

I nie brakowało ci piłki przez te wszystkie lata?

– Do tej pory snią mi się zgrupowania. Był taki czas, że tęskniłam za tym wszystkim, ale potrafiłam odrzucić tę tęsknotę. Oczywiście kibicuję i oglądam mecze kadry, od czasu do czasu coś w internecie skomentuję. Czasem się nawet łezka w oku zakręci, jak wtedy, gdy dziewczyny zdobyły mistrzostwo Europy do lat 17, byłam bardzo dumna.

Nie żałujesz, że nie grasz w piłkę w tych czasach? Piłkarki grają w wielkich klubach, na mecze latają nawet czarterami, mają indywidualnych sponsorów.

– Myślę, że każde pokolenie ma własny czas. Nie zazdrozczę obecnym piłkarkom ani nie wiem, jakby się potoczyła moja przygoda z piłką w tych czasach. Z jednej strony dziewczyny mają teraz lepiej, a z drugiej strony gdy tylko komuś się noga powinie, od razu jest krytykowany w internecie. Nie wiem, czy by mnie to nie dobijało. Trochę mnie pod tym względem te obecne czasy denerwują. Bo nie można być sobą, bo każdy cię obserwuje. My wiedziałyśmy, kiedy jest czas na trening, a kiedy jest czas na rozrywkę. Ale gdy był czas na pracę, to dawałyśmy z siebie tysiąc procent. Pamiętam, że kiedyś tak mnie bolała ręka, że nie byłam w stanie nawet się uczesać, ale zacisnęłam zęby i wyszłam na mecz eliminacyjny. Inna bramkarka Monika Kachnowicz miała podbite oko do tego stopnia, że nic na nie nie widziała, ale oczywiście wychodziła na trening.

Mówisz, że wiedziałyście, kiedy jest czas na pracę, a kiedy na zabawę. Z sentymentem wspominasz wieczór panieński na kadrze?

– A skąd wiecie? Nie pamiętam. W dzisiejszych czasach dziewczyny miałyby przechłapanie. Jedynie, co im pozostało, to zamknąć się w pokoju i patrzeć w telefon. Mnie to przeraża. Za moich czasów wszystko robiłyśmy razem. To była inna bajka. Ale też na nic nie narzekałyśmy. Czasami jechałyśmy na mecz eliminacyjny półtorej doby. Dopiero na początku tego wieku zaczęłyśmy latać samolotami. A wcześniej wszędzie autokarami. Do Włoch, do Francji? Śmiało, autokarem! Z prowiantem, bułkami i kabanosami. Sama nie wiem, które czasy były lepsze...

Wpisujesz się w stereotyp szalonej bramkarki? Chyba tak, skoro na obozie we Francji rozbiłaś autokar.

– Zawsze miałam jakieś durne pomysły w głowie. Chciałam przejechać się autokarem po ośrodku, a że mieliśmy fajnych kierowców, to poszłam do nich i powiedziałam: proszę pana, ja zawsze marzyłam, żeby przejechać się autokarem, niech pan da kluczyki, pojedę! No ale nie wiedziałam, że oś autokaru jest inna niż w aucie osobowym. Myślałam, że już trzeba skręcić, a tu się okazało, że za wcześniej i uderzyłam w bramę. No i zbiłam szybę.

A dlaczego zostałaś nazwana „Donica”? To specyficzny pseudonim dla bramkarki, bo to raczej kruche przedmioty.

– Kiedyś miałam krótko obcięte włosy, równo do linii ucha i wyglądało to tak, jakbym miała

donicę na głowie. Starsza gwardia Medyka tak mnie ochrzciła i już tak zostało.

Skoro już o Medyku Konin mowa. Był to klub awangarda nawet jak na tamte czasy, bo został stworzony w całości z dziewczyn pochodzących z Konina. Nie było żadnych transferów, sprowadzania zawodniczek z całego kraju.

– W tamtych czasach to może tylko w Sosnowcu były transfery i to za czapkę śliwek, ale w Medyku faktycznie były same dziewczyny z Konina i ewentualnie okolicznych wiosek. Trenerowi Romanowi Jaszczakowi należy się na pewno szacunek za to, co zrobił, i za to, że tyle lat w tym trwa, bo to wcale nie jest takie łatwe pracować z kobietami. Podziwiam go za to. Zawdzięczam mu to, że mnie zauważył, że mnie wkręcił, że zwiedziłam dzięki niemu tyle państw. Jeździliśmy z Medykiem do Włoch, do Danii, do Francji. On załatwiał na to sponsorów, a my nie płaciłyśmy nawet złotówki.

W Medyku miałaś też treningi bramkarskie, co w tamtych czasach było luksusem.

– To prawda. W połowie lat 90. nawet na kadrze nie było trenera bramkarek. Dopiero pod koniec wieku zaczął jeździć z nami na obozy Marek Dyląg. A tak to w sztabie był tylko pierwszy trener, masażysta i lekarz. My bramkarki same się rozgrzewałyśmy, potem były ćwiczenia strzeleckie i tak się trenowało.

Co ciekawe, niektóre polskie piłkarki grały już wtedy w bardzo dobrych klubach za granicą. W Bundeslidze choćby Jolanta Nieczypor, Anastazja Kubiak, Maria Makowska, w Szwecji Luiza Pendyk. Było widać tę różnicę, jak przyjeżdżały na kadrę?

– Było widać. Po pierwsze przyjeżdżały na kadrę swoimi samochodami! Były też silniejsze i to zawsze robiło na mnie wrażenie. Jakoś tak to było, że u nas do tej motoryki się nie przyklądano. Ja jako bramkarka i tak byłam silna, ale gdybym poszła bark w bark z Jolą Nieczypor, to pewnie nie byłoby to zbyt przyjemne zderzenie dla mnie. One też już zarabiały pieniądze, nie jakieś nie wiadomo jakie, ale była to różnica w porównaniu do Polski. Były też wzmocnieniem naszej drużyny. Ja nigdy nie myślałam o wyjeździe, chociaż w Savenie Warszawa trener powiedział mi, że ma kontakt z drużyną z USA i gdybym chciała, to mógłby mi pomóc w transferze. Nigdy jednak nie pędziłam za nie wiadomo jaką karierą. Nie ciągnęło mnie do tego. Teraz to faktycznie inaczej wygląda.

Dzisiaj w wielu krajach kobiety grają w piłkę zawodowo, to w pełni profesjonalna dyscyplina.

– Obserwuję to i widzę, że dzisiaj dziewczyny trenują indywidualnie, mają dodatkowe zajęcia. Za naszych czasów to było nie do po-



▲ Reprezentantki Polski na gali z okazji 100-lecia PZPN. Od lewej: Maria Makowska, Patrycja Pożerska, Magdalena Basiuk (Mleczko), Agnieszka Śmiechowska (Gajdecka), Jolanta Nieczydor, Anastazja Kubiak, Jolanta Cudała, Małgorzata Gospodarczyk / Fot. Paula Duda, PZPN

myślenia. Podejście było inne. Trener Roman Jaszczak jak kazał nam w Medyku biegać na treningach, to na każdym okrążeniu jedna odpoczywała w krzakach. A trener tylko liczył, czy wszystkie biegną. Może miałyśmy trochę takie poczucie, że przecież szkolenowiec i tak mnie nie wyrzuci, no bo kogo weźmie na moje miejsce?

Na studiach mieszkałaś w akademiku z trenerami, którzy robią dziś wielkie kariery, z Piotrem Stokowcem, Leszkiem Ojrzyńskim, Robertem Podolińskim. Aż dziwne, że nie poszłaś w ich ślady.

– Skończyłam AWF, mam uprawnienia, ale nigdy nie czułam trenerki. Bramkarzy mogłabym szkolić, ale całego zespołu nie. Zresztą nie chciałabym podporządkowywać temu całego życia. Mój mąż, którego też poznałam na studiach, jest trenerem i koordynatorem grup młodzieżowych w Wiśle Płock. Stwierdziliśmy, że on się temu poświęci. Ja też miałam propozycje trenowania i sędziowania, a zwłaszcza to sędziowanie zawsze czułam i chciałam w to pójść, ale postanowiłam, że poświęcę się dla dzieci. Pracuję w szkole sportowej w Płocku, gdzie prowadzę klasy o profilu piłki nożnej. Mam też dziewczynki, z którymi odnosiłam

sukcesy na Mazowszu. Kilka z nich grało nawet w Medyku Konin. W ten sposób się realizuję. Dla mnie to było naturalne, że jak na świecie pojawiły się dzieci, to czas dla rodziny stał się dla mnie najważniejszy.

Jako nauczycielka obserwujesz, że więcej dziewczynek garnie się teraz do piłki nożnej?

– Oczywiście, że tak. Zauważam to nawet na swoim osiedlu. Gdy zamieszkałam tutaj w 2001 roku, to dziewczynki chodziły z piłką do siatkówki, a teraz chodzą z piłką nożną. Coś w tym jest, że dziewczyny garną się do piłki, ale też rodzice się już na to nie buntują. Za moich czasów dziewczynki grające w piłkę były z reguły jakimś dziwolągami. Każdy, kto się dowiedział, że gram w piłkę nożną, robił różne miny i głupio komentował. Dopiero gdy zobaczyli mnie na boisku, zmieniali zdanie.

AGNIESZKA ŚMIECHOWSKA (GAJDECKA) była numerem jeden w bramce reprezentacji Polski w latach 1994-2003. Do niej należy rekord ponad 800 minut bez wpuszczonego gola. Broniła barw Medyka Konin i Saveny Warszawa. Obecnie mieszka w Płocku. Pracuje jako nauczycielka wychowania fizycznego.



Anna Gawrońska: Rivaldo

AUTORKA: PAULA DUDA

Wcale nie zanosilo się, że zostanę piłkarką. I pewnie bym nią nie została, gdyby nie jedna impreza w akademiku. Na poważnie przygodę z futbolem rozpoczęłam w wieku... 21 lat, a już rok później zadebiutowałam w reprezentacji. Dziś – niemożliwe. Może dlatego też, mimo czterdziestki na karku, wciąż nie potrafię się z nim rozstać? Zresztą dlaczego miałabym zawieszać buty na kołku, skoro nadal całkiem nieźle wypadam w testach szybkościowych? I tylko tej kadry trochę żal...

BOREK WIELKOPOLSKI

Uwielbiałam koszykówkę. Potrafiłam nastawiać sobie budzik na czwartą rano i oglądać mecze Chicago Bulls, podziwiając w akcji Michaela Jordana. W dzieciństwie uprawiałam i oglądałam zresztą różne dyscypliny. Marzyłam, żeby kiedyś reprezentować Polskę. Obojętnie w jakim sporcie. Byleby mieć orzełka na koszulce. Budziło to we mnie zachwyt i nieporównywalne z niczym innym emocje. Przez dwanaście lat trenowałam badminton. Nawet wywalczyłam mistrzostwo województwa wielkopolskiego. Niestety później na drodze stanęły sprawy finansowe. Jestem z małej miejscowości – Borku Wielkopolskiego, a sport indywidualny wiąże się ze sporymi nakładami. Dodatkowo czasy były trudne, początek lat 90., brakowało pieniędzy na sport. W domu też się nie przelewało. Mam czworo rodzeństwa. Przez pewien okres pracował tylko tata. Inna kwestia, że badminton to dyscyplina jeszcze bardziej niszowa niż kobieca piłka nożna. Ciężko było się przebić wyżej. Za wyjazdy na turnieje musieliśmy płacić sami, bo klubu nie było na to stać.



▲ Anna Gawrońska ze złotym medalem za zwycięstwo w turnieju towarzyskim w Turcji w 2017 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

Futbol przyplątał się... przez przypadek. Był rok 2000. Moja siostra studiowała fizjoterapię na AWF w Poznaniu i na jednej z imprez w akademiku poznała chłopaka, który grał w Warcie Poznań. Od słowa do słowa dogadali się, że klub tworzy drużynę kobiet.

- Naprawdę? Moja siostra umie grać w piłkę.
- Poważnie?

Chwilę później byłem już w Warcie na pierwszym treningu, po którym trafiłam niemal od razu do podstawowego składu zespołu. Tak się mną zachwycili! Wtedy też otrzymałam ksywkę Rivaldo. Nazwał mnie tak trener Powstański, któremu przypominałam wyglądem słynnego Brazylijczyka. Krótko ścięte włosy, krzywe nogi, podobna sylwetka. Do dziś jestem Rivaldo albo po prostu Riv. Miałam wtedy 21 lat. 21! Dziś pewnie rozpoczęcie piłkarskiej przygody w tym wieku byłoby niemożliwe.

Już wcześniej wysyłano mnie na trening piłkarski. Wiedziałam, że w Koninie jest drużyna Medyka. Ale... mój tata się nie zgodził. Nie chciał wysyłać mnie samej do bursy. Byłam oczkiem w jego głowie, a po drugie kobieca piłka nożna w tamtych czasach nie dawała żadnych perspektyw. Zresztą gdyby nie ta impreza w akademiku, to pewnie w piłkę bym w ogóle nie grała. Uprawiałabym inny sport albo została nauczycielką WF-u w szkole w Borku Wielkopolskim.

POZNAŃ

Na treningi dojeżdżałam codziennie do Poznania z mojej rodzinnej miejscowości, gdzie pracowałam już jako nauczyciel WF w gimnazjum. Wsiadałam o 14:00 do autobusu i jechałam na zaplanowane zwykle na 17:00 lub 18:00 zajęcia. Wracałam około 22:00. I tak każdego dnia przez rok. Prawo jazdy zrobiłam dopiero później, jak sobie na nie zarobiłam, pracując w wakacje w Niemczech.

Warta wkrótce stała się Ateną Opel Nie dbała. Nowy sponsor zaproponował mi przeprowadzkę do Poznania i pomoc w znalezieniu zatrudnienia w szkole, ale nie udało się. Ostatecznie podjęłam pracę jako recepcjonistka w hotelu. Pracowałam dwanaście godzin, a potem szłam na trening. Trenowałyśmy wtedy na... czarnym piasku. Po zajęciach wyglądało się jak po powrocie z kopalni - czarne nogi, czarno w nosie, masakra. Ale nikt nie narzekał, każdy wracał do domu z uśmiechem. Klub załatwiał nam wtedy mieszkania. Starsze zawodniczki miały stypendia lub pracowały.

Był 12 października 2002 roku, kiedy zadebiutowałam w reprezentacji Polski u selekcjonera Albina Wiry. Od razu z wysokiego C, bo przeciwko Szwecji. Nigdy nie zapomnę zarówno samego spotkania, jak i podróży na nie. Płynęłyśmy dwanaście godzin promem,



▲ Radość po голу strzelonym w finale Pucharu Polski w 2019 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

a ja przez te całe dwanaście godzin zmagając się z chorobą morską. A sam mecz? Wszłam na boisko w drugiej połowie na prawą pomoc. Byłam kompletnie zakręcona. Przegraliśmy 0:8. Na szczęście było to starcie towarzyskie. Potem regularnie jeździłam na zgrupowania, ale rzadko dostawałam szansę gry. Pół roku później w meczu z Węgrami trener wysłał mnie na rozgrzewkę już w pierwszej minucie, bo Lilliana Gibek zderzyła się z rywalką i rozcięła tük brwiowy. Mimo to wróciła na boisko, a selekcjoner o mnie zapomniał. Grzałam się tak przez całe 90 minut, bo myślałam, że trzeba. Nie zeszłam nawet w przerwie do szatni. W końcu mecz się skończył i mnie zawołali.

Ze swoich początków w reprezentacji najlepiej pamiętam... pływanie. Nie chodzi jednak o pluskanie w wodzie, a o grę karcianą, w którą wciągnęły mnie starsze zawodniczki. Grałyśmy oczywiście na pieniądze. Były to, co prawda, drobne kwoty, ale notorycznie przegrywałam i trwoniłam swoją „dniówkę”. Dostawałyśmy wtedy 80 zł za dzień zgrupowania. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że koleżanki się między sobą dogadywały, żeby mnie, młodą, robić w balona.

KONIN

W 2004 roku Opel z powodu problemów finansowych wycofał się ze sponsorowania zespołu



Obejrzyj film dokumentalny „URODZONE, BY GRAĆ” na TVP Sport. Jedną z jego bohaterek jest Anna Gawrońska.

kobiecego, a ja otrzymałam propozycję przejścia do seryjnego mistrza Polski AZS-u Wrocław i walczącego o tytuł Medyka Konin. Pojechałam do Wrocławia na testy. Zaraz po nocce w pracy. W sumie po 24 godzinach. Musiałam się tak pozamieniać z dziewczynami, żeby mieć dzień wolny. Na treningu było strasznie gorąco. Ledwo stałam na nogach. Czułam się fatalnie i pewnie tak samo wyglądałam. Mimo to trener Wojciech Basiuk chciał mnie zostawić. Postawiłam jednak warunek, że musi mi pomóc załatwić jakąś pracę. Ale w AZS nikt wtedy nie pracował. Treningi odbywały się dwa razy dziennie. Drużyna grała w Lidze Mistrzyń i się profesjonalizowała. Zatrudnienie w szkole zaoferował natomiast trener Roman Jaszczak. Dlatego też ostatecznie trafiłam do Konina, a nie do Wrocławia. Miałam 24 lata i musiałam myśleć o przyszłości.

Jakieś dziesięć lat temu pojechaliśmy z Medyką na obóz do Turcji. Busem. Podróż trwała... 54 godziny! Po drodze zatrzymaliśmy się w Bułgarii na nocleg i sparing. Każda snuła się w tym meczu po boisku. – Co z wami! Nie chce wam się biegać! Przecież siedzieliście przez 24 godziny! – trener Roman Jaszczak nie przebierał w słowach przy linii bocznej. Po spotkaniu ruszyliśmy w dalszą drogę do Antalyi. Około stu kilometrów przed miejscem docelowym podjechało do nas czarne renault, z którego wysiadł pan ubrany w garnitur. Pokazał jakąś



▲ Z trenerem Medyka Konin Romanem Jaszczakiem po wygraniu Pucharu Polski w 2016 r. / Fot. Paula Duda, PZPN



▲ Dekoracja po wygranym finale z Górnikiem Łęczna / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

legitymację. Przedstawił się jako przedstawiciel tureckiej policji kontrolujący pojazdy pod kątem przewozu narkotyków. Trener w pięciu językach po trochu tłumaczył, że jesteśmy drużyną piłkarską i nie mamy nic nielegalnego. Mimo to Turek zaczął otwierać schowki.

W końcu zapytał, czy nie przewozimy pieniędzy. Trener odpowiedział, że posiadamy gotówkę potrzebną na to, aby opłacić pobyt. – Pokażcie – usłyszeliśmy. Kiedy zobaczył plik dolarów, oczy mu się zaświeciły. Najpierw udawał, że sprawdza, czy banknoty nie są podrobione, po czym... zaczął uciekać. Z kasą w rękę! W pościg za nim ruszył nasz kierowca, który rzucił się na oszusta. Chwilę później dołączył do niego trener Roman i we dwójkę go obeszła. Czarne auto ruszyło z piskiem opon, a trener zastygł nad głową złodzieja z wielkim kamieniem w rękach. Byliśmy przerażeni. Obok zatrzymali się jacyś Polacy i zaczęli krzyczeć: „Niech mu pan nie robi krzywdy, bo pana wsadzą do tureckiego więzienia!”. Ostatecznie wypuścili fałszywego policjanta, który związał, gdzie pieprz rośnie. Trener usiadł w busie cały spocony i zaczął się trząść. Myśleliśmy, że zaraz zejdzie z tego świata. Zadzwoiliśmy do znajomego lekarza, który polecił nam, żeby-

śmy dali mu... whisky, aby rozrzedzić krew. Na szczęście pomogło.

Dzisiaj mam 43 lata. Mija osiemnaście, odkąd gram w Medyku. Przeżyłam tu wszystko. W Koninie nie tylko czuję się jak w domu, ale tu jest mój dom. Niedawno go kupiłam, więc już raczej tu zostanę. Kluby w tym czasie pojawiały się i znikaly, a Medyk trwa. Ogromna w tym zasługa trenera Jaszczaka, chociaż jego osoba budzi w kraju spore kontrowersje. Ja dzięki niemu i ciężkiej pracy jestem w tym miejscu, w którym jestem. Prawda jest taka, że wielu zawodniczek nie byłoby, gdyby nie on. Powiem więcej – to właśnie dzięki jego osobowości Medyk przez tyle czasu istnieje. I tak dzisiaj jest już mniej wybuchowy niż kiedyś.

Każdy pyta, czy myślę o zakończeniu przygody z piłką. Odpowiedź brzmi: nie! Trenerzy wciąż na mnie stawiają, dziewczyny czują się pewniej, kiedy jestem na boisku. Po meczach Ekstraligi często zdarza się, że podchodzą do mnie zawodniczki z przeciwnych drużyn i gratulują tego, że nadal daję radę. Nina Patalon (selekcjonerka reprezentacji Polski – przyp. red.) ciągle mnie mobilizuje, żebym grała jak najdłużej i śrubowała rekordy. Motorycznie wcale nie wypadam gorzej



▲ W barwach Medyka Konin w meczu ligowym z GKS Katowice / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

niż młodsze koleżanki z drużyny. Parametry szybkościowe nie lecą w dół tak, jak powinny. Ostatnio po rajdzie od jednego do drugiego pola karnego w ligowym spotkaniu dziewczyny śmiały się, że przed meczami wypijam chyba jakiś sok z gumijagód.

Jak ja to robię? Nie wiem. Ale kosztuje mnie to dużo pracy i ambicji. Organizm dłużej się już regeneruje niż kiedyś. Ale jako trenerka potrafię dozować sobie obciążenia treningowe i mam na to zgodę sztabu. Inna sprawa, że dzisiejsza Ekstraliga różni się od tej, która była kilka lat temu. Teraz gra się mniej siłowo, mniej się biega, więcej jest techniki, taktyki i myślenia. Na obozach nie zasuwa się już po górach. Może dlatego nadal nie odstaję? Poza tym dbam o siebie. W ogóle nie piję alkoholu. Po prostu go nie lubię. Szampan w Sylwestra to u mnie jak święto narodowe.

Trochę żałuję, że nigdy nie spróbowałam sił za granicą. Pojawiały się oferty z Hiszpanii, Niemiec czy Szwecji. Pojechałam nawet raz na testy do Słowenii razem z Marysią Makowską, ale dobrze, że to akurat nie wypaliło, bo jak się potem okazało, chciano nas tam oszukać. Trochę bałam się perspektywy życia z dala od domu i rodziny. Inna kwestia, że taki wyjazd wtedy wcale nie oznaczał kokosów. Oferty oscyływały w okolicach tysiąca euro miesięcz-

nie, a trzeba pamiętać, że życie za granicą jest dużo droższe niż w Polsce. Poza tym w kraju miałam pracę, z którą wiązałam przyszłość. Nie kalkulowało mi się więc to wszystko. Może byłabym bardziej odważna w temacie transferu zagranicznego, gdybym wiedziała, że pogram w piłkę tak długo. Absolutnie nie przewidywałam tego, że tyle będę grać na najwyższym poziomie! Mogę w każdym razie zapewnić, że jeżeli miałabym wtedy takie możliwości, jakie piłkarki mają dziś, to bym wyjechała.

KADRA

Nie czuję się w reprezentacji spełniona jako napastniczka. Jedenaście goli to dość mało jak na tyle lat grania. Zaliczałam jednak dużo asyst. Grałam u boku i Ani Żelazko, i Agnieszki Winczo, i Ewy Pajor. Każdej asystowałam przy bramkach. I z tego się cieszę. Nie zmienia to faktu, że w reprezentacji nie czułam się tak pewnie jak w klubie. Być może nie potrafiłam sobie radzić z presją, jaka towarzyszy występom z orzełkiem. Często wolałam nawet podawać niż uderzać, żeby odpowiedzialność spadła na kogoś innego. Inna kwestia, że tych meczów mam sporo, ale rzadko wychodziłam w pierwszym składzie.

Pracowałam w kadrze z pięcioma selekcyonerami. Reprezentacja przez ten czas przeszła gigantyczną transformację. Dziewczyny, które teraz w niej grają, powinny bardziej doceniać



▲ Z Katarzyną Kiedrzynek na zgrupowaniu reprezentacji / Fot. Paula Duda, PZPN



▲ W towarzyskim meczu reprezentacji Polski z Turcją w 2017 r. / Fot. Paula Duda, PZPN

to, co mają. Dla nas wyjazd na zgrupowanie kadry był nagrodą wyczekiwaną jak prezent na gwiazdkę. Zwieńczeniem ciężkich treningów. W piłkę grałyśmy z pasji, każda jechała na reprezentację z wielkim uśmiechem, nikt nie strzelał fochów i nie gwiazdorzył. Zawsze, kiedy przed meczem odgrywany był hymn, miałam łzy w oczach. Gra w kadrze była dla mnie spełnieniem dziecięcych marzeń. Dziś wiele młodych piłkarek, aspirujących do powołania, najpierw oczekuje czegoś, wymaga, a dopiero potem daje coś od siebie. Jako trenerka obserwuję to na co dzień. A mają wszystko, aby się rozwijać – sztab trenerów, perspektywy, dobre boiska, a nie czarny piasek...

Kiedy jeszcze selekcjonerem kadry był Miłosz Stępiński, to dzwonił do mnie i mówił, że wciąż nie znikam z jego notesu. Odpowiadałam mu, że to dobrze, bo wcale nie

zakończyłam kariery reprezentacyjnej i dalej marzę o tym, aby pojechać z kadrą na wielki turniej. Chociażby po to, aby zagrać minutę albo nawet podawać piłki.

ANNA GAWROŃSKA to żywa legenda kobiecej piłki nożnej w Polsce. Od 2004 roku jest zawodniczką Medyka Konin, z którym czterokrotnie wywalczyła mistrzostwo Polski, osiem razy krajowy puchar oraz występowała w Lidze Mistrzyń. Wielokrotna królowa strzelczyń Ekstraligi, w której gra nieprzerwanie od sezonu 2001/02. W reprezentacji Polski w latach 2002–2017 rozegrała 77 meczów i strzeliła 11 goli. W latach 2014–16 była selekcjonerką kobiecej kadry do lat 15. Posiada licencję trenerską UEFA A. Obecnie, oprócz gry w piłkę, szkoli młodzież w Medyku Konin.



Agnieszka Winczo: Szczęście leży na boisku

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Sukces można mierzyć liczbą zdobytych mistrzostw. Strzelonymi bramkami i występami w narodowej reprezentacji również. Ale szczęście nie polega tylko na liczbach i kurzących się na regale pucharach. Przynajmniej ja tak nie mam. Jest bowiem drużyna, którą traktuję jak swoją rodzinę. Mimo że gram teraz w innym klubie, zawsze wracam myślami do tego jednego miejsca na ziemi. Niektórzy nigdy czegoś takiego w życiu nie doświadczą. Możesz przejść przez całą karierę, grać dla wielkich firm, ale nie przeżyć tego, co mi się udało. I tak sobie czasami myślę, że jestem prawdziwą szczęściarą, bo oprócz wspomnianych mistrzostw i goli, gry w kadrze i w Lidze Mistrzyń, miałam okazję trafić na wspaniałych ludzi.

CZĘSTOCHOWA

Częstochowę pamiętam bardzo dobrze. To moje rodzinne miasto. Mieszkałam tak blisko stadionu, że siłą rzeczy oddziaływał on na każdego dzieciaka. Nie był to jednak stadion piłkarski, ale żużlowy. Kiedy słyszeliśmy ryk silników, każdy chciał się ścigać. Obok obiektu Włókniarza był prowizoryczny tor. To i tak określenie trochę na wyrost, bo sami go zrobiliśmy. Przyjeżdżaliśmy tam na rowerach, każdy miał zrobiony w domu papierowy plastron, była nawet tasiemka, która szła w górę przy starcie. Wszyscy stawaliśmy wtedy co siłą na pedałach i ścigaliśmy się wokół drzewa. Do domu wracało się z pozdzieranymi kolanami i łokciami, ale z tyloma wrażeniami, że nie sposób było zasnąć. A jak udało się pokonać inne osiedle, bo przecież rozgrywaliśmy prawdziwe mecze,



▲ Agnieszka Winczo (z prawej) w meczu eliminacji mistrzostw Europy przeciwko Macedonii w 2012 roku / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

z punktami po każdym wyścigu, to chodziło się z wysoko podniesioną głową! Zresztą jak wracam w rodzinne strony, zawsze idę na żużel. Stara miłość nie rdzewieje!

Jednego dnia pędziło się na rowerach, drugiego grało w piłkę. Na każdy mecz zabierał mnie brat razem z kuzynami, więc wszyscy na podwórku wiedzieli, że jak pojawią się oni, to pojawię się też ja. W szkole rozgrywaliśmy mecze na przerwach. Przeważnie piłkarskie, ale zdarzało się także pograć w siatkówkę i koszykówkę. Aż pewnego dnia przyszedł do szkoły jakiś człowiek i zapytał, czy nie ma u nas przypadkiem dziewczyny, która interesuje się sportem. Nauczyciel podrapał się po głowie i odparł: A jest tu jedna taka! Tak trafiłam do Gola Częstochowa. Tym człowiekiem był prezes i trener klubu Włodzimierz Seifryd i to dzięki niemu nie jestem bramkarką. Bo na pierwszym treningu postawiłam sprawę jasno: albo idę na bramkę, albo spadam do domu. Trochę się musiał natrudzić, żeby mnie przekonać.

– Tu nie grasz na podwórku z chłopakami, którzy chcą strzelać gole. Tu grasz z nami i chcemy, żebyś to ty je strzelała. To fajne uczucie. Zobaczysz.

Rodzice zawsze wspierali moje pasje. Nikomu nie przyszło do głowy, aby odciągać mnie od futbolu. Zresztą moja mama do dziś potrafi

przejechać w jeden dzień ponad tysiąc kilometrów, aby kibicować mi na meczu. Często zabiera też tatę i brata z jego córeczką. Każdy sportowiec chciałby mieć taki fanklub!

Wracając do Gola, były tam wówczas tylko drużyny juniorskie. Kiedy więc trzeba było się decydować, czy traktować sport jak hobby, czy zająć się nim na poważnie, wspólnie z rodzicami wybraliśmy tę drugą opcję. Wybór padł na Sosnowiec. Po pierwsze dlatego, że był tam silny klub, a po drugie – było niedaleko Częstochowy, do której zresztą wróciłam na krótko już jako seniorka.

SOSNOWIEC I RACIBÓRZ

A trafiłam do Sosnowca, bo wypatrzył mnie trener Robert Góralczyk na zgrupowaniu kadry U-17. Było to zresztą pierwsze w historii takie zgrupowanie. Usłyszałam, że dobrze się zapowiadam, ale żeby się rozwijać, muszę już myśleć o grze w seniorskim futbolu. Trafiłam więc do Czarnych, przy okazji zmieniając szkołę. W Sosnowcu zostałam dziesięć lat, bo nawet grając już w Raciborzu, na treningi dojeżdżałam właśnie stamtąd. Dobrze się tam czułam, choć pierwsze dni nie były łatwe. Zamiana domu na internat dla dzieciaka żyjącego z rodzicami nie mogła być prosta, ale potem, kiedy zawiązały

się już pierwsze przyjaźnie, polubiłam to miejsce. Grając w Czarnych, dostałam pierwsze powołanie do drużyny narodowej. W 2004 roku zagrałam w dwumeczu przeciwko Ukrainie (1:2, 2:2) i zostałam wybrana najlepszą piłkarką drugiego spotkania. Pamiętam jak dziś, że dostałam nawet DVD w nagrodę, a to dlatego, że jak próbowałam włączyć je w domu, to nie działało. Ale, jak widać, z zepsutym odtwarzaczem DVD też można mieć miłe wspomnienia.

Unia była klubem, z którym w Polsce osiągnęłam najwięcej. Klubem, który otworzył mi drogę do gry za granicą. Bardzo dobrze wspominałam Remigiusza Trawińskiego, który metafizycznie sprawę ujawnił, był trzema osobami w jednej. Pan Remek, czyli trener, prezes i sponsor dbał o nas, jak mógł, więc do Unii dołączały najlepsze zawodniczki z całej ligi. Grałyśmy w Lidze Mistrzyń i choć dwa razy brakowało bardzo niewiele, aby wejść do najlepszej szesnastki w Europie, to i tak nie rozpatruję meczów z Brøndby czy Neulengbach w kategoriach niedosytu.

CLOPPENBURG

Pamiętam, jak mieliśmy w domu telewizję satelitarną i mama oglądała niemieckie kanały. Jak ty możesz tego słuchać? – dziwiłam się. Wtedy ten język wydawał mi się nieprzystępny. Jakiś taki twardy, ciężko przechodzący przez gardło. Teraz kiedy jadę do domu, zawsze mam przygotowaną playlistę z piosenkami po niemiecku. Zapewne sam język wiele się nie zmienił, ale ja zmieniałam swoje postrzeganie. Nie wchodząc w patetyczne tony, spotkałam w Niemczech dobrych ludzi. Ludzi, którzy jakby mogli, przychyliby mi nieba.

Skąd się wziął Cloppenburg? W Polsce zdobyłam już właściwie wszystko. Mistrzostwa Polski z Unią Racibórz, występy w Lidze Mistrzyń z dwoma klubami. Trudno było o kolejny krok w kraju. Po jednym z meczów w Raciborzu pojawiła się Tanja Schulte, trenerka z Niemiec. Chciała rozmawiać z Martą Stobbą, Anią Żelazko i ze mną. Powiedziała, że w klubie są już Polki – Dagmara Grad i Dominika Wylęzek, więc możemy bez problemu sprawdzić, jak wszystko wygląda na miejscu. Czas naglił, bo według planu miałyśmy być na miejscu w piątek i od razu podpisać umowy, bo w weekend Unia grała mecz ligowy. A że w takich sytuacjach warto poradzić się mamy, usłyszałam: „Jedź i jak ci się spodoba, to zostań”. Najprostsze rozwiązania są najlepsze!

Wyleciałyśmy rano w piątek, zobaczyłyśmy, jak wszystko wygląda na miejscu i zaproponowano nam kontrakty. Wszystko odbywało się

w ekspresowym tempie, bo pamiętam, że załapałyśmy się na lotnisku na tak zwany „last call”. Gdyby nawet ten samolot nam uciekł, to nasz nowy pracodawca był zdolny do poświęceń, czyli odwiezienia nas prosto do Raciborza.

I tak znalazłam się w Cloppenburgu, który zamieszkiwało 33 tysiące ludzi. Północne Niemcy, 60 kilometrów od Bremy, Dolna Saksonia, blisko granicy z Holandią. Wydawało mi się, że to miasteczko, ale patrząc z dzisiejszej perspektywy, mogę śmiało powiedzieć, że to metropolia. Przyjęcie było bardzo rodzinne. Właściwie nie odczułam tego, że trafiłam z Polski do Niemiec. Wszystko układało się fantastycznie, aż do momentu złapania kontuzji, której zresztą nie odniosłam w meczu ligowym. Klub zachował się wtedy, jak powinien. Cały czas mnie wspierał, doprowadził mnie do pełni formy po bardzo długiej rehabilitacji, ale po kolei...

Na początku 2015 roku byłyśmy z kadrą na zgrupowaniu w Chorwacji. Dla mnie zakończyło się ono już na pierwszym meczu z Francuzkami (Polska – Francja B 0:0), gdy rywalka „wjechała” mi w staw skokowy, powodując koszmarny uraz. Wszystkie więzadła miałam pozrywane. Kość również została uszkodzona. Przerwa w grze trwała długie jedenaście miesięcy. To był trudny czas. W prasie można było nawet przeczytać, że zostałam odstawiona na boczny tor, że moje drogi z drużyną narodową się rozeszły. Tymczasem nikt ze sztabu szkoleniowego wówczas nawet do mnie nie zadzwonił zapytać, jak się czuję. Czy było mi przykro? No jasne, że tak. W Cloppenburgu też się dziwili. O mało nie urwano ci nogi na tym zgrupowaniu i nikt nie pytał, co z tobą? Było, minęło. Po ponad dwóch latach usłyszałam w słuchawce głos trenera Stępińskiego: „Aga, zaczynam pracę z reprezentacją. Chcę dać ci szansę. Co ty na to?”.

Kontuzja zabrała mi rok. Pozostałe siedem lat wypełniła gra w piłkę nożną. Czyli ciężka praca, którą potrafiłoby docenić. Nie mówię o względach materialnych i nie mam na myśli wyłącznie gry w piłkę. Jak to wygląda w praktyce? Otóż podstawą sukcesu zawsze jest komunikacja. Nie rozumiesz tego, co mówi twój trener w szatni albo koleżanka na boisku? Masz problem. Twoja drużyna też. Więc musisz szybko nauczyć się języka. Klub wystąpił na intensywny kurs. Mnie i siedem innych dziewczyn. Potem część towarzystwa się wykruszyła, bo Amerykankom nie do końca w głowie była nauka niemieckiego, skoro mogły porozumieć się z innymi po angielsku. Grupa polska, czyli pozostała czwórka zawodniczek, zaczęła trwającą cztery godziny lekcję o dziewiątej

rano, potem szliśmy na trening i znów wracaliśmy do nauki. Późnym wieczorem, po drugim treningu, było jeszcze wkuwanie materiału na poranny sprawdzian. Szkoła wysyłała raporty do klubu o postępach w nauce, więc ze złych ocen trzeba się było tłumaczyć. Oczywiście po niemiecku.

Później częstotliwość lekcji została zmniejszona. Klub zaproponował mi podjęcie pracy w pobliskim laboratorium. Na zapleczu Bundesligi piłkarki łączą sport z pracą. Dla mnie była to dodatkowa okazja, żeby nauczyć się języka w praktyce. Tu zresztą też panowała świetna atmosfera, mimo odpowiedzialnych zadań, które musiałyśmy wykonywać w ramach swoich obowiązków. Przeżenieliśmy pracowników. Nawet gdy dowiedzieli się, że drużyna wyprawia mi pożegnanie przed przejściem do SC Sand i następnego dnia będę niewyspana, usłyszałam tylko: „Ale pamiętaj, że my też zrobimy ci pożegnalną imprezę!”.

Przejście do Sand przeżywałam do tego stopnia, że ryczałam na miesiąc przed odejściem. I drugi miesiąc już po przeprowadzce. Ostatni mecz był tak silnym przeżyciem, że rozklekotana chodziłam jeszcze przez kilka dni. O moim odejściu wiedziała wtedy tylko trenerka. Po ostatnim gwizdku łzy momentalnie nabiegły mi do oczu. Dziewczyny ostupiały. Aga, co ci jest? Niektóre zapewne domyśliły się, o co chodzi, reszta dowiedziała się 27 czerwca 2019 roku. Na trzy dni przed moim odejściem. Mam w telefonie zachowane wszystkie wiadomości, które wtedy od nich dostałam. Te wspomnienia mają niesamowitą moc, której nie da się porównać z medalami i pucharami.

Pewnie myślicie sobie, to po co ci to było? Skoro masz wokół siebie ludzi, których kochasz, ludzi, którzy sprawdzili się, gdy było dobrze i gdy było z tobą źle. Jaki jest sens zmieniać wszystko o sto osiemdziesiąt stopni? Pieniądze? Zupełnie nie o to chodziło. Zresztą w Cloppenburgu chcąc mnie zatrzymać, zaproponowano mi lepszy kontrakt od tego, który miałam obecnie.

Jednak zawsze lepiej patrzeć przed siebie niż za siebie. Pierwsza Bundesliga była prawdziwym wyzwaniem. Okazją, która zdarza się tylko raz. To jedyny powód, dla którego opuściłam BV Cloppenburg.

SAND

Wspominałam, że Cloppenburg jest mały. Ale co powiedzieć w takim razie o Sand, które liczy trzy tysiące mieszkańców? Jest malutkie. Ten klub cały czas zadziwia wielu kibiców, że występując w tak małej miejscowości, daje sobie




▲ Agnieszka Winczo podczas sesji reprezentacji Polski / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

radę w jednej z najlepszych lig na świecie. Niektórzy nie wyobrażają sobie tutaj życia i rezygnują z gry.

Nie ma co ukrywać, realia były dość surowe. Pamiętam, że w pobliżu stadionu mieszkał trener i trzy zawodniczki. Reszta dojeżdżała z sąsiednich wiosek. Ja na stadion miałam dwaście kilometrów. Trzy kilometry ode mnie mieszkała Patrycja Balcerzak. Z okien mojego domu widać było piękne pole kukurydzy... Pracę w laboratorium zamieniłam na pracę przy sprzedaży gotowych drewnianych domów. Drugą ligę na pierwszą. Rodzinny Cloppenburg zastąpił spokojny i cichy Sand.

W piłce nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa. Z SC Sand ruszyłam do SV Meppen w barwach którego występowałam w sezonie 2020/21. Kiedy spotkamy się następnym razem, dopiszemy zakończenie.

AGNIESZKA WINCZO przed rozpoczęciem sezonu 2020/21 zmieniła barwy klubowe i została piłkarką występującą w Bundeslidze SV Meppen, w którym występowała przez kolejny rok. Licznik występów w reprezentacji zatrzymał się na liczbie 108.




Ewa Pajor: Od łez i przerażenia po najdrożej wycenianą piłkarkę świata

AUTORKA: PAULA DUDA

Jest uznawana za najlepszą polską piłkarkę w historii, choć z takimi osądami zawsze warto być ostrożnym. Ewa Pajor, mimo że jeszcze wiele lat gry przed nią, do historii polskiej i światowej piłki już zdążyła przejść, zdobywając chociażby pięciokrotnie mistrzostwo Niemiec z VfL Wolfsburg. Patrząc na to, jak gra, można być jednak dobrej myśli i liczyć na kolejne sukcesy nie tylko w koszulce klubowej, ale i reprezentacyjnej.

Pamiętasz swój pierwszy dzień w Wolfsburgu?



– Przyjechaliśmy na dwa samochody. Rozpakowujemy torby w mieszkaniu, a tu nagle ktoś dzwoni do drzwi. Wszyscy przestraszeni, kto to może być. A tu nasza pani sąsiadka informuje nas, że zostawiłyśmy klucze z drugiej strony drzwi. Oczywiście mówiła po niemiecku i nikt początkowo nic nie zrozumiał. Porozumieliśmy się na migi. Pamiętam też, jak jechałam na pierwszy trening. Musiałam być odpowiednio wcześniej, ale wyjechaliśmy jeszcze wcześniej niż trzeba było, żeby mieć pewność, że się nie spóźnimy. Zaczęła nam szwankować nawigacja. Ja oczywiście od razu cała w stresie, spanikowana, że nie zdążę.

I zdążyłaś?

– Na szczęście tak. Na miejscu miała na mnie czekać asystentka trenera. Przychodzę cała błada do szatni, tam nikogo nie ma, a ja nie wiedziałam, gdzie iść. Zaczęłam płakać. W końcu

ta trenerka się pojawiła i zapytała, co się dzieje. A ja nie umiałam jej odpowiedzieć. Przekazałam jej więc telefon do Agaty Tarczyńskiej (wtedy zmieniającej Zagłębie Lubin na Medyka Konin – przyp. red.), która znała niemiecki. Trenerka dzwoni do niej i mówi tak: „przychodzę, Ewa płacze, a ja nie wiem, o co chodzi”. Agata jej wszystko wytłumaczyła, a trenerka zabrała mnie ze sobą i pokazała co i jak.

Dużo miałaś na początku podobnych sytuacji?

– Dużo. Na szczęście w klubie jest Polka, fizjoterapeutka, która mi bardzo pomagała. Bywały sytuacje, kiedy nie wiedziałam, o co chodzi w ćwiczeniu na boisku. Wtedy trener Ralf Kellermann zawsze wołał Ewę. Ona jednak też nie znała niektórych słów po polsku, bo mieszkała już od wielu lat w Niemczech. Dopiero dwa lata po moim przyjeździe do Wolfsburga przyznała mi się, że po treningach próbowała się podszkolić i sama nauczyć, jak mi pewne rze-



▲ Ewa Pajor w meczu z Bośnią i Hercegowiną rozegranym w 2014 roku w ramach eliminacji mistrzostw świata / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

czy wytłumaczyć po polsku. Wszyscy zresztą w klubie mówią na nią „mama Ewa”, bo jest naprawdę kochaną osobą i robi dla nas wszystko.

A koleżanki z drużyny jak cię przyjęły?

– Praktycznie za każdym razem, kiedy biegaliśmy kółka na początku treningu, przyłączała się do mnie Anna Blasse (żywa legenda VfL Wolfsburg, reprezentantka Niemiec – przyp. red.) i pytała, co u mnie, co słychać, jak się czuję. Chciała dobrze, a mnie to strasznie stresowało, bo nie umiałam języka. Zawsze więc mówiłam po prostu OK (śmiech). Ale było to bardzo miłe i pamiętam to do dziś.

Jak dużym przeskokiem był dla ciebie transfer do Wolfsburga pod kątem fizycznym?

– To było jak zderzenie ze ścianą. Czułam, że odstaję i muszę naprawdę dużo pracować, żeby dostosować się do poziomu trenin-

gów. Koleżanki były ode mnie dużo silniejsze. A jeszcze zaraz po moim przyjeździe trenowałyśmy w mniejszej grupie, bo część piłkarek przebywała na mistrzostwach świata w Kanadzie. Później przeżyłam więc ponowny stres, kiedy dołączyły do nas reprezentantki krajów. Fischer, Popp, Dickenmann, Bachmann... Mogłam się tylko od nich uczyć.

Pewnie byłaś przerażona.

– Byłam! Pamiętam, że na treningach moje piłki były celne, ale nie zawsze takie mocne, jakby życzyli sobie tego trenerzy. Ciągłe słyszałam, żeby podawać mocniej. Dzięki silnym zagranom tempo zajęć jest wysokie. Ale najgorsze były gierki cztery na cztery. Czułam się po nich naprawdę wyczerpana. Kosztowały mnie one ogromny wysiłek. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że największą różnicą między



▲ Ewa Pajor pokonuje bramkarkę reprezentacji Mołdawii w meczu eliminacji mistrzostw Europy w marcu 2020 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

ligą polską a niemiecką jest tempo treningów i, co za tym idzie, meczów. To był okres przygotowawczy, miałyśmy wtedy po dwa treningi dziennie. Wracałam do domu po pierwszych zajęciach, kładłam się spać i szłam na drugie. Na szczęście wtedy mieszkała ze mną moja siostra Paulina i przygotowywała mi obiady. Wyjechała ze mną, nie mając pracy ani nie znając języka. Jestem jej za to bardzo wdzięczna. Dziękuję jej za to, co dla mnie zrobiła i robi nadal. Zawsze mogę na nią liczyć. Ułożyła sobie w Wolfsburgu życie, z czego się bardzo cieszę. Niezmiernie ważne jest też to, jaką opieką otaczają mnie moje wszystkie siostry, brat i oczywiście rodzice.

A potem przyszła liga. To był dla ciebie szok, że nie grasz?

– Po pierwszych tygodniach zdawałam sobie sprawę z tego, że na razie nie będę brana pod uwagę przy ustalaniu pierwszego składu, a może i nawet kadry meczowej. Poziom był naprawdę wysoki. Byłam świadoma tego, że muszę ciężko pracować. Rozumiałam, że potrzebuję czasu. Z czasem szło mi coraz lepiej, a koleżanki z drużyny motywowały, że na pewno wkrótce dostanę szansę.

Docierały do ciebie złośliwe komentarze z Polski? „Wyjechała i nie gra” – mówili.

– Szczerze mówiąc, tu w Wolfsburgu nie słyszałam ani nie czytałam takich komentarzy. Nie obchodziło mnie, co mówią i piszą o mnie. Więcej tego typu opinii docierało do mnie, kiedy przyjeżdżałam na zgrupowania repre-

zentacji. Ludzie mówili, że powinnam zacząć grać, że chyba zrobiłam błąd. Ale ja się tym nie przejmowałam. Byłam skoncentrowana na swoich celach. Zdawałam sobie sprawę, gdzie trafiłam. Miałam zaufanie do trenera Ralfa Kellermanna, który dokładnie wiedział, kiedy dać mi szansę. Czułam, że Wolfsburg to dla mnie idealny klub i że tu mogę się rozwinąć.

Nigdy nie pojawił się temat odejścia albo wypłyścia do innego klubu?

– W pewnym momencie czułam, że jestem już gotowa, aby grać. Nadal jednak nie dostawałam zbyt wielu szans. Wchodziłam jedynie na końcówki meczów, a to było dla mnie za mało. Wtedy zdecydowałam, że porozmawiam z trenerem i zapytam go, jak on to wszystko widzi. Nie lubię tak robić, raz w życiu mi się to zdarzyło. Długo do tej decyzji dojrzywałam. Nagle taka cicha i spokojna osoba pokazała drugie oblicze. Ostatecznie trener powiedział, że się cieszy, że do niego przyszłam, że widać, że mi zależy. Odebrał to pozytywnie. Uspokoił, że on też widzi, że jestem już gotowa, ale poprosił jeszcze o chwilę cierpliwości. Potem zaczęłam faktycznie więcej grać. Tak się złożyło, że ta moja rozmowa zbiegła się z momentem, w którym sztab szkoleniowy chciał mi dawać więcej szans.

A w międzyczasie pojawiły się jeszcze różne kłopoty zdrowotne.

– Miałam niedobór żelaza. Wróciłam do Wolfsburga po wakacjach, zaczęłyśmy okres przygotowawczy, a ja nagle nie miałam siły biegać. Wystali mnie na badania.

Miałś wcześniej z tym problemy?

– Nie. Wydaje mi się, że to wynikało z mojego stylu odżywiania, kiedy mieszkałam w bursie w Koninie. Po przyjeździe do Niemiec też na początku nie byłam jeszcze taka świadoma, jeśli chodzi o dietę. A doszły ciężkie treningi, przy których trzeba bardzo dbać o to, co się je. Organizm się więc zbuntował. Miałam takie braki żelaza, że musiałam zrobić ponad miesięczną przerwę od piłki. Wtedy zaczęłam interesować się tematem diet sportowców, czytać o tym. Inspirowałam się tym, co jedzą Cristiano Ronaldo czy Robert Lewandowski oraz radziłam się różnych dietetyków. Teraz uwielbiam się tym zajmować. Już kładąc się spać, myślę o tym, co zjem następnego dnia. Lubię jeść zdrowo, bo to daje efekty i ma naprawdę duży wpływ na to, jak się funkcjonuje.

Później przeszłaś jeszcze dwie operacje oczu.

– Już w Koninie wykryto u mnie wadę wzroku, nakazano nosić specjalne soczewki, ale tematu nie drążono. W Wolfsburgu przy rutynowanych badaniach okazało się, że z moim wzrokiem jest coraz gorzej. Znowu przepisano mi soczewki, ale nie widziałam przez nie lepiej. Poza tym przeszkadzały mi w grze. Klubowi zależało, żeby wyjaśnić ten problem. W końcu trafiłam do najlepszej specjalistki w mieście. Zdiagnozowała u mnie stożek rogówki. Musiałam

przejsć dwie operacje, żeby zatrzymać rozwój tej choroby. Jestem do tej pory pod jej opieką. Ciągłe mi zmienia soczewki tak, żebym dobrze widziała i żeby mi było wygodnie.

Tak szczerze – ile razy w tym okresie chciałaś wrócić do Polski?

– Nie myślałam o powrocie do Polski. Chciałam tu zostać, trenować, walczyć o swoje i to się nie zmieniło do dziś. Z tygodnia na tydzień dostrzegałam efekty swojej ciężkiej pracy i to mnie napędzało. Nie było łatwo, ale zdawałam sobie sprawę, że to jeden z najlepszych klubów na świecie, że dano mi tu szansę. Wolfsburg zaufał mi, a ja jemu. Jestem wdzięczna trenerowi Ralfowi Kellermannowi za to, jak mną pokierował. Nie rzucił mnie od razu na głęboką wodę, bo być może wtedy bym się zniechęciła. Dał mi czas. Począł, aż będę naprawdę gotowa. Miałam szczęście, że trafiłam pod takie skrzydła i byłam pod opieką jednego z najlepszych trenerów na świecie.

Dzisiaj masz na koncie pięć mistrzostw Niemiec, siedem Pucharów Niemiec, trzy finały Ligi Mistrzyń, tytuł królowej strzelczyń Bundesligi. Brakuje ci jeszcze wygranej w Champions League?

– Nie myślę o tym w ten sposób, że brakuje mi tylko tego i jak to osiągnę, to będę szczęśliwa i spełniona. Wiadomo, że Liga Mistrzyń to wyjątk-



▲ Starcie z Wendie Renard w finale Ligi Mistrzyń w 2018 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

kowe rozgrywki, ale nie skupiam się na nich. Do każdego meczu pochodzę tak samo, każdy chce wygrać. Nie wybiegam w przyszłość za daleko, koncentruję się na najbliższym spotkaniu.

Kluby się o ciebie biją, podobno jakiś czas temu mocno interesowały się tobą zespoły amerykańskiej ligi zawodowej NWSL, a ty przedłużyłaś kontrakt z Wolfsburgiem do 2025 roku. Wyobrażasz sobie w ogóle siebie w innych barwach?

– Myślę tylko o tym, żeby dać z siebie to, co najlepsze, dla tej drużyny. Mamy świetny zespół i widzę się dalej tutaj. Ten klub mocno postawił na mnie. Czuję się tu bardzo dobrze.

Myślisz, że to wszystko, co się wokół ciebie dzieje, w jakiś sposób cię zmieniło? Czy jesteś dokładnie tą samą osobą, co w czasach gry w Medyku Konin?

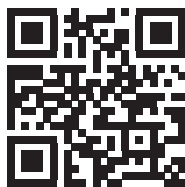
– Myślę, że dalej jestem dokładnie taką samą Ewą jak wtedy, kiedy wyjechałam z Konina.

Bycie cichym i spokojnym to w piłce wada czy zaleta?

– Nie wiem. Każdy jest inny, inaczej wychowany. Ja jestem osobą cichą, ale nigdy mi to nie przeszkadzało.



▲ Z jedną z najlepszych piłkarek świata, Martą, po meczu z Brazylią w Kielcach w 2019 roku / Fot. Paula Duda, PZPN



Obejrzyj film dokumentalny „URODZONE, BY GRAĆ” na TVP Sport. Jedną z jego bohaterek jest Ewa Pajor.

A w życiu?

– Czasem sobie myślę, że może gdybym była bardziej przebojowa, to byłoby mi łatwiej. Kiedy przyszłam do Wolfsburga, nie odzywałam się zbyt wiele w szatni. Może też dlatego trudniej szła mi nauka języka niemieckiego, a przez to komunikacja z koleżankami. Ale nie mam z tym problemu. Jestem taka i nie chciałabym być inna.

Dalej stresujesz się wywiadami?

– To zależy od tego, z kim rozmawiam, na jakie tematy i w jakiej formie. Inna jest świadomość, kiedy rozmawia się na żywo i inna, kiedy do gazety. Na Gali „Piłki Nożnej” w pewnym momencie nie mogłam z siebie wykrztusić słowa. Pozostało mi przyznać się do tego, że pojawiła się trema (śmiech). Musiałam wtedy pomyśleć o czymś innym, bo naprawdę żadne słowa mi wtedy nie chciały przyjść do głowy.

Próbowałaś nad tym pracować?

– Na finałach młodzieżowych mistrzostw Europy w 2013 roku był z nami Łukasz Wiśniowski z „Łączy nas piłka”, który powiedział mi tak: „Ewa, jesteś piłkarką i udzielanie wywiadów to część twojego zawodu, musisz to polubić”. Dało mi to do myślenia. Stwierdziłam, że może faktycznie tak trzeba. Od tamtej pory zmieniałam do tego podejście, chociaż nadal pojawia się trochę stresu.

Tvoja pierwsza trenerka w Medyku Konin, Nina Patalon, opowiadała mi, jak kiedyś na wasz trening przyjechał dziennikarz i chciał z tobą porozmawiać, a ty uciekałaś.

– Faktycznie tego nie lubiłam (śmiech). Bałam się, że coś źle powiem albo nie będę potrafiła się wystawić. Paraliżowało mnie to. Akurat tej konkretnej sytuacji nie pamiętam, ale skoro trenerka Nina tak mówi, to tak musiało być (śmiech). Poza tym to właśnie ona nauczyła nas wielu rzeczy. Była dla nas zarówno trenerką, jak i wychowawczynią. Chciała, żebyśmy nie tylko dobrze grały w piłkę, ale także umiały dobrze się wypowiadać i miały wiedzę. Pamiętam, jak nam robiła kartkówki z pytaniami typu ile metrów ma boisko piłkarskie.

Tymczasem mało kto wie, ale w szatni reprezentacji Polski po wygranych meczach to ty zawsze zaczynasz śpiewać „Nie poddawaj się ukochana ma...” – pamiętasz, jak to się zaczęło?



▲ Ewa Pajor podczas sesji zdjęciowej reprezentacji Polski / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

- Jeszcze jak nie miałyśmy stałej przyśpiewki, to po zwycięstwach zaczynałam krzyczeć „kto wygrał mecz”. Aż pewnego dnia zagadnął mnie nasz ówczesny kierownik, Maciek Szczodrowski i zaproponował, żeby zaśpiewać to. Przyjęło się. Zresztą od zawsze lubiłam śpiewać po wygranych meczach. Po to w końcu gramy, żeby wygrywać, a potem się z tego cieszyć. W kadrze młodzieżowej śpiewanie rozpoczęliśmy razem z „Kamykiem” (Ewelina Kamczyk – przyp. red.) i tak nam to zostało do dziś.

Co ty byś robiła, gdybyś nie grała w piłkę?

- Nie wiem. Piłka towarzyszyła mi od zawsze. Miałam szczęście do ludzi, na których trafiłam na swojej drodze i którym bardzo dziękuję. Najpierw to był mój pierwszy trener Piotr Kozłowski, który mnie woził do Konina na każdy mecz. Moi rodzice prowadzili dużą gospodarkę i nie mieli niestety na to czasu. Ale nigdy nie byli przeciwni mojej pasji i wspierali mnie w tym, że chcę się całkowicie poświęcić piłce. Potem w Medyku trener Nina Patalon i Roman Jaszczak, którzy chcieli, żebym się rozwija-

ła. W Niemczech ponownie otoczyli mnie dobrzy ludzie. Równie istotną rolę odgrywa mój menedżer, z którym świadomie wybraliśmy właśnie Wolfsburg. To wszystko plus pracowitość i cierpliwość są kluczami do sukcesu. I nie można się nigdy za szybko poddawać.

EWA PAJOR dzięki klauzuli odstępnego w wysokości jednego miliona euro w umowie z VfL Wolfsburg, podpisanej w kwietniu 2020 roku, stała się najwyżej wycenianą piłkarką na świecie. W barwach „Wilczyc” pięciokrotnie wywalczyła mistrzostwo Niemiec, siedmiokrotnie Puchar Niemiec i trzykrotnie awansowała do finału Ligi Mistrzyń. W sezonie 2018/2019 została królową strzelczyń Bundesligi z dorobkiem 24 goli w 19 meczach. Mistrzyni Europy z reprezentacją Polski do lat 17 z 2013 roku i najlepsza piłkarka turnieju finałowego wg UEFA. Dla kobiecej reprezentacji Polski znaczy tyle, ile Robert Lewandowski dla kadry męskiej.



Katarzyna Kiedrzynek: Kiedyś zagramy na Narodowym!

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Każda dyscyplina sportu potrzebuje swoich bohaterów. Jeśli chodzi o Katarzynę Kiedrzynek, to zawodniczka reprezentacji Polski rolę ikony ma już dobrze opanowaną. Przez siedem lat gry w Paris Saint-Germain stała się idolką jego kibiców, a ich wielkiej sympatii do pochodzącej z Lublina bramkarki nie osłabiło nawet jej odejście do Wolfsburga. O ile w piłce klubowej Kiedrzynek bywała i pewnie bywać jeszcze długo będzie na samych szczytach, o tyle występy z orzełkiem na koszulce dalej są wyzwaniem. Polki cały czas czekają na pierwszy awans do finałów wielkiej imprezy i miejmy nadzieję, że dokonają tego z Kasią Kiedrzynek w bramce drużyny narodowej.

Patrząc na to, jak wyglądał kobiecy futbol jeszcze kilkanaście lat temu, można się chyba było dwa razy zastanowić, zanim kopnęło się piłkę.

– Kiedy zaczynałam grać, w ogóle o tym nie myślałam. Na samym początku musiałam wybierać między piłką nożną a ręczną, ale nie była to trudna decyzja. Wychodzisz na boisko, bo to po prostu kochasz. Ale potem, grając coraz dłużej, dowiadujesz się, jak wyglądała reprezentacja, zanim do niej trafiłaś. Cóż mogę powiedzieć? Polki to silne kobiety, któ-



▲ Katarzyna Kiedrzynek na treningu reprezentacji Polski w 2018 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

re nie boją się spełniać swoich marzeń i zapewniam, że to ani trochę się nie zmieniło. Zmieniły się pewnie tylko same marzenia. Kiedyś już sama możliwość gry w reprezentacji była sukcesem. Teraz jesteśmy w innym miejscu i na pewno w lepszej sytuacji. Wiemy, jak było i doceniamy to, co jest teraz. To być może banalne, ale naprawdę możemy skupić się wyłącznie na grze. Jeśli wyjdziemy na boisko i zrobimy, co do nas należy, to marzenia będą na wyciągnięcie ręki. Mogę powiedzieć, że drużyna jest gotowa na kolejny etap. Mamy zgrany zespół, dobrze się rozumiemy. Mocno wierzę, że uda nam się awansować. To na razie moje jedyne marzenie. A jak już awansujemy, to pewnie pomarzymy o czymś jeszcze!

**Polska jest dobrym miejscem dla piłkarek? Cza-
sem można odnieść wrażenie, że u nas mężczyźni
traktują futbol jako sport wyłącznie dla nich.**

– Nie powiedziałabym, że w Polsce nie ma klimatu do gry w piłkę dla kobiet. Oczywiście są obszary, nad którymi musimy pracować, bo jesteśmy daleko w tyle, ale w dobrym tempie skracamy dystans. Wiele z nas wyjechało do mocnych klubów za granicą. Z czasem pewnie

te męczące porównania piłkarzy do piłkarek się znużą. Zresztą to ograny temat w wielu miejscach na świecie. Tak jak dziś nikomu nie przychodzi porównywanie koszykarek do koszykarzy czy siatkarek do siatkarzy, tak i ta kwestia kiedyś przestanie kogokolwiek interesować. Podobnie jak zwracanie przesadnej uwagi na błędy i kiksy. Szczerze mówiąc, dawno się na to uodporniłam i jestem pewna, że zdecydowana większość piłkarek nie zwraca uwagi na złośliwości. Wspominałam już, kobiety są silne. A w Polsce... bardzo silne.

To czego konkretnie nam brakuje? Gdzie musimy się poprawić?

– Przede wszystkim potrzebujemy jeszcze większej grupy ludzi, którzy nowocześnie pokierują kobiecym futbolem. Jeśli tacy ludzie znajdą się na odpowiednich stanowiskach, to pchną tę dyscyplinę jeszcze bardziej do przodu, a odczujemy to i my, i pewnie bardziej następne pokolenia. Początek został zrobiony. Mamy wsparcie ze strony związku, a widać to chociażby pod względem transmisji naszych spotkań i nie mówię tu tylko o pierwszej reprezentacji, ale i o spotkaniach ligowych. Zwróćcie

uwagę na ich oglądalność. Jest bardzo dobra i to jest duży plus. To jest sukces całego piłkarskiego środowiska.

Czasem po meczu kadry padnie w mixed zone pytanie o plany na Dzień Kobiet. Media być może jeszcze nie nadążają za rosnącą popularnością kobiecego futbolu.

– To cena, którą jestem w stanie zapłacić. A na tego typu, powiedzmy sobie wprost, pytania z kosmosu mam zawsze przygotowaną zdawkową odpowiedź i chwilę później zapominam o całej sprawie. Budowanie popularności każdej dyscypliny to długotrwały proces. Wierzę, że dzięki zaangażowaniu mediów pojawi się z czasem więcej osób na naszych meczach, a pewnie i redakcje poszukują ciekawych ekspertów do oceny naszej gry. Wracając do tego dnia kobiet. Szczerze, dowiedziałam się, że wypada on nazajutrz po naszym meczu, właśnie w strefie medialnej. Byłam tak skupiona na grze z Mołdawią, że po prostu zapominałam, że coś takiego istnieje.



▲ W objęciach ojca po finale Ligi Mistrzyń / Fot. Paula Duda, PZPN



▲ W meczu reprezentacji Polski ze Słowacją w 2014 roku / Fot. Michał Stańczyk, PZPN

Byłaś typem kapitana, który idąc na mecz, zabierał ze sobą topór, czy po prostu się z nim nie rozstawałaś?

– Przede wszystkim zawsze zdawałam sobie sprawę z roli, jaka mi przypadła, i wiercie mi, ta opaska bardzo dużo dla mnie znaczyła i bardzo dużo ważyła. Jeśli byłaby taka potrzeba, skończyłabym za drużyną w ogień, o ile to w jakimś stopniu miałyby to jej pomóc. Zresztą, zdarzało mi się nieraz w dość jasny sposób wyartykułować nasze potrzeby. Chciałam, żeby ta reprezentacja miała wszystko, na co zasługuje, więc jeśli cokolwiek zależało w tej kwestii ode mnie, to nigdy nie bałam się działać. Tylko, czy ja wiem, czy było w tym cokolwiek wyjątkowego? Każdy kapitan każdej drużyny na świecie powinien odpowiedzieć tak samo. Zakodowałam sobie w głowie, że bycie kapitanem to jedna z najważniejszych ról, jaka została mi dana, i chciałam ją wypełnić, jak najlepiej potrafiłam.

Ale pewnie nie każdy kapitan na świecie jest tak wyrazisty. Przed tobą jeszcze sporo grania, ale w piłce widziałas już wszystko. Były i wielkie mecze i, nie bójmy się tego, trudne decyzje, bo przecież zrezygnowałaś kiedyś z gry w kadrze.

– Wszystko na pewno zostaje, gdzieś z tyłu głowy, ale staram się nie skupiać na tym, co jest już daleko w tyle. Wiadomo, takich historii jak finał Ligi Mistrzyń w Cardiff nie da się zapomnieć. Grasz w finale, nie trafiasz decydującego karnego i ciągnie się to za tobą przez lata. Pierwsze dni były bardzo ciężkie, ale wyciągnęłam z tego cenną lekcję i dziś men-



▲ Przed meczem reprezentacji z Mołdawią w 2016 roku
/ Fot. Łukasz Grochala, PZPN

talnie jestem dużo silniejszą zawodniczką niż kiedyś. Sukcesy i porażki zostają na zawsze. Ludzie do nich wracają, nie pozwalają ci zapomnieć. Najprościej byłoby powiedzieć, że nie ma co się oglądać za siebie, ale życie jest takie, że raz na jakiś czas odwrócisz głowę. Ważne, aby iść do przodu i nie tracić czasu na to, czego już się nie zmieni. Reprezentacja jest tego najlepszym przykładem. Jestem w niej po to, aby pomóc w historycznym awansie na finał wielkiej imprezy. I tu akurat skupiam się wyłącznie na tym.

I idziesz do przodu z Wolfsburgiem. Zostawiłaś Paryż i ciężko w to uwierzyć, że już o nim nie myślisz.

– No pewnie, że myślę. Zostawiłam tam kawał życia. Jestem przekonana i zdania łatwo nie zmienię, że w Paryżu są najlepsi kibice w kobiecym futbolu na całym świecie. Zamieniłam Francję na Niemcy, wielkie miasto na nieco mniejsze, ale najważniejsza w tym wszystkich tak naprawdę pozostaje piłka.

Zaczęliśmy rozmowę od marzeń, czy może bardziej planów związanych z kadrą. Tyle że poru-

zyliśmy raczej te krótkoterminowe, a co w dalszej perspektywie?

– Chciałabym, żeby piłkarska reprezentacja kobiet zagrała przy komplecie publiczności na Stadionie Narodowym. A jaka to perspektywa? Nie powiem, że chcę doczekać takiego czasu w bujanym fotelu. Nic z tych rzeczy. Ja po prostu chcę tam zagrać.

KATARZYNA KIEDRZYNEK jest bramkarką reprezentacji Polski. Od sezonu 2020/21 broni barw mistrzyń Niemiec, VfL Wolfsburg. Wcześniej przez siedem lat związana była z Paris Saint-Germain, z którym w 2015 roku jako pierwsza Polka wystąpiła w finale Ligi Mistrzyń. Później wystąpiła tam dwa lata później. Trzykrotnie wybierana najlepszą bramkarką ligi francuskiej. Czterokrotnie wybierana do jedenastki sezonu tych rozgrywek. Uznana przez Światowy Związek Piłkarzy i Piłkarek za trzecią najlepszą bramkarkę na świecie w 2016 roku. Jest wychowanką Motoru Lublin, z którego trafiła do Górnika Łęczna.

Reprezentacja Polski kobiet na 100-lecie PZPN

Z okazji 100-lecia Polskiego Związku Piłki Nożnej w porozumieniu z byłymi selekcjonerami oraz ekspertami wybrano najlepszą kobiecą jedenastkę. Nie było to łatwe zadanie, bo mimo niecałych czterech dekad na kartach historii zapisało się wiele fantastycznych zawodniczek, które zrobiły międzynarodowe kariery.



Komisja postanowiła ponadto wyróżnić następujące zawodniczki:

Lidia Wypych, Agnieszka Śmiechowska (Gajdecka), Jolanta Cubąta, Agnieszka Drozdowska, Anna Kijas, Aleksandra Rompa (Sikora), Teresa Puk, Marta Stobba, Mariola Silwończyk, Zofia Klim, Agnieszka Leonowicz, Anna Żelazko, Agnieszka Winczo, Anna Gawrońska, Irena Mikołajczyk, Katarzyna Jendryczko, Justyna Nazarczyk, Małgorzata Gospodarczyk.

W skład komisji weszli:

Byli selekcjonerzy reprezentacji Polski kobiet: Władysław Szyngiera, Józef Kopeć, Jerzy Miedziński, Leszek Baczyński, Janusz Stępczak, Robert Góralczyk, Roman Jaszczak, Wojciech Basiuk; oraz dziennikarze i eksperci zajmujący się piłką nożną kobiet: Joanna Tokarska, Michał Zawacki, Hanna Urbaniak.



Rozdział II

JESTEŚCIE REPREZENTACJĄ POLSKI!

Początek

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Przed nami historia kobiecej piłki w Polsce. Mimo że dość krótka, bo tak naprawdę mająca swój początek w połowie lat siedemdziesiątych minionego wieku, to niesłychanie wręcz fascynująca, kryjąca wiele zagadek. W przeciwieństwie do męskiego grania, wciąż w wielu miejscach nieodkryta i niezbadana. Poznacie losy tych, którzy kobiecy futbol tworzyli od samego początku aż do teraz. Faktem jest, że polska reprezentacja ani razu nie zagrała na wielkiej piłkarskiej imprezie. Nie było jej ani na mistrzostwach świata, ani na mistrzostwach Europy, ani na igrzyskach olimpijskich, choć uzdolnionych zawodniczek nigdy nie brakowało. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie będzie zdecydowanie łatwiejsza po lekturze tej książki. Jesteśmy też przekonani, że przed kobiecym futbolem są teraz zdecydowanie lepsze czasy.

Nie jesteśmy jeszcze u celu. Przed nami sporo pracy do wykonania, której ukoronowaniem będzie awans na finały mistrzostw Europy lub mistrzostw świata. Zanim jednak Polki spełnią swoje marzenia i pociągną za sobą tłumy młodych piłkarek, przekonajmy się jak wiele czasu zajęło im dotarcie do miejsca, w którym się obecnie znajdują.



▲ *Training reprezentacji Polski w Katanii przed pierwszym oficjalnym meczem w historii w 1981 roku / Arch. prywatne Zofii Klim*

Najstarsze ślady gry pań w piłkę nożną prowadzą do Poznania, gdzie w 1921 roku pojawił się pierwszy klub piłkarstwa kobiecego. Unia szybko znalazła naśladowców i rok później swoją sekcją mogła pochwalić się Zorza Poznań. Mało natomiast prawdopodobne, że to właśnie te dwa zespoły rozegrały pierwszy w historii mecz piłkarski kobiet. Artur Kita w swojej książce zatytułowanej „Geneza i rozwój piłki nożnej kobiet w Polsce do 2010 roku”, powołując się na „Sport Polski”, zamieścił informację, że Unia wybiegła na boisko już w październiku 1921, rozgrywając swój pierwszy mecz z „żeńską drużyną gdańską”. Jej nazwa do dziś pozostaje zagadką.

ZAKAZ GRY W PIŁKĘ NOŻNĄ

Popularność kobiecego futbolu przybrała na sile pod koniec lat pięćdziesiątych minionego stulecia, jednak zapał piłkarek gaszony był przez pseudonaukowe wywody zamieszczane w gazetach. Przykładem tego może być mecz Ślęzy Wrocław z Koroną Kraków z 1957 roku. Co ciekawe, we Wrocławiu, który przez lata był najważniejszym punktem na mapie polskiego futbolu, to nie Pafawag i AZS Wrocław (obec-

nie Śląsk) dały początek tej dyscyplinie sportu. Pierwsza była Ślęza i zespół, który na prośbę kilkunastu entuzjastek futbolu stworzył Mieczysław Jednoróg wraz ze swoją żoną, której przypadła funkcja kierowniczkii drużyny. Porażkę gospodyń 0:1 na Stadionie Olimpijskim oglądało około dziesięciu tysięcy kibiców. Wrocławianki tak szybko, jak pojawiły się na boisku, tak szybko z niego zniknęły. Dlaczego tak się stało? Przyjrzyjmy się prasie z tamtego okresu.

„Nazwaliśmy mecze piłkarek Ślęzy cyrkiem dlatego, że uważaliśmy i uważamy w dalszym ciągu, że nie mają one nic wspólnego ze sportem.” („Chcecie kopać, to kopcie”, J. Miech, „Gazeta Robotnicza”, 28 listopada 1957 r.)

„Moim zdaniem, a rozpatruję to zagadnienie z punktu widzenia medycyny, sprawa jest prosta: kobiety nie uprawiają skoków narciarskich, nie skaczą o tyczce, nie boksują i nie powinny z wielu względów uprawiać piłki nożnej. Piłka nożna wymaga bądź co bądź dużego wysiłku, najczęściej przekraczającego możliwości kobiecego

organizmu. Przecież kobiety nie biegają na dłuższe dystanse niż 800 metrów (...). Kobiety mają tak zwaną wiotkość stawów. To właśnie usposabia je do wszelkiego rodzaju urazów, jak łątkotki, czy wykręcenia stawów. Przy silnych wstrząsach, czy szybkich nagłych zwrotach występuje u kobiet przekrwienie narządów rodnych. Przyjmowanie piłki na piersi, co często stosowane jest przez piłkarzy, może spowodować poważne choroby, nawet raka". (Wypowiedź doktora Sidorowicza pochodząca z artykułu J. Miecha pt. „Skończyć z tym cyrkiem”, „Gazeta Robotnicza”, 13 listopada 1957 r.).

Jak czas pokazał, jesienią 1957 roku, to piłkarce Ślący miały rację. Były to bramkarka Alina Matiasz i zawodniczki z pola: Danuta Talaba, Bronisława Mauer, Leontyna Bagińska, Anna Grzanecka, Elżbieta Nowak, Nadzieja Wichrowska, Teresa Matyszczak, Krystyna Koneczna, Jolanta Ordon i Teresa Hajnus. To im po wielu latach historia przyznała rację. Piłka nie jest wyłącznie męskim zajęciem. Nie powoduje raka. Powinna dawać radość każdemu, kto chce ją uprawiać.

Przykład Ślący pokazuje, jakie było wówczas nastawienie do piłki w wydaniu pań. Z podobną nieprzychylnością mierzyły się też ekipy Kolejarka Katowice, Kolejarka Opole, wspomnianej Korony czy też Czarnych Szczecin. Co ciekawe, w latach pięćdziesiątych, krótko, bo krótko, swoje żeńskie drużyny miały też Widzew Łódź i Polonia Warszawa. Za pierwszy rozegrany po wojnie mecz piłkarski kobiecych klubów uznaje się spotkanie z sierpnia 1957 roku Czarnych Szczecin z Kolejarką Katowice zakończone zwycięstwem zawodniczek z Górnego Śląska 4:0. Pierwszą piłkarką Czarnych była Stefania Trybuch, która wcześniej broniła klubowych barw w sekcji lekkoatletycznej. To ona namówiła inne koleżanki, aby zaczęły kopać piłkę. Mecz mimo fatalnych warunków atmosferycznych obejrzało ponad piętnaście tysięcy widzów. Grę uwieczniła na taśmie Polska Kronika Filmowa, a skrót spotkania wyświetlany był w szczecińskich kinach. Jednak i tu piłkarki musiały mierzyć się z frontalną krytyką w mediach. Szczególnie mocno dostało się Zdzisławie Majewskiej, która zamiast walczyć o kwalifikację olimpijską w lekkiej atletyce, wybrała mecz Czarnych z Widzewem Łódź.

Dopóki jednak ograniczano się do bełkotliwych tez stawianych w gazetach, nie działo się w sumie nic, co mogło skutecznie odciągać kobiety od futbolu. Jednak już pod koniec 1957 roku Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej

w Katowicach w piśmie wystosowanym do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, domagał się wydania zakazu organizowania meczów piłkarskich z udziałem kobiet. Piłka nożna miała być sportem zarezerwowanym dla mężczyzn. Fakt, że na mecze pań przychodziły tłumy kibiców, nie miał większego znaczenia dla błędnie patrzących na futbol działaczy sportowych. Trudno dziś przyłożyć miarę do zniszczeń, jakie wywoływały szowinistyczne, oparte na wymyślonych teoriach decyzje, które zahamowały rozwój kobiecej piłki. Bezsporne jest, że do futbolu garnęto się mnóstwo kobiet i dziewcząt. Często tak jak w przypadku lekkoatletki Czarnych czy innej biegaczki Elżbiety Jakubowskiej grającej w Widzewie można było liczyć, że z młodych pasjonatek wyrosną futbolistki reprezentacyjnego formatu. Nic takiego jednak nie miało szans się wydarzyć. Reprezentacja Polski kobiet z kapitanką Zofią Klim zadebiutowała dopiero na początku lat osiemdziesiątych. Znacznie później niż w wielu europejskich krajach. Znacznie później niż powinna.

NA ŚWIECIE JUŻ GRAJĄ

Kiedy w Polsce redaktor Miech z uporem godnym lepszej sprawy walczył z zawodniczkami Ślący, w tym samym czasie w nieoficjalnym meczu zadebiutowała piłkarska reprezentacja RFN. Jej rywalkami były Holenderki. Jednak abyśmy nie żyli w mylnym przekonaniu, że piłkarstwo kobiece zwalczane było wyłącznie w Polsce, dodajmy, że zgody na przeprowadzenie tego spotkania nie wydały władze niemieckiej federacji, które opierając się na opiniach lekarskich, uznały piłkę nożną za sport niebezpieczny dla kobiet.



▲ Reprezentacja Polski po treningu na stadionie w Katanii / Arch. prywatne Zofii Klim

► *Ligowe początki piłki nożnej kobiet w Polsce*
/ Arch. Checzy Gdynia

W latach sześćdziesiątych o mistrzostwo kraju rywalizowano już z powodzeniem w Czechosłowacji. Tworzyły się kluby w Austrii, Francji i krajach skandynawskich. W 1969 roku szesnaście włoskich klubów utworzyło kobiecą federację piłkarską, a czterdzieści cztery kluby angielskie powołały takie same struktury na Wyspach, gdzie dodajmy, przez pięćdziesiąt lat istniał zakaz uprawiania tej dyscypliny sportu dla pań. Z kolei na początku lat siedemdziesiątych będący pod wielkim wrażeniem gry Claudine Vidal urugwajscy kibice żądali od tamtejszej federacji powołania jej... do męskiej reprezentacji. Na ten temat przetoczyła się ogólnonarodowa dyskusja. W 1971 roku w Meksyku zorganizowano po raz pierwszy pod nazwą „Mundialito” nieoficjalne mistrzostwa świata. W Polsce w latach siedemdziesiątych futbol wśród pań znów się odrodził. Tym razem, na szczęście, już nie udało się go zatrzymać.

PROMETEJ I MORS

Ósmego marca 1970 roku, a więc w Dniu Kobiet, w Rzeszowie zorganizowano pierwszy oficjalny turniej halowy dla kobiet. W rywalizacji wzięły udział studentki, uczennice szkół wyższych i pracowniczki tamtejszych zakładów produkcyjnych i fabryk. Dwa lata później w tym samym mieście odbył się już turniej międzynarodowy zwany „Pucharem Prometeja”. Nazwa wzięta się od czasopisma studenckiego „Prometej”. Pierwszymi triumfatorkami były piłkarki Dukli Preszów, a w imprezie uczestniczyły też reprezentacje Krakowa, Rzeszowa i przemianowana na zespół „Expressu Wieczornego”, Varsovia. Turniej odbywał się z powodzeniem aż do 1981 roku.

Mecze organizowano też w Warszawie, Gdańsku i Szczecinie. W szczecińskim TKKF Mors odbywały się regularne treningi piłkarskie dla dziewcząt. To właśnie tamtejsza drużyna, ze względu na olbrzymie kłopoty ze



znalezieniem sparingpartnerek w Polsce, po raz pierwszy wzięła udział w turnieju zagranicznym. 12 kwietnia 1972 roku Polki zwyciężyły w enerdowskim Passewalku, pokonując dwa amatorskie kluby ze wschodnich Niemiec. W tamtych czasach w futbol postanowiła zagrać także... drużyna szczypiornistek Pogoni Szczecin. Na ich mecz z kobiecą reprezentacją miasta przyszło aż siedem tysięcy kibiców. Dochód ze sprzedaży biletów przekazano na zakup strojów sportowych dla rywalek Portowców.

W 1974 roku na mistrzostwach świata w Niemczech wystąpiła reprezentacja Polski pod wodzą Kazimierza Górskiego. Po mundialu nie było już żadnej siły mogącej zatrzymać popularność futbolu, zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Redakcje wielu gazet zasypywane były listami od chcących grać w piłkę dziewcząt. Jeden z takich listów trafił do redakcji „Wiadomości Zagłębia”. Dał on początek najbardziej utytułowanemu zespołowi w historii kobiecego futbolu. O Czarnych Sosnowiec głośno zrobi się jednak kilka lat później. Lata osiemdziesiąte XX wieku należeć będą bezsprzecznie do piłkarek z Zagłębia Dąbrowskiego.

Mnóstwo ciekawych informacji dotyczących nie tylko początków kobiecego futbolu można znaleźć w książce Artura Kity – „Geneza i rozwój piłki nożnej kobiet w Polsce do 2010 roku” (Wydawnictwo Drukpol, Tarnowskie Góry 2014).



Jesteście reprezentacją Polski!

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Nie było jeszcze koszulek z orzełkiem, ale hymny odegrano zgodnie z obowiązującym protokołem. Naprzeciw siebie stanęły reprezentacje Polski i Włoch, choć jeszcze na kilka dni przed meczem w ogóle nie wiadomo było, czy do niego dojdzie. 27 czerwca 1981 roku przeszedł jednak do historii polskiego futbolu. Wtedy to na Stadio Cibali w Katanii zadebiutowała piłkarska reprezentacja kobiet.*

Powiedzieć, że droga do tego spotkania nie była usłana różami, to tak jakby nic nie powiedzieć. Ostateczną decyzję o wylocie do Włoch podjęto na dzień przed zbiórką zaplanowaną na Dworcu Centralnym na godzinę dwudziestą w czwartek 25 czerwca. – Gdy przyjechaliśmy do Warszawy, okazało się, że brakuje miejsc do spania. W ostatniej chwili udało się załatwić pokoje u tówców zagranicznych turystów na warszawskim Okęciu – mówi Zofia Klim, kapitanka zespołu. Z kolei Tadeusz Maślak, któremu przypadł zaszczyt poprowadzenia zespołu narodowego w jego debiucie, przyznał na łamach „Wiadomości Zagłębia”, że „trzeba było spędzić noc pod chmurką.” (nr 28 [1318], 10 lipca 1981 r.)

KATANIA

Brak sprzętu odczuwalny był na każdym kroku. Polki trenowały w tym, co miały pod ręką. Na ich wyjazd, którego wszelkie koszty pokrywała, dodajmy, strona włoska, długo nie chciał wyrazić zgody Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu. Aby kadrowiczki wyglądały jak drużyna, z Czarnych Sosnowiec pożyczono ciemnoniebieskie dresy. Koszulki narodowe udawały trykoty meczowe Zagłębia Sosnowiec. Charakterystyczne obrysy po odrpniętych herbach klubowych są zresztą doskonale widoczne na zdjęciach. Choć włoska prasa twierdziła, że biało-czerwone stać na sprawienie w tym meczu niespodzianki, a w zespole jest wiele wartościowych zawodniczek, to murowanymi faworytkami były gospodynie, które pokonały niedawno silną reprezentację Hiszpanii 3:1.



▲ Reprezentacja Polski w Kamieniu koło Rybnika, czerwiec 1986 r. Górny rząd (od lewej): Józef Kopeć (trener), Jolanta Szewczyk, Lidia Wypych, Małgorzata Sondej, Teresa Puk, Jolanta Drożdż, Zbigniew Kałuża (masażysta). Środkowy rząd: Irena Póttorak (kierowniczka), Bogusława Mirek, Teresa Walczuch, Irena Mikołajczyk, Iwona Zienkiewicz, Zofia Wojtas. Dolny rząd: Zofia Klim, Jolanta Adamska, Hanna Maszyna, Marzena Jamroz, Teresa Przetacznik, Aleksandra Lesiak / Arch. prywatne Zofii Klim

Kobiece calcio narodziło się na Sardynii. Wówczas na wyspie trenowało już dwadzieścia kobiecych klubów, czyli więcej niż w całej Polsce. Piłkę nożną w Italii uprawiało ponad pięć tysięcy zawodniczek, podczas gdy nad Wisłą na siłę można by się doliczyć dwustu piłkarek. Trener Włoszek, Sergio Guenza, który wcześniej budował struktury piłkarstwa kobiecego w Lazio, a dziesięć lat po meczu w Katanii poprowadził zespół narodowy w pierwszych mistrzostwach świata, już wtedy stanowczo upominał się o równe traktowanie piłkarek i piłkarzy. „Nie jesteśmy żadną iluzją, tylko najprawdziwszą częścią włoskiego futbolu” – mówił dla włoskiej prasy w przededniu spotkania. Jednak warunki, jakimi dysponował szkolenowiec Azzurre, były o niebo lepsze od tego, na co mógł liczyć Maślak wraz ze swoim sztabem.

Włoszki wyszły na murawę w najsilniejszym składzie, jaki mógł wystawić Guenza, z największą gwiazdą Elisabetą Vignotto na środku ataku. Betty w całej swojej karierze zdobyła 107 goli w reprezentacji w 110 meczach. Dopiero w 1999 roku jej rekord poprawiła Mia Hamm. Włoska napastniczka strze-

liła także 467 goli w rozgrywkach Serie A. Potrzebowała do tego 461 gier. Mecz rozgrywano przy lejącym się z nieba żarze. Polska prasa twierdziła, że na termometrach odnotowano wtedy czterdzieści stopni Celsjusza. Nawet jeśli trochę w tym fantazji, to nietrudno przewidzieć, że zmęczone podróżą last minute biało-czerwone szybko opadną z sił. Polki uległy rywalkom 0:3, tracąc do przerwy dwa gole i pozostawiając po sobie niezłe wrażenie. Grano 2x40 minut, na stadionie pojawiło się około pięciu tysięcy kibiców. Gdy spodziewano się, że następne gry towarzyskie będą kwestią czasu, a na horyzoncie pojawiło się zaproszenie na turniej międzynarodowy do San Remo, na następny mecz Polek trzeba było czekać aż trzy lata. Nie odbył się on w San Remo, tylko w Piotrkowie Trybunalskim.

PIOTRKÓW TRYBUNALSKI, TOMASZÓW MAZOWIECKI

W 1984 roku jedynymi rywalkami Polek była reprezentacja Czechosłowacji. Zespół bardziej doświadczony, z kraju ze zdecydowanie lepiej

rozwiniętymi strukturami. Wystarczy dodać, że na południe od Polski kobiety w rozgrywkach ligowych grały już w latach sześćdziesiątych. Co ciekawe, przy okazji tego dwumeczu (drugie spotkanie rozegrano w Tomaszowie Mazowieckim), rywale namawiali kierownictwo polskiej kadry do zgłoszenia drużyny do eliminacji mistrzostw Europy, ale zamiast walki o prymat na Starym Kontynencie swoje następne mecze Polki zagrały dopiero dwa lata później. W 1986 roku zorganizowano mecz... a jakże, z Czechosłowaczkami.

12 lipca 1984 roku biało-czerwone poprowadził już nowy trener. Był nim Jerzy Pach, przez długie lata związany z krakowskim Telpodem. Początek miał piorunująco zły, bo po dwudziestu minutach przyjezdne trzykrotnie pokonywały 23-letnią bramkarkę Pafawagu Wrocław, Teresę Puk, która w drugim spotkaniu zagrała już... na stoperze. Po latach mecz ma w zasadzie tylko jeden istotny historycznie szczegół. Otóż Iwona Zienkiewicz, także z Pafawagu, strzeliła pierwszego gola w historii kobiecej reprezentacji w meczu międzynarodowym, uderzając w 37. minucie głową na bramkę. Mecz zakończył się porażką 1:4. W kolejnym było trochę lepiej, ale również trudno tu mówić o jakimkolwiek progresie. Dwa dni później sąsiadki z południa zwyciężyły 2:0, wynik ustalając do przerwy. Oba spotkania trwały po

osiemdziesiąt minut. Dodajmy, że zgrupowanie kadry narodowej zorganizowano w Polichnie, przez które wiodła trasa katowicka, potocznie nazywana „gierkówką”. Miejscu z pewnością lepiej znanym kierowcom niż kibicom i sportowcom.

KARWINA

Czechosłowacja wyrosła na etatowego rywala biało-czerwonych, na co wpływ miały głównie względy ekonomiczne. W 1986 roku Polki rozegrały tylko jedno oficjalne spotkanie. Podobnie jak rok później. Wtedy też wybrano jedynego na świecie dobrze rozpracowanego przeciwnika. Po raz trzeci natomiast zmienił się trener. Teraz misję tę zrzucano na barki Józefa Kopcia.

Istotną zmianą było przejęcie przez Polski Związek Piłki Nożnej reprezentacji i kobiecych rozgrywek ligowych. Do tej pory ośrodkiem decyzyjnym była Komisja do Spraw Piłki Nożnej Kobiet, która to zbierała się... raz do roku. Rozgrywki ligowe prowadził Okręgowy Związek Piłki Nożnej w Katowicach, a precyzując jego sosnowiecki podokrąg. W 1985 roku Maurycy Wieczorek zgłosił wniosek o włączenie piłkarstwa kobiecego w struktury PZPN, na co delegaci wyrazili zgodę. Decyzja została podjęta znacznie wcześniej, ale... zaplanowa-



▲ Zofia Klim (z prawej) z selekcjonerem reprezentacji Polski Tadeuszem Maślakiem / Arch. prywatne Zofii Klim



▲ Hymny państwowe przed meczem Włochy – Polska, 27.06.1981 r. / Arch. prywatne Zofii Klim

ne na 18 grudnia 1981 roku posiedzenie zarządu PZPN zostało odwołane ze względu na wprowadzenie przez Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego.

„Pierwszy, historyczny występ oficjalnej, kobiecej reprezentacji naszego kraju wypadł... obiecująco. Na tle Czechosłowaczek, od których jeszcze nie tak dawno temu Polki uczyły się futbolowych tajników, wybranki Józefa Kopcia zademonstrowały spore umiejętności indywidualne oraz dużą znajomość niuansów taktycznych. Nasze dziewczyny realizując od początku do końca przedmeczowe założenia trenera pokusiły się o remis. I trzeba powiedzieć, że uczyniły to w stylu, jakiego ani nikt w Czechosłowacji, ani nawet u nas w kraju się nie spodziewał. (...) Polki po utracie gola zaczęły grać coraz ambitniej. Jeszcze przed przerwą Zienkiewicz po rajdzie i dośrodkowaniu z prawej strony Miłotańczyk próbowała wyrównać, ale bramka okazała się za niska. Co się jednak nie udało w pierwszych 40 minutach, powiodło się już po zmianie stron. Tym razem nieprzepisowo zatrzymana Iwona Zienkiewicz sama wymierzyła sprawiedliwość, posyłając piłkę zza linii 16 metrów w samo okienko bramki rywalk”. („Pierwszy mecz – pierwszy sukces”, J. Dusik, „Sport”, 20 czerwca 1986 r.).

Uściślijmy tylko, że autor relacji dokonał pewnego uproszczenia. Mecz z Czeszkami był pierwszym po oficjalnym włączeniu kadry piłkarek do struktur piłkarskiej federacji.

Rok później Polki odnotowały taki sam wynik. Gola zdobyła Luiza Pendyk, która niedługo później stanie się jedną z najbardziej rozpoznawalnych polskich piłkarek. Tym samym festiwal meczów z Czechosłowacją dobiegł końca. Końca dobiegła też historia Polski Ludowej. U jej schyłku kadrowiczki spotykały się na boisku jeszcze przy okazji meczów z Bułgarią (1:2) i Węgrami (2:2).

Po rezygnacji z prowadzenia kadry przez Kopcia z zespołem senierek krótko pracowało dwóch trenerów. W 1990 roku selekcjonerem został Józef Drabicki. Po roku zastąpił go Jerzy Miedziński. Rozgrywki ligowe nadal były całkowicie amatorskie, ale możliwość wyjazdu na Zachód czołowych zawodniczek otworzyła przed reprezentacją nowe możliwości. Do silnych piłkarsko lig w Szwecji i Niemczech wyjechały Luiza Pendyk, Barbara Rembiesa czy Maria Makowska. Zofia Wojtas i Barbara Jamrozy trafiły do Cercle Brugge. Selekcjonerem biało-czerwonych został mianowany Władysław Szyngiera. Jak okazało się po latach, była to przełomowa decyzja. Szyngiera pełnił swoją funkcję przez siedem lat. W tym czasie Polki wykonały olbrzymią pracę, znacznie skracając dystans do czołowych reprezentacji Starego Kontynentu.


** Mecz z reprezentacją Włoch uznawany jest za pierwszy oficjalny występ polskiej drużyny narodowej. Nie jest jednak pierwszym spotkaniem, w którym wystąpiła reprezentacja Polski. Zespół, który wyruszył do Katanii został wyselekcjonowany po sparingu z reprezentacją Moraw, wygranym przez biało-czerwone 6:1.*



Irena Półtorak: Matka Polka

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Szukając informacji na jej temat, można trafić i na taką, że pochodziła z Lipna, „tak jak Pola Negri”, choć naprawdę urodziła się w Wildnie. Kawątek dalej, ale w sumie żadna to różnica, bo cała historia zaczyna się dobrych kilkanaście lat później w zupełnie innym miejscu. Tam, gdzie Irena Półtorak pojechała za pracą.



Nieopodal Sosnowieckiej Odlewni Staliwa Sostał mieścił się klub sportowy. Posiadał kilka sekcji. Piłkarską, bokserską, tenisa stołowego. W latach sześćdziesiątych zarządzał nim dyrektor Sostalu Maurycy Wieczorek. Jego asystentką została Irena Półtorak i to on pewnego dnia zaproponował jej opiekę nad sekcją tenisistów stołowych Czarnych Sosnowiec. W 1962 roku zaczęła się jej przygoda ze sportem, która na ponad pięćdziesiąt lat zamieniła się w życiową pasję. Młoda dziewczyna doskonale wywiązała się ze swojej roli. Była niestęchanie sumienna i zaangażowana w pomoc sportowcom.

Kilka lat później tenisem stołowym mało kto się jednak w Polsce pasjonował. Ba! W 1974 roku liczyła się tylko piłka nożna. Chyba nikt, z Edwardem Gierkiem włącznie, nie przejmował się nawet dynamicznym rozwojem socjalistycznej gospodarki, bo na stadionach w Niemczech kapitalnie radziła sobie jedenastka Kazimierza Górskiego. Nic więc dziw-



▲ Irena Póttorak (stoi pierwsza od lewej) na zgrupowaniu reprezentacji Polski / Arch. prywatne Janusza Póttoraka

nego, że boom na futbol przełożył się także na zainteresowanie tą dyscypliną wśród pań.

W sierpniu 1974 roku „Wiadomości Zagłębia” na redagowanych przez Jana Zielińskiego stronach zamieściły anonimowy list od czytelniczki, w którym domagała się założenia klubu piłkarskiego dla kobiet. Apel przeczytała Irena Póttorak, działająca już wtedy w Radzie Sportu przy Wydziale Kultury Fizycznej w Sosnowcu. Po konsultacji z Wieczorkiem ukazało się ogłoszenie zapraszające wszystkie pragnące grać w piłkę nożną kobiety do jednej z sal Sosztalu na spotkanie organizacyjne mające dać początek nowej sekcji. Sala okazała się zbyt mała, bo z zaproszenia skorzystało ponad osiemdziesiąt pań. Używając wielkich słów, tak powstała kobieca piłka w Polsce, jaką znamy do dziś. Używając bardziej przyziemnego języka – sformowany został najważniejszy na długie lata ośrodek piłkarski, z którego niedługo później wykształciła się reprezentacja Polski. Kierowniczką sekcji została Irena Póttorak. Pytanie, kim była anonimowa osoba pisząca list do gazety, już na zawsze pozosta-

nie tajemnicą, ale... jedną dość prostą teorię mogą sobie państwo wysnuć sami.

Powołanie do życia sekcji wiązało się też z koniecznością znalezienia środków na jej prowadzenie. W Sosnowcu oprócz Czarnych istniał jeszcze wówczas Kolejacz, który w 1976 roku został przez nich ostatecznie wchłonięty. Posiadał on między innymi utworzoną w 1973 roku sekcję hokeja na trawie kobiet, którą kierował Józef Klayner. Nie przetrwała zbyt długo, jednakże na bazie właśnie tej drużyny zbudowano podwaliny pod działalność piłkarek. Można więc powiedzieć, że początek piłce nożnej kobiet dał zespół występujący w zupełnie innej dyscyplinie, bo miejskie środki – za namową Ireny Póttorak – wykorzystano do pomocy w budowę drużyny futbolistek. Zmienił się też protektorat klubu. Z górniczego, skąd też pochodzi etymologia nazwy klubu, na kolejowy.

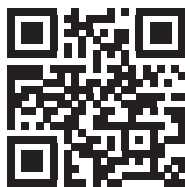
Kierowniczka drużyny kobiet jeszcze przez bardzo długi czas będzie miała wiele na głowie. Tym bardziej że niedługo później spadnie na nią obowiązek organizowania życia jeszcze jednemu ważnemu zespołowi. Reprezentacji

Polski. Już samo sformowanie klubowej kadry graniczyło z cudem. Entuzjazm znacznej części przybyłych na pierwsze założycielskie spotkanie sekcji szybko opadł. Treningi trudno było pogodzić z pracą. Pionierki spotykały się niejednokrotnie z niechęcią piłkarskiego środowiska, żeby nie powiedzieć z ostracyzmem społecznym. Ale pomijając już filozoficzne kwestie, skompletowanie strojów, zakup butów do gry i piłek nie były wcale prostym zadaniem. Czarnym Sosnowiec z pomocą przychodziła fabryka i kolej, która a to użyczała na mecze wyjazdowe autokaru, a to podczepiała specjalnie na potrzeby piłkarek do rejsowych pociągów wagon z kuszetkami. Logistyka całego przedsięwzięcia spoczywała każdorazowo na kierownicze Czarnych.

„O sparingpartnerów również było ciężko. Janusz Mincewicz, wieloletni działacz klubu i dziennikarz, przywołuje historię, jak Irenie Półtorak udało się zaprosić rywali z Czechosłowacji. „Dowiedziałam się, że jest taka drużyna (...) postanowiliśmy ich zaprosić. Kiedy pojechaliśmy ją odebrać z dworca w Katowicach byliśmy bardzo zaskoczeni, że przyjechała drużyna... chłopców. Okazało się, że Słowacy nie zrozumieli naszego napisanego po polsku zaproszenia, które wystaliśmy telegramem” („Pani Irena, krajanka Poli Negri”, J. Mincewicz, „Gazeta Wyborcza”, 10 lutego 2017 r.).

Przez całe życie przemieszczała się komunikacją zbiorową. Niby nic dziwnego. W dzisiejszych czasach Irena byłaby pewnie stawiana za wzór proekologicznego myślenia, jednak jeśli uzmysłowimy sobie, z jakimi zadaniami mierzyła się na co dzień, zrozumiemy, że wcale nie było to takie lekkie, łatwe i przyjemne. – Zadzwońkiem do Ireny i powiedziałem, że mogę ją podrzucić na stadion, bo będę w jej okolicy, ale usłyszałem, że absolutnie mam sobie nie zawracać głowy – wspomina Józef Grząba, niegdyś związany z Czarnymi, prezes Podokręgu Sosnowiec w Śląskim Związku Piłki Nożnej. – Kiedy jednak udało mi się ją nakłonić do wspólnej podróży, zobaczyłem, jak taszczy ze sobą dwa wielkie worki piłek, sprzężarkę i torbę ze strojami meczowymi. Dla niej to nie była żadna nowość. Ona bardzo często pakowała się z całym tym majdanem do autobusu miejskiego i jechała. Na treningi, na turnieje dziecięce, które wspólnie organizowaliśmy.

– Nie było dla niej rzeczy niemożliwych – odpowiada Maurycy Wieczorek. – Kiedy trzeba



Obejrzyj film dokumentalny
„URODZONE, BY GRAĆ”
na TVP Sport. Jedną z jego
bohatek jest Irena Półtorak.

było załatwić wizy, wsiadała kilka dni wcześniej w nocny pociąg i jechała do Warszawy. Wyrzucali ją drzwiami, wchodziła oknem. Mówiła tylko: „Nie martwcie się. Ja to jakoś załatwię”. I załatwiała. Gdy miała już dokumenty w ręku, potrafiła pojechać do Polskiego Związku Piłki Nożnej i wyprosić biało-czerwone stroje dla reprezentacji.

Choć zespół kobiet traktowany był wówczas jak piąte koło u wozu, ostatecznie żeby mieć panią Irenkę – jak często do niej mówiono – z głową, dawano partię używanych, często za dużych ubrań. Nie stanowiło to jednak dla niej żadnego problemu. Wszystko było doprowadzane do ładu i składu w klubie lub w domu. Pralka dopierała koszulki i spodenki, które następnie były skracane, łatanie i przesywane do późnej nocy. Nie było podziału na pracę i dom. W domu państwa Półtoraków często nocowały zawodniczki, które przyjeżdżały na zgrupowanie kadr narodowych. Sosnowiec był wtedy prawdziwym centrum piłkarstwa kobiecego. Dodajmy, że niestrudzona kierowniczka sekcji piłkarskiej Czarnych miała duże oparcie w mężu Czestawie, który był górnikiem kopalni Niwka i piłkarzem AKS-u Niwka.

Sytuacja wymagała od wszystkich dość dużej kreatywności – wspomina Marta Otrębska, reprezentantka Polski, najsukcesywniejsza kadrowiczka w historii. – Czasem trafiałyśmy na noclegi do hotelu, w którym do nogi trzeba było przywiązywać bandażem klamkę, żeby nie zostać okradzionym jak w Rumunii. Czasem, jak przed meczem z Francją w Knurowie, spałyśmy w klasztorze, w którym brama zamykała się o osiemnastej, a w pokojach nie było okien, tylko krzyże, Biblie i łóżka. Ale nikt nie miał do nikogo pretensji. Wiedziałyśmy, że Irena staje na głowie, żeby zapewnić nam możliwie najlepsze warunki, co oczywiście nie sprawiło, że miała u nas taryfę ulgową. Pamiętam, jak jedna z nas przebrała się za nią, bo przegrała jakiś zakład. A że była to już wówczas pani, która chodziła w papilotach, nie było to wcale proste.

Irena zawsze podkreślała, że ma końskie zdrowie i dobre geny. Dziennikarzom wspominała, że jej matka dożyła prawie stu lat i niezależnie od wieku potrafiła cieszyć się spotkaniami z koleżankami przy kawie i ciastkach. – Jej



▲ *Od lewej: Zofia Klim, Barbara Juda, Danuta Zgryźniak, selekcjoner Tadeusz Maślak oraz kierowniczka Irena Półtorak podczas spaceru przed meczem Włochy - Polska w Katanii, 1981 rok / Arch. prywatne Zofii Klim*

ostatnim zajęciem była praca z młodymi piłkarkami Zbigniewa Witkowskiego – wspomina Grząba. – Na zgrupowaniu w Sosnowcu bardzo rzadko wychodziła z pokoju. Kiedy zapytałem ją, czy wszystko jest OK, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem w jej oczach smutek. Choroba, o której nikomu nie wspominała, była już bardzo zaawansowana. Odeszła od nas w styczniu 2013 roku. Kilka miesięcy później w Nyonie dziewczyny zdobyły mistrzostwo Europy.

Irena Półtorak była kierowniczką sekcji Czarnych Sosnowiec przez 27 lat, zdobywając z nimi w tej roli ośmiokrotnie tytuł mistrzyń Polski. Czarni wygrywali ligę trzyznaście razy, co czyni ich najbardziej utytułowaną drużyną w historii kobiecego piłkarstwa. Przez dwadzieścia lat, poczynwszy od międzynarodowego debiutu reprezentacji Polski w rozegranym na Sycylii meczu z Włochami, pełniła obowiązki kierownika drużyny w 78 oficjalnych spotkaniach drużyny narodowej. W 2009 roku została uhonorowana Diamentową Odznaką PZPN, najwyższym odznaczeniem, jakie może przyznać piłkarska centrala. W 2011 roku została wybrana trenerem roku przez Komisję Sportu Kobiet Polskiego Komitetu Olimpijskiego. W 2013

roku w Lipnie poświęconą jej tablicę odstonił prezes PZPN Zbigniew Boniek. W Sosnowcu, z inicjatywy Janusza Mincewicza, na wniosek Czarnych, jej imieniem nazwano jedno z miejskich rond.

Nagrody i odznaczenia świadczą o tym, jak wiele pani Irena zrobiła dla grających w piłkę kobiet. Jednak najważniejsze jest to, jakie wspomnienia pozostawiła po sobie wśród ludzi, którzy ją dobrze znali. Wszyscy oni podkreślają, że Irena Półtorak nade wszystko kochała sport, a słowo „niemożliwe” w jej słowniku nie istniało. I choć czasy romantycznych bohaterów w zawodowej piłce już bezpowrotnie przeminęły, to warto jednak pamiętać, że jedna z takich postaci... tę piłkę stworzyła.

IRENA PÓLTORAK – *legendarna kierowniczka zespołu Czarnych Sosnowiec i drużyny narodowej. Jej wpływ na rozwój piłkarstwa kobiecego jest nie do przecenienia. Jest jak do tej pory najdłużej pracującą osobą w sztabie reprezentacji Polski. Odeszła w 2013 roku. Ostatnim zespołem, z którym pracowała, była drużyna złotych medalistek pod kierownictwem Zbigniewa Witkowskiego z mistrzostw Europy U-17.*

La Maddalena: Nocne granie

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Proszę państwa, 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm – powiedziała Joanna Szczepkowska, a kilkanaście dni później reprezentacja Polski kobiet wyjechała na silnie obsadzony turniej do włoskiej La Maddaleny. Mimo braku ogrania na międzynarodowej arenie – nie licząc sporadycznych gier z reprezentantkami bloku wschodniego – Polki wypadły lepiej, niż się spodziewano. Do historii przeszedł zremisowany 0:0 mecz z USA, ale to właśnie na Trofeo Sardinia, biało-czerwone po raz pierwszy w historii wygrały mecz międzypaństwowy. I to nie z byle kim. W obliczu upadku komunizmu zwycięstwo nad ZSRR musiało cieszyć podwójnie.

W lipcu 1989 roku Polki wyruszyły autobusem do Genui, gdzie przesiadły się na prom. Niektóre z nich całonocny rejs spędziły na górnym pokładzie, bo na wynajęcie kajut brakowało pieniędzy. Jednak to, co ujrzały na miejscu, z nawiązką zwróciło trudy podróży. Reprezentacja zamieszkała w San Teodoro, co ciekawe nie w hotelu, ale w willech, w których umieszczano po kilka osób. Mecze odbywały się późnym wieczorem. Rozpoczynały się o 22:30 i 23:00, a po ich zakończeniu organizatorzy wyprawiali dla piłkarek kolacje. Turniej miał wakacyjny charakter, rozgrywany był na wiejskich murawach, z których według relacji zawodniczek wystawały kamienie. Udało się tam jednak osiągnąć bardzo dobre wyniki.

W Trofeo Sardinia wzięło udział dwanaście drużyn. Polski zespół wylosowano do grupy C z Amerykankami i angielskim Leasowe Pacific.

W pozostałych grupach znalazły się: AC Milan, bułgarska Witojsza i Jugoplastika (które utworzyły grupę A), reprezentacja Kanady, włoska Adriatica i reprezentacja Sardynii (rywalizujące w grupie B) oraz CUS Casavari, czeski Tebotov i narodowa jedenastka Związku Radzieckiego (sparowane w grupie D).

Mecz Polski z USA zgromadził, według szacunków lokalnej prasy, ponad cztery tysiące kibiców. Trener Kopeć ustawił swój zespół ultra-defensywnie, dzięki czemu rezultat 0:0 został dowieziony do końcowego gwizdka.

„Bezbramkowy remis był dla Polek szczęśliwym przede wszystkim dlatego, że nawet Amerykanki, stawiała czoła przede wszystkim defensywa” – raportował z Italii dla katowickiego „Sportu” Jerzy Dusik.

Piłkarki z USA wygrały cały turniej, a jedyne punkty straciły właśnie z Polską. Amerykanki strzeliły łącznie 21 goli, tracąc zaledwie jedno. W kolejnym meczu szczęście uśmiechnęło się do rywalek. Polki atakowały od pierwszej do ostatniej minuty, ale angielski zespół bronił się na tyle mądrze, że i w tym meczu nie padły gole. Ostatecznie biało-czerwonym pozostała walka o piąte miejsce. Ich rywalkami były kolejno reprezentacja ZSRR i Adriatica Sporting Club.

Z reprezentacją Związku Radzieckiego łączy się ciekawa historia, bo reprezentantki Kraju Rad twierdziły w kuluarach, że... sponsoruje je rosyjska mafia. Mafiozi nie postawili chyba jednak zbyt wysokich wymagań, bo zawodniczki Sbornej na turniejowych kolacjach lubiły zostawać do samego końca, co miało zapewne wpływ na ich wyniki. – Chcesz wódeczki? Masz! – zagadnął do mnie ktoś z otoczenia radzieckiej drużyny, wspomina Zofia Wojtas. – I wielka szklana wylądowała przede mną. Gdy podziękowałam, zrobił wielkie oczy, ale jakoś bardzo się tym faktem nie zmartwił.

Polki pokonały ZSRR 2:1, choć w podstawowym czasie padł remis. W Tempio najpierw w 67. minucie trafiła Luiza Pendyk, a wynik meczu ustaliła w dogrywce Maria Makowska, strzelając gola w 99. minucie. Dla rywalek trafiła Grigorjewa. Dodajmy tylko, że pierwsze zwycięstwo odnotowane w czasie podstawowym przyszło również ze Związkiem Radzieckim, 8 maja 1990 roku w Mohylewie, gdzie Polki pokonały drużynę ze wschodu 2:1.

W ostatnim meczu turnieju biało-czerwone zdemolowały w Sassari Adriatic, wygrywając aż 8:0. Gole w tym spotkaniu strzelały Makowska (8', 60', 67'), Gospodarczyk (16'), Mikołajczyk (20', 71') Otrębska (37') i Palus (80'). Polki rozpoczęły swój ostatni mecz w składzie: Puk, Otrębska, Wojtas, Karpińska, Łapacz, Pendyk (34' Kacprzak), Siupka, Jamrozy (59' Młodzik), Mikołajczyk, Gospodarczyk (49' Palus), Makowska.

– Były jednak wypadki, na które nie miało się wpływu – dopowiada Dorota Siupka. – Gdy jedna z rywalek wjechała mi w nogi, wylądowałam na czymś, co bardziej przypominało nawierzchnię toru żużlowego niż murawę. Cały bok miałam załatwiony. Piekło i szczypało niemiłosiernie.

Po latach patrząc na osiągnięte na Sardynii wyniki, należy zaliczyć cały wyjazd do bardzo udanych. Piąte miejsce, bez przegranego spotkania, w stawce silnych zespołów, należy uznać za dobry wynik. Co ciekawe, Polki są jedną z niewielu drużyn na świecie, które w meczach z Amerykankami nie mają ujemnego bilansu. Kiedy jednak los ponownie skojarzy na boisku obie reprezentacje, trudno przewidzieć.

Mecze z USA i ZSRR zostały zaliczone w poczet oficjalnych spotkań, natomiast gry z klubowymi zespołami z oczywistych względów nie mają takiego charakteru.

Wkrótce po powrocie do Polski Janusz Kopeć przestał być trenerem kadry. Na krótko zastąpił go Józef Drabicki, który niedługo później okaże się architektem największych sukcesów Piastunek Gliwice, a przez kolejny rok z drużyną narodową pracował Jerzy Miedziński. Co ciekawe, właśnie z tym selekcjonerem dwa lata później Polki ponownie zagrały na Sardynii, gdzie spotkały się między innymi z reprezentacjami Kanady, Grecji i Rumunii.

– To był najpiękniejszy wyjazd z kadrą, na którym byłam – opowiada Anastazja Kubiak. – Cudowne plaże, piękna pogoda. Śniadania robiłyśmy sobie same, potem ruszyliśmy na trening i późnym wieczorem rozgrywałyśmy mecze. Dla nas, przyzwyczajonych do wyjazdów na zgrupowania do Warny, była to niesamowita odmiana. Wszystko wyglądało jak z bajki. Do pewnego momentu, ale o tym za chwilę.

W czerwcu 1991 roku w Villasimius Polki pokonały Kanadyjki 4:1 po bramkach Mikołajczyk, Kubiak, Kałuży i Nieczypor. Trzy dni później biało-czerwone wygrały z Greczynkami 2:0 po golach Mikołajczyk i Pendyk. Mecz z Rumunią zakończył się bezbramkowym remisem.

– Mówiłam już o tej pięknej pogodzie – wyjaśnia Kubiak. – Otóż jedyny wolny dzień postanowiłyśmy wykorzystać na opalanie. Nie było to mądre, bo kąpiel słoneczna trwała na tyle długo, że wszystkie się poparzyłyśmy. Skóra dosłownie schodziła z nas płatami. Byłyśmy spalone słońcem, a „Napoli”, czyli Krystyna Tarajkowska, o mało nie zemdląta. Lekarze biegali z mokrymi ręcznikami, ale niewiele mogli zdziałać. Było już za późno na ratunek. Spiekłyśmy się jak raki i założenie koszulki graniczyło z cudem, o ochraniaczach nie wspominając. Ból jednak nie przeszkodził nam w odniesieniu wysokiego zwycięstwa. Kiedy Majka, czyli Maria Tartak, zdobyła bramkę, wszystkie pobiegłyśmy ją wyściskać. Była to jedna z bardziej oryginalnych cieszynek, jakie pamiętam, bo strzelczyni najpierw zaczęła przed nami uciekać, a potem wyciągnęła ręce przed siebie, wykrzykując, że gratulacje przyjmuje na odległość.

W turnieju, wzorem poprzednich edycji, brały udział i reprezentacje, i zespoły klubowe. W polskiej drużynie tradycją ze zmianą trenera po powrocie z Włoch stało się zadość. Wkrótce Jerzego Miedzińskiego zastąpił Władysław Szyngiera. Na swoim stanowisku pracował najdłużej ze wszystkich. Na wszelki wypadek nie jeździł na turnieje piłkarskie organizowane na Sardynii.




Władysław Szyngiera: 450 złotych

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

450 złotych. Tyle wynosiła pensja selekcjonera reprezentacji Polski kobiet w czasach, gdy to stanowisko zajmował Władysław Szyngiera. Wystarczało na dojazdy z uczelni, na której pracował, do zarządzającej kobiecym futbolem centrali. Uściślijmy tylko, szkoła mieści się w Katowicach, a punkt dowodzenia znajdował się w Sosnowcu. W roli trenera drużyny narodowej wytrwał siedem lat. Jest najdłużej pracującym szkoleniowcem na tym stanowisku. Oczywiście nie wypominając niczego poprzednikom, z na wskroś amatorskiego zespołu stworzył, nazwijmy to, podstawową wersję profesjonalnej drużyny piłkarskiej.

Pod pana wodzą reprezentacja zdobyła pierwszy historyczny punkt w eliminacjach mistrzostw Europy. Mam gratulować?



– Z tym meczem chyba każdy, kto brał w nim udział, ma spory problem. Rok 1994, gramy w Rosji w Moskwie i zanosi się, że zakończy się bezbramkowym remisem. Dla nas był to dobry rezultat, bo oznaczał wspomnianą historyczną zdobycz. Poza tym graliśmy bez Joli Nieczypor, więc przed spotkaniem nikt nie dawał nam większych szans. W 90. minucie piłkę w środku pola przechwyciła Grażyna Palus. Podciągnęła z nią w kierunku pola karnego, minęła jedną rywalkę, drugą i potężnie uderzyła na bramkę. Futbolówka wpadła do siatki, ale strzał był na tyle silny, że... szybko z niej wypadła. To nie był taki gol jak w finale mistrzostw świata z 1966 roku, gdzie sędzia mógł podjąć każdą decyzję i z każdej by się wybronił. Tu piłka przekroczyła linię i uderzy-

ła w metalowy poziomy wspornik bramki, na którym wisiła siatka. Sędziujący to spotkanie Białorusin Giennadij Jakubowski wskazał na środek boiska, liniowy też pobiegł do środkowej linii. Jednak chwilę później trener Rosjanek zaczął, mówiąc dyplomatycznie, wywierać presję na asystencie i ten po kilkunastu sekundach podniósł chorągiewkę do góry. Ostatecznie gol nie został uznany, arbiter zarządził rzut sędziowski... a na trybunach rozległy się przeraźliwe gwizdy. Rosjanie zorientowali się, że uratowali remis tylko dzięki nieporadności, a raczej uległości arbitrowi. Już po meczu sędzia główny nas przeprosił. Żeby wyjść z tej sytuacji z twarzą, miejscowi obdarowali nasze zawodniczki kwiatami i drobnymi prezentami. Strzelczynie prawidłowej, aczkolwiek nieuznanej bramki została wybrana zawodniczką meczu i wręczono jej zegarek, a sędzia zakończył mię-



▲ *Przed spotkaniem Polska - Ukraina w 1993 roku w Przemyślu. Górny rząd (od lewej): Władysław Szyngiera (trener), Irena Póttorak (kierowniczka), Jolanta Niecypor, Maria Makowska, Monika Grygorowicz, Anna Dąb, Joanna Deinert, Sabina Żurek, Jolanta Urgacz-Ficek (lekarka), Zygmunt Chudzik (masażysta). Środkowy rząd: Anastazja Kubiak, Agnieszka Szondermajer, Agnieszka Pluskota, Mariola Kacprzak, Marta Otrębska, Anna Kijas, Mariola Silwończyk, Aneta Rybak, Dorota Janik. Dolny rząd: Klaudia Kowalska, Katarzyna Walerianowicz / Arch. prywatne Janusza Póttoraka*

dzynarodową karierę. Wywalczyliśmy też ten pierwszy punkt, ale... co z tego? Do dziś nie mogę w to uwierzyć, że uczestniczyłem w tak absurdalnej sytuacji, w oficjalnym meczu eliminacji do mistrzostw Europy.

Tych niecodziennych zdarzeń zebrało się przez siedem lat zapewne sporo, ale zacznijmy może od tego, jak pan do futbolu kobiecego w ogóle trafił?

– Latem 1990 roku na katowicki AWF wpadł z wizytą Jerzy Miedziński ze sztabu szkoleniowego reprezentacji i zaproponował, abym pojechał z nimi na zgrupowanie do Krynicy Górskiej. Tak trafiłem do świata piłki kobiecej, bo od tamtej pory, co prawda jeszcze nieregularnie, współpracowałem z kadrą. A że zostałem szybko zaakceptowany i przez zespół, i przez sztab szkoleniowy, to po serii słabszych wyników trener Miedziński na swojego następcę wskazał właśnie mnie. Kandydatura została zaakceptowana, ale też wielkiej konkurencji nie było, powiedzmy to sobie szczerze. Gdy zaczynałem, grających w piłkę pań było w Polsce może nieco ponad trzysta. W całym kraju. W pierwszej lidze osiem zespołów, w drugiej sześć i na tym koniec. Mimo że kadra istniała już dobrych kilka lat, był to cały czas początek. Były ambicje

i chęci, ale brakowało umasowienia. Nie było jeszcze mowy o budowie piramidy, tak jak wygląda to w dobrze rozwiniętych dyscyplinach sportu. Media w ogóle się nami nie interesowały, nie licząc sporadycznie pojawiających się wzmianek w krakowskim „Tempie” czy katowickim „Sporcie”. Traktowano nas trochę jako ciekawostkę przyrodniczą. Przychylnie, ale z przymrużeniem oka. Dla mnie jednak było to duże wyróżnienie i pod koniec 1991 roku objąłem funkcję selekcjonera reprezentacji Polski kobiet.

Od czego trener zaczął swoją pracę? Był to dość niespokojny czas. Gwiazda zespołu, Luiza Pendyk, zrezygnowała z gry. Zarzucała koleżankom, że w zbyt lekki sposób podchodzą do swoich obowiązków. Wyników też nie było.

– Z Luizą minęliśmy się w kadrze. Napisałem do niej list, żeby wszystko raz jeszcze przemyślała. To była bardzo ambitna dziewczyna. Wiedziała, czego chce i zapewne wyprzedzała epokę, w której przyszło jej grać. Byłaby na pewno dużym wzmocnieniem dla reprezentacji. Widzieliśmy się tylko na turnieju w Szwecji, co ciekawe na lodowisku, na którym wyłożono matę przypominającą dzisiejszą sztuczną murawę. Chodziły zresztą słuchy, że ten wyjazd był częścią rozliczeń za



▲ *Władysław Szyngiera od lat jest związany z Akademią Wychowania Fizycznego w Katowicach / Fot. Michał Chwieduk, 400mm.pl*

transfer Luizy do Tyresö FF. Kadra początku lat dziewięćdziesiątych to był zespół, który ciężko harował na treningach. Któremu zależało. A że bywały pozaregulaminowe wysoki? Owszem, w każdym zespole się zdarzają.

I co się wtedy robi?

– Zawsze po takich atrakcjach przychodził czas na długą rozmowę. Oczywiście mogłem zawieszać te zawodniczki, karać i wykluczać, ale i one, i ja dobrze wiedzieliśmy, że nie mam dużego pola manewru. Przypominam, że piłkę nożną uprawiała dostownie garstka piłkarek grających za „dziękuję”, a niesubordynacja była w granicach zdrowego rozsądku. Praca z nimi stanowiła długoletni proces. Zmiana mentalności, wyprowadzenie tej drużyny z poziomu amatorskiego na względnie profesjonalny zajęło mi siedem lat. Niewiele zabrakło, a wywalczylibyśmy awans do dywizji A, bo przypominę, że wówczas międzynarodowe rozgrywki prowadzono systemem obowiązującym w hokeju. Uważałem, że o wiele cenniejsze było apelowanie do nich, aby dbały o edukację, niż pilnowanie ich po treningach. Zaczęto dawać to efekty, bo coraz więcej z nich wybrało się na studia.

Czyli bycie selekcjonerem było zajęciem trudnym, mało opłacalnym i chyba momentami beznadziejnym?

– Nie minę się z prawdą, jeśli powiem, że nikt wtedy nie szedł do piłkarstwa kobiecego z myślą o pieniądzu. Ja zarabiałem 450 złotych. Wystarczało na dojazdy z Katowic do Sosnowca, ale nie robiłem z tego problemu. Natomiast później, gdy dostałem się do Wy-

działu Piłkarstwa Kobiecego PZPN, czyniłem starania, aby te pensje moim następcom podnieść. Oprócz pracy z kadrą prowadziłem i zresztą cały czas prowadzę wykłady na Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach. Tu warto poświęcić kilka słów uczelni, bo zrobiła ona wiele dobrego dla kobiecego futbolu. Wykształciła wiele reprezentantek, że wspomnimy chociażby o Monice Grygorowicz, Klaudii Kowalskiej, Agnieszce Pluskocie, Agnieszce Drozdowskiej czy Jolancie Cubale grających w kadrze za moich czasów. Moimi asystentami w kadrze byli pracownicy z Zakładu Piłki Nożnej – Marek Dyląg, Maciej Melzer i Zbigniew Waśkiewicz, późniejszy rektor AWF Katowice. Bogdan Bacik, dziekan i profesor uczelni był naszym fizjoterapeutą, a lekarzem Marek Zaik, absolwent AWF i Śląskiej Akademii Medycznej. Z kolei naszymi konsultantami byli Władysław Żmuda i Antoni Piechniczek, więc można powiedzieć, że wiedza krążyła w obiegu i kadra miała do niej codzienny dostęp. Warto też wspomnieć, że asystenci z Zakładu Piłki Nożnej, Robert Góralczyk i Zbigniew Witkowski, pracowali z reprezentacjami U-17 i U-18. Robert po latach był trenerem pierwszej reprezentacji, natomiast Zbyszek Witkowski osiągnął największy sukces w kobiecej piłce, wygrywając mistrzostwo Europy U-17 w 2013 roku.

Nieocenioną pomoc, szczególnie w kwestiach organizacyjnych, przez cały okres mojej pracy z reprezentacją niosła bez reszty oddana sprawom kobiecej piłki – pani Irena Pótorak. W tym okresie z kadrą współpracowali także lekarze – Jolanta Ficek i Ireneusz Stokowacki. Na początku mojej pracy notowaliśmy przeważnie porażki, pod koniec niewiele zabrakło do awansu do elity. Nikt też wtedy nie musiał już nikogo dyscyplinować. Sprawdziło się, że w futbolu tak samo jak nogi ważna jest głowa.

Wspomnieliśmy o pechowej końcówce spotkania z Rosją, ale bardziej brzemienne w skutkach był dwumecz z Helwetkami, którego rozstrzygnięcie sprawiło, że rozstał się pan z kadrą.

– Rzeczywiście, fakty tak się właśnie układały, że po dwóch przegranych ze Szwajcarią złożyłem dymisję, ale o rozstaniu myślałem już wcześniej. Byłem już wtedy dziekanem na Akademii Wychowania Fizycznego i te zajęcia były bardzo absorbujące. Powiedziałem sobie, że jak wygramy, to zostanę, bo przecież głupio będzie zrezygnować, a jak przegramy... dalszy ciąg jest jasny. Te mecze nam nie wyszły, ale droga do gry o dywizję A udała się nam w stu procentach.



▲ Tak prezentowała się reprezentacja Polski w 1993 roku pod kierownictwem selekcjonera Władysława Szyngiera / Arch. prywatne Janusza Póttoraka

Zanim jednak doszło do dwumeczu z Helwetkami, przebyliśmy długą drogę, gdzie z roku na rok rosta świadomość potrzeb tej drużyny wśród ludzi zarządzających polskim futbolem. Mówiąc dosłownie i w przenośni, z autobusu przesiadaliśmy się do samolotu. Nikt nie wytrzeszczał oczu, kiedy zgłaszałem chęć wyjazdu na obserwację gry rywalek. Poziom sportowy szedł w górę, bo nasze reprezentantki wyjeżdżały za granicę i występowały w silnych ligach, chociażby w Belgii, Niemczech czy w Szwecji.

Zacznęłam pracę z kadrą od porażek. 0:4 z Niemkami, 1:4 z Włoszkami, 0:4 z Rumunkami czy choćby 1:3 z Ukrainą, że wymienię tylko kilka wyników z 1992 i 1993 roku. Zresztą spotkanie z Ukrainkami, mimo że przegrane, zostało w mojej pamięci, bo rozgrywaliśmy je w moich rodzinnych stronach, na stadionie w Przemyślu. „Miłe złego początki”, taki tytuł ukazał się nazajutrz w prasie, bo choć prowadziliśmy po kapitalnej bombie z dystansu Agnieszki Szondermajer, to ostatecznie przegraliśmy. Jednak pod koniec 1998 roku stanęliśmy przed olbrzymią szansą awansu do elity. Dywizję B wygrałiśmy, zwyciężając we wszystkich spotkaniach z Irlandią i Białorusią oraz z Walią na wyjeździe i po remisie 2:2 w Zamościu.

Pierwsze spotkanie ze Szwajcarkami rozegraliśmy w Ostrowcu Świętokrzyskim i obiektywnie na to wszystko patrząc po la-

tach, mimo dobrej gry przegraliśmy 0:1. Mieliśmy dużo okazji, kilka stuprocentowych. Ale nic nie chciało wpaść do siatki. Mimo porażki wierzyłem, że uda się ten wynik odrobić na wyjeździe, ale widocznie jakoś nam ten zespół nie leżał. W rewanżu najpierw straciliśmy bramkę na 0:1, a wkrótce potem zawodniczkę. Jola Cubała dostała czerwoną kartkę za faul z tyłu na nogi rywalki i było po wszystkim.

Patrząc z perspektywy czasu, chyba nie żałuje pan pracy z kadrą, choć jak ustaliliśmy, dzięki niej trener nie został milionerem?

- Lata dziewięćdziesiąte były dobrym czasem dla reprezentacji kobiet. Ta dyscyplina zaczęła się rozpędzać. Weszliśmy na średni europejski poziom, na którym już chyba jednak znajdujemy się zbyt długo. Dziewczyny muszą teraz wykonać krok, którego ich starszym koleżankom nie udało się zrobić. To jest ten moment.

WŁADYSŁAW SZYNGIERA jest jak do tej pory najdłuższym pracującym trenerem na stanowisku selekcjonera reprezentacji Polski kobiet. Od wielu lat związany z Akademią Wychowania Fizycznego w Katowicach. Autor wielu tematycznych publikacji z zakresu teorii treningu sportowego i szkolenia młodzieży w piłce nożnej.



Wspólny lot

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Jest rok 1998. Na pokładzie samolotu Polskich Linii Lotniczych LOT lecącego z Warszawy do Tel Awiwu są aż trzy piłkarskie reprezentacje Polski. Seniorska Janusza Wójcika, młodzieżowa Pawła Janasa i kobieca, której trenerem był wówczas Władysław Szyngiera. To pierwsza i jak na razie jedyna taka podróż w historii polskiego piłkarstwa.

– Ale zanim wszyscy wzbili się w powietrze, musieli trochę na nas poczekać – wspomina po latach Anastazja Kubiak. – Wspólnie z Grażyną Palus i Anią Serocką leciałyśmy z Frankfurtu i pechowo nasz lot dość znacznie się opóźnił. – Cholera, przecież nie będą na nas czekać i taki fajny wyjazd przejdzie nam koło nosa. Kiedy na Okęciu dowiedziałyśmy się, że reszta ekipy jednak czeka, kamień spadł mi z serca. Po wejściu na pokład dostałyśmy brawa. Piłkarze żartowali, że bez takich gwiazd jak my nigdzie by się nie ruszyli.

Piłkarki na mecze docierały przeważnie autokarami, ale w Izraelu gospodarze, na swoje nieszczęście, wpadli na pomysł, aby przed spotkaniem panów zagrały panie. Stało się więc jasne, że najprościej będzie zapakować trzy drużyny do jednego środka transportu. Ostatnie wolne miejsca zajęły dwa kolorowe ptaki polskiego dziennikarstwa sportowego – Janusz Atlas i Paweł Zarzeczny. Można było ruszać w drogę. Za kilka dni Atlas nada z Tel Awiwu relację, którą zatytułuje „Dramat Gan”.

Nie były to na pewno najlepsze czasy dla polskiego futbolu. Te miały nadejść już niedługo. Reprezentacyjną karierę rozpoczął wówczas Jerzy Dudek, który zastąpił po przerwie Adama Matyska, ale na niewiele się to zdało. Miejscowi wygrali 2:0, a na kadrę Wójcika posypały się gromy. Polki były natomiast faworytkami, ale nikt też nie spodziewał się, że mecz



▲ Wycieczka nad Morze Martwe przed dwumeczem Izrael – Polska / Arch. prywatne Anastazji Kubiak

zakończy się aż taką deklasacją przeciwniczek. Rywalki dopiero zaczynały tworzyć swoją reprezentację, podczas gdy biało-czerwone były już ukształtowaną, całkiem niezłą drużyną.

Przypomnijmy, że UEFA prowadziła wówczas kobiece rozgrywki dość skomplikowanym systemem zbliżonym do tego, który obowiązywał w hokeju na lodzie. Dywizja B, w której grały zawodniczki Szyngiery, była drugim poziomem rozgrywkowym w Europie. Aby awansować do elity, należało pokonać Białoruś, Irlandię i Walię oraz wygrać baraż rozgrywany systemem mecz i rewanż z najstarszą ekipą z grona najlepszych, czyli jak się później okazało – ze Szwajcarią. W połowie batalii Polki były na dobrej drodze do osiągnięcia celu. W swoim składzie miały chociażby grające już w bardzo silnych niemieckich klubach – Jolantę Nieczympor z FCR Duisburg czy Martę Otrębską i Marię Makowską z Turbine Poczdam.

Po przylocie drużyny zostały rozdzielone. Panowie zamieszkali w dwóch różnych hotelach w Tel Awiwie, panie pojechały do Netanji. Mieści się tam zbudowany w 1957 roku nad Morzem Śródziemnym Wingate Institute. Ol-

brzymi ośrodek, gdzie trenują sportowcy i... żołnierze. Na jego terenie zlokalizowany jest na przykład stadion rugby, na którym występuje reprezentacja narodowa. Kadrowiczki zatrzymały się tam na dziesięciodniowe zgrupowanie, będące czymś w rodzaju podziękowania od władz piłkarskich za dobre wyniki osiągnięte przez zespół. Oprócz treningów na doskonale przygotowanych obiektach był czas na zwiedzanie Jerozolimy czy wycieczkę nad Morze Martwe. Zawodniczki miały nawet swojego przewodnika, który podczas podróży autokarem dużo opowiadał o Izraelu. – Rano budziły nas jakieś bojowe okrzyki, odgłosy musztry. Okolica była piękna, ale ktoś wyrwany z głębokiego snu mógł pomyśleć, że znalazł się na wojnie – opowiada napastniczka Marta Otrębska.

Zresztą konotacje z wojskiem wcale nie ograniczały się tylko do żołnierskich apeli. W Izraelu służba wojskowa jest obowiązkowa dla kobiet i mężczyzn. Tak naprawdę tylko to stanowiło pewnego rodzaju ciekawostkę w kontekście zbliżającego się spotkania. – Wiedziałyśmy, że zagramy z zespołem stworzo-

nym z dziewczyn wcielonych do armii – mówi stoperka Jolanta Cubała. – Nie wiedziałyśmy, jak będą się zachowywać na boisku. Czy zagrają ostro? Jak zareagują na tracone bramki? Trudno jednak stwierdzić, aby którakolwiek z nas miała przed tym meczem obawy.

– Kiedy zobaczyłam murawę, o mało się nie rozplakałam, bo nie mogłam grać przez kontuzję. Nigdy w życiu nie grałam na tak dobrej nawierzchni i to na takim wspaniałym stadionie. My występowałyśmy na obiektach, które, mówiąc dyplomatycznie, były co najwyżej kameralne – wspomina dzień meczu Joanna Tokarska. – Ten wyjazd z każdej strony był dla nas szokiem. Zobaczyłyśmy chociażby, jak dużym zainteresowaniem cieszyli się piłkarze. Ilu dziennikarzy śledziło, co robią każdego dnia, podczas gdy na naszych meczach przeważnie hulał wiatr.

– Mimo wszystko spodziewałam się, że Izraelki postawią trochę trudniejsze wymagania – wspomina Władysław Szyngiera. – Nasza drużyna wyszła na ten mecz maksymalnie skoncentrowana, a kilkunastotysięczny tłum dodatkowo ją zmotywował. Gra i wynik przeszły nasze najśmielsze oczekiwania.

Po 21 minutach gry było 3:0. Do przerwy 7:0. Marta Otrębska strzeliła w tym meczu sześć goli. Zdobyła prawie tyle bramek, co reszta zespołu, bo spotkanie zakończyło się totalną demolką, 13:0. Najwyższe zwycięstwo



▲ *Reprezentacja Polski przed meczem z Izraelem, Tel Awiw, 27.02.1998 r. / Arch. prywatne Władysława Szyngiera*

w historii kobiecej reprezentacji Polski stało się faktem. – Nie udało im się oddać celnego strzału, nie pamiętam już, ile razy przeszły z piłką przez linię środkową boiska, ale nie zdarzało się to często – podsumowuje Cubała. – Czy były załamane? – zastanawia się Otrębska. – Nie płakały, w końcu były na służbie – dodaje strzelczyni sześciu goli. – Mecz oglądali nasi piłkarze. Szczerze mówiąc, bardziej zapamiętałam ich reakcje niż to, co się działo z rywalkami. Paweł Janas bardzo się cieszył z naszego sukcesu. „Marta, zabieramy cię ze sobą! Zaraz grasz drugi mecz”.

W nagrodę za doskonałą postawę na boisku Otrębska otrzymała na pamiątkę swój strój meczowy. Także cały sprzęt, który dostała na zgrupowanie, mogła sobie zatrzymać. – Do domu wróciłam objuczona jak wielbłąd – dodaje. – Cieszyłam się, choć torba była większa ode mnie.

Kibice pożegnali piłkarki brawami, choć nie takiej przystawki spodziewali się przed głównym daniem wieczoru. – Działacze z Izraela mieli nawet pewien... żal? – zastanawia się po latach Szyngiera. – Ale co mieliśmy zrobić? Każdy grał, jak potrafił i drugiej połowy nie mieliśmy zamiaru odpuszczać.

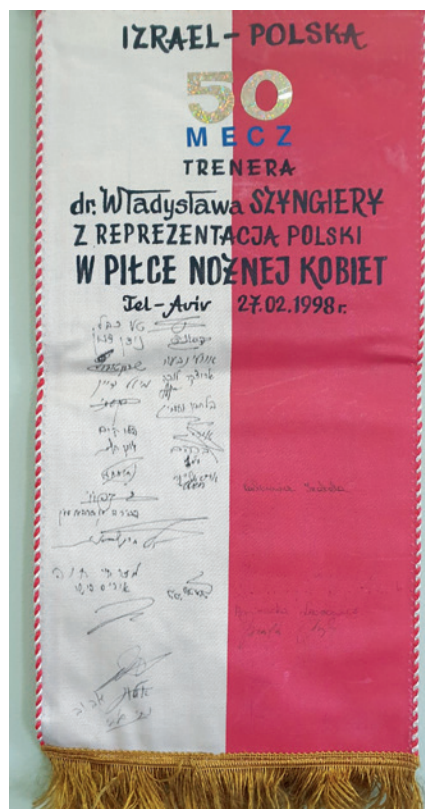
Nazajutrz czytelnicy katowickiego „Sportu” mogli przeczytać relację z obu meczów pod wszystko mówiącym tytułem: „Otrębska za Juskowiaka”, któremu, podobnie jak i całej drużynie Wójcika, poszło wtedy jak po grudzie. – Dwa dni później zagramy z nimi jeszcze raz. Skończyło się na 3:0, ale sędzia szybko pokazał Grażynie Palus czerwoną kartkę, choć nie było żadnego brutalnego faulu. Przyjęliśmy to ze spokojem. Gra przynajmniej trochę się wyrównała – podsumowuje Szyngiera.



▲ *Czas wolny przed dwumeczem pozwolił na zrobienie pamiątkowych zdjęć z Izraela / Arch. prywatne Anastazji Kubiak*

3 marca 1998 roku o piątej rano z Tel Awiwu do Warszawy wystartował samolot z kobiecą reprezentacją Polski, która nigdy wcześniej, ani jak do tej pory nigdy później, nie strzeliła rywalom aż tylu goli. W lecie na piłkarki czekało dokończenie gier eliminacyjnych. Udało się pokonać wszystkie przeciwniczki. Walię – 5:1, Irlandię 3:0, Białoruś 3:1. Kiedy wydawało się, że wygranie baraży z Helwetkami jest możliwe, rzeczywistość przyniosła spory zawód. W Ostrowcu Świętokrzyskim polski zespół stworzył sobie mnóstwo sytuacji, ale żadnej nie wykorzystał. Szwajcaria miała tylko jedną okazję. Porażki 0:1 u siebie i 0:4 na wyjeździe pozbawiły szans awansu do grona najlepszych drużyn Starego Kontynentu. Niedługo później Władysław Szyngiera zrezygnował z prowadzenia reprezentacji. Piłkarki mocno to przeżyły. Do dziś podkreślają, że był to trener, który walczył o nie jak nikt wcześniej.

► W zbiorach Władysława Szyngiera ten proporczyk zajmuje szczególne miejsce. Co ciekawe znajdują się na nim głównie podpisy reprezentantek Izraela / Fot. Adam Drygalski



	IZRAEL	0	13	POLSKA	
--	---------------	----------	-----------	---------------	--

MARTA OTRĘBSKA		AGNIESZKA LEONOWICZ ▼ ▲ 65' MARIOLA SILWONCZYK	
MARIA MAKOWSKA	AGNIESZKA SZONDERMAJER	ANASTAZJA KUBIAK	BEATA MOCIAK ▼ ▲ 86' GRAŻYNA PALUS
ANNA KIJAS ▼ ▲ 86' IZA KACHNOWICZ	AGNIESZKA DROZDOWSKA ▼ ▲ 86' BEATA BĄK	JOLANTA CUBAŁA	HANNA SEROCKA
AGNIESZKA GAJDECKA			

TRENER: WŁADYSŁAW SZYNGIERA	GOLE: OTRĘBSKA: 11', 27', 36', 43', 72', 79' SZONDERMAJER: 14', 34', 84' LEONOWICZ: 21', 64' SEROCKA 55', KUBIAK 59'
---------------------------------------	---



Misja Portugalia: Mecze, których nie było

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Szansa, której nie wykorzystała reprezentacja prowadzona przez Władysława Szyngierę, nadarzyła się po raz kolejny za kadencji Albina Wiry. Choć to właśnie temu selekcjonerowi przytrafiła się rekordowa porażka w oficjalnym meczu reprezentacji, to warto zwrócić jednak uwagę na wygrane eliminacje, które sprawiły, że droga do szesnastki najlepszych była na wyciągnięcie ręki. Dwumecz z Portugalią jawił się jako najważniejsze wydarzenie w dziejach kobiecego futbolu. Zamiast niego czekała jednak na podopieczne Wiry katastrofa w Reykjavíku.

Na przełomie wieków Albin Wira i Witold Grim przejęli zespół po Leszku Baczyńskim, gdy ten nie zdołał awansować na mistrzostwa Europy. Wira był pierwszym trenerem reprezentacji Polski z tak bogatą piłkarską przeszłością. Kojarzony głównie z występami w Ruchu Chorzów, z którym czterokrotnie zdobywał mistrzostwo Polski, a później był jego trenerem, prowadził także inne śląskie kluby, że wspomnimy chociażby o GKS-ie Tychy czy Polonii Bytom.

– Nie ukrywam, że początkowo traktowałem pracę z piłkarkami, jako pewien element wzbogacenia swojego doświadczenia – wspominał w rozmowie z Andrzejem Wasikiem na łamach katowickiego „Sportu”



▲ Zgrupowanie w Wiśle, w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich „Start”. Górny rząd (od lewej): Agnieszka Karcz, Agnieszka Szondermajer, Maria Makowska, Witold Grim (asystent trenera), Albin Wira (selekcjoner), Anna Żelazko, Bogdan Bacik (masażysta), Joanna Tokarska, Justyna Nazarczyk, Anna Dąb. Środkowy rząd: Urszula Chomontowska, Marta Otrębska, Anna Rogacka, Jolanta Cubała, Beata Mociak, Agnieszka Drozdowska, Agnieszka Leonowicz, Magdalena Mleczek. Dolny rząd: Joanna Kławińska, Agnieszka Gajdecka, Marta Gawet / Arch. prywatne Joanny Tokarskiej

– Nie przypuszczałem, że dziewczyny tak bardzo chcą grać i czynią to coraz lepiej.

CEL NUMER JEDEN: RUMUNIA

Aby zagrać o miejsce w elicie, należało najpierw wygrać grupę V, w której Polki rywalizowały z Rumunią, Chorwacją, Izraelem i Estonią. Najtrudniejszymi rywalkami wydawały się być Rumunki. W miarę dobry poziom prezentowały Chorwatki, natomiast pozostali przeciwnicy mieli być, i zresztą byli, dostarczycielami punktów. Przed startem eliminacyjnej batalii Polki pod wodzą Wiry były na fali wznoszącej i po cichu liczone, że awans do grona najlepszych zespołów Starego Kontynentu wreszcie stanie się faktem. Przypomnijmy, że dostanie się do tego grona gwarantowało walkę o udział w finałach mistrzostw Europy i świata. System z podziałem na dywizje obowiązywał z prostego względu. Na początku lat dwutysięcznych dysproporcje w kobiecym futbolu sprawiały, że był to jedyny sensowny sposób międzynarodowej rywalizacji. Przykładem niech będzie cho-

ciażby porażka Portugalek z Niemkami 0:13, którą odnotowały niedługo później.

Swoją grupę eliminacyjną Polki dostownie zdemolowały. Rozpoczęły od planowego zwycięstwa 5:0 nad Estonią. Później u siebie zanotowały cenne zwycięstwo nad Chorwatkami 2:0, po golach Leonowicz i Otrębskiej. Również w trzecim meczu z Izraelem zainkasowały komplet punktów, wygrywając 2:0. W Tel Awiwie wynik został ustalony już do przerwy po bramkach Cubały z rzutu karnego, po faulu na Agnieszce Leonowicz i Drozdowskiej w 42. minucie gry, po dośrodkowaniu z rzutu różnego. Jedynym realnym zagrożeniem była więc reprezentacja Rumunii, z którą pierwszy mecz Polki rozegrały na wyjeździe.

Spotkanie odbyło się na stadionie w Campinie, u podnóża Karpat Południowych. Opierając się na relacjach prasowych, było bardzo trudne i niezbyt emocjonujące, w którym gra toczyła się głównie w środku pola. W 80. minucie gry zwycięską bramkę dla Polek zdobyła piłkarka warszawskiej Saveny, Justyna Nazarczyk. 18 maja 2002 roku w Białej Podlaskiej wystarczyło nie

przegrać. Rumunki grały z nożem na gardle, Polki szły jak burza, nie tracąc ani jednej bramki.
 – Chcemy wygrać i awansować, bez czekania na ostatni mecz w Chorwacji. Zwycięstwo w Bukareszcie nie może nas uspokajać, gdyż był to bardzo zacięty mecz. Dziewczyny wiedzą jednak, o co grają i nie powinny zmarnować szansy na wygranie grupy – mówił Albin Wira dla katowickiego „Sportu”.

„Polskie piłkarki nie zmarnowały wielkiej szansy i po wygraniu 3:1 z Rumunią, a siódmego z kolei meczu w eliminacjach mistrzostw świata, zapewniły sobie zwycięstwo w grupie V oraz awans do barażu, w którym zmierzą się z Portugalią (...). Początek spotkania był dla Polek bardzo dobry, bo już w ósmej minucie na polu karnym Rumunek, powstało spore zamieszanie po strzale z dystansu Agnieszki Szondermajer, który został zablokowany przez obrończynię. Świetnie zachowała się Marta Otrębska, która przyłożyła nogę, gdzie trzeba i piłka wpadła do siatki. Potem był okres spokojniejszej gry, ale cały czas prowadzonej pod dyktando Polek. Nasze zawodniczki sporo strzelały – raz trafiły w słupek i w poprzeczkę (a w całym spotkaniu trzykrotnie w poprzeczkę)” – informował katowicki „Sport”.

Polki wygrały 3:1. Do siatki rywalek trafiły jeszcze Szondermajer i Cudała z rzutu karnego.

Swoją dominację potwierdziły w ostatnim meczu grupowym, pokonując na wyjeździe Chorwację 3:0, po dwóch golach Liliany Gibek i jednym Marty Otrębskiej.

Przed dwumeczem z Portugalią bilans kadry pod wodzą Albina Wiry prezentował się następująco. W osiemnastu meczach Polki odniosły trzynaście zwycięstw, trzy razy remisowały, dwukrotnie schodziły z boiska pokonane. W grupie zaliczyły komplet zwycięstw. Bilans bramkowy 25:1 mówił sam za siebie. Dodajmy tylko, że w siedmiu z ośmiu spotkań eliminacyjnych czyste konto zachowała Agnieszka Gajdecka (obecnie Śmiechowska). W bramce, oprócz bidonu z wodą, zawsze towarzyszył jej słońnik, który miał przynieść szczęście. Skład reprezentacji Polski oparty był w zdecydowanej większości na zawodniczkach z polskiej ligi. Wyjątek stanowiła Maria Makowska reprezentująca barwy Turbine Poczdam.

CEL NUMER DWA: PORTUGALIA

O uniknięcie ostatniego miejsca w elicie Portugalki walczyły z Holandią. Decydujący mecz odbywał się w Helmond, niedaleko Eindhoven. Selekcjoner reprezentacji Polski wybrał



▲ Zgrupowanie w Mikorzynie przed meczem Polska – Belgia w 2002 roku. Górny rząd (od lewej): Witold Grim (asystent trenera), Ireneusz Stokowacki (lekarz), Ewelina Szczypniak, Anna Kijas, Agnieszka Leonowicz, Urszula Chomontowska, Joanna Kławińska, Jolanta Cudała, Albin Wira (selekcjoner), Maria Makowska, Bogdan Bacik (masażysta). Środkowy rząd: Agnieszka Drozdowska, Agnieszka Szondermajer, Joanna Tokarska, Agnieszka Karcz, Agnieszka Gajdecka, Anastazja Kubiak, Anna Rogacka, Magdalena Mleczo. Dolny rząd: Beata Mociak, Marta Otrębska, Justyna Nazarczyk / Arch. prywatne Joanny Tokarskiej



▲ Selekcyjner Albin Wira podrzucany z radości przez swoje zawodniczki po wygranym meczu z Rumunią (3:1)
/ Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl


się więc na obserwację rywalek. Jasne było, że Polki zagrają z którąś z tych drużyn, jednak... do meczów barażowych nigdy nie doszło. UEFA zdecydowała się na reformę rozgrywek, uznając, że lepszym pomysłem będzie gra, wzorem męskich reprezentacji, bez podziału na dywizje. Czy Polki pokonałyby Portugalię, pozostaje pytaniem bez odpowiedzi. Jednak nadchodzące mecze z reprezentacjami z europejskiej czołówki szybko zgasiły wielkie aspiracje.

EPILOG

Grupa, do której trafiła reprezentacja Polski, z Francją, Rosją, Islandią i Węgrami, okazała się zderzeniem Titanica z górą lodową. Polki we wszystkich meczach zdobyły zaledwie jeden punkt, przeważnie ponosząc bardzo wysokie porażki. Już przegrany 0:8 sparing ze Szwecją dał wiele do myślenia. Wynik 0:10 w Reykjavíku mówi sam za siebie. „Nie wiedziałam, gdzie się schować. To był wielki wstyd” – wspomina Marta Otrębska. „Grały tak szybko, że nie sposób było ich nawet sfaulować” – dodaje Joanna Tokarska. „Nie było żadnych ostrych słów w szatni ze strony trenera. Zresztą nic by

one nie zmieniły” – przyznaje Anna Żelazko. Pierwsze trzy strzały na bramkę przyniosły Islandkom trzy gole. Później cała taktyka wzięta w tęb. Całkowicie podłamani polski zespół zanotował najdotkliwszą porażkę w swoich dziejach. „Staraliśmy się tłumaczyć to sobie, że lepiej przegrać raz 0:10 niż dziesięć razy 0:1. Ale było trudno” – dopowiada Agnieszka Gajdecka.


Wkrótce z kadrą pożegnał się Albin Wira. Jego miejsce zajął Jan Stępczak. Dwa tygodnie później Polki pod jego wodzą ponownie zmierzyły się z Islandią. Przegrały tylko 2:3. Sny o potędze i walce o medale mistrzostw świata i Europy odeszły w zapomnienie. W kolejnych eliminacjach biało-czerwone musiały grać z dużo silniejszymi rywalkami, a zwycięzców nietrudno było wskazać. Dopiero w 2019 roku reprezentacji Polski udało się urwać punkty drużynie ze światowego topu. W Lublinie Polska zremisowała z Hiszpanią 0:0. Jednak na początku lat dwutysięcznych taki wynik w ogóle nie wchodził w rachubę. Kadrę Polski czekała mozolna praca. O pokonaniu faworyzowanych Rumunek i meczach o wszystko z Portugalią, do których ostatecznie nie doszło, szybko zapomniano.



Robert Góralczyk: Praca w trybie warunkowym

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Choć Robert Góralczyk drużynę narodową prowadził przez zaledwie półtora roku, to jednak postęp, jakiego w niej przez ten czas dokonano, zasługuje na słowa uznania. To właśnie temu selekcjonerowi udało się zmienić postrzeganie kobiecej reprezentacji wśród zarządzających rodzimym futbolem. Biało-czerwonym stworzono odpowiednie warunki do pracy. Polki zaczęły trenować i wyglądać jak w pełni profesjonalny zespół. Szkoda tylko, że do zwycięstwa w grupie eliminacyjnej i awansu do barażu o udział w mistrzostwach świata zabrakło... czterdziestu pięciu minut.



Zanim postawimy pytanie, jak pan trafił do pierwszej reprezentacji Polski, musimy zrobić dość długi wstęp.

– Oj tak! Selekcjonerem reprezentacji seniorskiej zostałem w 2009 roku, a pracę w kobiecej piłce rozpocząłem dziewięć lat wcześniej. Można więc powiedzieć, że miałem już spore doświadczenie, choć uczciwie mówiąc, na samym początku niewiele o niej wiedziałem. Namówił mnie Władysław Szyngiera, z którym pracowałem na katowickiej AWF, a który wówczas był członkiem Wydziału Piłkarstwa Kobiecego PZPN, a wcześniej również selekcjonerem reprezentacji kobiet. „Myślmy o stworzeniu kadry piłkarek do lat szesnastu.

Gdyby pojawiła się taka możliwość, chciałbyś ją poprowadzić?”. Szczerze powiedziawszy, poprosiłem o czas do zastanowienia, ponieważ miałem wtedy relatywnie małe rozeznanie w tym zakresie. Następnego dnia odzwoiłem i powiedziałem: „Jeśli pojawi się już konkretna propozycja, zdecyduję się na to”. I tak się jakiś czas później stało. Najpierw był zespół szesnastolatek, dziewczyny dorastały, wspólnie szliśmy do przodu, wkrótce zrobił się zespół U-19, z którym awansowaliśmy w 2007 roku na mistrzostwa Europy rozgrywane w Islandii.

Aby wystąpić w finałach, trzeba było pokonać mistrzynię Europy z poprzedniej edycji.



▲ Reprezentacja Polski pod kierownictwem Roberta Góralczyka w 2010 roku / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

– Aby się tam znaleźć musieliśmy przebrnąć dwie fazy eliminacji. Najpierw na pierwszym etapie wyszliśmy z 6 punktami z grupy z Hiszpanią, Turcją i Armenią. Następnie czekało nas bardzo trudne zadanie, bo losowano nas z czwartego koszyka, co już na starcie komplikowało życie, bo przecież musieliśmy trafić na silnych rywali. W Walii najpierw zmierzyliśmy się z dobrze dysponowanymi gospodyniami. Pamiętam, że świetny mecz rozegrała wtedy Kasia Daleszczyk, strzelając dwie bramki, a my wygraliśmy 4:0. Potem zremisowaliśmy z Finlandią 0:0, a na koniec rzeczywiście zagraliśmy o wszystko z Rosjankami, które broniły tytułu w tej kategorii wiekowej. Zwyciężyliśmy 1:0 po bramce Natalii Czernielewskiej i obronionym rzucie karnym przez Anię Bocian.

W turnieju finałowym trafiliśmy do grupy z Anglią, Hiszpanią oraz Francją i choć nie osiągnęliśmy jeszcze wtedy wyniku na miarę późniejszego zespołu Zbyszka Witkowskiego, to był to krok w dobrą stronę. Zaistnieliśmy w poważnym futbolu, odnieśliśmy po drodze kilka cennych zwycięstw i sporo się nauczyliśmy. Ugraliśmy tylko jeden punkt, w meczu z Angielkami, choć do 90. minuty wygrywaliśmy 1:0.

I po tym turnieju trafił pan wreszcie do piłki seniorskiej.

Tak. Z tym że do męskiej. Tak się losy poukładały, że zostałem drugim trenerem w ekstraklasowej Polonii Bytom, którą prowadził Michał Probiez. Byłem przekonany, że rozdział pod tytułem „piłkarstwo kobiece” jest w moim życiu zamknięty, ale...

Ale?

– Ale jak zwykle bywa, plany to jedno, a życie pisze swoje scenariusze. Na wiosnę 2009 pojawiły się pierwsze niezobowiązujące zapytania. Podobne zresztą do tych z przełomu wieków. „Jest taki zespół i myślimy, czy nie zechciałbyś podjąć się zadania? – usłyszałem. – A jaki to zespół? No, seniorska reprezentacja Polski kobiet”. Nie podjąłem decyzji z dnia na dzień. Do rozmów wróciliśmy po ponad miesiącu, choć dyplomatycznie mówiąc, nie byłem bezwzględnie zdeterminowany, żeby objąć to stanowisko, mając na uwadze wcześniejsze myśli o zamkniętym rozdziale.

Czyli poszedł pan na rozmowę o pracę, do której w sumie nie był pan przekonany.

– Pomyślałem sobie jednak, że przedstawię taką koncepcję pracy z reprezentacją, że albo dadzą mi święty spokój, albo... będzie to dobre miejsce do pracy dla zawodniczek

i dla mnie. Nie robiłem sobie wielkich nadziei, jednak jak się później okazało, przyjęto mój projekt funkcjonowania reprezentacji, który zresztą następnie w pełnym wymiarze wspierano organizacyjnie, a co za tym idzie także finansowo.

Trafił pan z powrotem do tego samego zespołu. Tylko o dziewięć lat starszego!

– Nie do końca, choć faktycznie w przejętym przeze mnie zespole funkcjonowało nadal kilka zawodniczek, z którymi miałem wcześniej okazję współpracować, ale pozostałe dobrze kojarzyłem z rozgrywek ligowych i ich wcześniejszych występów w reprezentacjach, czy to seniorskiej, czy młodzieżowej. Inaczej rzecz ujmując, był to czas głównie pokolenia zawodniczek urodzonych w latach osiemdziesiątych XX wieku, które dobrze znałem z kilku wcześniejszych lat mojej pracy w piłce nożnej kobiet, a wchodziły one wówczas w bardzo dobry piłkarsko wiek i w tym także upatrywałem szansy na dobre funkcjonowanie zespołu, który miałem objąć. Wiedziałem, że są na tyle zdolne, iż jeśli zostaną nam stworzone dobre warunki, to wspólnie pójdziemy do przodu. Więcej dni i jednostek treningowych, sporttestery, sprzęt sportowy najwyższej jakości, hotele o dobrym standardzie podczas zgrupowań i meczów, przeloty na mecze czy wreszcie gra na coraz lepszych stadionach. Dziś to nie robi na nikim wrażenia, ale dzie-

się lat temu mecz kobiet na stadionie Korony Kielce z Węgierkami był dużym wydarzeniem. To wszystko miało sprawić, że jakość naszej gry wzrośnie.

I wzrosła.

– Nie mnie oceniać, bo choć takie głosy można było usłyszeć, to jednak ostatecznie awansu na mistrzostwa świata nie wywalczyliśmy. A szkoda, bo trafiliśmy na taką grupę, że można było pokusić się o niespodziankę. Wziąwszy pod uwagę fakt, z którego koszyka byliśmy losowani, nie można było narzekać. Najgroźniejszymi rywalkami były Ukrainki, a my w pierwszym meczu eliminacji, w Nowym Sączu, wygraliśmy z nimi 4:1 po trzech bramkach Agnieszki Winczo. To był pewien przełom. Ta drużyna w końcu w siebie uwierzyła, choć forma nie była jeszcze na tyle stabilna, aby iść za ciosem, i przytrafiła się nam porażka z Węgierkami. Wspominam ją, bo punktów zgubionych właśnie w dwumeczu z Węgrami najbardziej w końcowym rozrachunku brakowało. Najpierw porażka 2:4 na wyjeździe, a następnie w Kielcach bezbramkowy remis, pomimo iż pod sam koniec spotkania Ania Żelazko z rzutu wolnego trafiła w słupek, a dobitka Ani Sznyrowskiej, już prawie się wydawało do pustej bramki, także nie przyniosła nam gola. W konsekwencji tego decydujący mecz przyszło nam więc rozegrać na Ukrainie. Potrzebowaliśmy



▲ Robert Góralczyk już w sztabie reprezentacji Polski pod kierownictwem Adama Nawałki / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

remisu. Do przerwy prowadziliśmy 1:0 po bramce Agaty Tarczyńskiej. Jednak konieczność gry z ogromną determinacją i zaangażowaniem w tej fazie meczu przytłaczaliśmy kontuzjami zdobywczyńki bramki oraz Natalii Chudzik. Dodając do tego fakt, iż z powodu choroby przed meczem z gry wypadła także Marta Stobba, to w konsekwencji tych osłabień w drugiej połowie rywalki uzyskaliśmy już dużą przewagę, którą przypieczętowały trzema bramkami, a nas odarły z marzeń o barażu z Włoszkami. Stawianego sobie wcześniej celu nie osiągnęliśmy, ale biorąc pod uwagę całokształt funkcjonowania tej drużyny podczas eliminacji mistrzostw świata, można było z optymizmem spoglądać w przyszłość.

I znów musimy wrócić do Bytomia, gdzie dostrzeżono pana pracę i został pan wkrótce trenerem ekstraklasowej Polonii.

– Nie tak szybko. Zdaję sobie sprawę, że środowisku piłkarskiemu zostało to być może tak przekazane, że to ja zrezygnowałem z prowadzenia kadry pań, ale prawda jest inna. O ile miałem wątpliwości, czy podjąć się tego zadania na początku, to po przegranych eliminacjach wiedziałem, że zbudowaliśmy solidne fundamenty i warto tę pracę kontynuować. Byli jednak tacy, którzy mieli wtedy na to inne spojrzenie oraz inną dalszą wizję funkcjonowania reprezentacji. Takie było ich prawo i 7 grudnia 2010 roku dowiedziałem się, iż wygasająca z końcem roku umowa nie zostanie ze mną przedłużona. Kilka dni po tym otrzymałem propozycję z Polonii Bytom, którą formalnie przejąłem 2 stycznia 2011 roku, tuż po zakończeniu pracy w PZPN.

Żałował pan?

– Nie patrzę na to w ten sposób, bo cel, jakim było poczynienie kroków do przodu, w mojej opinii, został osiągnięty, ale cel strategiczny w postaci chociażby wygrania grupy już nie i choć miałem wiarę, że możemy jeszcze razem coś dobrego zrobić, to nie było mi to już dane. A że od razu było nowe wyzwanie, nie miałem czasu na rozpamiętywanie czy żałowanie czegośkolwiek – pomyślałem tylko „coś się kończy, coś się zaczyna”. I choć teraz w moim przypadku piłkarstwo kobiece to już zdecydowanie rozdział zamknięty, przyglądam mu się z boku i cieszę się, w jakim tempie obecnie się rozwija i czyni kolejne kroki naprzód. W przypadku reprezentacji robimy wyraźne postępy i w piłkarskiej hierarchii jesteśmy coraz wyżej. W poprzednim roku oglądałem na żywo mecz Polek z Włoszkami czy w telewizji z Brazylią i na podstawie tych obserwacji, a także coraz liczniejszej grupy zawodniczek grających w silnych ligach

europejskich z dużym optymizmem można spoglądać w przyszłość i obyśmy już niedługo mieli możliwość oglądać reprezentację w turniejach finałowych rangi mistrzowskiej. Może się już podobać i gra, i klimat wokół drużyny, teraz czas na oczekiwany przez środowisko wynik. Odkąd pierwszy raz zetknąłem się z kobiecym futbolem, a minęło już od tego czasu ponad 20 lat, zmieniło się jeśli nie wszystko, to bardzo, bardzo wiele.

To może chciałby pan wrócić do kobiecej piłki. W końcu do trzech razy sztuka!

– Jest powiedzenie „nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki”, ja wszedłem i nie żałuję, ale przyjmijmy, że z powiedzenia „do trzech razy sztuka” w tym przypadku nie skorzystam. Od czasu mojego zakończenia pracy z reprezentacją kobiet pracuję w piłce męskiej na różnych szczeblach i w tym zakresie nadal zamierzam się realizować. Obecnie pełniąc funkcję dyrektora sportowego w GKS-ie Katowice, jakies niewielki związek z kobiecym futbolem jednak mam, bo posiadamy w klubie silną drużynę żeńską grającą z powodzeniem w Ekstralidze.

Jest pan chyba najlepszą osobą, która może odpowiedzieć na dość istotne pytanie. Czy warto porównywać futbol męski do żeńskiego? I czy czynił pan w ogóle takie porównania? Przeszło panu przez myśl, po co zajmować się kobietami, skoro mężczyźni grają lepiej?

– Piłka nożna jest i zawsze będzie piłką nożną, niezależnie, czy w wykonaniu kobiet, czy mężczyzn, jednak nie warto, a nawet nie powinno się porównywać, chcąc oceniać, kto gra lepiej. Te same przepisy, technika, taktyka, a główna różnica to motoryka i być może sfera mentalna, wynikające z natury kobiet i mężczyzn. Selekcjoner kobiet i mężczyzn ma jednak takie same zadania. Stworzyć możliwie jak najlepszy zespół, gotowy do rywalizacji z innymi reprezentacjami i dążyć do realizacji stawianego celu. A koniec końców piłka jest jedna i ona wszystkich nas łączy. I tego się trzymajmy.

ROBERT GÓRALCZYK *dostał się do zaszczytu pracy w dwóch seniorskich reprezentacjach narodowych. W 2015 roku został asystentem selekcjonera Adama Nawatki. W jego sztabie był odpowiedzialny za rozpracowywanie rywali i obserwację potencjalnych kandydatów do gry w biało-czerwonych barwach. Natomiast reprezentację kobiecą jako selekcjoner prowadził od czerwca 2009 do grudnia 2010 roku. Później w roli pierwszego trenera związał się z Motorem Lublin, aby od czerwca 2019 roku pełnić funkcję dyrektora sportowego GKS-u Katowice.*



Mamy złoto!

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

W 2013 roku Polki zostały mistrzyniami Europy do lat siedemnastu. W turnieju finałowym rozgrywanym w Nyonie wzięły udział cztery drużyny. W półfinale biało-czerwone pokonały Belgię 3:1. W finale czekały na nie Szwedki, które po karnych wyeliminowały faworytki turnieju – Hiszpanię. Polki zwyciężyły 1:0, ale mogły wygrać znacznie wyżej, bo trzykrotnie minimalnie niecelnie uderzała Ewa Pajor, a Patrycja Michalczyk z rzutu wolnego trafiła w poprzeczkę. Skandynawki też miały swoje okazje – dwa groźne strzały trafiły w poprzeczkę i słupek. Gol zdobyty w 14. minucie przez Ewelinę Kamczyk jednak wystarczył. Jak w każdej drużynie jednym kariery ułożyły się lepiej, innym pokrzyżowały je kontuzje. Niezależnie jednak od tego, co dziś robią zawodniczki Zbigniewa Witkowskiego, miejsca w historii polskiego futbolu nikt im nie odbierze. Zanim jednak prześledzimy losy każdej z nich i trenera drużyny, przypomnijmy sobie, jak wyglądała droga na szczyt.

ELIMINACJE

Aby zdobyć mistrzostwo Europy, nie wystarczyło oczywiście wygrać dwóch spotkań. Turniej finałowy, w którym udział brały zaledwie cztery najlepsze drużyny, zorganizowano w Szwajcarii w takiej formule po raz ostatni. Dodajmy jeszcze, że Polki, Szwedki i Belgijki debiutowały w mistrzostwach. Hiszpania miała zdecydowanie największe doświadczenie i największe sukcesy w tej kategorii wiekowej – dwa zwycięstwa w europejskim czempionacie w 2010 i w 2011 roku. Ambasadorem turnieju został były reprezentant Szwajcarii Stéphane Chapuisat. Do Nyonu przybył też Gianni Infantino, wówczas sekretarz generalny UEFA,



▲ Mistrzyni Europy U-17 z 2013 roku. Górny rząd (od lewej): Katarzyna Konat, Anna Rędzia, Sylwia Matysik, Gabriela Grzywińska, Paulina Dudek, Ewa Pajor. Środkowy rząd: Patrycja Michalczyk, Anna Okulewicz, Zbigniew Witkowski (selekcjoner), Kinga Szemik, Dżesika Jaszek, Katarzyna Gozdek. Dolny rząd: Magdalena Gozdecka, Katarzyna Michalska, Urszula Wasil, Karolina Ostrowska, Dominika Dereń, Anna Zapata, Ewelina Kamczyk / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

obecnie prezydent FIFA. Transmisję turnieju przeprowadził Eurosport. Finałowy mecz ze Szwecją w samej tylko Polsce obejrzało około 250 tysięcy widzów.

Zanim to jednak nastąpiło, należało przejść przez eliminacyjne sito. 44 drużyny zostały podzielone na 11 grup, które rozlosowano z trzech koszyków.

Koszyk A: Niemcy, Hiszpania, Francja, Holandia, Norwegia, Irlandia, Szwecja, Czechy, Szwajcaria, Dania i Anglia.

Koszyk B: Polska, Belgia, Włochy, Islandia, Szkocja, Finlandia, Walia, Rosja, Węgry, Ukraina i Austria.

Koszyk C: Serbia, Słowenia, Turcja, Rumunia, Białoruś, Litwa, Macedonia, Chorwacja, Grecja, Estonia, Kazachstan, Wyspy Owcze, Łotwa, Irlandia Północna, Izrael, Azerbejdżan, Mołdawia, Bułgaria, Gruzja, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra i Słowacja.

Polki trafiły do grupy jedenastej. Ich rywalami były Hiszpanki, Słowaczki i reprezentantki Wysp Owczych.

Do kolejnej rundy awans uzyskiwali zwycięzcy grup i pięć najlepszych zespołów z drugich miejsc. Polki zgodnie z planem pokonały gospodynie turnieju – Słowaczki 4:0 po bramkach Katarzyny Konat, Dżesiki Jaszek i dwóch Anny Zapaty oraz Wyspy Owcze – 3:0. W tym drugim meczu gole zdobywały Sylwia Matysik i dwie Ewa Pajor. biało-czerwone na koniec uległy Hiszpanii 0:3, ale grały dalej, ponieważ zmieściły się w pierwszej piątce zespołów z najlepszym bilansem punktowym z drugich miejsc.

W drugiej rundzie eliminacji najlepsze szesnaście drużyn zostało znów podzielonych na cztery koszyki. Polki trafiły do czwartego. Decydujący o awansie do wielkiego finału turnieju drugiej rundy z udziałem biało-czerwonych rozegrano z przygodami w Austrii. Z przygodami, bo zaplanowane na koniec marca 2013 roku mecze storpedowały potężne opady śniegu. Ostatnią kolejkę gier przeniesiono więc na środek kwietnia.

Polkom przed ostatnim spotkaniem do awansu wystarczył remis z miejscowymi.

Wcześniej po ciężkim meczu nasze reprezentantki pokonały Irlandię 2:1 (Ewa Pajor, Paulina Dudek) i faworyzowaną Norwegię aż 3:0. Ostatnia bramka dla Polek padła w dwunastej minucie doliczonego czasu gry. Jej strzelczynią była Paulina Dudek. Wcześniej do siatki rywalek trafiały Ewa Pajor i Dżesika Jaszek. Dłuższa przerwa wynikała z dość groźnie wyglądającej kontuzji jednej z Norweżek. Po dwóch tygodniach „dograno” grupę. Nasze reprezentantki zrealizowały cel w obecności kilkudziesięciu polskich kibiców, którzy specjalnie przyjechali je wspierać. Zremisowały z Austrią 1:1, zdobywając bramkę już w pierwszej minucie gry za sprawą Dżesiki Jaszek.

W najlepszej czwórce, jak wiemy, znalazły się także reprezentacje Hiszpanii – wygrały grupę z Francją, Irlandią Północną i Finlandią, a także Szwedki, które okazały się lepsze od Czeszek, Włosek i Szwajcarek, oraz Belgijki – najlepsze z czwórki z Niemkami, Dunkami i Holenderkami.

FINAŁY

Wylot do Nyonu był olbrzymim wydarzeniem dla młodych piłkarek. Były rozentuzjasmowane do tego stopnia, że kopały piłkę nawet w hali odlotów. O wpatrywaniu się w telefony komórkowe nikt wtedy nie myślał. Dodatkowo PZPN wysłał z kadrą swoją ekipę wideo, która zrealizowała dokument „Piłka jest piękna”, prezentujący drogę kobiecej reprezentacji U-17 do triumfu w mistrzostwach Europy w Szwajcarii.



Obejrzyj dokument
„PIŁKA JEST PIĘKNA”
na kanale Łączy nas piłka

W półfinałach Polska spotkała się z Belgią, Szwecja zaś zagrała z Hiszpanią. Na papierze Belgijki były faworytkami. W drodze do Nyonu wyeliminowały Niemki – obrończynie tytułu, Dunki i Holenderki. Ale mecz dość pewnie 3:1 wygrały Polki po golach Katarzyny Konat, Pauliny Dudek, która zdołała dobić swój strzał, i Ewy Pajor na 13 minut przed końcem.

Hiszpanki miały inicjatywę w meczu ze Szwecją, większe posiadanie piłki. Na bramkę drużyny prowadzonej przez Yvonne Ekroth oddały aż 21 strzałów, ale to Szwecja bardzo długo prowadziła 2:1 i dopiero w końcówce meczu zdołały wyrównać. Ostatecznie w regulaminowym czasie gry padł wynik 2:2, ale w rzutach karnych zawodniczki z Półwyspu Iberyjskiego poległy. Tym samym stało się jasne, że po pięciu latach mistrzem Europy będzie ktoś inny niż Hiszpania lub Niemcy.

Finał rozpoczął się od mocnych ataków Szwedek, które na stadionie wspierała liczna grupa kibiców. W ósmej minucie Stina Blackstenius wpadła w pole karne, ale z ostrego kąta trafiła w zewnętrzną część słupka. Sześć minut później Dominika Dereń dośrodkowała gór-



▲ Paulina Dudek z opaską kapitańską na ramieniu wyprowadza reprezentację Polski na finał mistrzostw Europy U-17 / Fot. Hanna Urbaniak



▲ Ewelina Kamczyk strzelczyni bramki na wagę złotego medalu / Fot. Hanna Urbaniak

na piłkę w pole karne rywalek, wyskoczyła do niej Sylwia Matysik, która jednak nie zdołała jej sięgnąć. Zdezorientowane rywalki na moment zgubiły krycie. Futbolówka spadła pod nogi Eweliny Kamczyk, która oddała rzadkiej urody celny strzał w lewy róg bramki.

Nie była to zresztą jedyna sytuacja dla Polek. Jeszcze w pierwszej połowie trzykrotnie Ewa Pajor mogła podwyższyć wynik, ale oznaczona numerem siedemnastym napastniczka nie miała tego dnia szczęścia. Jej strzały minimalnie mijały słupek bramki rywalek. Szwedki odpowiadały groźnymi uderzeniami z dystansu, z którymi radziła sobie jednak Anna Okulewicz.

W drugiej części meczu Szwedki znów były bliskie celu, jednak w 56. minucie gry piłka po uderzeniu Filippy Angeldal trafiła w poprzeczkę. Dwie minuty później w taki sam sposób bramkę rywalek potraktowała Patrycja Michalczyk i nie był to wcale koniec takich atrakcji, bo na trzydzieści minut przed końcem znów w poprzeczkę trafiła Jennifer Karlsson. Wynik jednak nie uległ zmianie.

KONTEKST

Polki dokonały rzeczy dla wielu obserwatorów nieprawdopodobnej. Zdobyły jak na razie

jedyną trofeum w historii polskiego futbolu kobiecego i pierwsze od 2001 roku mistrzostwo Europy dla Polski. Z ich medalem polskie piłkarstwo ma łącznie cztery złota w kolekcji. Złoto olimpijskie zespołu Kazimierza Górskiego z igrzysk w Monachium (1972), złoto drużyny Andrzeja Zamilskiego z mistrzostw Europy w kategorii do lat szesnastu (1993) i złoto piłkarzy Michała Globisza z mistrzostw Europy w kategorii do lat osiemnastu (2001) uzupełniają złote medalowe osiągnięcia białoczerwonych pod wodzą Witkowskiego.

Patrząc na rozgrywane od 2008 roku turnieje finałowe w kategorii U-17, tylko raz zdarzyło się, aby na najwyższym stopniu podium stała inna drużyna niż któraś z pary Niemcy - Hiszpania. Niemki wygrywały ośmiokrotnie, Hiszpanki - cztery razy i raz w 2013 roku tę hegemonię przetrzymały zawodniczki Zbigniewa Witkowskiego. Ale już po wylądowaniu w Warszawie, po odebraniu setek gratulacji, między innymi w formie listu gratulacyjnego od wicemarszałek Sejmu Wandy Nowickiej, po wizycie u ministra sportu Joanny Muchy, spotkaniu z prezesem Zbigniewem Bońkiem i innymi działaczami PZPN, żadna z mistrzyń nie zaprzętała sobie głowy statystykami. Przyszłość czas na świętowanie przy ognisku.



Zbigniew Witkowski: Trener mistrzyń

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Nikt nie przypuszczał, że sięgną po złoto, ani nikt nie zwracał wcześniej uwagi na trenera, który doprowadził je do jednego z największych sukcesów polskiego piłkarstwa. Ciężka praca obroniła się z nawiązką. Reprezentacja, którą kierował Zbigniew Witkowski, nadal daje o sobie znać. Juniorki stały się seniorkami, ale z reprezentacji młodzieżowej wyniosły kilka cennych lekcji.

Postawmy sprawę jasno. Nawet po latach brzmi to nieprawdopodobnie, że polskie piłkarki zdobyły mistrzostwo Europy.

– Mało osób wierzyło, że możemy je wywalczyć. Jak do tej pory w kategorii U-17 rozegrano te zawody dwanaście razy, a mistrzostwo zdobywały ośmiokrotnie Niemki, cztery razy Hiszpanki i raz my. Świadczy to o skali trudności. Zaważyła na tym koncepcja pracy, budowa zespołu i kilka innych czynników, które w mojej opinii wpłynęły na zdobycie tytułu mistrzowskiego.

W rozegranych przez nas meczach rywalizowaliśmy z potęgami światowej piłki kobiecej. W 2013 roku w takich krajach jak Szwecja czy Norwegia piłkę nożną uprawiało ponad sto tysięcy zawodniczek. W Polsce było ich zarejestrowanych zaledwie siedem tysięcy. Ale długotrwała, systematyczna praca z wyselekcjonowaną grupą piłkarek, która trwała ponad trzy i pół roku, przyniosła efekty. Chcę podkreślić, że wierzyłem od początku w moż-

liwości naszego zespołu. Ktoś powie, że mówię to po fakcie, ale tak nie jest. Już przed drugą rundą eliminacji udzieliłem wywiadu oficjalnej stronie UEFA, w którym jednoznacznie stwierdziłem, iż w tym roku jesteśmy bardzo silnym, pełnym wiary w siebie zespołem i naszym celem jest osiągnięcie mistrzostwa. Wtedy wiele osób nie dowierzało, ale naszą ciężką pracą udowodniłem, że można odnosić wielkie sukcesy, nawet mając teoretycznie gorsze warunki. Chcę podkreślić zwrot „ciężka praca”, bo właśnie dzięki niej zdołaliśmy wywalczyć złoto i nie było w tym przypadku. W perspektywie całych mistrzostw byliśmy po prostu najlepsi. Co jednak ważne, nasze zwycięstwa nie wynikały z jakiegoś zbiegu okoliczności i szczęścia. Mistrzostwo wywalczyliśmy zasłużenie, co podkreślali po końcowym gwizdku meczu finałowego ze Szwecją komentatorzy Eurosportu i eksperci UEFA m.in. w oficjalnym raporcie technicznym z mistrzostw Europy.



▲ Selekcjoner Zbigniew Witkowski z trofeum mistrzostw Europy U-17 / Fot. Hanna Urbaniak

Fakt, że w turnieju finałowym wystąpiły cztery drużyny, co dla kibica może być zaskoczeniem, ułatwia, czy utrudnia sprawę?

- Jestem zdania, że system eliminacji w kategorii kobiet do lat siedemnastu był do 2013 roku najtrudniejszym ze wszystkich rozgrywek pod egidą UEFA. W kategorii U-19 awans do drugiej rundy eliminacji można było uzyskać nawet z trzeciego miejsca w grupie składającej się z czterech zespołów, podczas gdy w U-17 nawet drugie miejsce z dobrym bilansem punktowym i bramkowym mogło nie wystarczyć. W drugiej rundzie eliminacji uczestniczyło szesnaście zespołów podzielonych na cztery grupy, a do turnieju finałowego awansowały tylko zwycięskie cztery drużyny. W sezonie 2012/2013 w pierwszej rundzie rozegraliśmy niezły turniej na Słowacji, ale awansowaliśmy z drugiego miejsca, ponieważ odnotowaliśmy porażkę z Hiszpanią. Był to zresztą nasz jedyny przegrany mecz, ale w konkluzji mogę stwierdzić, że przegraliśmy jedną bitwę, ale wygraliśmy całą wojnę, a Hiszpanki były tylko trzecie. W drugiej rundzie nie pozostawiliśmy jednak żadnych złudzeń i w świetnym stylu awansowaliśmy do finałowej czwórki. A później już chyba wszyscy wiedzą, co było dalej...

Ale nie każdy wie, co było wcześniej. Krótko mówiąc, skąd pan wzięt tę reprezentację?

- Niezmiernie ważnym elementem, który umożliwił osiągnięcie tak znaczącego sukcesu, był fakt, iż pracowałem z wyselekcjonowaną grupą zawodniczek ponad trzy i pół roku. Pod koniec 2009 r. zostałem trenerem kadry U-15. Wówczas wytypowaliśmy grupę najbardziej utalentowanych dziewcząt w tej kategorii. Zawodniczki, które się wyróżniały i robiły różnicę, były powoływane na zgrupowania. Pod koniec 2010 roku zostałem trenerem reprezentacji Polski U-17 kobiet, dzięki czemu piłkarki, z którymi pracowałem wcześniej w kadrze U-15, trafiły do mnie ponownie. W mojej opinii tylko długoletnia praca może przynieść efekty. Średnio zawodniczka funkcjonuje w reprezentacji U-15 przez około dwa lata, kolejne dwa w U-17 i jeszcze dwa w U-19. Trener powinien mieć możliwość pracy właśnie według tego systemu. Wtedy po sześciu latach można go obiektywnie ocenić, uwzględniając, kogo wyselekcjonował, jakie wyniki osiągnął i wreszcie kogo przekazał do pierwszej reprezentacji kraju. Zapewnia to jednocześnie ciągłość i systematyczność szkolenia. W zwycięskim finale mistrzostw Europy w podstawowym składzie grało aż

dziewięć zawodniczek, które wcześniej przeszły szkolenie w reprezentacji U-15, co jest potwierdzeniem powyższych założeń.

Wróćmy do meczów drugiej fazy. Turniej rozgrywany był w Austrii i miał niecodzienny przebieg. Niewiele brakowało, a nie zostałyby w całości rozegrane.

– To prawda, śnieżycy storpedowała plany, ale o niej za chwilę. Najpierw, kiedy jeszcze nikt nie spodziewał się kłopotów, ograliśmy Irlandię. Kontrolowaliśmy mecz, choć przy stanie 2:0 dość przypadkowo straciliśmy bramkę. Nie wpłynęła ona jednak na końcowe rozstrzygnięcie. Później czekała na nas Norwegia, która w pierwszym meczu pokonała Austrię 2:0. Bardzo mocna drużyna. Ale zwyciężyliśmy w pięknym stylu 3:0, a potem rzeczywiście przytrafiły się te słynne opady śniegu. I zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Bo śnieżycy na meczu jest dziwną sprawą...

– Ale nie o nią tu chodzi. Delegat UEFA po rozmowach z organizatorami wpadł na pomysł, aby dograć turniej na boisku ze sztuczną nawierzchnią w taki sposób, że odbyłby się tylko nasz mecz z Austrią. Spotkanie Norweżek z Irlandią zamierzano odpuścić. Nie zgodziliśmy się na takie rozwiązanie, bo po pierwsze nie miało nic wspólnego z zasadami, a po drugie tamten mecz mógł mieć znaczenie dla układu tabeli. Nie chciałem oczywiście liczyć na innych, ale skoro pewne sprawy zostały ustalone wcześniej, to nie widziałem powodu, żeby ze względu na opady śniegu je zmieniać. Nie zgodziliśmy się, więc ostatecznie zapadła decyzja, że rozjeżdżamy się do domów.

Po to, aby spotkać się, jak pogoda pozwoli.

– Tak, czyli po dwóch tygodniach znów byliśmy na tym samym turnieju. I znów nastąpiła pewna niezręczność. Mecze miały być rozegrane na stadionie położonym dość wysoko nad poziomem morza. Wszystkie drużyny, oprócz naszej, mieszkały nieopodal stadionu. My w zupełnie innym miejscu. Zauważyliście pewnie wcześniej, jestem szczegółarzem, ale niuanse mają znaczenie. Niby nic takiego, ale jednak przyzwyczajenie organizmu do przebywania w górach, tam, gdzie odbędzie się mecz, raczej pomaga w odniesieniu dobrego wyniku. W meczu z Austrią nie mogła zagrać pauzująca za kartki Ewa Pajor. Zastąpiła ją Dżesika Jaszek, która strzeliła bramkę już w pierwszej minucie. Po wrzucie z autu uderzyła z prostego podbicia w lewy róg bramki. Cały mecz zremisowaliśmy 1:1 i dzięki temu byliśmy wśród czterech najlepszych reprezentacji Europy. Uzupełnijmy tylko, że Norweżki z Irlandkami zakończyły mecz remisem 0:0.

A potem prowadzona przez pana reprezentacja zdobyła mistrzostwo Europy. Sceptycy rozliczają pracę trenerów kadr młodzieżowych nie z tytułów, ale z dalszych karier zawodniczek w pierwszej reprezentacji.

– To dodajmy tylko, że sześć z naszych piłkarek zostało wybranych do jedenastki turnieju, ale wracając do meritum, to mistrzyni z Nyonu stanowią w dużej mierze o sile naszej obecnej reprezentacji. W meczowej jedenastce drużyny narodowej są przecież Ewa Pajor, Paulina Dudek, Ewelina Kamczyk, Gabriela Grzywińska. Kolejne są brane pod uwagę w szerszej selekcji. Misja nie dobiegła końca w Nyonie, tylko trwa cały czas. Cieszę się, że w dużym stopniu uczestniczą w niej mistrzyni Europy z Nyonu, natomiast ważne jest też to, aby odnosić zwycięstwa z drużynami, które w światowym rankingu są nad nami. Ten etap jeszcze nie nastąpił, ale remis z Hiszpanią możemy wziąć za dobry znak.

To jakie są perspektywy przed zawodniczkami z pana drużyny?

– Perspektywy są, choćby dlatego, że zwiększone zostały środki na szkolenie przez Polski Związek Piłki Nożnej. Mamy dość dobrą strukturę ligową i silnie rozbudowane rozgrywki młodzieżowe, co jest w całym systemie bardzo ważne. Szkolenie w profesjonalnych warunkach jest istotne, a modelowym przykładem funkcjonowania takiej szkoły jest łódzki SMS, zarządzany przez Janusza Matusiaka, czy koniński Medyk, którego wychowanki grają w zasadzie we wszystkich klubach Ekstraligi. Natomiast wzrost jakości skorelowany jest też z masowością dyscypliny. W takich Niemczech w piłkę gra ponad milion dziewczyn. Czyli jest tam więcej piłkarek niż u nas piłkarzy. Warto zwrócić uwagę, jak wygląda piłkarstwo kobiece w Skandynawii. Wzorce ze Szwecji czy Norwegii, gdzie w piłkę gra po około sto tysięcy zawodniczek, warto przenosić na nasze podwórko. Utalentowanej młodzieży u nas nie brakuje, przecież nie tak dawno ograliśmy i Szwedki, i Norweżki.

ZBIGNIEW WITKOWSKI jest pierwszym trenerem w historii, który zdobył złoty medal dla polskiego piłkarstwa z kobietą reprezentacją U-17. Jest autorem wielu naukowych publikacji dotyczących treningu piłkarskiego. Od wielu lat jego wykłady cieszą się olbrzymim zainteresowaniem. Swoją wiedzę dzieli się między innymi ze studentami Zakładu Piłki Nożnej AWF w Katowicach, AWF w Krakowie i Instytutu Wychowania Fizycznego i Sportu Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu.



TURNIEJ „Z PODWÓRKA NA STADION O PUCHAR TYMBARKU”

Rozgrywki w kategoriach: **U8, U10, U12**



TU SPEŁNIAJĄ SIĘ MARZENIA!

www.zpodworkanastadion.pl



PATRONAT HONOROWY



ORGANIZATOR



SPONSOR GŁÓWNY



KOMITET HONOROWY






Dziewięć lat po złocie

AUTORKA: PAULA DUDA

W czerwcu 2022 roku minęło dziewięć lat od największego sukcesu w historii polskiej piłki kobiecej – wywalczenia młodzieżowego mistrzostwa Europy przez reprezentację Polski do lat 17. Kadra, prowadzona przez selekcjonera Zbigniewa Witkowskiego, pokonała w finale turnieju Szwecję 1:0 po голу Eweliny Kamczyk. Postanowiliśmy sprawdzić, jak dziś wiedzie się naszym „złotkom”.



Losy mistrzyń Europy potoczyły się bardzo różnie. Z osiemnastu zawodniczek, które w 2013 roku pojechały na turniej finałowy do szwajcarskiego Nyonu, pięć już nie gra dziś w piłkę na wysokim poziomie albo wcale. Dwanaście zadebiutowało w seniorskiej reprezentacji Polski. Cztery odeszły do klubów zagranicznych. Największą karierę zrobiły Ewa Pajor i Paulina Dudek.

O „złotkach” porozmawialiśmy z Natalią Niewolną-Wielińską, która wtedy była w sztabie drużyny trenera Zbigniewa Witkowskiego, a w latach 2016-2021 była asystentką selekcjonera Miłosza Stępińskiego w seniorskiej kadrze.



▲ Anna Okulewicz (z lewej) i Kinga Szemik podczas sesji zdjęciowej w 2013 roku / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

ANNA OKULEWICZ

Najlepsza bramkarka turnieju finałowego. Zapowiadała się na znakomitą golkiperkę. – Była niesamowicie skoczna i zdeterminowana. Grała tak dobrze nogami, że praktycznie była jak piąta obrończyni. Pamiętam jedną jej znakomitą paradę z finału, która nas uratowała – wspomina Natalia Niewolna.

Po mistrzostwach Europy kobieca drużyna Pogoni się rozpadła, a ona odeszła do szczyńskiej Olimpii. Niestety później jej kariera nie potoczyła się tak, jak mogła. Przez różne pozasportowe aspekty przestała grać, ale z futbolem całkiem rozstać się nie potrafiła. Z przerwami kontynuowała swoją przygodę z piłką. Kopała zarówno na trawie, jak i w hali w barwach Stilonu oraz Warty Gorzów Wielkopolski. Latem 2022 roku wraz z koleżankami założyła klub Ladies Soccer Team Gorzów Wlkp., który wystartował w czwartej lidze i już w swoim pierwszym sezonie zapewnił sobie awans o klasę wyżej, m.in. dzięki niezwykle... bramkostrzelnej Annie Okulewicz. – Brakuje nam zawodniczek, ale dajemy radę. Stawiamy na młodzież – mówi piłkarka, która na co dzień pracuje w firmie z częściami samochodowymi.

KINGA SZEMIK

Rezerwowa bramkarka w turnieju finałowym. W 2013 roku reprezentowała barwy Mitechu Żywiec. Grała także w kadrze województwa śląskiego, prowadzonej przez trenera Zbigniewa Witkowskiego. – Nasz trener bramkarek, Włodek Kwiatkowski, widział w niej ogromny potencjał. Do dorosłej reprezentacji długo trudno jej się było przebić, bo miała dużą konkurencję w postaci Kasi Kiedrzynek i Ani Szymańskiej, ale teraz coraz częściej ma swoje „pięć minut”. W mojej ocenie dobrze się rozwinięła – przekonuje Niewolna.

Szemik niestety zaraz po finałach mistrzostw Europy doznała kontuzji barku i obojczyku w pokazowym spotkaniu z dziennikarzami. Po jej wyleczeniu rozegrała 35 meczów w Ekstralidze, była także powoływana do reprezentacji U-19. W 2016 roku zdecydowała się na kontynuowanie nauki i gry w piłkę w Stanach Zjednoczonych. Odnosiła sukcesy w zespole najwyższej klasy amerykańskich rozgrywek akademickich, The University of Texas Rio Grande Valley. Zadebiutowała nawet w kadrze Miłosza Stępińskiego. Studia dobiegły jednak końca, a w styczniu 2020 roku nie znalazła uznania w oczach klubów ligi

profesjonalnej NWSL. O to było jednak ciężko bramkarce i osobie zza granicy. Ostatecznie latem wróciła do Europy i podpisała kontrakt z francuskim drugoligowcem, FC Nantes. Była pewnym punktem „Kanarków” w sezonie 2021/22, ale zespół nie wywalczył awansu do elity. Latem 2022 roku odeszła do występującego we francuskiej Division 1 Stade de Reims. W reprezentacji Polski wyrasta na pierwszą bramkarkę.

KATARZYNA MICHALSKA

Ówczesna zawodniczka szczecińskiej Olimpii była jedynie uzupełnieniem kadry, która zdobywała złoty medal w Szwajcarii. Nie tylko nie zagrała ani minuty w finałach, ale w ogóle nie zadebiutowała pod wodzą Zbigniewa Witkowskiego.



Z Olimpią awansowała do Ekstraligi, później pomogła w jej utrzymaniu w najwyższej klasie rozgrywkowej. Po skończeniu liceum latem 2016 roku odeszła do AZS PSW Biała Podlaska. Niestety w 2017 roku dwukrotnie zerwała więzadła w stawie skokowym. Z kolei w 2019 roku AZS PSW został z powodu braku finansowego wsparcia wycofany z rozgrywek. – Wtedy ukierunkowałam się na naukę i rozwój pasji, choć za piłką trochę tęsknię. Obroniłam pracę inżynierską na kierunku Informatyka w Państwowej Szkole Wyższej w Białej Podlaskiej. Obecnie pracuję jako grafik komputerowy w agencji reklamowej i piszę strony internetowe – opowiada. Oprócz tego pogrywała w futsal. W styczniu 2020 roku wywalczyła złoto w Akademickich Mistrzostwach Województwa Lubelskiego. Ostatnio piłkę nożną zastąpiła jazdą motocyklem.

PATRYCJA MICHALCZYK

Podstawowa zawodniczka bloku defensywnego złotych medalistek. Do kadry powołana została z Nisy Kłodzko, drużyny... chłopięcej. Później odeszła do AZS Wrocław i zerwała wię-



zadła w kolanie. W 2016 roku trafiła do Olimpii Szczecin, w której gra do dziś, chociaż już pod szyldem Pogoni. – Gdyby nie poważna kontuzja, mogłaby zrobić większą karierę – twierdzi Natalia Niewolna.

Michalczyk zadebiutowała w dorosłej reprezentacji Polski w czerwcu 2019 roku w towarzyskim spotkaniu przeciwko Słowacji rozgranym w Popradzie. Polki, grając w składzie złożonym w większości z zawodniczek z Ekstraligi, przegrały 0:1, a obrończyni Olimpii rozegrała pierwsze 45 minut. To było jednak jej pierwsze i jak do-
tąd ostatnie powołanie do seniorskiej kadry.

KAROLINA OSTROWSKA

Wtedy piłkarka AZS Wrocław w finałach nie otrzymała szansy gry. – Mogła występować zarówno na boku, jak i na środku defensywy. Mimo sporych umiejętności, przegrywała jednak ogromną rywalizację o miejsce w składzie. Grała także wtedy w kadrze Dolnego Śląska – wspomina Niewolna.



W AZS Wrocław Ostrowska spędziła kilka sezonów. Osiągała sukcesy w rozgrywkach juniorskich. W 2018 roku przez moment występowała w pierwszoligowym Golu Częstochowa, potem przez dwa sezony broniła barw ekstraligowego

AZS PWSZ Wałbrzych, w którym występowała zarówno na trawie, jak i w hali. Latem 2020 roku wróciła do Wrocławia, ale już do Śląska, który przejął AZS. Nie dane jej było jednak rozpocząć sezonu, ponieważ w lipcowym sparingu doznała urazu zerwania więzadeł w kolanie, przez co czekała ją dłuższa przerwa w grze. Aktualnie z powodzeniem łączy w Śląsku rolę piłkarki i kierowniczkii drużyny.

KATARZYNA GOZDEK

Jeśli trzeba by wskazać jedną piłkarkę z kadry mistrzyń Europy, której żał najbardziej, to byłaby to właśnie Katarzyna Gozdek. Kapitan i ostoja linii defensywnej „złotek”. – Swoją osobowością scalała zespół. Bardzo pozytywna osoba. Szkoda, że jej losy tak się potoczyły – mówi Natalia Niewolna. Kilka minut przed końcem meczu półfinałowego z Belgią nabawiła się kontuzji, która, jak się później okazało, na zawsze przekreśliła jej marzenia o wielkiej karierze. Puchar za mistrzostwo Europy podniosła, podpierając się o kule. Po wyleczeniu kontuzji wróciła do treningów w AZS Wrocław i wtedy nie wytrzymało drugie kolano, a klub nie przedłużył z nią kontraktu. Później zgłosił się po nią jeszcze mistrz kraju Medyk Konin, ale nie dostała szansy w zespole, zbrojącym się na Ligę Mistrzyń. Trafiła do GOSiRek Piaseczno, a następnie... w wieku 20 lat zdecydowała się zakończyć przygodę z piłką.



Potem skupiła się na nauce. Nie wytrzymała jednak długo bez futbolu. Zaczęła grać w futsal i beach soccer w barwach UAM Poznań, z którym pojechała na turniej Ligi Mistrzyń w piłce plażowej. Przygotowując się do sezonu Ekstraligi futsalu zerwała więzadła po raz trzeci. Skończyła fizjoterapię na poznańskim AWF oraz gra w „plażówkę” w Lady Grembach Łódź, z którym w 2019 roku wy-

walczyła wicemistrzostwo świata, w sierpniu 2020 roku mistrzostwo Polski, a w 2022 roku klubowe mistrzostwo globu. – Niestety ze sportowej pasji nie byłam w stanie wyżyć, dlatego wyjechałam do Francji, gdzie obecnie pracuję jako fizjoterapeutka – mówi.

KATARZYNA KONAT

Podstawowa lewa obrończyni kadry U-17. – Wsadzała głowę tam, gdzie inni baliby się wsadzić nogę. Piłka mogła przejść, ale przeciwnik nie. A wcale nie zbierała tak dużo żół-



tych kartek. Wtedy chudziutka, filigranowa, ale wysoka i dynamiczna. Do tego stopnia chuda, że nawet rodzice dzwonili i prosili, żeby pilnować jej na posiłkach – śmieje się Niewolna.

Dwa miesiące po zdobyciu mistrzostwa Europy zadebiutowała w dorosłej reprezentacji na turnieju towarzyskim Balaton Cup. Rok później zdobyła mistrzostwo i Puchar Polski z Medykiem Konin, w którym spędziła dekadę. Później grała jeszcze w AZS PWSZ Wałbrzych, a od 2016 do 2022 roku reprezentowała barwy TME SMS Łódź. Łódź opuszczała jako mistrzyni Polski i etatowa kadrowiczka. Mimo że także jej nie oszczędzały kontuzje, to na krajowym podwórku wygrała wszystko, co było do wygrania. Od lipca 2022 roku jest zawodniczką włoskiego Pomigliano Calcio.

ANNA RĘDZIA

Rozegrała wszystkie mecze turnieju w pełnym wymiarze czasowym na lewej stronie defensywy. – Wyróżniła się stoickim spokojem na boisku i poza nim. Nigdy nie dała się sprowokować. Zawsze zachowywała zimą krew. Przy tym wszystkim miała bardzo wysokie umiejętności piłkarskie – mówi o Rędzi Natalia Niewolna.



Po mistrzostwie Europy opuściła Sportową Czwórkę Radom na rzecz TME SMS Łódź, a w latach 2015-2019 grała w AZS PWSZ Wałbrzych. W Wałbrzychu zadebiutowała w Ekstralidze oraz była powoływana do seniorskiej reprezentacji Polski. Latem 2019 roku wróciła do Łodzi, w której gra z powodzeniem do teraz. W sezonie 2021/22 wywalczyła z SMS mistrzostwo Polski. Zawodniczka o sporym potencjale, która z powodzeniem mogłaby spróbować swoich sił w znacznie mocniejszych klubach, tym bardziej że po wywalczeniu złotego medalu ustawiała się po nią kolejka zainteresowanych.

PAULINA DUDEK

Jeden z filarów mistrzowskiej drużyny U-17, a dziś pierwszej reprezentacji Polski oraz jednego z czołowych europejskich klubów, PSG. Do końca nie było wiadomo, czy zdąży się wyleczyć na turniej w Szwajcarii po kontuzji, którą odniosła w rozgrywkach Coca-Cola Cup. W finale przeciwko Szwecji założyła opaskę kapitańską wskutek nieobecności Katarzyny Gozdek.



Co ciekawe, jej początki z reprezentacją Polski nie były ustane różami. – Pamiętam jeden sparing w Grodzisku Wielkopolskim. Została wpuszczona na boisko, po czym po kilkunastu minutach poprosiła o zmianę, bo nie miała już siły. Po tym meczu rozmawialiśmy z jej rodzicami. Przyznam szczerze, że nie widziałam wtedy dla niej przyszłości w kadrze. Obiecała jednak, że weźmie się za siebie i będzie lepsza. Pół roku później, kiedy przyjechała na zgrupowanie, byliśmy w ogromnym szoku, jaki poczyniła postęp. Potrafiła rozegrać 90 minut, a potem zapytać, czy może jeszcze potrzebować. Wykonała tytaniczną pracę, która dziś procentuje – opowiada Natalia Niewolna.

MAGDALENA GOZDECKA

W 2013 roku stanowiła jedynie uzupełnienie 18-osobowego składu na mistrzostwa. Środkowa pomocniczka AZS UJ Kraków miała niesamowicie dużą konkurencję na swojej pozycji, bo rywalizowała z Urszulą Wasil, Sylwią Matysik czy Gabrielą Grzywińską. – Wchodziła tylko na końcówki – potwierdza Niewolna.



W 2017 roku odeszła z AZS UJ Kraków i grała jeszcze w Prądniczance Kraków. – Przez prywatne sprawy musiałam zrezygnować z występów na najwyższym poziomie. Ale kto wie, może jeszcze wrócę kiedyś do gry w jakiejś niższej lidze na trawie bądź hali – mówiła jeszcze w 2020 roku Gozdecka. I tak się stało. Aktualnie jest piłkarką drugoligowych rezerw AZS UJ Kraków oraz gra w futsal. Ukończyła studia magisterskie na kierunku teleinformatyka na AGH.

GABRIELA GRZYWIŃSKA

Finał młodzieżowych mistrzostw Europy był jej drugim występem w reprezentacji do lat 17, ale pierwszym w wyjściowym składzie. Wcześniej zaliczyła jedynie kwadrans w półfinale przeciwko Belgii. Zagrała, bo kontuzji nabawiła się Katarzyna Gozdek i to nie na swojej nominalnej pozycji. Sama tak to wspominała w rozmowie z Łączy Nas Piłka: „Podeszłam do tego na luzie. Powiedziałam sobie ‘mam jeden mecz, muszę zagrać jak najlepiej’. I tyle.” I zagrała.



Później regularnie występowała w reprezentacji U-19, ale z kadrą seniorską długo jej było nie po drodze. Za kadencji Miłosza Stępińskiego na początku była głównie dowoływana na zgrupowania, ale cierpliwie czekała na swoją szansę, aż w końcu stała się podstawową zawodniczką reprezentacji. Od zimy 2021 roku piłkarka Zenitu Sankt Petersburg.

EWELINA KAMCZYK

Czołowa postać nie tylko meczu finałowego, w którym zdobyła bramkę na wagę złotego medalu, ale także kadry trenera Zbigniewa Witkowskiego. – Razem z Gabą Grzywińską była wtedy zawodniczką Unii Racibórz. Obie niewiele grały, bo Unia była wtedy potęgą i miejsce w składzie miały bardziej doświadczone piłkarki. Od zawsze interesowała się nowymi technologiami i dobrze czuła się w mediach społecznościowych – charakteryzuje „Kamyka” Natalia Niewolna.

W latach 2015-2021 w barwach Górnika Łęczna pięć razy zdobyła mistrzostwo Polski, cztery razy Puchar Polski i pięciokrotnie sięgała po tytuł królowej strzelczyń ligi. Była niekwe-



stionowaną gwiazdą Ekstraligi i wielu obserwatorów powtarzało, że Polska stała się już dla niej za ciasna. Latem 2021 roku odeszła do francuskiego Fleury 91.

SYLWIA MATYSIK

Kolejna podstawowa piłkarka ekipy młodzieżowych mistrzyń Europy. W latach 2010-2015 była zawodniczką Medyka Konin, z którym zdobyła mistrzostwo i Puchar Polski. Od 2017 do 2020 roku reprezentowała barwy Górnika Łęczna, do którego trafiła z AZS Wrocław. W drużynie z Lubelszczyzny wygrała praktycznie wszystko, co mogła i w maju 2020 roku podpisała roczny kontrakt z zespołem niemieckiej Bundesligi, Bayerem Leverkusen. – W tamtym



okresie modny był tzw. harlem shake, czyli szalony taniec do jednej z piosenek. Sylwia razem z Kasią Michalską były tymi, które go rozkręciły u nas. „Matys” w swoim gronie to taka pozytywnie zakręcona postać – śmieje się Niewolna.

Sylwia Matysik dziś uchodzi za osobę cichą, ale niezwykle pracowitą na boisku. Ksywka „Gattuso” odzwierciedla styl jej gry, chociaż, jak sama przyznaje, nie jest aż tak agresywna na murawie jak legendarny Włoch. Jest ważnym ogniwem reprezentacji Polski.

URSZULA WASIL

Jedna z tych piłkarek, od których trener Zbigniew Witkowski rozpoczął ustalanie wyjściowej jedenastki. – Słynna „Helenka” na kadrze, kluczowa postać i niezwykle inteligentna osoba – nie ukrywa Niewolna. Grała wtedy w Górniku Łęczna, ale niestety głównie w rezerwach, przez co nie rozwijała się tak, jak powinna. Do tego doszła kontuzja i ostatecznie Wasil porzuciła poważniejszy futbol na rzecz nauki, chociaż była jeszcze powoływana do kadry U-19.

Dziś nie gra już w piłkę. W lipcu 2020 roku wyszła za mąż. Jest mamą półtorarocznego Stasia. Pracuje w firmie zajmującej się certyfikacją systemów zarządzania.



wycofaniu się wałbrzyskiego zespołu z rozgrywek Ekstraligi dołączyła do mistrza Polski, Górnika Łęczna. Zaliczała pojedyncze powołania do dorosłej reprezentacji Polski prowadzonej przez Wojciecha Basiuka i Miłosza Stępińskiego. Ostatni raz w kadrze zagrała w listopadzie 2018 roku w towarzyskim meczu z Bośnią i Hercegowiną w Kluczborku. Potem trafiły ją kontuzje. To jedna z tych zawodniczek, która, gdyby nie urazy, mogła osiągnąć znacznie więcej niż tylko poziom Ekstraligi.

DŻESIKA JASZEK

W turnieju finałowym nie zagrała ani minuty. Przegrywała walkę o miejsce w składzie z Ewą Pajor i Anną Zapałą. – Grała wtedy w Unii Racibórz i w kadrze Śląska, której kierowniczką była śp. Irena Półtorak. Pamiętam, że darzyła Dżesikę dużą sympatią. Jak trzeba było coś załatwić, to pani Irenka zawsze wołała Dżesikę i odwrotnie. Piłkarsko niestety nie rozwinęła się tak, jak mogła. Zawsze miała problemy ze skutecznością – przyznaje Natalia Niewolna.

DOMINIKA DEREŃ

Podstawowa zawodniczka reprezentacji Polski w turnieju finałowym. W tamtych czasach grała w rezerwach AZS Wrocław, które występowały w drugiej lidze. To ona asystowała przy голу Eweliny Kamczyk, który zdecydował o wygranej w finale ze Szwecją. – Pamiętam to jak dziś. Dostała podanie od Ulki Wasil, dośrodkowała z prawej strony, a Ewelina Kamczyk prawą nogą uderzyła w długi róg – opisuje Natalia Niewolna.

W 2016 roku odeszła z Wrocławia do AZS PWSZ Wałbrzych, a latem 2020 roku po



Rok po zdobyciu mistrzostwa Europy zmieniła klub z Unii Racibórz, która się rozpadła, na Górnik Łęczna. Niestety na samym początku swojej przygody z Górnikiem zerwała więzadła w kolanie. Jej powrót na boisko się wydłużał. Odżyła w sezonie 2017/2018, w którym wywalczyła mistrzostwo i puchar kraju, została najlepszą zawodniczką finału Pucharu Polski i zadebiutowała w dorosłej reprezentacji. Od lata 2018 roku gra w Czarnych Sosnowiec, gdzie nie omijają jej kontuzje. Nie pojawia się już na zgrupowaniach kadry.

EWA PAJOR

Najlepsza zawodniczka turnieju według UEFA. Robi nie tylko największą karierę spośród „złotek”, ale także jedną z największych w historii polskiej piłki kobiecej w ogóle. Wielokrotna mistrzyni Niemiec i zdobywczyni Pucharu Niemiec z VfL Wolfsburg, królowa strzelczyń Bundesligi z 2019 roku. Dla obecnej reprezentacji Polski znaczy tyle, ile Robert Lewandowski dla kadry męskiej.



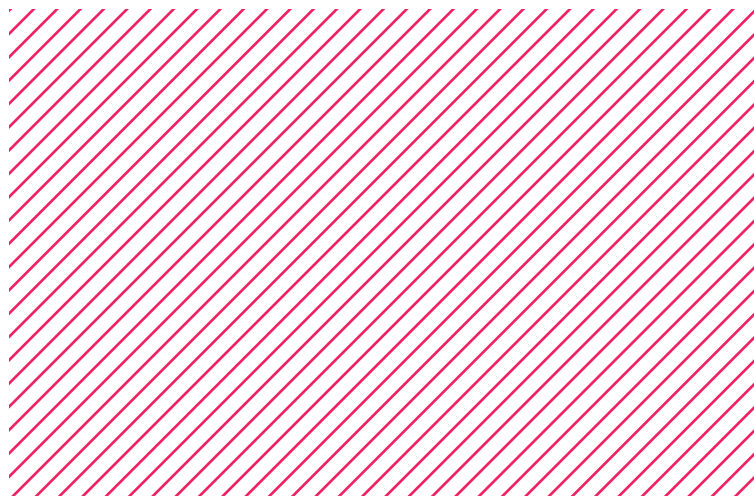
– Bez niej nie byłoby tego mistrzostwa. W każdym meczu pokazywała, na co ją stać. Mimo tego jak potoczyła się jej dalsza kariera, pozostała sobą. W ogóle się nie zmieniła. Cicha, skromna. Już wtedy wiedzieliśmy, że zajdzie bardzo daleko – przyznaje Niewolna. W 2013 roku mimo młodego wieku była już czołową postacią Medyka Konin i polskiej ligi. Dwa miesiące po wywalczeniu mistrzostwa Europy zadebiutowała w dorosłej reprezentacji i zdobyła bramkę. Dziś ma na koncie 73 występy w seniorskiej kadry i 52 gole – najwięcej w historii reprezentacji Polski kobiet (stan na styczeń 2023).

ANNA ZAPAŁA

Zmienniczka Ewy Pajor. Od zawsze związana z AZS UJ Kraków. Dziś w porównaniu z 2013 roku zmieniła się jedynie jej pozycja na boisku. Wtedy napastniczka, obecnie wahadłowa. – Nie mogła się przełamać. W kadrze blokowała ją presją wyniku i rywalizacji. Była bardzo sympatyczną osobą. Miała ksywkę „chomik” – charakteryzuje ją Natalia Niewolna.



Anna Zapala była później powoływana do dorosłej reprezentacji Polski za kadencji Wojciecha Basiuka. Nigdy natomiast nie znalazła uznania w oczach Miłosza Stępińskiego. Regularnie wygrywała trofea w barwach futsalowego zespołu UJ Kraków. Aktualnie przeżywa renesans kariery – jesienią 2021 roku wróciła do kadry pod wodzą Niny Patalon i nie oddała w niej miejsca do dziś. Czołowa postać Ekstraligi.





Miłosz Stępiński: Generał i jego wojsko

AUTORKA: PAULA DUDA

Cieszę się, że jest tu coraz więcej mikrofonów – rozpoczął pomeczową konferencję po zwycięstwie 5:0 nad Mołdawią w marcu 2020 roku Miłosz Stępiński. I rzeczywiście, selekcjoner kobiecej reprezentacji Polski w latach 2016-2021 był pierwszym, który pracował w blasku fleszy, a grę jego drużyny regularnie oglądało w telewizji po kilkaset tysięcy widzów.

W jakich okolicznościach dowiedział się pan, że pana kandydatura jest rozważana w kontekście objęcia stanowiska selekcjonera kobiecej reprezentacji Polski?

– Bardzo dobrze pamiętam ten telefon. Dzwonił prezes Andrzej Padewski, wtedy szef piłkarstwa kobiecego, z którym się bardzo dobrze znałem. „Słuchaj, Miłosz, jest taki temat, czy byłbyś zainteresowany objąć reprezentację kobiet?” – zapytał. Prowadziłem kadrę U-20 męską, w związku z czym mogłem dokonać wyboru, czy zostaję, czy podejmuję się nowego wyzwania. Propozycja wydała mi się na tyle ciekawa, że nie zastanawiałem się długo. Oficjalnie stanowisko objąłem na początku lipca, a najbliższy mecz mieliśmy rozegrać dopiero 20 września. Cieszyłem się, że mam czas, że będę się mógł do tego przygotować.

Dla piłki kobiecej był pan wtedy zupełnie nową postacią. Jakie były pana pierwsze kroki po objęciu kadry?

– Faktycznie trochę rzuciłem się na głęboką wodę, ale też nie do końca. Jakieś pojęcie o kobiecej piłce miałem, ponieważ kilkakrotnie gościłem na zgrupowaniach kadry prowadzonej przez Roberta Góralczyka, a potem Wojciecha Basiuka, z którymi się bardzo dobrze znałem. Za czasów Wojciecha Basiuka zostałem nawet wysłany na obserwację reprezentacji Szkocji przed meczami eliminacji mistrzostw świata, bo pracowałem wtedy jako analityk. Jak to wtedy postrzegałem? Miałem oczywiście inną perspektywę. Traktowałem to jako ciekawostkę, widziałem różnice w porównaniu z męskim futbolem, ale podobało mi się to. Kiedy zostałem selekcjonerem, musiałem zacząć od



▲ Selekcjoner Młtosz Stępiński podczas towarzyskiego meczu w Włocłami rozegranego 5 kwietnia 2019 roku w Lublinie / Fot. Paula Duda, PZPN

ułożenia planu działania. Jak w wojsku. Bo co innego przyjechać na dwa-trzy dni na zgrupowanie, zrobić swoje i wyjechać, a co innego podjąć pracę w zupełnie – nie ukrywam – obcym środowisku. Pierwsze spotkanie z Mołdawią graliśmy już o nic, bo był to mecz kończący nieudane eliminacje do mistrzostw Europy. Dla mnie jednak był ważny, bo premierowy. Swoje działania rozpocząłem od rozmów z osobami, które zjadły na piłce kobiecej, jak to się mówi, zęby. Zrobiłem rekonesans. Pytałem o specyfikę, o to, na co zwracać uwagę, na co uważać, o czym powinienem wiedzieć. Otrzymałem wtedy wiele cennych porad. Kolejnym krokiem był wyjazd do Niemiec i rozmowy z trenerami klubów z jednej z najlepszych lig europejskich. Uważałem, że nie mogę skupić się tylko na tym, co dzieje się w kraju, ale poznać ten świat szerzej.

Co było potem? Telefon do Katarzyny Kiedrzynek, jednej z najlepszych bramkarek na świecie, która wtedy w reprezentacji nie grała?

– Tak. Zacząłem obdzwaniać wojsko i pierwszy telefon wykonałem do Kasi. Nie interesowało mnie, dlaczego nie grała w reprezentacji. Zaczynaliśmy nowy rozdział i widziałem ją w swojej kadrze. Każda zawodniczka otrzyma-

ła carte blanche. Żadnych urazów nie żywiłem, nie przenosiłem tego, co było wcześniej. Kasia zareagowała bardzo pozytywnie. Musiałem wszystkich poznać, więc zacząłem jeździć po kraju. Wtedy poznałem kobietę piłkę ligową, która trochę się różniła organizacyjnie od tej męskiej. Byłem przyzwyczajony do tego, że w sieci bez problemu znajdowałem informacje o meczach, sparingach. W przypadku piłki kobiecej dostęp do informacji okazał się dużo trudniejszy. Zmieniają się daty, godziny, miejsca rozgrywania spotkań. Ułożenie grafiku czasem okazywało się sporym wyzwaniem. Ale w końcu powołałem kadrę na pierwszy mecz. Tak się dodatkowo złożyło, że tego samego dnia, kiedy graliśmy z Mołdawią we Włocławku, urodził się mój syn. Dowiedziałem się zaraz po końcowym gwizdku. Radość była więc podwójna, bo wygraliśmy 4:0.

Do następnych meczów o stawkę kadra musiała czekać aż rok.

– I wtedy pojawił się kolejny problem, z którym nigdy wcześniej się nie zetknąłem – szukanie sparingpartnerów. Nikt nie był dograny, większość reprezentacji miała już podopinane wcześniej mecze towarzyskie. Dlatego kolejne zgrupowanie wykorzystałem na sprawdzenie

zawodniczek, aspirujących do gry w reprezentacji. Dopiero w listopadzie udało się zorganizować w Łęcznej mecz z Białorusią, a w marcu polecieliśmy na turniej do Turcji, który wygrałiśmy.

Zarzucono wtedy reprezentacji, że gra ze słabymi przeciwnikami, że powinna mierzyć się z lepszymi rywalami, aby się rozwijać.

– Z jednej strony prawda, ale z drugiej robiłem to celowo, bo na początku zależało mi na zbudowaniu mentalu. Drużyna była rozbita po nieudanych eliminacjach i wysokich porażkach z Danią i Szwecją. Musieliśmy odbudować to wszystko, nabrać tempa. Mental buduje się poprzez zwycięstwa. Trudno byłoby mi wejść do szatni i na dzień dobry przegrać pięć czy sześć do zera. Budowanie zespołu to proces. Musieliśmy się na nowo nauczyć wygrywać.

Reprezentacji brakowało pewności siebie, a potem okazało się, że potrafi walczyć jak równy z równym z Włochami, Brazylią czy Hiszpanią. Co było przełomowym momentem? Drugie miejsce w mocno obsadzonym turnieju towarzyskim Algarve Cup w marcu 2019 roku?

– To był fajny turniej, ale wydaje mi się, że kluczowe momenty były wcześniej. Zaczęli-

śmy wygrywać, grać coraz lepiej, dziewczyny uwierzyły w ten zespół. Drużyna dojrzewała, skład się krystalizował i scalał. Dużo szukałem, wielu osobom dawałem szansę, ale w końcu pojawił się taki trzon. I to był pierwszy element. Drugi to to, że więcej uwagi poświęciliśmy pracy nad defensywą. Wiele mi dał dwumecz ze Szkocją w eliminacjach do mistrzostw świata. Chcieliśmy grać otwartą piłkę, mieliśmy przeciwnika na widelcu i dwa razy nas to zgubiło. Przegraliśmy dwa mecze, których przegrać nie mieliśmy prawa. Byliśmy lepsi do 70. minuty, nie wykorzystaliśmy rzutu karnego. Potem zmieniliśmy strategię. Dostosowaliśmy taktykę do naszych możliwości. Dokonaliśmy zmian i już ze Szwajcarią w Mielcu goli nie straciliśmy, zremisowaliśmy, przez co rywal nie awansował na mundial. Ten remis nam nic nie dawał, ale pokazał, że umiemy grać z takimi przeciwnikami. Wyciągaliśmy wnioski. Niemniej ważnym elementem było umiejętne gospodarowanie siłami. Potrafiliśmy grać wysokim pressingiem do 60., 70. minuty, a potem oddychaliśmy rękawami. Stąd pojawił się program „orlice”. Musieliśmy zrobić diagnostykę tego problemu i wyjść z tym do klubów, bo na zgrupowaniach



▲ Selekcjoner Młodych Orłów, Mikołaj Stepieński jest stałym gościem Letniej Akademii Młodych Orłów. Jego obecność na zgrupowaniach zawsze była dużą motywacją do pracy dla młodych zawodniczek / Fot. Łukasz Grochala, PZPN



▲ Reprezentacja Polski na zgrupowaniu w Bielsku-Białej w sierpniu 2019 roku / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

reprezentacji nie ma czasu na to, aby nad tym pracować. Inne element to doskonalenie stałych fragmentów gry, które stały się naszą tajną bronią.

Mówimy o zmianach, jakich dokonał pan w kwestiach strictly piłkarskich, a dużo także za pana kadencji zmieniło się w sprawach organizacyjnych.

– To prawda. Na przestrzeni tych czterech lat zmieniło się i nadal zmienia się postrzeganie kobiecej piłki zarówno w PZPN, jak i w społeczeństwie. Wiele osób zaczęło się mocno interesować tym, co się dzieje w kobiecym futbolu. Pojawiły się większe pieniądze i możliwości. Zwiększyliśmy liczbę członków sztabu pierwszej reprezentacji z siedmiu do dwunastu. Mieliliśmy dietetyka czy psychologa, których wcześniej nie było. Podnieśliśmy standard naszego zakwaterowania podczas zgrupowań oraz podróżowania. W pełni sfinansowany został projekt „orlice”, o którym wspominałem, czyli diagnostyka, badania. Dostaliśmy system „polar”, który pozwolił nam na monitorowanie obciążeń zawodniczek. Cokolwiek sobie zażyczyliśmy, to to otrzymaliśmy. Ale wtedy... pojawił się nowy problem. Zrobiła się duża dysproporcja pomiędzy tym, co mamy na kadrze, a tym, co na co dzień zawodniczki mają

w polskich klubach. Ten dysonans niestety się powiększył, ale naprzeciw wyszedł PZPN, który przekierował spore nakłady finansowe także na piłkę kobiecą ligową. Pozostaje kwestia samych klubów, jak one te pieniądze wykorzystają. Powinny potraktować je jako takie koło zamachowe do dalszego rozwoju. Tym bardziej że pomaga w tym wszystkim fakt, że od sezonu 2020/2021 mecze Ekstraligi pokazuje Telewizja Polska. To powinno przyciągnąć sponsorów i kibiców.


MŁOSZ STĘPIŃSKI został selekcjonerem reprezentacji Polski kobiet 7 lipca 2016 roku. Wcześniej prowadził kadrę U-20 mężczyzn, pracował także jako asystent trenera, analityk i szef banku informacji w Pogoni Szczecin, Zagłębiu Lubin, Widzewie Łódź i Jagiellonii Białystok. W 2005 roku uzyskał doktorat na AWF w Katowicach, a w grudniu 2019 tytuł profesora Uniwersytetu Szczecińskiego na Wydziale Kultury Fizycznej i Zdrowia. Jest autorem ponad 100 publikacji naukowo-dydaktycznych. Współtworzył Narodowy Model Gry PZPN. Po raz ostatni kobiecą kadrę poprowadził 23 lutego 2021 roku w meczu z Hiszpanią w Madrycie zamykającym kwalifikacje do mistrzostw Europy.



Nina Patalon: Droga na skróty nie istnieje

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

Selekcjonerka kobiecej reprezentacji piłkarskiej, pierwsza w Polsce trenerka z licencją UEFA Pro, koordynatorka szkolenia piłki nożnej kobiet z ramienia Polskiego Związku Piłki Nożnej. Kim jest najważniejsza kobieta w strukturach polskiego piłkarstwa? Co oznacza jej misja dla polskiej piłki? Oto historia Niny Patalon, trapionej kontuzjami zawodniczki Medyka Konin, która zapragnęła wejść na trenerski szczyt i zrewolucjonizować system szkolenia polskich piłkarek.



Historia obecnej selekcjonerki reprezentacji Polski kobiet to wybory, nierzadko trudne, ale też trzeźwa ocena rzeczywistości, analiza własnych możliwości oraz szans stwarzanych przez środowisko zewnętrzne, mitycznego „wyciągania wniosków” i godzenia odległych od siebie aspektów życia w napiętym do granic możliwości, ale wciąż realnym, grafiku.

Działdowo, „wrota do Mazur”, miejscowość bez większych tradycji piłkarskich, a co dopiero w kobiecym futbolu. Właśnie tu dorastała Nina Patalon. Pasją do piłki zaraził ją ojciec. Szybko odsunęła na dalszy plan zajęcia w chórze oraz biegi na średnich dystansach. Wkrótce rodzinne miasteczko stało się dla młodzieńki Niny za ciasne. Chcąc kontynuować przygodę z piłką, musiała dokonać pierwszego ważnego wyboru w życiu nastolatki. Wyborem tym

była przeprowadzka do Konina, gdzie w tamtejszym Medyku działała jedna z czołowych wówczas szkół dla polskich piłkarek.

Koniński etap rozpoczął się w 2002 roku. Jako zawodniczka, Nina Patalon trzykrotnie cieszyła się z tytułu mistrzyni Polski junierek, czterokrotnie zdobywała wicemistrzostwo Polski seniorek, dwukrotnie brąz w tych rozgrywkach oraz trzykrotnie Puchar Polski. Została również dostrzeżona przez selekcjonera reprezentacji U-19. Pod opieką Jerzego Miedzińskiego pięciokrotnie dostąpiła zaszczytu gry z orłem na piersi. Debiutowała 23 marca 2004 roku w słowackiej Żylinie, gdzie biało-czerwone pokonały gospodynie 3:1. Było to jednocześnie jej ostatnie zwycięstwo w barwach narodowych. Już drugi mecz udziałem zawodniczki okazał się bolesny – w ramach



▲ Zgrupowanie Talent Pro dla najzdolniejszych młodych zawodniczek w Polsce / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

eliminacji mistrzostw Europy, Polki w Nowym Sączu podejmowały Niemki, przegrywając 0:9. Dwa dni później Polki po raz kolejny poniosły porażkę, tym razem z Islandią 1:3. We wszystkich trzech spotkaniach Nina Patalon grała w pełnym wymiarze czasowym. W meczu o punkty zagrała jeszcze raz – we wrześniu 2004 roku Polska zremisowała w Chorzowie z Chorwacją, a Nina weszła na ostatnie 10 minut spotkania. Ostatnim meczem w reprezentacji U-19 była zremisowana potyczka z Czeszkami – tam udało się zagrać 63 minuty. Ukoronowaniem reprezentacyjnej kariery zawodniczej była Uniwersjada w Belgradzie w roku 2009.

Karierę piłkarską przerwały kontuzje. Dość powiedzieć, że jako zawodniczka aż siedmiokrotnie poddawała się operacji kolana. Przeszedł więc czas na kolejną życiową decyzję. Koniec kariery piłkarskiej oznaczał jednocześnie początek drogi trenerskiej.

Prezes i jednocześnie trener Medyka Konin Roman Jaszczak nigdy nie narzekał na szerokość swojego sztabu szkoleniowego. Młoda adeptka trenerskiego fachu szybko znalazła pole do popisu, asystując pierwszemu trenerowi i samodzielnie prowadząc zajęcia uzupełniające. Poważną karierę szkoleniową Nina Patalon rozpoczęła w roku 2008, kiedy

powierzono jej drużynę junierek Medyka Konin. Wkrótce na jej zajęcia trafiła Ewa Pajor. Po latach trenerka przyznała, że miała wtedy poważne wątpliwości, czy jako początkująca w swojej profesji nie wyrządzi krzywdy dziecku o takiej skali talentu. 52 gole w 72 meczach reprezentacji Polski i status gwiazdy Frauen Bundesliga nie zostawiają miejsca na dalsze rozważania.



▲ Nina Patalon za czasów gry w Medyku Konin w spotkaniu z AZS Wrocław w 2008 roku / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

Jako że Medyk miał już ustaloną renomę w szkoleniu talentów, przyszedł również i sukcesy. Juniorki młodsze Niny Patalon dwukrotnie zgarnęły najcenniejszy kruszec mistrzostw Polski, raz zadowolając się srebrem. Ponadto, po powierzeniu Romanowi Jaszczakowi stanowiska selekcjonera pierwszej reprezentacji, stworzył się wakat w pierwszej drużynie Medyka. Wyzwanie podjęła Nina Patalon wraz z bardziej doświadczoną koleżanką z boiska – Anną Gawrońską. Klubowy okres kariery trenerki zamknął się w dwóch wicemistrzostwach Polski oraz jednym przegranym finale Pucharu Polski. Wspomnieć jednak należy, że był to okres hegemonii Unii Racibórz. Niemniej, praca Niny Patalon przyniosła owoce. Po upadku unitek to właśnie Medyk przejął wiodącą rolę w lidze.

W roku 2011 rozpoczął się trwający do dziś etap kariery Niny Patalon w kadrach narodowych. Debiutowała jako asystentka trenera Andrzeja Soroki w kadrze U-15. Trzeba przyznać, że trafiła na niezwykle wdzięczny "materiał do oszlifowania". W pierwszych meczach wzięty bowiem udział następujące zawodniczki: Paulina Dudek, Katarzyna Gozdek, Gabriela Grzywińska, Dżesika Jaszek, Katarzyna Konat, Anna Okulewicz, Ewa Pajor, Anna Rędzia, Urszula Wasil i Anna Zapała, a w następnym sezonie dołączyły: Sylwia Matysik i Kinga Szemik. Wytrawny kibic dostrzeże, że wyżej wymienione nazwiska to niemal w komplecie kadra U-17, która w 2013 roku pod wodzą Zbigniewa Witkowskiego sensacyjnie sięgnie po tytuł mistrzyń Europy. Później Patalon wyse-

lekcjonowała m.in. Dominikę Grabowską, którą mianowała kapitan kadry do lat piętnastu. Niedługo potem „Grabek” dołączyła do kadry U-17, a następnie do seniorskiej reprezentacji Polski, w której do dziś pozostaje najmłodszą strzelczynią gola w historii (16 lat i 47 dni).

Cztery lata po największym sukcesie w historii polskiej kobiecej piłki Nina Patalon już samodzielnie prowadzi kadrę U-17. Jej największym sukcesem jest awans do finałów mistrzostw Europy w 2018 roku. W pierwszym etapie eliminacji jej kadra zostawiła w pokonanym polu Ukrainę (3:1), Wyspy Owcze (5:0) oraz Szwajcarię (2:1). Następnie na miniturnieju w Bośni i Hercegowinie Polki ponownie zgarnęły pełną pulę punktów, zwyciężając gospodynie (4:0), Turcję (2:0) oraz Austrię (2:1). W nagrodę reprezentacja otrzymała możliwość rywalizowania z europejskim topem. W rozgrywanej na Litwie imprezie Polki do końca pozostawały w grze. Na inaugurację zremisowały z Angielkami 2:2. W kolejnym meczu również padł remis, tym razem bezbramkowy, z Włoszkami. Niestety, w decydującym meczu Hiszpania udzieliła Polkom srożej lekcji, aplikując im aż pięć bramek. Biorąc pod uwagę fakt, że awanse do finałów mistrzostw Europy można policzyć na palcach jednej ręki, należy przy tej imprezie postawić przy nazwisku pani selekcjoner dużego plusa.

Sensem istnienia reprezentacji młodzieżowych nie jest jednak wynik sam w sobie – priorytetem jest dostarczenie zawodniczek gotowych podjąć rywalizację o miejsce w naj-



▲ Nina Patalon i Martyna Wiankowska po towarzyskim meczu z Argentyną rozegranym w październiku 2022 roku w Hiszpanii / Fot. Paula Duda, PZPN



▲ *Nina Patalon przed meczem kwalifikacji mistrzostw świata Albania – Polska we wrześniu 2022 roku / Fot. Paula Duda, PZPN*

ważniejszej reprezentacji – kadrze senierek. To zadanie zostało wykonane. Od momentu przejścia kadry U-17 do zakończenia pracy z reprezentacją U-19 przez sito selekcyjne sztabu Niny Patalon przewinęły się takie zawodniczki jak Adriana Achcińska, Zofia Buszewska, Paulina Filipczak, Karolina Gec, Małgorzata Grec, Klaudia Jedlińska, Agnieszka Jędrzejewicz, Weronika Kaczor, Dominika Kopińska, Kinga Kozak, Klaudia Maciążka, Joanna Olszewska, Natalia Padilla-Bidas, Kasandra Parczewska (obecnie Rybaczuk), Roksana Ratajczyk, Paulina Tomasiak, Oliwia Woś, Natalia Wróbel czy Weronika Zawistowska – w komplecie reprezentantki Polski.

W lutym 2021 po porażce w decydującym o miejscu w barażach o finały mistrzostw Europy meczu z Hiszpanią (0:3) z funkcją selekcjonera rozstał się Miłosz Stępiński. Czasu na wybór nowego szkoleniowca było mało – już 13 kwietnia Polki miały zmierzyć się w meczu towarzyskim z przeciwnikiem z najwyższej półki – reprezentacją Szwecji. Po raz pierwszy w historii kobiecego piłkarstwa władze związku zdecydowały, że misję prowadzenia drużyny narodowej powierzają kobiecie.

Nina Patalon zaproponowała piłkę bardziej ofensywną od swojego poprzednika, hołdującego ustawieniu 1-5-4-1. Obok pełniącej rolę „dziewiątki” Ewy Pajor, na boisku pojawiły się skrzydłowe: Ewelina Kamczyk i debiutująca w kadrze Natalia Padilla-Bidas.

Poszukiwania nowych twarzy i dopasowywanie starych do nowej taktyki to jedne z charakte-

rystycznych aspektów bieżącej kadencji. Selekcyjnerka do tej pory wypróbowała czterdzieści zawodniczek (w tym jednaście debiutantek) w dwudziestu meczach, a warto zaznaczyć, że wiele powołanych piłkarek nie dostało możliwości rozegrania meczu w kadrze i musiało zadowolić się uczestnictwem w zgrupowaniach.

W rosgardiaszu poszukiwań były jednak pewne stałe: pierwszą z nich okazała się żelazna para stoperek Paulina Dudek – Małgorzata Mesjasz oraz proces budowy drużyny w oparciu o ofensywny, dający grać w piłkę schemat 1-4-3-3. Właśnie słowo: „proces” było najczęściej używanym przez selekcjonerkę podczas konferencji prasowych i wywiadów. Proces, którego rozwój przyszło nam obserwować podczas przegranych niestety eliminacji do mistrzostw świata w 2023 roku.

Przed kadrą Niny Patalon wyzwanie właściwe: awans – bądź w przypadku pozytywnych rozwiązań organizacyjnych przygotowanie drużyny do finałów mistrzostw Europy w 2025 roku. Jest to cezura, kiedy proces budowy drużyny musi osiągnąć poziom wystarczający, aby godnie zaprezentować się na tej imprezie. Drogą do celu będą nowopowstałe rozgrywki Ligi Narodów, gdzie Polska będzie mogła odegrać ciekawą rolę w niezwykle skomplikowanym systemie awansów, spadków oraz kwalifikacji do imprezy głównej, jaką są mistrzostwa Europy. Jubileuszowy, bo dwudziesty mecz kadencji Niny Patalon, efektywnie wygrany 6:0 z Rumunią, tylko zaostrzył apetyty.

Selekcjonerzy reprezentacji Polski

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

Droga do fotela pierwszego selekcjonera kobiecej reprezentacji Polski bywała kręta i wyboista. Czasami trzeba było sobie tę drużynę po prostu wymyślić. I tak zrobili Tadeusz Maślak i Roman Bieszke – pierwsi trenerzy narodowej jedenastki. Czasem jednak i zdobycie czterech mistrzostw Polski nie gwarantowało pracy lekkiej, łatwej i przyjemnej. Albin Wira, legenda Ruchu Chorzów do historii piłkarstwa kobiecego przeszedł głównie jako ten, który prowadził kadrę w najwyższym przegranym w historii meczu z Islandią (0:10). Oddajmy jednak panu Albinowi sprawiedliwość. Do tego spotkania szło mu w roli selekcjonera naprawdę nieźle. A jak radzili sobie inni? Poznajcie tych wszystkich, którzy dostąpili zaszczytu prowadzenia biało-czerwonej drużyny.

TADEUSZ MAŚLAK (1981)

Piłkarz i trener, który z prowadzonej przez siebie drużyny futbolowej stworzył team... hokejowy, będąc jego grającym szkoleniowcem. W 1968 roku awansował z Zagłębiem Sosnowiec do drugiej ligi hokeja na lodzie. W męskiej piłce trenował m.in. Wartę Zawiercie i rezerwy wspomnianego klubu z Sosnowca. W kobiecej piłce od 20 września 1974 roku, kiedy to podczas zebrania kandydatek do drużyny piłkarskiej Czarnych Sosnowiec został wybrany na jej trenera. Wraz z Czarnymi zdobywał tytuły mistrzowskie. W 1981 roku razem z Romanem Bieszke poprowadzili reprezentację Polski w jej pierwszym, historycznym spotkaniu.

ROMAN BIESZKE (1981)

Równorzędny selekcjoner w premierowym meczu reprezentacji. W 1971 roku założył

istniejący do dziś, klub kobiecej piłki nożnej – Checz Gdynia. Jeden z najaktywniejszych zwolenników powstania ligi ogólnokrajowej, w 1979 roku doprowadził do pierwszego spotkania z przedstawicielem PZPN w tej sprawie. Zasiadał regularnie w zarządzie komórki zarządzającej polskim piłkarstwem kobiecym. W roku 1990 trener reprezentacji młodzieżowej. Zmarł w 2021 roku. Do końca swoich dni mieszkał w domu sąsiadującym z boiskiem piłkarskim, na którym rozgrywały swoje mecze piłkarki Checzy.

JERZY PACH (1983–1984)

Założyciel drużyny kobiecej Telpodu Kraków w latach siedemdziesiątych. Członek pierwszej, powołanej 5 grudnia 1981 roku Komisji do spraw Piłki Nożnej Kobiet. W strukturach jej następczyni, Komisji Piłkarstwa Kobiecego był członkiem sekcji szkolenia.

JÓZEF KOPEĆ (1986–1989)

Trener trzech dyscyplin: narciarstwa, piłki ręcznej i nożnej. Wieloletni nauczyciel wychowania fizycznego w sosnowieckim Technikum Kolejowym. Trener drużyn młodzieżowych w Zagłębiu Sosnowiec. Od lat sześćdziesiątych pełnił funkcję koordynatora do spraw młodzieży w Śląskim Związku Piłki Nożnej. Członek władz polskiego piłkarstwa kobiecego od 1986 roku. Oprócz prowadzenia pierwszej reprezentacji jako pierwszy szkoleniowiec poprowadził narodową kadrę młodzieżową na premierowym zgrupowaniu w 1986 roku i debiucie międzypaństwowym z Bułgarią w 1988 roku. Po rezygnacji z funkcji selekcjonera pierwszej reprezentacji, powrócił do roli trenera kadr młodzieżowych, którą pełnił do 1998 roku. Zmarł w 2020 roku.

JÓZEF DRABICKI (1990)

Piłkarz Resovii Rzeszów. Trener Piastunek Gliwice, które doprowadził do dwukrotnego mistrzostwa Polski. W 1989 roku prowadził również reprezentację młodzieżową. W tym samym okresie został członkiem zarządu władz polskiej piłki kobiecej. Wobec odmowy Wojciecha Rudego w sprawie poprowadzenia reprezentacji, już na miejscu zbiórki przed meczami ze Związkiem Radzieckim zdecydowano o jego nominacji na selekcjonera kadry narodowej. Później pełnił funkcje dyrektorskie w Piaście Gliwice, przez dwa lata będąc nawet jego prezesem.

JERZY MIEDZIŃSKI (1991)

Wychowanek Zagłębia Sosnowiec. Po nieudanych eliminacjach mistrzostw Europy złożył dymisję, którą przyjęto razem z sugestią kolejnego selekcjonera w osobie Władysława Szyngiery. W 1993 roku dokooptowany do Wydziału Piłkarstwa Kobiecego. W 2004 roku wszedł w skład zespołu do spraw rozwoju piłkarstwa młodzieżowego. Wieloletni trener reprezentacji młodzieżowych. Prowadził również drużynę Czarnych Sosnowiec, z którą w 2002 roku zdobył Puchar Polski. Działacz struktur piłkarskich w Częstochowie, skąd pochodzi.

WŁADYSŁAW SZYNGIERA (1992–1998)

Wieloletni nauczyciel akademicki i profesor Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach. Do piłki kobiecej ściągnięty przez swojego poprzednika, Jerzego Miedzińskiego, przy

którym pełnił funkcję asystenta. Rekordzista jeśli chodzi o liczbę meczów w roli selekcjonera reprezentacji kobiecej. Do "jego" reprezentacji należy również rekordowe zwycięstwo nad Izraelem 13:0. Odważnie korzystał z ludzkich zasobów własnej uczelni, jego współpracownikami w kadrze byli m.in. profesor i dziekan Bogdan Bacik czy rektor AWF Katowice – Zbigniew Waśkiewicz. Do roli koordynatorów zaprosił m.in. byłego selekcjonera męskiej kadry Antoniego Piechniczka czy Władysława Żmudę. Zasiadał we władzach piłkarstwa kobiecego, w 2004 roku objął nadzór merytoryczny nad zespołem do spraw rozwoju piłkarstwa młodzieżowego. Pod jego wpływem szereg piłkarzy zdecydowało się na studia wyższe.

LESZEK BACZYŃSKI (1999)

Sosnowiczanie z krwi i kości, w barwach Zagłębia piłkarz (bez meczu ligowego), trener juniorów, rezerw, asystent szkoleniowców pierwszej drużyny, w końcu trener ekstraklasowego zespołu. Jeden z architektów reaktywacji Zagłębia w 1995 roku, pełniąc w nim na przestrzeni ponad dekady funkcje trenera, dyrektora sportowego i prezesa. Drużynę narodową prowadził w zaledwie sześciu meczach, w których odniósł cztery zwycięstwa, remis i porażkę.

ALBIN WIRA (2000–2003)

Jako piłkarz rozegrał prawie 200 meczów w pierwszej lidze i zdobył cztery tytuły mistrza Polski w barwach chorzowskiego Ruchu. Jako trener – oprócz niebieskich – prowadził także GKS Tychy, Sokół Tychy, Polonię Bytom, czy Podbeskidzie Bielsko-Biała. Może pochwalić się serią siedmiu zwycięstw w rzędu w eliminacjach mistrzostw świata, ale na jego konto idą też porażki 0:8 ze Szwecją, 0:6 z Rosją i 0:10 z Islandią.

JAN STĘPCZAK (2003–2009)

Ligowy piłkarz w barwach Lecha Poznań. W roli trenera awansował m.in. z Dyskobolią Grodzisk Wielkopolski z ówczesnej trzeciej ligi do pierwszej. W najwyższej klasie rozgrywkowej prowadził również Lecha, także w rewanżowym meczu Pucharu Mistrzów ze Spartakiem Moskwa. Od 2003 roku trener kobiecej drużyny ligowej z Poznania – Ateny. Po wysokiej porażce reprezentacji pod wodzą Albina Wiry z Islandią, przejął obowiązki selekcjonera kobiecej drużyny narodowej.

ROBERT GÓRALCZYK (2009–2010)

Absolwent katowickiej AWF, trener kobiecych kadr młodzieżowych. Autor pierwszego w historii awansu do finałów dużej imprezy (w 2007 roku z kadrą U-19 do mistrzostw Europy). W historii reprezentacji kobiecej zapamiętany jako trener, który wynegocjował zasadnicze zmiany w technicznej obsłudze drużyny narodowej. Od 2019 dyrektor sportowy w GKS Katowice. Pełnił również funkcję jednego z asystentów selekcjonera Adama Nawatki.

ROMAN JASZCZAK (2011–2013)

W futbolu kobiecym od 1985 roku. Założyciel i trener jednej z najlepszych kuźni talentów w polskiej piłce kobiecej – Medyka Konin. Na początku lat dziewięćdziesiątych asystent w reprezentacji młodzieżowej, od 1994 samodzielny jej trener. Inicjator regularnych rozgrywek dla dziewcząt do lat 15. Organizator pierwszej imprezy tego typu w styczniu 1993 roku. Zasiadał również we władzach Wydziału Piłki Kobiecej.

WOJCIECH BASIUK (2013–2016)

Piłkarz Ślęzy Wrocław. Kończąc karierę w niższych klubach niemieckich klas rozgrywkowych, jednocześnie robiąc kurs trenerski otrzymał propozycję objęcia w roli szkoleniow-

ca AZS-u Wrocław. Wielokrotny mistrz Polski z wrocławiankami. Objął później kadrę U-19, by następnie potążyć tę funkcję z posadą selekcjonera pierwszej reprezentacji.

MIŁOSZ STĘPIŃSKI (2016–2021)

Przed objęciem reprezentacji kobiet pełnił rozmaite funkcje przy różnych reprezentacjach, m. in. prowadził kadrę U-20 mężczyzn. Wcześniej pracował jako asystent trenera, analityk czy szef banku informacji w Pogoni Szczecin, Zagłębiu Lubin, Widzewie Łódź czy Jagiellonii Białystok. Po raz pierwszy zetknął się z piłką nożną kobiet za namową Wojciecha Basiuka, któremu pomagał rozpracowywać reprezentację Szkocji. Po zakończeniu pracy z kobiecą reprezentacją przejął ponownie męską kadrę U-20.

NINA PATALON (2021–OBECNIE)

Jako trenerka przeszła wszystkie szczeble drabinki reprezentacyjnej, od asystentury przy kadrze U-15 poczynając. Dzięki temu, jedynie kilka starszych kadrowiczek nie znalazło się wcześniej pod jej „lupą”. Autorka trzeciego w historii awansu reprezentacji kobiecej do finału dużej imprezy (w 2018 roku z kadrą U-17 do mistrzostw Europy). Koordynatorka szkolenia piłki nożnej kobiet w Polsce.

	Mecze	Zwycięstwa	Remisy	Porażki	Bramki +	Bramki -
TADEUSZ MAŚLAK I ROMAN BIESZKE	1	0	0	1	0	3
JERZY PACH	2	0	0	2	1	6
JÓZEF KOPEĆ	9	1	5	3	9	14
JÓZEF DRABICKI	4	2	0	2	4	5
JERZY MIEDZIŃSKI	11	4	1	6	16	20
WŁADYSŁAW SZYNGIERA	53	20	10	23	100	94
LESZEK BACZYŃSKI	6	4	1	1	16	9
ALBIN WIRA	22	13	3	6	44	41
JAN STĘPCZAK	44	11	7	26	63	109
ROBERT GÓRALCZYK	13	5	1	7	20	26
ROMAN JASZCZAK	15	8	2	5	27	17
WOJCIECH BASIUK	46	22	8	16	87	67
MIŁOSZ STĘPIŃSKI	43	25	7	11	98	36
NINA PATALON	20	9	4	7	52	26
RAZEM	289	124	49	116	537	473

▲ Dorobek selekcjonerów w liczbach / Stan na 31.12.2022



Łączy nas piłka

Koszulka marzenie.

dostępna na:

SKLEP.LACZYNASPIŁKA.PL



Wszystkie „naj” kobiecej reprezentacji Polski

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

„Najwięcej”, „najczęściej”, „najbardziej”, to bardzo często używane określenia poszczególnych dokonań danego piłkarza, zespołu czy trenera. Historia kobiecej reprezentacji Polski ma ponad 40 lat. Można już zatem podsumować indywidualne i drużynowe osiągnięcia zawodniczek i trenerów.

Najwięcej laurów indywidualnych ma na koncie **MARIA MAKOWSKA**: najwięcej meczów (111), również w roli kapitan (87). Jest najstarszą zawodniczką, która zagrała w reprezentacji (41 lat i 114 dni w swoim pożegnalnym meczu z Włochami, 19 maja 2010 roku) oraz najstarszą strzelczynią (37 lat i 241 dni w meczu z Belgią, 23 września 2006 roku). Legitymuje się również najdłuższym stażem w kadrze, od debiutu 26 czerwca 1988 roku do benefisu minęło 21 lat i 327 dni.



▲ *Dominika Grabowska – najmłodsza strzelczyni w historii reprezentacji Polski kobiet / Fot. Łukasz Grochala, PZPN*

Najskuteczniejszą strzelczynią jest samodzielnie od 6 września 2022 roku **EWA PAJOR**. Według stanu na koniec 2022 roku, bieżąca kapitan reprezentacji Polski ma na koncie 52 bramki.

Najwięcej goli w jednym meczu – sześć – zdobyły: **MARTA OTRĘBSKA** (25 lutego 1998 roku z Izraelem) oraz **NIKOLA KARCEWSKA** (7 kwietnia 2022 roku z Armenią).

Najstarszą debiutantką w historii jest bramkarka Iskry Szczecin – **JULITA WERNER**. Wchodząc jako rezerwowa w swoim jedynym meczu w kadrze, 6 maja 1990 roku ze Związkiem Radzieckim, miała 30 lat i 333 dni.

Najwięcej razy najstarszą zawodniczką na boisku była **MARTA OTRĘBSKA** (43).

Najmłodszą debiutantką jest zawodniczka Czarnych Sosnowiec **HANNA LATOSZEK** – w swoim debiucie w meczu z Czechosłowacją (12 lipca 1984 roku) miała zaledwie 15 lat i 47 dni.

Najmłodszą strzelczynią jest **DOMINIKA GRABOWSKA**, zdobywając gola w swoim drugim występie w kadrze (11 lutego 2015 roku z Węgrami), miała 16 lat i 47 dni. Również ta zawodniczka najczęściej była najmłodszą zawodniczką biorącą udział w meczu (25).

Najwięcej „czystych kont” zanotowała **KATARZYNA KIEDRZYNEK** (24).

Zawodniczką, która zaliczyła najdłuższą przerwę między kolejnymi występami w kadrze jest **JOANNA OPERSKALSKA**. Debiutowała w 2007 roku i od ostatniego wtedy jej meczu, rozegranego 14 kwietnia, do kolejnego występu w dniu 19 października 2017 roku minęło 10 lat i 188 dni. Dekada przerwy między występami spowodowała, że zawodniczka... zapomniała o nich i na zgrupowanie jechała z przekonaniem, że jej licznik spotkań kadry narodowej wynosi zero i taką wersję przedstawiła zespołowi komentującemu mecz, który z kolei w takiej postaci przekazał ją widzom



▲ Mecz Polska – Belgia z rekordową frekwencją został rozegrany 7 września 2021 roku na Polsat Plus Arena Gdańsk / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

w bezpośredniej relacji. Nieporozumienie zostało wyjaśnione już po meczu.

Selekcjonerem z największą liczbą meczów na koncie jest **WŁADYSŁAW SZYNGIERA** (53). Jest on jednocześnie najczęściej remisującym trenerem (10 razy) oraz tym, który desygnował do gry najmłodszą „jedenastkę”. Dwa razy w ciągu swojej kadencji wystawił wyjściowy skład o średniej wieku zaledwie 20,64. 4 kwietnia 1992 roku w rozegranym w bułgarskiej Warnie meczu z Hiszpanią zagrały w pierwszym składzie: Barbara Rembiesa (21 lat), Agnieszka Szondermajer (20), Emilia Wnuk (27), Joanna Deinert (17), Beata Bąk (24), Luiza Pendyk (21), Katarzyna Ekiel (16), Mariola Silwończyk (22), Marta Otrębska (23), Grażyna Palus (19) i Katarzyna Jendryczko (17). W tym samym roku selekcjoner powtórzył swój manewr, desygnując do gry od początku spotkania z Czechosłowacją (14 listopada) następujące zawodniczki: Klaudia Kowalska (20 lat), Izabela Maczyńska (23), Dorota Dłużewska (25), Maria Makowska (23), Jolanta Bryłka (21), Agnieszka Pluskota (19), Agnieszka Drozdowska (17), Grażyna Palus (20), Katarzyna Jendryczko (17), Justyna Baumgart (20) i Mariola Silwończyk (22). Za kadencji Władysława Szyngiera reprezentacja zanotowała również rekordowe zwycięstwo – 25 lutego 1998 roku w Tel-Awiewie Polki pokonały Izrael 13:0.

Trenerem z największą liczbą zwycięstw jest **MIŁOŚZ STĘPIŃSKI** (25). Z kolei najwięcej porażek w tej roli doznał **JAN STĘPCZAK** (26).

Najwyższą przegraną w historii kadry jest rozegrany 13 września 2003 roku mecz z Islandią w Reykjavíku, zakończony pogromem 0:10. Spotkanie to zadecydowało o zakończeniu kadencji selekcyjnej **ALBINA WIRY**, który jeszcze rok wcześniej ustanowił rekord kolejnych zwycięstw z rzędu. Od 17 czerwca 2001 do 25 maja 2002 roku jego zawodniczki odniosły dziesięć kolejnych wiktory, pozostawiając w pokonanym polu drużyny Białorusi (2:0), Słowacji (2:0), Estonii (5:0, el. MŚ), Chorwacji (2:0, el. MŚ), Izraela (2:0, el. MŚ), ponownie Estonii (5:0, el. MŚ), Rumunii (1:0, el. MŚ), ponownie Izraela (4:0, el. MŚ), ponownie Rumunii (3:1, el. MŚ) i ponownie Chorwacji (3:0, el. MŚ). Podczas tej passy został również ustanowiony rekord minut bez straty gola – etatowa wówczas bramkarka kadry, **AGNIESZKA GAJDECKA**, była niepokonana przez 803 minuty.

Jeszcze tylko raz w historii reprezentacja nie przegrała dziesięciu meczów z rzędu – tym osiągnięciem może pochwalić się kadra **MIŁOŚZA STĘPIŃSKIEGO**, która od 20 września 2016 do 15 września 2017 roku odniosła dziewięć zwycięstw i raz zremisowała. Na rekord złożyły się następujące mecze: z Mołdawią (4:0, el. ME), Białorusią (4:0), Kosowem (5:0), Rumunią (2:2), Turcją (2:1), Finlandią (1:0), ponownie Białorusią (4:0), Ukrainą (3:2), Litwą (5:0) i po raz trzeci Białorusią (4:1, el. ME).

Najdłuższa seria porażek z rzędu zaczęła się paradoksalnie po zanotowaniu najlepszej passy zwycięstw w historii kadry. Po dziesięciu

sukcesach przyszło siedem porażek, będących „wspólnym dorobkiem” selekcjonerów: **ALBINA WIRY** i **JANA STĘPCZAKA**. Kadra przegrała kolejno ze Szwecją (0:8), Węgrami (0:2, el. ME), Rosją (0:6, el. ME), dwa razy z Islandią (0:10 i 2:3, el. ME), Francją (1:7, el. ME) i Ukrainą (1:2).

Najdłuższą natomiast serię spotkań bez zwycięstwa zanotował wspomniany już **WŁADYSŁAW SZYNGIERA**. Od 8 czerwca 1993 do 13 kwietnia 1995 roku reprezentacja nie potrafiła wygrać w szesnastu spotkaniach z rzędu, notując siedem remisów i dziewięć porażek: dwa remisy z Węgrami (2:2 i 0:0), remis z Austrią (1:1), porażki z Ukrainą (1:3, el. ME) i Rumunią (0:4, el. ME), remis z Hiszpanią (2:2), wysoka porażka z Niemcami (0:7), przegrana i remis z Węgrami (0:1, 2:2), dający pierwszy, historyczny punkt w eliminacjach mecz z Rosją (0:0, el. ME), porażki z Ukrainą (0:3, el. ME), Rumunią (0:3, el. ME), Rosją (1:2, el. ME) i ponownie z Ukrainą (2:4), remis z Węgrami (1:1) i kończący fatalną passę pogrom z Niemcami (0:8).

Było już o najniższej średniej w historii reprezentacji. Wymienione wcześniej dwa mecze miały jednak charakter towarzyski. W grze o punkty najmłodszą wyjściową „jedenastkę” (21,27) wystawił selekcjoner Wojciech Basiuk. Dnia 21 sierpnia 2014 roku mecz ze Szwecją rozpoczęły następujące zawodniczki: Anna Szymańska (25 lat), Aleksandra Sikora (23), Gabriela Grzywińska (18), Jolanta Siwińska (23), Joanna Płonowska (27), Weronika Aszkiełowicz (23), Paulina Dudek (17), Magdale-

na Szaj (19), Natalia Pakulska (22), Patrycja Balcerzak (20) i Ewa Pajor (17).

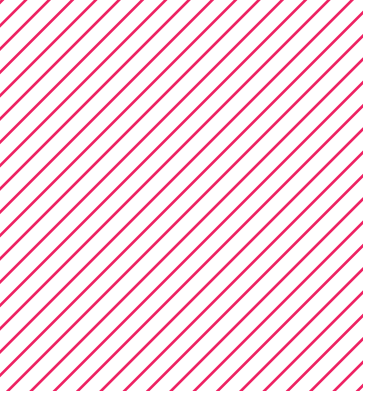
Najstarszy skład wystawił natomiast trener **LESZEK BACZYŃSKI**. Dnia 6 listopada 1999 roku, w meczu eliminacyjnym z Belgią, średnia wieku podstawowego składu wyniosła 27,27. Polki rozpoczęły mecz w składzie: Monika Kachnowicz (26 lat), Agnieszka Drozdowska (24), Maria Makowska (30), Anna Kijas (23), Agnieszka Leonowicz (23), Beata Mociak (27), Agnieszka Szondermajer (27), Anastazja Kubiak (33), Jolanta Niecypor (31), Marta Otrębska (31) i Jolanta Cubąta (25).

Najwięcej kibiców obejrzało mecz reprezentacji Polski we francuskim Lens. 24 sierpnia 2011 roku, porażkę 0:2 z gospodyniami obejrzało **18 305 widzów**. W Polsce najlepszy wynik frekwencyjny kadra osiągnęła w Gdańsku. Mecz eliminacyjny z Belgią zgromadził na stadionie **8 011 fanów**.

Klubem, który najbardziej zdominował kadrę meczową reprezentacji, jest **AZS WROCLAW**. Dwukrotnie – 19 marca 2005 z Węgrami i 30 marca 2006 z Hiszpanią, w barwach narodowych zagrało aż dziewięć zawodniczek tego klubu. W 2005 roku były to: Justyna Białasek, Liliana Gibek, Magdalena Mleczeko, Justyna Nazarczyk, Iwona Okrasa, Marta Otrębska, Alicja Pawlak, Patrycja Pożerska i Katarzyna Stochaj, a rok później ponownie zagrały: Mleczeko, Nazarczyk, Otrębska, Pawlak, Pożerska i Stochaj oraz Dominika Maciaszczyk, Anna Żelazko i Ewa Żyła.



▲ Justyna Nazarczyk, Patrycja Pożerska oraz Anna Żelazko z AZS Wrocław podczas meczu Polska – Norwegia w ramach eliminacji mistrzostw Europy w 2008 roku / Fot. Eliza Budzicz, 400mm.pl



Zwycięstwa, które pamiętamy. Porażki, których nie możemy zapomnieć

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

Cieszymy się z małych rzeczy – tak w skrócie można podsumować dokonania polskiego piłkarstwa kobiecego, wyjąwszy z tego twierdzenia oczywiście złoto reprezentacji U-17 Zbigniewa Witkowskiego. Seniorskie dokonania już jednak nie są tak okazałe. Owszem, Polki potrafiły na przykład zremisować w towarzyskim meczu z USA 0:0, rozgromić reprezentację Izraela (po prawdzie grały w niej żołnierki, które w ten sposób odbywały służbę wojskową), czy Armenii, ale na żadną wielką imprezę koniec końców nie trafiliśmy. Podobnie sprawy się mają z drużynami klubowymi. Przyjmijmy więc, że te epokowe mecze jeszcze są przed nami. Liczymy, że niedługo będziemy ich świadkami. Na razie przypomnijmy sobie jednak dziesięć historii, w których polskie piłkarki dokonywały przełomu lub... były tego przełomu blisko.

JAK RÓWNY Z RÓWNYM

W sezonie 2001/02 po raz pierwszy rozegrano Puchar Europy kobiet. Mistrz Polski, AZS Wrocław, trafił do grupy eliminacyjnej z izraelskim Hapoel Tel-Awiw, szwajcarskim FC Bern oraz budzącym największe emocje angielskim Arsenalem. Po udanym debiucie z Hapoel (wygrana 7:0 i hat-trick Marty Otrębskiej) przyszedł zimny prysznic w postaci porażki z pełniącymi obowiązki gospodyń Szwajcarkami 1:3. W trzecim meczu trzeba było rzucić do boju wszystkie siły – Arsenal miał już na koncie dwa zwycięstwa. Niespodziewanie, efekt początkowy był bardziej niż satysfakcjonujący: już w drugiej minucie najlepsza snajperka AZS-u zdobyła gola, a drużyna wrocławska utrzymała korzystny rezultat do przerwy. Niestety, druga połowa nie poszła po myśli ambitnych akademikzek i piłkarki z Londynu zdołały przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, zdobywając gole w 74. i 77. minucie meczu.

5.10.2001, Berno

AZS WROCŁAW – ARSENAL FC 1:2

mecz grupy eliminacyjnej Pucharu Europy
Gol: Otrębska (2 min.)

Skład: Marta Gawęł, Walentyna Stupak, Joanna Zajonc, Anna Rogacka, Iwona Okrasa, Alicja Pawlak, Patrycja Pożerska, Dominika Maciaszczyk, Katarzyna Stochaj, Marta Otrębska, Liliana Gibek (70 Beata Kraus). Trener: Przemysław Przytuński.

REMONTADA

Pierwszy okres kadencji Jana Stępczaka można określić mianem dochodzenia do siebie po wysokiej porażce z Islandią. Po nieudanych eliminacjach mistrzostw Europy, gdzie zrezygnowano z podziału reprezentacji na dywizje, los nie był dla Polek łaskawy w kolejnych kwalifikacjach. „Orlice” znalazły się bowiem w grupie z Danią, Finlandią, Hiszpanią i Belgią. Ogółem reprezentacji udało się zdobyć dziewięć punktów, pokonując dwa razy Belgijki i raz Hiszpanki. W rozgrywanym w Kutnie meczu początkowo nic nie zapowiadało końcowego sukcesu. Zawodniczki z Półwyspu Iberyjskiego prowadziły pewnie 2:0 po dwóch bramkach Laury del Rio. W przerwie trener Stępczak dokonał dwóch zmian personalnych, po których reprezentacja zanotowała wspaniały come back. Już



▲ Paulina Rytwińska, strzelczyni pierwszej bramki w zwyciężonym 3:2 meczu z Hiszpanią / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

w 49. minucie celna główka Pauliny Rytwińskiej dała kontakt. Zaledwie cztery minuty później za sprawą samobójczego trafienia Hiszpanki był remis, a po kolejnych ośmiu minutach Polki cieszyły się z prowadzenia, którego nie oddały do końca. Mecz nie niósł ze sobą większych konsekwencji. W rewanżu Hiszpanki potraktowały nas bardzo surowo, zwyciężając 7:0. Jednakże był to mecz, który warto zapamiętać ze względu na klasyczną „remontadę” odniesioną nad reprezentacją kraju, z którego to określenie pochodzi. Kibice mieli również okazję obejrzeć to spotkanie w formie retransmisji w jednej ze stacji TV, jednakże materiał archiwalny jest cały czas poszukiwany.

29.09.2005, Kutno

POLSKA – HISPANIA 3:2

eliminacje mistrzostw świata

Gole: Rytwińska (49 min.), Gurrutxaga (53 min. samobójcza), Pożerska (61 min.)

Skład: Joanna Klawińska, Magdalena Mleczko, Justyna Nazarczyk, Paulina Rytwińska, Katarzyna Stochaj, Marta Stobba (46 Marta Otrębska), Maria Makowska (k), Natalia Golasowska (46 Agnieszka Winczo), Alicja Pawlak (80 Ewa Żyta), Patrycja Pożerska, Anna Gawrońska. Trener: Jan Stępczak.



▲ Tuż przed rozpoczęciem historycznego, pierwszego meczu reprezentacji Polski w Katanii / Arch. prywatne Zofii Klim

TEN PIERWSZY RAZ

„Przy teleksie Półtorak, czy można prosić Zosię?”. To zdanie może śmiało kandydować do miana założycielskiego dla kobiecej reprezentacji Polski w piłce nożnej. Chyba tylko kierowniczka Irena Półtorak wiedziała, ile zachodu kosztowało doprowadzenie meczu do realizacji. Jako, że nie istniały wówczas żadne oficjalne władze piłkarstwa kobiecego, stroną sportową, czyli zgrupowaniem i powołaniem zawodniczek zajęli się działacze Checzy Gdynia i Czarnych Sosnowiec, a trenerzy tych klubów – Roman Bieszke i Tadeusz Maślak zostali pierwszymi w historii równorzędnymi selekcjonerami reprezentacji Polski. Wyjazd na mecz został sfinansowany przez stronę włoską za zgodą Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu. Do Włoch pojechało ostatecznie czternaście zawodniczek, zagrały wszystkie, a dla dziewięciu był to jedyny mecz w kadrze. Po meczu reprezentacja otrzymała zaproszenie na turniej w San Remo, ale wszystkie plany przekreśliło wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. Kolejne mecze reprezentacja zagrała dopiero w 1984 roku.

27.06.1981, Katania
WŁOCHY – POLSKA 3:0

Skład: Katarzyna Lubomska, Eugenia Pałubiak, Barbara Kołodziej, Bogumiła Mirek (55 Anna Bąbka), Barbara Juda, Ewa Szostak, Danuta Zgryźniak (55 Ewa Sokołowska), Zofia Klim (k), Renata Dancer (73 Jadwiga Mianowska), Małgorzata Gospodarczyk, Jolanta Bonna. Trenerzy: Tadeusz Maślak oraz Roman Bieszke.

PIERWSZY BARAŻ

Białoruś, Irlandia, Walia. Z tymi drużynami przyszło rywalizować reprezentacji Władysława Szyngiera w ramach eliminacji mistrzostw świata. Nagrodą była możliwość barażu z najstarszym zespołem wyższej dywizji i, w dalszej perspektywie, możliwość gry o bezpośredni awans do wielkich imprez. Najpierw trzeba było jednak wygrać grupę. Ten cel został osiągnięty. Polki dwukrotnie pokonały Białoruś i Irlandię oraz zdobyły cztery punkty na Walii. W barażu naprzeciwko „Orlic” stanęły Szwajcarki. O ile w pierwszej potowie lepiej prezentowały się goście, nie, dokumentując to golem w 41. minucie, to w kolejnych 45. minutach Polki osiągnęły przynajmniej przewagę. Niestety w rewanżu reprezentacja Polski bez kontuzjowanej Jolanty Niecypor i usuniętej z boiska Jolanty Cudały przegrała wyraźnie 0:4. Był to kres pracy szkoleniowej Władysława Szyngiera w roli selekcjonera kadry.

12.09.1998, Ostrowiec Świętokrzyski
POLSKA – SZWAJCARIA 0:1
baraż eliminacji mistrzostw świata

Skład: Agnieszka Gajdecka, Anna Kijas, Hanna Serocka, Maria Makowska (k), Jolanta Cudała, Beata Mociak (46 Grażyna Palus), Anastazja Kubiak, Jolanta Niecypor (82 Mariola Silwończyk), Agnieszka Szondermajer (68 Katarzyna Jendryczko), Marta Otrębska, Agnieszka Leonowicz. Trener: Władysław Szyngiera.

RANKINGOWE PUNKTY

W czwartej edycji kobiecego Pucharu UEFA, w szranki stanęła będąca wówczas hegemonom w polskiej lidze drużyna AZS Wrocław. W pierwszej rundzie eliminacji grupowych, będąc gospodyniami miniturnieju, AZS z łatwością uporał się z walijskim LFC Cardiff City (2:1), islandzkim KI Klaksvik (5:1) oraz ukraińskim Metalistem Charków (2:0). Nagrodą był udział w kolejnym turnieju, tym razem rozgrywanym w niemieckim Poczdamie, gdzie poprzeczka była już powieszona dużo wyżej. Po wyraźnych porażkach z włoskim Torres Terra Sarda i gospodyniami – legendarnym już wtedy klubem Turbine Poczdam, mało kto dawał szansę wrocławiankom w ich pożegnalnym meczu z mistrzyniami Francji z Montpellier. Tym bardziej miłym zaskoczeniem było zwycięstwo z przedstawicielem jednej z najsilniejszych lig kontynentu. Do przerwy było 1:0 po голу Justyny Nazarczyk. W drugiej połowie wynik ustaliła Marta Otrębska i niespodzianka stała się faktem.

18.09.2004, Poczdam

AZS WROCŁAW – MONTPELLIER HSC 2:0

mecz II rundy eliminacji Pucharu UEFA

Gole: Nazarczyk (33 min.), Otrębska (53 min.)

Skład: Lena Hohlfeld, Justyna Nazarczyk, Monika Trzebuniak (64 Agata Tarczyńska), Iwona Okrasa (72 Ewa Żyła), Katarzyna Stochaj, Patrycja Pożerska, Katarzyna Janiszek, Dominika Maciaszczyk, Alicja Pawlak, Liliana Gibek, Marta Otrębska (86 Agata Mańczyńska). Trener: Wojciech Basiuk.

UTRACONA LIGA MISTRZYŃ

W październiku 2014 roku polski klub był chyba najbliżej wrót raju – fazy grupowej Ligi Mistrzyń. Po planowym zwycięstwie w turnieju eliminacyjnym (komplet zwycięstw: 3:0 nad WFC SFK 2000 Sarajewo, 7:0 z Aaland United oraz 11:1 z ZFK Kocani, polskiemu reprezentantowi w elitarnych rozgrywkach los za rywala przydzielił szkocki klub Glasgow City LFC. Po pierwszym meczu medycyki były w siód-

mym niebie. Na stadionie im. Złotej Jedenastki Kazimierza Górskiego w Koninie pokonały one bowiem rywalki 2:0 po golach Ewy Pajor i Aleksandry Sikory. Była to spora zaliczka przed rewanżem, niestety, starczyła tylko na dogrywkę, w której szkocki zespół przechylił szalę na swoją korzyść.

15.10.2014, Airdrie

GLASGOW CITY LFC – MEDYK KONIN 3:0

(po dogrywce)

eliminacje Ligi Mistrzyń

Skład: Anna Szymańska, Gabriela Grzywińska (68 Jagoda Szewczuk), Radostawa Stawczewa, Hellena Hercigonja-Moulton, Katarzyna Konat, Partycja Balcerzak, Natalia Pakulska, Aleksandra Sikora, Sandra Zigić (81 Ewelina Kamczyk), Ewa Pajor, Anna Gawrońska (k). Trener: Roman Jaszczak.

ROZBUDZONE NADZIEJE

Mecz, który wielu obserwatorów zaznaczyło jako ten „założycielski” dla kadry prowadzonej przez Miłosza Stępińskiego. Nieoczekiwane zwycięstwo w towarzyskim, ale prestiżowym turnieju nad zdecydowanie wyżej notowaną Hiszpanią miało o tyle słodszy smak, że było jak najbardziej zasłużone. Pierwszy gol padł po stałym fragmencie gry, kiedy Paulina Dudek w inteligentny sposób przecięła dośrodkowanie z rzutu wolnego Eweliny Kamczyk. Kolejne dwa gole to recital Ewy Pajor – najpierw po sprincie lewą stroną weszła w pole karne i wycofała piłkę do nadbiegającej Patrycji Balcerzak, a później po finezyjnym wyprowadzeniu w pole kryjącej ją obrończyni sama ustaliła wynik spotkania po efektownym rajdzie przez pół boiska. Rozpędzone Polki wygrały również kolejny mecz w grupie – z Holandią (1:0) i w nagrodę zmierzyły się w meczu finałowym z Norwegią. Mimo porażki w ostatnim meczu, Polki pozostawiły po sobie bardzo korzystne wrażenie, co pozwalało z nadzieją patrzeć na kolejną kampanię eliminacyjną, zwłaszcza, że jednymi z rywalek zostały... Hiszpanki.



▲ Polki przed meczem z Hiszpanią w Lagos na Algarve Cup w 2019 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

1.03.2019, Lagos

POLSKA – HISPANIA 3:0

turniej towarzyski Algarve Cup

Gole: Dudek (26 min.), Balcerzak (38 min.), Pajor (50 min.)

Skład: Katarzyna Kiedrzynek, Aleksandra Sikora, Paulina Dudek, Małgorzata Mesjasz, Natalia Chudzik (46 Martyna Wiankowska), Dominika Grabowska (69 Dżesika Jaszek), Gabriela Grzywińska, Patrycja Balcerzak (61 Emilia Zdunek), Agnieszka Winczo (46 Katarzyna Daleszczyk), Ewelina Kamczyk (46 Weronika Zawistowska), Ewa Pajor (69 Julie Matuschewski). Trener: Miłosz Stępiński.

PIERWSZY AWANS

Eliminacje młodzieżowych mistrzostw Europy składały się z dwóch faz. W pierwszej, rozegranej w dniach 26 września – 1 października 2006 roku Polki pokonały drużyny Armenii (2:0) i Łotwy (7:0), przegrywając z Hiszpankami 0:4. Do drugiej fazy drużyna awansowała więc z drugiego miejsca. W turnieju rozgrywanym na boiskach walijskich w dniach 10-15 kwietnia 2007 roku, Polki rozpoczęły od pokonania gospodyń 4:0, następnie bezbramkowo zremisowały z Finlandią, aby w dramatycznym meczu o wszystko

pokonać Rosję 1:0. Bohaterką meczu była bramkarka Anna Bocian, która w 73. minucie obroniła rzut karny. W samym turnieju Polska zdobyła zaledwie jeden punkt, remisując z Anglią 1:1 po голу utraconym w ostatniej minucie gry oraz ulegając Hiszpanii 0:2 i Francji 0:4.

15.04.2007, Flint

POLSKA U-19 – ROSJA U-19 1:0

eliminacje młodzieżowych mistrzostw Europy)

Gol: Czernielewska (33 min.)

Skład: Anna Bocian, Anna Tymińska, Natasza Górnicka, Dominika Machnacka, Justyna Polak, Emilia Bezdziecka (60 Katarzyna Jackowska), Natalia Czernielewska, Agata Tarczyńska (k), Natalia Chudzik, Magdalena Zegan, Katarzyna Daleszczyk (85 Mażena Grzelińska). Trener: Robert Góralczyk.

DO KOŃCA W GRZE

Było to chyba najlepsze, jak się później okazało, losowanie eliminacji mistrzostw świata w historii polskiej reprezentacji kobiet. Mimo przynależności do dalekiego koszyka, Polska pod kierownictwem Roberta Góralczyka fenomenalnie rozpoczęła zmagania, pokonując dużo

wówczas silniejszą Ukrainę 4:1. Niestety zaraz potem przydarzyła się przykra porażka z Węgrkami 2:4, co skomplikowało sytuację. Polki podniosły się jednak i w kolejnych meczach pokonały dwukrotnie reprezentacje Rumunii oraz Bośni i Hercegowiny, nie będąc w stanie jednak strzelić u siebie gola w rewanżu z drużyną węgierską. Wobec układu tabeli, ostatni mecz w grupie decydował o kwalifikacji do baraży o turniej finałowy, gdzie rywalkami miały być Włoszki. Mimo szybkiego objęcia prowadzenia, wkrótce sprawy zaczęły przybierać niekorzystny obrót. Jeszcze w pierwszej połowie boisko opuściły: zdobywczyni gola – Agata Tarczyńska oraz lewa obrończyni Natalia Chudzik. Wobec takich ubytków już przed przerwą, dodając do tego absencję Marty Stobby, Polki zaczęły opadać z sił i uległy ostatecznie rywalkom, kończąc eliminacje porażką.

25.08.2010, Czerniów

UKRAINA – POLSKA 3:1

eliminacje mistrzostw świata

Gol: Tarczyńska (18 min.)

Skład: Katarzyna Kiedrzynek, Alicja Pawlak, Marlena Kowalik, Jolanta Siwińska, Natalia Chudzik (43 Donata Leśnik), Daria Kasperska, Ewa Żyła (72 Sylwia Gorbacewicz), Sandra Sałata, Anna Żelazko (k), Agata Tarczyńska (24 Patrycja Pożerska), Agnieszka Winczo. Trener: Robert Góralczyk.



SENSACYJNE ZŁOTO

Piętnasta minuta meczu, po prawej stronie wymieniają podania Wasil i Dereń, w końcu ta druga dośrodkowuje w pole karne, z piłką mija się Matysik, futbolówka trafia do Kamczyk, która strzałem w długi róg pokonuje szwedzką bramkarkę! W tym jednym zdaniu zawiera się najpiękniejsza chwila polskiego piłkarstwa kobiecego. Drużyna, której selekcję rozpoczął Andrzej Soroka z Niną Patalon w roli asystentki, swój kolejny szlif odebrała od Zbigniewa Witkowskiego, pod którego kierownictwem przełamała hegemonię Hiszpanek i Niemek w tej kategorii wiekowej i po raz pierwszy i do tej pory jedyny w historii zwyciężyła w finale mistrzowskiej imprezy. Spośród uczestniczek meczu finałowego, aż dziesięć zadebiutowało w pierwszej reprezentacji (Dominika Dereń, Paulina Dudek, Gabriela Grzywińska, Ewelina Kamczyk, Katarzyna Konat, Sylwia Matysik, Patrycja Michalczyk, Ewa Pajor, Anna Rędzia i Anna Zapata), pierwsze już dwa miesiące po finale (Konat i Pajor). W pierwszej reprezentacji udało się zagrać również trzem rezerwowym z tego meczu (Dżesice Jaszek, Karolinie Ostrowskiej i Kindze Szemik). Osiem zawodniczek gra w klubach zagranicznych, również tych z europejskiego topu, jak Paris Saint-Germain czy VfL Wolfsburg.

28.06.2013, Nyon

POLSKA U-17 – SZWECJA U-17 1:0

finał młodzieżowych mistrzostw Europy

Gol: Kamczyk (15 min.)

Skład: Anna Okulewicz, Katarzyna Konat, Patrycja Michalczyk, Gabriela Grzywińska, Anna Rędzia, Sylwia Matysik, Urszula Wasil, Ewelina Kamczyk, Paulina Dudek (k) (78 Anna Zapata), Dominika Dereń, Ewa Pajor. Trener: Zbigniew Witkowski.

◀ Agata Tarczyńska (nr 10) strzeliła Ukrainkom gola, a sześć minut później... musiała opuścić murawę z powodu kontuzji. Polkom nie udało się utrzymać prowadzenia / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

Najwyższe zwycięstwa reprezentacji Polski

STAN NA 31/12/2022

MECZ TOWARZYSKI

25/02/1998, Tel Awiw



IZRAEL

0

13

POLSKA



ELIMINACJE MISTRZOSTW ŚWIATA

07/04/2022, Gdynia



POLSKA

12

0

ARMENIA



MECZ TOWARZYSKI

12/02/2014, Koetschette



LUKSEMBURG

0

12

POLSKA



ELIMINACJE MISTRZOSTW EUROPY

12/09/1995, Gorlice



POLSKA

9

0

ESTONIA



ELIMINACJE MISTRZOSTW EUROPY

14/10/1995, Tallin



ESTONIA

0

8

POLSKA



MECZ TOWARZYSKI

11/05/1997, Biała Podlaska



POLSKA

8

0

LITWA



Najskuteczniejsze piłkarki w historii reprezentacji Polski

STAN NA 31/12/2022



EWA PAJOR

52

GOLE



MARTA OTRĘBSKA

48

GOLI



AGNIESZKA WINCZO

37

GOLI



AGNIESZKA SZONDERMAJER

33

GOLE



ANNA ŻELAZKO

27

GOLI

Snajperki

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

W kadrze narodowej zagrało do tej pory (według stanu na grudzień 2022) 260 zawodniczek, z czego 81 może pochwalić się zdobyciem bramki w biało-czerwonych barwach. W 289 meczach padło 537 goli dla Polski.

Ten pierwszy padł w drugim meczu reprezentacji, rozegranym 12 lipca 1984 roku w Piotrkowie Trybunalskim. Redaktor „Piłki Nożnej”, Paweł Smaczny zapisał to w następujący sposób:

„Gdy zanosilo się na pogrom nasza najlepsza snajperka, środkowa ataku Zienkiewicz strzeliła piękną główką pierwszą, historyczną bramkę dla reprezentacji Polski. A w ogóle to w tym meczu wszystkie futbolistki nie żałowały fryzur. Na pięć strzelonych bramek aż trzy zdobyto strzałami głową”.

Zdobyta bramka umożliwiła bowiem Polkom otrząśnięcie się po fatalnych 20 minutach, kiedy to rywalizujące z nami Czechosłowaczki prowadziły już 3:0. Ostatecznie mecz zakończył się rezultatem 1:4.

Pierwszy gol z rzutu wolnego również był autorstwa **IWONY ZIENKIEWICZ**. Dnia 28 czerwca 1986 roku w Karwinie, Polki zremisowały z Czechosłowacją 1:1, a redaktor katowickiego „Sportu” Jerzy Dusik donosił z trybun:

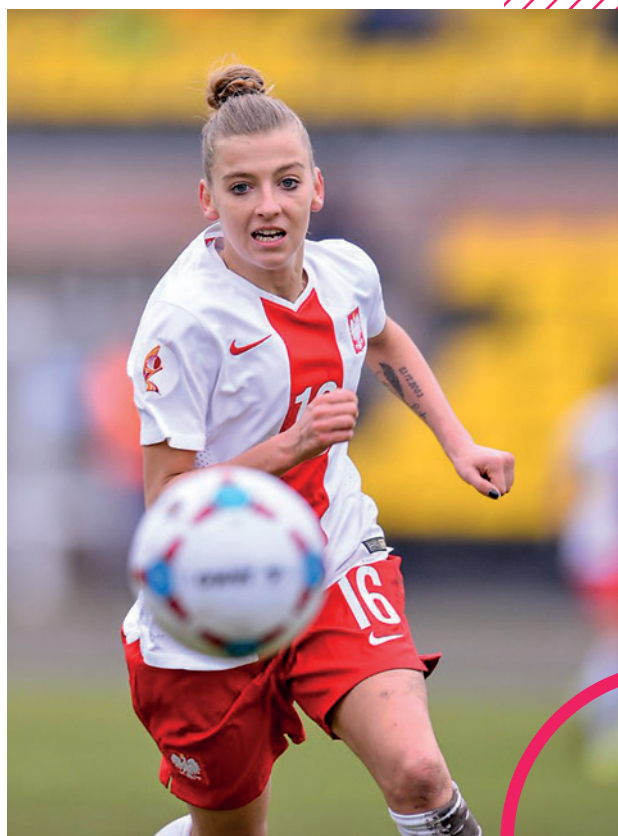
„Co się jednak nie udało w pierwszych 40 min., powiodło się tuż po zmianie stron. Tym razem nieprzepisowo zatrzymana Iwona Zienkiewicz, sama sobie wymierzyła sprawiedliwość, posyłając piłkę zza linii 16 m w samo okienko bramki rywalek”.

Premierowa bramka z rzutu karnego padła natomiast w debiucie reprezentacji Polski w meczu o punkty. W ramach eliminacji mistrzostw Europy, 15 października 1989 roku w Knurowie Polki podejmowały Francję. Wy-

korzystany w 59. minucie przez **MARIĘ MAKOWSKĄ** rzut karny był niestety tylko golem honorowym po uprzedniej stracie trzech. Również ten mecz relacjonował dla „Sportu” Jerzy Dusik:

„Ale kiedy losy spotkania były przesądzone nasze dziewczyny wreszcie pokazały, że też potrafią grać w piłkę nożną. Wprowadzona do gry w trakcie pierwszej połowy doświadczona zawodniczka Małgorzata Gospodarczyk została sfaulowana w polu karnym gdy przedzierała się w pobliże świątyni Sandriny Roux i arbiter Robert Matusik z Czechosłowacji podyktował jedenastkę. Wykorzystała tę okazję Maria Makowska zdobywając pierwszą bramkę w historii eliminacji mistrzostw Europy”.

Nieco dłużej przyszło kibicom czekać na pierwszego gola zdobytego bezpośrednio z rzutu różnego. Dokonała tego **NATALIA PAKULSKA**, dnia 11 marca 2014 roku w chorwackiej miejscowości Umag, gdzie Polki uległy Węgierkom 1:4. Honorowy, zdobyty w niecodzienny sposób gol padł w 47. minucie spotkania.



▲ Natalia Pakulska w reprezentacji Polski / Fot. Paula Duda, PZPN



▲ Marta Otrębska w meczu Polska – Rumunia w 2002 roku / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

Po raz pierwszy hat-trickiem w meczu reprezentacji popisała się **JOLANTA NIECZYPOR**. 12 września 1995 roku w Gorlicach Polki rozgromiły w meczu eliminacji mistrzostw Europy Estonki aż 9:0, a napastniczka niemieckiego FC Rumeln wpisywała się na listę strzelczyń w 14., 25. i 46. minucie.

Trzy hat-tricki mają na koncie cztery zawodniczki. Jako pierwsza dokonała tego **MARTA OTRĘBSKA**, która 14 października 1995 roku trzykrotnie pokonała w Tallinie bramkarkę Estonii. Następnie zaliczyła, dopiero niedawno wyrównany, rekordowy łup strzelecki w meczu z Izraelem. W wygranym 13:0 meczu, rozegranym 25 lutego 1998 roku w Tel Awiwie, nasza snajperka trafiła do siatki w 11., 27., 36., 43., 72. i 79. minucie. Po raz trzeci i ostatni w karierze „hat-trickowy koncert” zawodniczka dała 29 kwietnia 2000 roku w wyjazdowym meczu z Austrią. W zakończonej rezultatem 3:2 wiktory, Otrębska zdobyła bramki w 14., 38. oraz 89. minucie meczu. Gol dający zwycięstwo jest przypisywany naszej napastniczce przez źródła polskie, Austriacy natomiast wskazują na Agnieszkę Drozdowską jako tę, która zadała im decydujący cios.



▲ Agnieszka Szondermajer w meczu z Chorwacją w 2003 roku / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

Następna snajperka to mistrzyni stałych fragmentów gry i strzałów z dystansu – **AGNIESZKA SZONDERMAJER**. Mimo raczej defensywnych zadań na boisku, w 90 meczach zdobyła aż 33 bramki. Po raz pierwszy trzykrotnie punktowała w tym samym meczu co Marta Otrębska – z Estonią. Swoje gole strzeliła w 13., 57. i 66. minucie. Kolejny hat-trick zdobyła również w towarzystwie swojej koleżanki, a mianowicie w Izraelu, gdzie do sześciu trafień goleadorki dołożyła bramki w 14., 34. i 84. mi-



▲ Ewa Pajor celebrująca gola w meczu ze Szwecją w kwietniu 2021 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

nucie. Ostatni wyczyn tej kategorii zanotowała również przeciwko Izraelowi i również przy udziale Otrębskiej. 5 maja 2002 we Włocławku Polki pokonały goście 4:0, Szondermajer trafiła w 30., 65. i 75. minucie, a Otrębska tym razem zadowolona się jednym golem.

Kolejną piłkarką, która strzeliła trzy gole w jednym meczu jest **AGNIESZKA WINCZO**. Kolekcjonowała je regularnie, stopniowo, rok po roku. Najpierw, 19 września 2009 roku w Nowym Sączu trzy bramki od popularnej „Wini” przyjęły Ukrainki, przegrywając cały mecz eliminacji mistrzostw świata 1:4. Następnie, w ramach tego samego cyklu eliminacyjnego, „ofiarą” Agnieszki zostały Rumunki, które również uległy Polkom 1:4 i to na własnym terenie. Ostatni popis skuteczności Agnieszka Winczo dała 17 kwietnia 2010 roku w Pińsku w towa-



▲ Agnieszka Winczo w meczu towarzyskim z Grecją w 2017 roku / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

warzyskim meczu z Białorusią. Zanotowała wtedy klasycznego hat-tricka, czyli strzelonego do przerwy (20., 27. i 38. minuta), by po przerwie skompletować „karetę” dokładając trafienie w 67. minucie. Polki wygrały ten mecz 5:1.

Ostatnią do tej pory zawodniczką z trzema hat-trickami na koncie, jest nasza od niedawna najlepsza w historii snajperka – **EWA PAJOR**. Pierwszy popis dała już w swoim drugim roku gry w pierwszej reprezentacji – 16 lipca 2014 roku w Pruszkowie Polska pokonała Estonię 5:1, a Ewa trafiła w 26., 51. i 55. minucie. Kolejny hat-trick został zaliczony w roku „covi-



▲ *Radość Nikoli Karczewskiej po zdobyciu bramki w meczu z Norwegią w kwietniu 2022 roku / Fot. Paula Duda, PZPN*

dowym". Dnia 7 marca 2020 roku w pierwszym w historii meczu kadry kobiet w stolicy Polki pokonały Mołdawianki 5:0, a Ewa Pajor zdobyła swoje gole w 27., 34. i 86. minucie. Ostatni jak do tej pory „potrójny skalp” został zdobyty przez naszą napastniczkę w Lublinie. Dnia 6 września 2022 roku Polska pokonała Kosovo 7:0, a nasza snajperka w efektywny sposób pobiła dotychczasowy, wynoszący 48 trafień rekord Marty Otrębskiej, zdobywając swoje 49., 50. i 51. trafienie dla kadry w 13., 37. i 53. minucie.

Kolejną zawodniczką, która może pochwalić się zdobyciem trzech bramek w jednym meczu jest **PATRYCJA POŻERSKA**. W węgierskiej miejscowości Balatonfüred, reprezentacja Polski wyraźnie pokonała Czeszki 4:1, a zawodniczka zdobyła swoje gole w 62., 74. i 90. minucie. Wyczyn ten, jakkolwiek niecodzienny i niewątpliwie zasługujący na wzmiankę, nie jest jednak najważniejszym wydarzeniem tego meczu. W tym dniu swój debiut zaliczyła, przy okazji otwierając konto bramkowe, świeżo upieczona mistrzyni Europy do lat 17 – Ewa Pajor.

Sześć goli w jednym meczu to duży wyczyn. Jeszcze większy kaliber zyskuje, jeśli dokona się tej sztuki w meczu reprezentacji.

Osiągnięciem najcięższej wagi jest jednak zdobycie sześciu bramek w meczu o punkty. Tej sztuki dokonała **NIKOLA KARCZEWSKA** w Gdyni, 7 kwietnia 2022 roku w meczu z Armenią, wygranym 12:0. Ciekawostką jest, że w tak efektywny sposób „Kerczi” otworzyła swoje konto strzeleckie w kadrze, bowiem przed tym spotkaniem nie mogła się pochwalić trafieniem w reprezentacji mimo już czternastu gier. Piętnasta przeszła jednak do historii.

Według stanu na grudzień 2022, dwanaście zawodniczek może się poszczycić zdobyciem w reprezentacji co najmniej dziesięciu trafień. Część z nich już wspominaliśmy w tym tekście. Od niedawna liderką jest Ewa Pajor (52 gole), wyprzedzając dotychczasową liderkę Martę Otrębską (48 bramek). Najniższe miejsce na podium zajmuje Agnieszka Winczo z 37 trafieniami. Kolejnymi zawodniczkami są: Agnieszka Szondermajer (33), Anna Żelazko (27), Patrycja Pożerska (21), Jolanta Niecypor (17), Agnieszka Leonowicz (16), Patrycja Balcerzak (15), Ewelina Kamczyk (14), Anna Gawrońska (11) i Agata Tarczyńska (10).



Diamenty utracone

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

W reprezentacji Polski zagrało 260 piłkarek. Są wśród nich takie, które rozegrały ponad sto spotkań w kadrze, a których staż reprezentacyjny liczy się w dekadach, jak Maria Makowska, Agnieszka Winczo czy Marta Otrębska. Są goleadorki, jak Ewa Pajor czy wspomniane już Marta i Agnieszka. Przypomnijmy sobie zawodniczki, które miały potencjał na dużo więcej „A” przy swoim nazwisku. Lista jest oczywiście subiektywna.



KATARZYNA GOZDEK

Honorowe miejsce na liście, ponieważ mistrzyni Europy do lat 17 z 2013 roku nie dane było zadebiutować w pierwszej reprezentacji. Kapitan „złotej drużyny” w półfinałowym meczu tego turnieju z Belgią doznała kontuzji, która w praktyce zakończyła jej karierę. Mimo kilkunastu prób powrotu na boisko, powtarzające się urazy nie pozwoliły rozwinąć się defensorce na miarę swojego talentu.



▲ Katarzyna Gozdek z selekcjonerem Zbigniewem Witkowskim wraz z trofeum za zdobycie mistrzostwa Europy U-17 / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

NATALIA PAKULSKA

37 meczów i 6 goli w latach 2011-2016. Powoływana jeszcze przez poprzedniego selekcjonera Miłosza Stępińskiego wydawała się pewnym punktem reprezentacji. Niestety na przeszkodzie stanęły kontuzje, m.in. dwukrotne zerwanie więzadeł krzyżowych w ciągu dziesięciu miesięcy. Dopiero w bieżącym sezonie (2022/23) możemy Natalię oglądać na boiskach Ekstraligi w barwach Medyka Konin. Dodać należy, że jest jedną z nielicznych, jeśli nie jedyną mamą na tym szczeblu rozgrywek. Według dostępnych źródeł, jako jedyna reprezentantka Polski zdołała pokonać bramkarke rywalek strzałem bezpośrednim z rzutu różnego. Dokonała tego dnia 11 marca 2014 roku w chorwackiej miejscowości Umag, gdzie Polki uległy Węgierkom 1:4. Honorowy, zdobyty w niecodzienny sposób gol padł w 47. minucie spotkania.

BEATA HATLAŚ

4 mecze i 2 gole w latach 1991-1995. Historia polskiej piłki nożnej zna trzynaście przypadków debiutu okraszonych bramką. Jednak tylko

dwie zawodniczki zdołały zdobyć dwie bramki w swojej premierowej grze (drugą jest Anna Zapata). Niestety, „wejście smoka” nie zaowocowało większą liczbą gier w reprezentacji.

KATARZYNA EKIEL

13 meczów i 3 gole w latach 1992-1995. Jej największym dokonaniem są dwie bramki strzelone reprezentacji Hiszpanii w Tarragonie w 1993 roku. Ostatnio przypomniano o niej w mediach za sprawą reprezentanta Polski w piłce ręcznej, Ariela Pietrasika, który okazał się być jej synem. Pani Katarzyna podążyła za mężem do Luksemburga i nie mogąc znaleźć w okolicy klubu z sekcją piłki nożnej kobiet, zakończyła karierę.

JOANNA OLSZEWSKA

5 meczów w 2019 roku. Wejście jako rezerwowa w debiucie z Włoszkami nie zrobiło na niej wrażenia, podobnie jak cały mecz przeciwko Brazylii. Wobec problemów zdrowotnych Aleksandry Sikory (obecnie Rompy), była to naturalna kandydatura na pozycję prawej wahadłowej w kadrze Miłosza Stępińskiego.

Niestety, w tym przypadku również na drodze do ciekawszej kariery stanęła kontuzja, która spowodowała, że w decydujących meczach z Czeszkami w eliminacjach mundialu, sytuację na newralgicznej pozycji musiała ratować Gabriela Grzywińska.

SILVANA CHOJNOWSKI

14 meczów i 1 bramka w latach 2016-2017. Młodzieżowa reprezentantka Niemiec, uczestniczka mistrzostw Europy i świata w kategorii U-17 miała być cennym wzmocnieniem kadry narodowej. Niestety, tu również kontuzje nie pozwoliły jej rozwinąć skrzydeł w biało-czerwonych barwach.

URSZULA ŁAPACZ

11 meczów w latach 1988-1990. Samородny talent rodem z Maciejowic, gdzie nauczyciele i... lokalny sekretarz partii zdecydowali się poprosić samego Kazimierza Górskiego o pomoc w znalezieniu młodziutkiej piłkarce miejsca do dalszej przygody z piłką. Trener Tysiąclecia stanął na wysokości zadania i (podobnie jak w przypadku Agnieszki Szondermajer) skiero-

wał zawodniczkę do Czarnych Sosnowiec. Po swoim trzecim meczu w reprezentacji (cenny, bezbramkowy remis z USA), otrzymała propozycję wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, jednakże na przeszkodzie stanął młody wiek piłkarki – nie miała jeszcze osiemnastu lat. Wkrótce pojawiła się oferta z Belgii, z której skorzystało również kilka jej koleżanek – Marzena Jamrozy, Zofia Wojtas i Lidia Wypych. Niestety, po wyjeździe do Belgii wszystkie zawodniczki zniknęły z monitorów kolejnych selekcjonerów kadry narodowej.

BARBARA REMBIESA

6 meczów w latach 1991-1992. Jej losy są dokładnie opisane na stronach 42-45. Po transferze do najsilniejszej wówczas ligi szwedzkiej, na przeszkodzie w reprezentowaniu kraju stanęły względy finansowe – piłkarki nie było stać na pokrywanie kosztów podróży na zgrupowania kadry, natomiast PZPN nie był skłonny spełnić oczekiwań zawartych w słynnym liście dwóch kadrowiczek, o którym mowa później. Szkoda, bo jeszcze w 2007 roku zawodniczka została wybrana najlepszą bramkarką Superligi.



▲ Silvana Chojnowski w towarzyskim meczu Polska – Finlandia w 2017 roku / Fot. Piotr Kucza, 400mm.pl



▲ Bramkarka Agnieszka Gajdecka po zakończonym 3:1 meczu Polska – Rumunia w 2002 roku / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

AGNIESZKA GAJDECKA (OBECNIE ŚMIECHOWSKA)

43 mecze w latach 1995-2003. Niby dużo, ale... koniec kariery reprezentacyjnej w wieku prawie 25 lat to zdecydowanie za wcześnie jak na cały czas rekordzistkę pod względem liczby minut bez wpuszczonej bramki (803 minuty). Po wyjściu za mąż przeprowadziła się do Płocka, gdzie nie było wtedy kobiecej sekcji piłki nożnej. Co prawda PZPN zaproponował jej indywidualne treningi bramkarskie, ale zawodniczka nie zdecydowała się na taką formę pomocy kadrze, uważając, że nie byłoby to fair w stosunku do koleżanek trenujących „normalnie” w klubach.

LUIZA PENDYK

25 meczów i 6 goli w latach 1987-1992. Piłkarka wyprzedzająca swoją epokę, ogromny i wszechstronny talent, kto wie czy nie największy w polskiej piłce kobiecej, niezwykle świadoma celów, jakie chce osiągnąć i nie gryząca się przy tym w język. Autorka największego skandalu w historii reprezentacji kobiecej, godnego rozprawy rodem z „Antygony”. Jedna z dwóch znanych obecnie zawodniczek, która w reprezentacji Polski zdo-

była gola głową, z rzutu karnego i wolnego (drugą jest Adriana Achcińska). Piętnaście razy pełniła funkcję kapitan zespołu. W debiucie strzeliła gola głową z 16. metrów. Była również nieoficjalnym tłumaczem kadry. Po transferze do Szwecji rychło pojawiły się problemy z finansowaniem podróży na zgrupowania reprezentacji. Wspomnieć należy, że nawet wtedy w lidze szwedzkiej granie łączyło się z pracą, a konieczność brania urlopu „na kadrę” była równoznaczna z utratą dniówek. Wobec niemożności zawarcia porozumienia w tej kwestii z federacją, zawodniczka zrezygnowała z gry w kadrze (więcej na ten temat na stronach 38-41). Epilog jest smutny i niestety przykry. Luiza Pendyk grała w lidze szwedzkiej do 2001 roku, dwukrotnie zdobywając koronę królowej strzelczyń. Po przyjęciu szwedzkiego obywatelstwa została niejako oskarżona o zdradę, czego nie potrafi wybaczyć do dziś. Podobny casus spotkał kiedyś Andrzeja Buncola, gdy po zakończeniu kariery reprezentacyjnej w 1986 roku wyjechał do Niemiec i przyjął jako drugie obywatelstwo tego kraju. W tym przypadku udało się doprowadzić do porozumienia, a pan Andrzej mieszkający na stałe w Leverkusen służy pomocą m.in. grającej w Bayerze Sylwii Matysik.



Polska - Armenia 12:0

el. MŚ 2023, Gdynia

ZOBACZ HISTORYCZNE MOMENTY REPREZENTACJI POLSKI KOBIEC

I ODTWÓRZ WSPOMNIENIA W BIBLIOTECE
PIŁKARSTWA POLSKIEGO

> WEJDŹ NA WWW.LACZYNASPILKA.PL/BIBLIOTEKA



Rozdział III


MISTRZYNIE



Na osi czasu

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

Zrodzona w bólach, kilkakrotnie modyfikowana, raz nie doszła do skutku, a raz nie została dokończona. Polska liga piłki nożnej kobiet w różnych formach funkcjonuje od 1975 roku. Jej początki wywodzą się z serii turniejów organizowanych przez Zarząd Główny Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Okazało się bowiem, że w wyżej wymienionych turniejach biorą udział prawie wszystkie istniejące wówczas kobiece drużyny piłkarskie. W głowach działaczy zrodził się wówczas pomysł potraktowania ich jako mistrzostw Polski.



Pierwsze cztery edycje są uznawane jako nieoficjalne, bowiem nie firmował ich jeszcze PZPN. Tytuł za każdym razem przypadł Checzi Gdynia. Jesienią 1979 roku rozpoczął się pierwszy w pełni oficjalny sezon piłkarskiej ligi kobiet. Ciężar organizacji rozgrywek praktycznie wzięły na siebie: sosnowiecki podokręg katowickiego OZPN oraz działacze Checzi Gdynia z Romanem Bieszke na czele. Sezon ten przeszedł do historii jako pierwszy oficjalnie zatwierdzony przez PZPN oraz... najdłuższy. Wobec fatalnej sytuacji społeczno-politycznej w kraju, mecz finałowy udało się rozegrać dopiero... 3 maja 1981 roku. Liga została rozegrana w podziale na grupy: południową (pięć drużyn) i północną (sześć ekip). Dwa najlepsze zespoły z każdej grupy stworzyły pary półfinałowe, które rozstrzygnęły między

sobą ostateczną kolejność. W meczu przegranych półfinalistów Polam Warszawa pokonał Karolinę Jaworzyna Śląska 3:2, natomiast finał rozstrzygnęła na swoją korzyść drużyna Czarnych Sosnowiec, pokonując Checz 4:1. Pierwszą królową strzelczyń w oficjalnych mistrzostwach Polski została Małgorzata Gospodarczyk z Polamu Warszawa, zdobywając 27 goli.

W latach 1982-1988 liga funkcjonowała bez fazy play-off. W roku 1985 po raz pierwszy pojawiły się rozgrywki drugiej ligi. W 1989 roku powrócono do podziału pierwszej ligi na grupy oraz zmodyfikowanej fazy play-off, z tą różnicą, że zwycięzcy obu grup grały od razu mecz o tytuł, a ich wicemistrzowie – o brąz. Sezon 1989 był również ostatnim rozegranym w systemie wiosna-jesień.



▲ Ekstraliga w sezonie 2020/21 zyskała nie tylko nadawcę telewizyjnego, ale i kompleksowy rebranding rozgrywek / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

W sezonie 1989/90 zrezygnowano z podziału na grupy na poziomie pierwszej ligi. Następna zmiana zaszła w kolejnym sezonie. Zrezygnowano z rozgrywek drugiej ligi, a wszystkie zgłoszone drużyny podzielono na cztery grupy – konferencje z rozstrzygającą fazą play-off. Kolejny sezon to powrót do podziału na dwie grupy z zachowaną, ale rozbudowaną fazą play-off. Od sezonu 1992/93 liga prowadzona jest w ramach jednej grupy bez dodatkowej fazy play-off, druga liga natomiast w zależności od liczby drużyn rozgrywana jest w ramach jednej bądź większej ilości grup. W miarę rozwoju polskiej piłki nożnej kobiet na niwie klubowej, pojawiały się nowe ligi. W sezonie 2010/11 istniały cztery poziomy rozgrywek, obecnie ich struktura liczy już pięć – od Ekstraligi, do czwartych lig włącznie, a w przypadku województwa małopolskiego funkcjonuje również piąta liga. Sezon 2005/06 był pierwszym rozegranym pod nowym szyldem Ekstraligi, wobec czego dotychczasową nazwę pierwszej ligi przejął drugi poziom rozgrywkowy.

W rozegranych do tej pory czterdziestu trzech edycjach oficjalnych mistrzostw Polski, najczęściej tytuł zdobywała drużyna Czarnych Sosnowiec – trzynastą raz. Rekord w liczbie tytułów

mistrzostw zdobytych z rzędu należy jednak do AZS Wrocław, który w latach 2001–2008 ośmiokrotnie cieszył się z końcowego sukcesu.

Rekord snajperski pod względem liczby bramek w jednym sezonie należy do Anny Żelazko – w sezonie 2004/05 zdobyła w barwach Czarnych Sosnowiec aż 47 goli. Do niedawna była ona również najsukuteczniejszą strzelczynią najwyższej klasy rozgrywkowej w Polsce (według dostępnych danych), z 256 bramkami na koncie. Istnieje jednak bardzo duże prawdopodobieństwo, że wyprzedziła ją już Anna Gawrońska. Niestety brak części danych z niektórych sezonów wczesnego etapu kariery tej zawodniczki nie pozwala jeszcze oficjalnie tego potwierdzić.

Przez czterdzieści trzy edycje ligi, jej organizatorzy stawali przed różnorodnymi problemami, które wpływały zasadniczo na kształt i wielkość tabeli. Od kryzysu poprzedzającego wprowadzenie stanu wojennego zaczynając, poprzez masowe upadanie klubów w związku z przekształceniami ustrojowymi, na pandemii COVID-19 kończąc. Trzeba jednak przyznać, że mimo wielu obiektywnych trudności, Ekstraliga kobiet ma się dobrze, a od sezonu 2020/21 można ją obejrzeć w TVP Sport.

Mistrzynie Polski

NIEOFICJALNE ROZGRYWKI:

1975 Checz Gdynia

1976 Checz Gdynia

1977 *brak rozgrywek*

1978 Checz Gdynia

1979 Checz Gdynia

OFICJALNE ROZGRYWKI:

1979/80 Czarni Sosnowiec

1980/81 Czarni Sosnowiec

1981/82 Pafawag Wrocław

1982/83 Pafawag Wrocław

1983/84 Czarni Sosnowiec

1984/85 Czarni Sosnowiec

1985/86 Czarni Sosnowiec

1986/87 Czarni Sosnowiec

1987/88 Zagłębianka
Dąbrowa Górnicza

1988/89 Czarni Sosnowiec

1989/90 Zagłębianka
Dąbrowa Górnicza

1990/91 Czarni Sosnowiec

1991/92 Stilon Gorzów
Wielkopolski

1992/93 Piastunki Gliwice

1993/94 Piastunki Gliwice

1994/95 Stilon Gorzów
Wielkopolski

1995/96 Stilon Gorzów
Wielkopolski

1996/97 Czarni Sosnowiec

1997/98 Czarni Sosnowiec

1998/99 Czarni Sosnowiec

1999/00 Czarni Sosnowiec

2000/01 AZS Wrocław

2001/02 AZS Wrocław

2002/03 AZS Wrocław

2003/04 AZS Wrocław

2004/05 AZS Wrocław

2005/06 AZS Wrocław

2006/07 AZS Wrocław

2007/08 AZS Wrocław

2008/09 Unia Racibórz

2009/10 Unia Racibórz

2010/11 Unia Racibórz

2011/12 Unia Racibórz

2012/13 Unia Racibórz

2013/14 Medyk Konin

2014/15 Medyk Konin

2015/16 Medyk Konin

2016/17 Medyk Konin

2017/18 Górnik Łęczna

2018/19 Górnik Łęczna

2019/20 Górnik Łęczna

2020/21 CZARNI SOSNOWIEC

2021/22 UKS SMS ŁÓDŹ

ŁĄCZNA LICZBA TYTUŁÓW MISTRZOWSKICH:

13

Czarni Sosnowiec

8

AZS Wrocław

5

Unia Racibórz

4

Medyk Konin

4

Chech Gdynia

3

Stilon Gorzów
Wielkopolski

3

Górnik Łęczna

2

Piastunki Gliwice

2

Zagłębianka
Dąbrowa Górnicza

2

Pafawag Wrocław

1

UKS SMS Łódź

Checz Gdynia: Nieoficjalnie

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Chcieliśmy jeździć do sąsiedniego NRD po zakupy, a sportowcom było łatwiej, więc raz-dwa założyliśmy z mężem klub. Nikt wtedy nie mógł przypuszczać, że wszystko tak się rozwinie i przetrwa do dziś. Że zagramy przed meczem reprezentacji Polski z Włochami na Stadionie Dzieśięciolecia. Zostaniemy mistrzyniami Polski. Wszystko to działo się tak dawno. Trochę jakby przed naszą erą.

Na pierwsze zajęcia przyszło dwanaście dziewcząt. Wszystkie знаły się ze świetlicy Domu Fosa, w którym spędzały po zajęciach w szkole lub pracy wolny czas. Wśród nich była Edwarda Bieszke, żona Romana, pracownika stoczni remontowej Radunia. – Trenowałyśmy w pobliskim lesie na polanie. Bramka zrobiona z żerdzi, między nimi materac położony na ziemi, bo było nierówno i strasznie twardo. W samym centrum tej niespotykanej perspektywy ja. Jako jedyna miałam jako takie doświadczenie w grze na bramce, bo w szkolnej drużynie to właśnie ja broniłam. Tylko że był to jednak zespół piłki ręcznej.

NOWY POCZĄTEK

Od sezonu 2021/22 Checz wróciła do rozgrywek seniorskich. W czerwcu 2022 roku doszło do połączenia się dwóch klubów. Gdyński Marcus, który wywalczył awans i Checz doszły do wniosku, że lepiej będzie połączyć wysiłki i wspólnie pod jednym szyldem budować siłę piłkarstwa kobiecego w Trójmieście. Drużyna występuje obecnie w pierwszej lidze kobiet.



▲ Wybór fotografii z początków istnienia klubu / Arch. Checzy Gdynia

Rok później przyszła pora na pierwsze mecze. Podczas zlotu Ogniska TKKF w Starogardzie Gdańskim gdynianki przegrały trzy pojedynki, zajmując ostatecznie czwartą pozycję. Pierwsze zwycięstwo miało miejsce dopiero 22 września 1973 roku. Checz pokonała wówczas Unię Tczew 3:0. Bramki dla gdynianek zdobywały Krystyna Trun i Elżbieta Szojda, która wkrótce zostanie jedną z najlepszych snajperek ligi. Z historycznej wygranej zawodniczki Checzy cieszyły się na drugoligowych derbach Gdyni, gdzie Arka podejmowała Bałtyk.

Historia nabierała tempa. Organizowano coraz dalsze wyjazdy na mecze, aby wkrótce dotrzeć nawet na turnieje do... wymarzonego NRD. Szlifowano formę na obozach sportowych. To nic, że w pobliskich Bieszkowicach i pod namiotami. Pieniądze na wyjazd wkładano do wspólnej kasy. Kto ile miał. Obóz to obóz, a mecz to mecz. Nawet kiedy gra się z siatkarkami.

- A było tak w Puławach z Chemikiem. Miałam podejrzec, co to za jedne, bo nigdy wcześniej się z nimi nie spotkałyśmy. Wróciłam podłamana. Każda była od nas wyższa o dwie głowy. I jak tu z nimi grać? Trzeba będzie chyba biegać im między nogami, relacjonowałam

koleżankom. Ale wygrałyśmy 2:1. Może liczyły, że gra się do trzech? To były czasy, gdzie mecz potrafiono rozegrać nawet na zwykłym polu, ale każde z tych spotkań trafiło do kroniki, którą wspólnie prowadziłyśmy. Najwięcej serca miała do tego Eryka Lewandowska. Po meczach wklejałyśmy zdjęcia. Do pamiątkowych książek wpisywali się nam rywale. Niektórych wpisów nie rozumiem do dziś, o widzicie, w tym miejscu - Edwarda Bieszke pokazuje na dedykację po niemiecku opatrzoną adnotacją „April 1977, Neubrandenburg”. Dziś trudno nawet odczytać kto się wpisał i co chciał przekazać, ale takich stron jest więcej. Cztery tomy historii gdyńskiej Checzy. Historii polskiej piłki, bo oprócz pamiątek z Niemiec Wschodnich są tam również wspomnienia turniejów rozgrywanych w Danii, spotkania w byłej Jugosławii przy sztucznym świetle z Maszinacem w Niszu czy... pierwszego meczu Polek w Katanii. Z całą masą niepublikowanych nigdzie indziej zdjęć. Nic dziwnego. Roman Bieszke pomagał wtedy Tadeuszowi Maślakowi w oficjalnym debiucie drużyny narodowej. Był wówczas drugim trenerem, choć numerki przy stanowiskach były wtedy podobno kwestią umowną.



▲ Nieoficjalne mistrzynie Polski z 1976 roku / Arch. Checzy Gdynia

PIERWSZE MISTRZYNIE

„Ciągłe jeszcze najlepszej, miłej sympatycznej drużynie Checz z Gdyni z okazji spotkania w Bydgoszczy wpisuje się zespół Kolejowego Klubu Sportowego Czarni Sosnowiec. Dziękujemy za lekcję. Do spotkania w najbliższym czasie – może w lidze?” (Wpis pochodzi z kroniki klubowej Checzy Gdynia)

Poniżej podpisy Barbary Judy, Grażyny Paszek, Wandy Waniek i innych zawodniczek z Zagłębia Dąbrowskiego. Choć daty spotkania na próżno szukać w klubowej kronice, to jednak sama treść okazała się prorocza.

Pierwsze mistrzostwa Polski kobiecych klubów odbyły się w 1975 roku. Rywalizowano w dwóch grupach: północnej i południowej. O tytule mistrzowskim decydował mecz na neutralnym terenie. W swojej grupie gdynianki nie miały sobie równych, kolejno wygrywając 10:0 ze Zrembem Solec Kujawski, 3:0 z Odrą Szczecin i 7:0 z drużyną ze Skórcza. W meczu z Odrą do siatki rywalk trafiły wspomniana już wcześniej Szojda i Adrianna Miętka, na co dzień aktorka i tancerka teatru muzycznego w Gdyni.

W meczu półfinałowym futbolistki Checzy wygrały 4:0 z Karolinkami Jaworzyna Śląska. Finał rozegrano jako przedmecz spotkania Polska – Włochy na Stadionie X-lecia w Warszawie. Zespoły Checzy i Zakładów Azotowych z Puław rywalizowały przy olbrzymiej frekwencji. Niektóre źródła podają, że na trybunach było już ponad 25 tysięcy widzów. Nie ma co się łudzić, kibice przyszli na Jana Tomaszewskiego, Kazimierza Deynę czy Grzegorza Latę, ale tak się złożyło, że w październikowy wieczór bramki zdobywały wyłącznie panie.

Pierwszy nieoficjalny finał mistrzostw Polski Checz wygrała 4:0. Puchar za mistrzostwo Polski piłkarkom wręczono w przerwie eliminacyjnej przeprawy ze Squadra Azzurre.

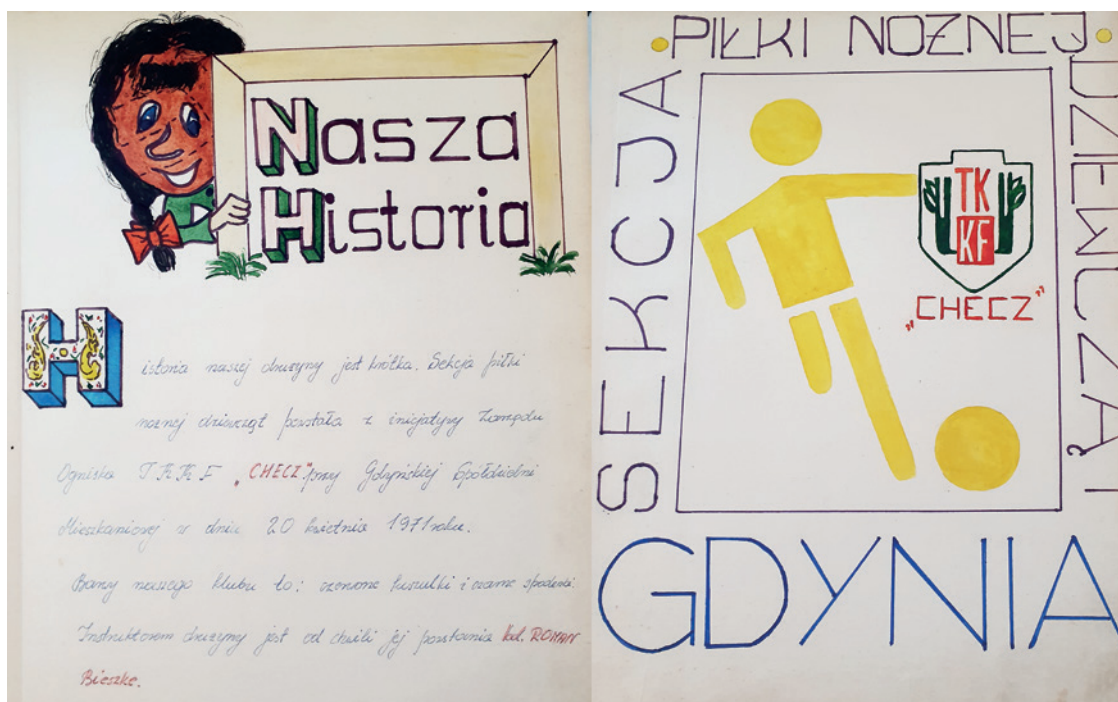
Zespół z Trójmiasta zdołał obronić trofeum rok później. W 1977 roku mistrzostw Polski nie udało się przeprowadzić, ale na szczęście nie oznaczało to zawieszenia rozgrywek na lata. Co więcej, w 1978 roku w szranki o tytuł najlepszej kobiecej drużyny nad Wisłą stanęła rekordowa liczba zespołów. Tak jak w poprzednich sezonach zastosowano podział na grupy. Piłkarki Checzy Gdynia nie miały problemu z eliminacjami, pewnie awansując do finału. Nowością była formuła finałów, w którym uczestniczyły cztery drużyny. Gdynianki najpierw pokonały 2:0 Garbarnię Kraków, później 2:1 Karolinki Jaworzyna Śląska, a swój sukces przypieczętowały, odnosząc zwycięstwo 1:0 nad Okęciem Warszawa.

Ostatni, jak się okaże, tytuł mistrzowski Checz zdobędzie rok później. Nie pozostawiając nikomu żadnych złudzeń, bo grano już systemem każdy z każdym. Wygrywając wszystkie mecze. Tracąc w nich zaledwie siedem goli. 4:0 z Jaworem Skarszewy, 4:1 z Kazelem Koszalin, 2:1 z Teletechnikem Bydgoszcz, 7:2 z Czarnymi Sosnowiec, 4:0 z Garbarnią Kraków, 4:2 z Karolinkami Jaworzyna Śląska, 2:1 z Polonezem Warszawa, 4:0 z Walterem Radom, 7:0 z Czarnymi Sosnowiec, 5:0 z Walterem Radom.

W następnym sezonie Polski Związek Piłki Nożnej wzięł piłkarki pod swoje skrzydła. To, co do tej pory było nieoficjalne, stało się oficjalne. Oprócz tego w zasadzie nic się nie zmieniło. Największą różnicę stanowił fakt, że najlepszym klubem piłkarskim w Polsce... nie była już Checz.



▲ Piłkarki Checzy Gdynia w latach siedemdziesiątych / Arch. Checzy Gdynia



▲ Klubowa kronika prowadzona przez piłkarki Checzy / Fot. Adam Drygalski

Drużyna Romana Bieszkego nie bez problemów przeszła przez rozgrywki grupowe, w półfinale pokonując jednak pewnie Karolinki (5:1 i 1:0). Nikt nie mógł wtedy przypuszczać, że na finał z Czarnymi Sosnowiec czekać trzeba będzie aż pół roku. Początkowo mecz miał odbyć się w listopadzie 1980 roku w Krakowie przed towarzyskim spotkaniem Polski z Algierią. W ostatniej chwili organizatorzy wycofali się z pomysłu. Kolejną lokalizacją miała być Warszawa, ale i w tym przypadku gra nie doszła do skutku. Ostatecznie dopiero 3 maja 1981 roku dwa najlepsze polskie zespoły wybiegły na murawę. Zwycięstwo 4:0 zespołu z Sosnowca zakończyło pierwszą epokę w dziejach ligowego futbolu. Gdynianki straciły bezpowrotnie tytuł mistrzyń Polski, ale...

W DOMU

Ale kilka lat później zyskały swój dom. Do tej pory Checz tułała się po Trójmieście i swoje mecze w roli gospodyń rozgrywała w różnych lokalizacjach. Najczęściej w Rumi. W 1984 roku doszło nawet do wyprowadzki z Gdyni do Sopotu. Przez krótki czas Checz występowała nawet pod nazwą Ogniwo. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych piłkarki wróciły jednak do domu. Dostawnie i w przenośni, bo klub dostał do swojej dyspozycji teren przy ulicy Zamenhofska. – Składający się ze sterty kamieni. Budowaliśmy to boisko i budynek w zasadzie własnymi rękami – wspomina Edwarda Bieszke. – Trenerzy, zawodniczki, wszyscy, którzy chcieli, aby Checz nie musiała błąkać się po

świecie. Przysłużył nam się nawet Jan Paweł II, bo gdy w Trójmieście remontowano drogi na potrzeby trzeciej pielgrzymki papieża do Polski, wylano też trochę asfaltu i na naszej ulicy.

Piłkarsko gdyńska jedenastka dawno już przestała się liczyć w seniorskich rozgrywkach. W 1988 roku, po czternastu latach gry wśród najlepszych, przydarzył się pierwszy w historii spadek. Od tej pory, klub będzie balansował pomiędzy pierwszą a drugą ligą, aby ostatecznie zniknąć z mapy seniorskiej piłki.

Coraz większe sukcesy odnosiła za to młodzież trenująca na kameralnym, uroczym obiekcie, schowanym trochę wśród budynków pobliskiego osiedla. Jest tak zresztą do dziś. Wszystko stoi na swoim miejscu. Edwarda i Roman Bieszke mieszkają tuż przy stadionie. Swoją Checz mają dosłownie na wyciągnięcie ręki. Klub prowadzi ich wnuk Mateusz. Na półce, obok czarno-białych fotografii z czasów świetności, stoją cztery tomy historii klubu. Prekursora rozgrywek, gdzie dziś o punkty Górnik Łęczna rywalizuje z Medykem Konin i Czarnymi Sosnowiec, których zawodniczki dobrych parę lat temu wpisały się do pamiątkowej księgi z nadzieją, że kiedyś uda im się wygrać z zespołem nad morza.

Może tylko tych mistrzostw żał. Że nieoficjalne. Ktoś być może uzna, że nie tak pełnoprawne jak późniejsze tytuły zdobywane już przez inne kluby. Ale z drugiej strony, czy nieoficjalna historia nie może urzekać? I czy ktoś kiedyś zdobył nad morzem mistrzowski tytuł oficjalnie?



Czarni Sosnowiec: Szczęśliwa trzynastka

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

W 1974 roku do redakcji „Wiadomości Zagłębia” przychodzi anonimowy list. Autorka domaga się założenia w okolicy klubu piłkarskiego dla kobiet. Tak zaczyna się historia dwunastokrotnych mistrzyń Polski. Tak zaczyna się historia kobiecego futbolu. Już niedługo południe Polski na długie lata stanie się najważniejszym ośrodkiem kobiecego piłkarstwa.

CISZEWSKI I SYNOWIE PIEKARZA KIEPURY

Pierwsze wzmianki o klubie sportowym działającym w Sosnowcu pojawiają się już w 1924 roku. Powstało wówczas Koło Sportowe Związku Zawodowego Kolejarzy, którego prezesem został naczelnik parowozowni Jan Pomiankiewicz. Klub posiadał między innymi męską sekcję piłkarską, która w 1936 roku wywalczyła awans do ligi okręgowej. Po II wojnie światowej klub zmienił nazwę na Kolejarz. Tuż obok nieistniejącego już dziś stadionu swoją piekarnię miał ojciec Jana Kiepury. Jego dwaj synowie zdecydowanie lepiej śpiewali niż grali w piłkę, co nie przeszkadzało im jednak rozegrać kilku towarzyskich spotkań.

W zimie boisko zalewano wodą i grano na nim w hokeja. Zdarzało się, że w jednej drużynie występowali ze sobą Tadeusz Maślak, który niedługo później zostanie pierwszym w historii selekcjonerem reprezentacji Polski kobiet, i Jan Ciszewski, znany wówczas komentator sportowy. Dziś Ciszewski jest patronem stadionu przy ulicy Mireckiego, na którego płycie rozgrywają swoje mecze piłkarki Czarnych.



▲ Czarni Sosnowiec zdominowali rozgrywki ligowe na początku lat osiemdziesiątych / Arch. prywatne Zofii Klim

Wracając jednak do powstania sekcji kobiecej. W 1974 roku w Polsce każdy chciał grać w piłkę nożną. W Europie panie uprawiały już futbol od dobrych kilku lat. Grano całkiem solidnie we Włoszech, gdzie w 1969 roku utworzono ligę, w Anglii, Szwecji czy w sąsiedniej Czechosłowacji. Nic więc dziwnego, że i w Polsce coraz więcej było głosów, że należy powołać kluby, w których trenować będą panie. Anonimowy list nie pozostał bez echa. Zarządzająca sekcją tenisa stołowego Czarnych Sosnowiec Irena Póttorak i jej przełożony – i w klubie, i w Sostalu, zakładzie go wspierającym – Maurycy Wieczorek w tym samym dzienniku postanowili zamieścić ogłoszenie. W jednej z sal należących do sosnowieckiej odlewni staliwa zorganizowano spotkanie założycielskie kobiecej sekcji piłkarskiej. Według różnych szacunków na apel odpowiedziało od ponad osiemdziesięciu do blisko stu zawodniczek. O piłce nożnej w wydaniu kobiet zaczęto myśleć poważnie. Łącząc niektóre fakty, można dojść do wniosku, że w wyniku fuzji Czarnych z Kolejarem Sosnowiec zlikwidowano tamtejszą drużynę hokeistek na trawie, aby zapewnić piłkarkom środki do gry.

PIERWSZE MISTRZYNI

Dziewięć lat później Czarni Sosnowiec byli jednymi z założycieli ligi polskiej. 8 grudnia 1979 roku w Gdyni doszło do spotkania, na którym jedenaście kobiecych klubów powołało do życia rozgrywki ligowe. Oprócz Czarnych były to Jawor Skarszewy, Irena Inowrocław, Walter Radom, Wedel Płońsk, Połam Warszawa, Karolina Jaworzyna Śląska, Pafawag Wrocław, Telpod Kraków, Ziemia Tryniecka Tryńcza i gospodarze spotkania – Checz. Do dziś w seniorskiej piłce na najwyższym szczeblu przetrwał tylko zespół z Sosnowca.

Pierwszy sezon rozgrywano na raty. W kraju szalały strajki. Za sprawą Solidarności Polska Ludowa trzęsła się w posiadach. Ale oprócz wielkich spraw piłkarki borykały się też z prozą życia. Stawkę podzielono na dwie grupy – północną i południową. Ligową rywalizację próbowano rozstrzygnąć a to w Krakowie przed meczem międzypaństwowym Polski z Algierią, a to kilka dni później w Warszawie. Za każdym razem całości nie udało się spiąć organizacyjnie.



▲ Czarni Sosnowiec... na zielono w strojach AKS Niwka. Skompletowanie sprzętu meczowego dla większości kobiecych drużyn stanowiło duże wyzwanie. Często więc pożyczano koszulki od drużyn męskich / Arch. prywatne Zofii Klim

Pierwszego mistrza Polski wyłoniono więc dopiero 3 maja 1981 roku. W Częstochowie rozegrano mecze o pierwsze i o trzecie miejsce. Wcześniej w półfinałach Czarni pokonali Polam. Drugim finalistą były piłkarki Checzy. Ostatecznie sosnowiczanki pokonały zespół z nad morza 4:0. Dodajmy też, że do mistrzostwa dołożyły także triumf w pierwszej edycji Pucharu Polski.

Pół roku później, w jeszcze większym rozgardiaszu organizacyjnym, Czarni obronili mistrzostwo, pokonując w finale Pafawag Wrocław 1:0. Stało się to na miesiąc przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. Znowu rywalizowano w dwóch grupach, które dość szybko zostały zdekompletowane przez wycofujące się zespoły. Realia polityczne torpedowały życie w Polsce w olbrzymim stopniu. Swoją drogą, trudno wymarzyć sobie gorszy moment na inaugurację rozgrywek niż początek lat osiemdziesiątych minionego stulecia.

MISTRZ WRACA DO SOSNOWCA

Po dwóch bardzo ciężkich sezonach dla całej ligi tytuł znowu wrócił do Sosnowca. W międzyczasie liga została zredukowana do sześciu klubów, ale już od 1985 roku grano na dwóch poziomach. Czarnym udało się odebrać tytuł Pafawagowi. W Sosnowcu tworzył się już bardzo mocny ośrodek, który ponownie zdominował ligę na długie lata. Jeśli do sukcesów Czarnych dodamy dwa mistrzostwa zdobyte przez Zagłębiankę Dąbrowa Górnicza, to cały region będzie mógł się pochwalić ośmioletnim prymatem w rozgrywkach kobiecych, na co złożyło się aż sześć tytułów mistrzowskich sosnowiczank. Czarni ponownie wrócili na szczyt pod koniec lat dziewięćdziesiątych, dokładając cztery mistrzowskie trofea. Ich łączny bilans to

dwanaście mistrzostw i jedenaście zdobytych Pucharów Polski, co czyni ten klub najbardziej utytułowanym za wszystkich drużyn w historii kobiecej piłki.

W tym momencie warto zatrzymać się nad piłkarkami, które stanowiły o sile sportowej Czarnych. Z grających zawodniczek w przednich formacjach należy wspomnieć o Luizie Pendyk i Marcie Otrębskiej. Obie reprezentantki Polski imponują obłądnymi na dzisiejsze realia rekordami strzeleckimi. Obie też na stałe zamieszkały w Szwecji. Pendyk, która zresztą zmieniła obywatelstwo, według niektórych doniesień zdobyła tam w latach 1996–2001 177 bramek w 177 meczach. Do dziś jest legendą Malmö FF, dwukrotną królową strzelczyń tamtejszej ligi. Jej trenerem z czasów gry w Czarnych był Aleksander Dziurawicz, bramkarz Zagłębia. Z kolei Otrębska jest drugą najskuteczniejszą po Ewie Pajor strzelczynią w historii występów w narodowych barwach. Kilka lat wcześniej podobną, bardzo wysoką skuteczność prezentowała Danuta Zgryźniak, która zdobywała średnio ponad trzydzieści goli w sezonie. Grę w piłkę łączyła z pracą w kopalni.

Barbara Rembiesa, bramkarka, na treningi przyjeżdżała na motocyklu. Dojechała na nim śladem dwóch koleżanek z pola do Szwecji, gdzie też osiadła na stałe. Słynęła z kapitalnej gry na przedpolu i kończenia spotkań „na zero z tyłu”. Dorobiła się dzięki temu ksywy „Szumacher”. Jest wychowanką Malucha Tychy. Lidia Wypych również stała na bramce, ale jej pseudonim „Uroda” miał zupełnie inne konotacje. Przetarła szlaki przed innymi, była jedną z pierwszych, która wyjechała na Zachód, do belgijskiego KVC Kuurne.

W Belgii osiadły na stałe Zofia Wojtas i Marzena Jamrozy. Wojtas jest wychowanką Ko-



▲ Mecze Czarnych cieszyły się dużym zainteresowaniem nie tylko w Sosnowcu / Arch. prywatne Zofii Klim



▲ *Drużyna Czarnych tym razem na biało. W tle klubowy autokar, choć zespół często przemieszczał się na mecze pociągami / Arch. prywatne Zofii Klim*

szarawy Żywiec, gdzie w piłkę uczyła się grać razem z Markiem Motyką. Przez wiele lat nosiła kapitańską opaskę Czarnych i reprezentacji. Grała w obronie. Jamrozy była natomiast pomocniczką. Obie piłkarki wspólnie zmieniły barwy na początku lat dziewięćdziesiątych. Cercle Brugge wykupiło je z Sosnowca za... dwa tysiące dolarów. Jamrozy grała w piłkę do czterdziestki. Potem została strażniczką w zakładzie karnym dla kobiet.

Jolanta Cudała grała co prawda w obronie, ale wołano na nią „Maradona”. Wychowanka Czarnych w pierwszej drużynie zadebiutowała, mając szesnaście lat. Na długo została podporą reprezentacji Polski, gdzie tak jak w klubie występowała na pozycji stopera. Została w Sosnowcu, gdzie jest nauczycielką WF-u w jednej ze szkół.

Agnieszka Szondermajer i Urszula Łapacz pochodzą spod Warszawy. Łapacz grała na lewej obronie, Szondermajer chcąc grać w piłkę, poszukała porady u samego Kazimierza Górskiego. Została jedną z najlepszych w historii reprezentacji wykonawczynią stałych fragmentów gry. Obie szybko trafiły do reprezentacji Polski.

Wanda Waniek miała coś z Kazimierza Deyny. Podobnie jak Kaka potrafiła wkręcić bramkarce piłkę za kołnierz bezpośrednio z rzutu różnego. Grając w Czarnych, wyszła za mąż za brata swojej koleżanki, lewej obrończyni Beaty Trąbczyńskiej.

Agnieszka Drozdowska do dziś pozostaje w klubie. W Czarnych jest trenerką młodych

piłkarek. Do Sosnowca trafiła z Łaz, w piłkę grała z braćmi w rodzimej Pilicy koło Zawiercia. Została kapitanką reprezentacji Polski.

Czarni Sosnowiec to klub, który do dziś może służyć za wzór w kwestii wynajdywania talentów z najbliższej okolicy i ich promowania. Zdecydowana większość zawodniczek została wyszukana w Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku, a potem z powodzeniem wypromowała się w meczach ligowych. Mimo olbrzymich sukcesów zespół funkcjonował w specyficznych, by nie powiedzieć niewyobrażalnych w dzisiejszych czasach realiach. Olbrzymia determinacja trenerów i piłkarek sprawiła, że w osiągnięciu sukcesów nie przeszkadzała nawet ciężka praca fizyczna, którą niektóre z zawodniczek wykonywały. Wyjazd na mecz potrafił czasem zająć cały weekend. Kolej udostępniła nieraz autokar, a nieraz wagon, który podczepiano do rejsowego składu i takim sposobem docierano na mecze. Często zdarzało się, że po przyjeździe trzeba było iść od razu w poniedziałek do pracy.

Początek lat dwutysięcznych okazał się końcem ligowej supremacji. Miejsce Czarnych w roli ligowego potentata zajął AZS Wrocław, jednak sosnowiczanki cały czas grają w elicie. Na mistrzowski tron powróciły w sezonie 2020/21 zdobywając trzynaste mistrzostwo w historii. Jak wiadomo liczba „trzyście” nie ma najlepszych konotacji, ale akurat „trzynastka” Czarnych budzi podziw i szacunek.



Pafawag Wrocław: Strefa zero

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Pafawagu od dawna już nie ma. Klub nie wytrzymał transformacji ustrojowej i dziś w zasadzie nikt o nim we Wrocławiu nie pamięta. Po wycofaniu protektoratu fabryki wagonów klub najpierw stracił swoje sekcje, później stracił swoją nazwę, a na koniec stracił to, co miał najcenniejsze, czyli tereny. Dziś po dawnym stadionie wagoniarzy nie został nawet ślad. Mieszkańcy osiedla, które wyrosło na dawnych klubowych gruntach, nie mają pojęcia, że na początku lat osiemdziesiątych grała tu w piłkę wspaniała drużyna. Pafawag Wrocław, jeden z trzech mistrzów Polski w seniorskiej piłce, którzy rozgrywali swoje mecze w stolicy Dolnego Śląska.

Pierwsza wzmianka o drużynie kobiecej pojawia się w 1976 roku. Pomysł wyszedł od pracowniczek fabryki wagonów, które domagały się, aby pracodawca w wolnym od zajęć czasie pomógł zorganizować miejsce i sprzęt do gry piłkę. Niedługo później działający przy zakładowym TKKF-ie Fryderyk Stanek zaczął organizować prowizoryczne struktury klubu. Pierwsza próba w zasadzie spaliła na panewce, bo choć Pafawag został wicemistrzem Dolnego Śląska, przegrywając w finale z Bielbawem Bielawa 0:4 i zakwalifikował się do nieoficjalnych rozgrywek ogólnopolskich, to wkrótce się rozpadł. Plany, jak pokazał czas, zostały odłożone na



▲ Jedno z nielicznych zachowanych zdjęć kobiecej drużyny Pafawagu Wrocław. Na stadionie, na którym grały, stoją teraz bloki, podobne do tego, który widnieje za plecami zawodniczek / Arch. prywatne Marii Makowskiej

trzy lata. W lutym 1979 roku wszystko zaczęło się od nowa. Ruszyło z wielkim impetem, który doprowadził pafaważanki na sam szczyt.

1 maja 1979 roku odrodzony Pafawag rozegrał pierwszy oficjalny mecz towarzyski z Olimpią Świebodzice. Spotkanie zakończyło się wygraną wrocławianek 3:0, wszystkie gole padły w drugiej połowie, a strzelały je Elżbieta Strzelczyk (2) i Wanda Słoń. Zachowany skład Pafawagu z tego spotkania prezentuje się następująco: Halina Berych – Mirosława Kobylecka, Barbara Kołodziej, Barbara Maruszczak, Małgorzata Sondej – Janina Robórska, Elżbieta Strzelczyk, Lidia Kasperska, Władysława Łopata – Krystyna Urycz, Wanda Słoń. Zawodniczkami rezerwowymi były wówczas Bożena Reynowska, Iwona Lipińska i Bożena Długosz.

Pafawag jest jednym z założycieli piłkarskiej ligi zespołów kobiecych i w pierwszym historycznym sezonie został przydzielony do grupy południowej wraz z Czarnymi Sosnowiec, Telpodem Kraków, Karolinkami Jaworzyna Śląska i Ziemią Trzyniecką Przemyśl. Furory nie zrobił, bo wyprzedził tylko zespół z Przemyśla, ale do jego składu dołączyły stanowiące później o sile reprezentacji Polski Hanna Maszyna i Renata Dancer.

1981

Jednak już w kolejnym sezonie, dość nieoczekiwanie, Pafawag włączył się do walki o mistrzostwo Polski. Przypomnijmy, że w 1981 roku wyłoniono tak naprawdę dwóch mistrzów, bo premierowy sezon rozgrywano z dość dużymi problemami, na raty. Tym większą niespodzianką było dotarcie przez zespół z Dolnego Śląska w drugiej edycji krajowego czempionatu do finału i wyeliminowanie po drodze w dwumeczu faworyzowanej Checzy Gdynia. Mecz o złoto zakończył się nieznaczną porażką z Czarnymi Sosnowiec 0:1.

W tym roku pafaważanki wygrały też rozgrywki towarzyskie – Ogólnopolski Turniej Halowy o Puchar Wyzwolenia Sosnowca i Puchar Gryfa Pomorskiego w Szczecinie. Rozegrały także pierwsze w historii spotkanie międzynarodowe z jugosłowiańskim Maszinacem Nisz, wygrywając je 4:1, po bramkach Urszuli Pytlarz (2), Renaty Dancer i Lucyny Dawid.

Mimo że rok 1981 nie jest w Polsce z wiadomych względów dobrze wspomniany, to jednak w historii Pafawagu jest to jedna

z ważniejszych dat. Piłkarki, które sięgnęły po wicemistrzostwo Polski, oprócz medali wywalczyły sobie też opiekę wrocławskiej fabryki wagonów, która przejęła od TKKF-u rolę opiekuna sekcji. Zawodniczki zostały włączone do wielosekcyjnego Pafawagu, klubu, który został utworzony tuż po zakończeniu II wojny światowej. I choć Pafawag miał w swoich szeregach kilku doskonale znanych w Polsce sportowców, jak chociażby Józefa Grudnia, mistrza olimpijskiego w boksie z Tokio, który notabene chciał być piłkarzem, to większych sukcesów w grach zespołowych nie zanotował. Te miały nadejść szybciej, niż się spodziewano.

1982

Choć piłkarstwo kobiece było w Polsce jeszcze w powijakach, to we Wrocławiu tworzył się zespół, który wskoczył na zdecydowanie wyższy poziom niż reszta rywali. Jego trenerem pozostawał cały czas Fryderyk Stanek, czyli człowiek, od którego tak naprawdę wszystko nabrało realnych kształtów, a do drużyny dołączały coraz lepsze zawodniczki. W zespole grały już Barbara Czarnuszka i Małgorzata Ciurka. Głośno zrobiło się o Iwonie Zienkiewicz. Napastniczka Pafawagu przejdzie do historii polskiego futbolu jako strzelczyni pierwszego gola dla reprezentacji Polski w przegranym 1:4 meczu z Czechosłowacją (12 lipca 1984, Piotrków Trybunalski). We wrocławskiej jedenastce przez wiele lat będzie uchodzić za piłkarkę nie do zatrzymania dla rywalek.

Na wiosnę Pafawag zdobył wicemistrzostwo Polski w hali. W maju rozegrano turniej towarzyski Wyzwolenia Wrocławia, który jednocześnie był próbą sił przed nadchodzącymi zmaganiem w lidze. Najlepsza okazała się Iskra Szczecin, w której też obok Czarnych Sosnowiec upatrywano najgroźniejszych rywalek w walce o tytuł mistrzowski. Iskra ogrzała zresztą pafaważanki jeszcze raz, w Pucharze Gryfa Pomorskiego. Wrocławianki wzięły rewanż na rywalkach w Pucharze Dni Morza. Walka o pierwsze miejsce w najbardziej prestiżowych rozgrywkach zapowiadała się pasjonująco i na pewno nie rozczarowała nielicznego wówczas grona kibiców.

Do pierwszej ligi kobiet zgłoszono zaledwie sześć klubów, pewnych tego, że uda im się funkcjonować w realiach trwającego stanu wojennego. Były to: Pafawag Wrocław, Czarni Sosnowiec, Iskra Szczecin, Telpod Kraków, Checz Gdynia i Karolinki Jaworzyna Śląska.

Dwa ostatnie zespoły wyraźnie odstawały od stawki. Poniżej oczekiwań wypadły eksperymentujące ze składem piłkarki Czarnych. Decydujący o tytule mistrzowski mecz rozegrało w Szczecinie. W pierwszym spotkaniu tych drużyn padł remis 2:2. W rundzie rewanżowej górą były piłkarki z Dolnego Śląska, zwyciężając 1:0. Na koniec sezonu pafaważanki wyprzedziły Iskrę o punkt. W taki sposób zdobyte zostało drugie w historii mistrzostwo w seniorskiej piłce nożnej dla Wrocławia.

1983

To był najlepszy czas dla kobiecego Pafawagu Wrocław. Piłkarki z Dolnego Śląska całkowicie zdominowały ligę, w której wygrały... wszystkie mecze. Rekord wart zapamiętania, wyczyn do dziś budzący olbrzymi szacunek. Komplet punktów i stosunek bramkowy 64-4 mówi sam za siebie. Do rozgrywek przystąpiło siedem drużyn. Nowicjuszki były piłkarki Zagłębianki Dąbrowa Górnicza, które niedługo później, w ekspresowym tempie, podobnie jak Pafawag, zdobędą mistrzostwo. Jednak w 1983 roku zespół z Zagłębia Dąbrowskiego nie ugrał nawet punktu. W meczach z Pa-



▲ Siedzą od prawej: Bogumiła Gębala, Agnieszka Łukasik, Maria Makowska i kierownik drużyny Pafawagu Wrocław, Krystian Biedziński / Arch. prywatne Marii Makowskiej

KLUB SPORTOWY PAFAWAG

III Międzynarodowy Turniej Piłki Nożnej Kobiet

O PUCHAR WYZWOLENIA WROCŁAWIA

4—6 maj 1984 r.



Bramkarka Pafawagu LUCYNA DAWID

▲ *Program meczowy Pafawagu Wrocław z 1984 roku
/ Arch. Dolnośląskiego Związku Piłki Nożnej*

fawagiem stracił aż czternaście bramek, nie zdobywając żadnej. Nie był to wcale najgorszy wynik, bo w pierwszej kolejce gier, wrocławski hegemon rozgromił Karolinki Jaworzyna Śląska w stosunku 16:0.

Iwona Zienkiewicz zdobyła wówczas dla Pafawagu 31 goli. Wziąwszy pod uwagę fakt, że miała na to jedynie dwanaście gier, daje jej to kosmiczny wręcz przelicznik. Pafawag zgarął wtedy prawie wszystko. W finale Pucharu Polski uległ Czarnym. Do mistrzostwa Polski dołożył taki sam triumf w hali. Jednak już rok później do gry wróciły piłkarki z Sosnowca, którym udało się zdetronizować Pafawag Wrocław. Wrocławianki zdobyły jeszcze dwa Puchary Polski (1985/86, 1987/88) i pięciokrotnie zdobywały wicemistrzostwo Polski.

Lata dziewięćdziesiąte okazały się dla klubu agonią. Wycofano większość sekcji, klub zmienił nazwę i przez kilka lat występował jako Panda Wrocław. Wkrótce właściciel Pandy pozbył się terenów, na których dziś wznosi się nowo wybudowane osiedle. O bramkostrzelnej napastniczce Iwonie Zienkiewicz słuch zaginął. Pozostają tylko rekordy ligowe i bramki dla kadry, których jednak nikt nie sfilmował. Są tylko cyferkami w zakurzonych rocznikach. Na tym kończy się historia Pafawagu, ale... jadąc pociągiem, niekoniecznie z Wrocławia, macie szansę siedzieć w wagonie wyprodukowanym w fabryce wspierającej kiedyś sekcję piłkarską kobiet. Być może wasz wagon skręcała jedna z bohaterek tego rozdziału.

Zagłębianka Dąbrowa Górnicza: Drużyna z Paryża

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

W połowie lat osiemdziesiątych minionego stulecia Zagłębianka Dąbrowa Górnicza wydała kilkustronicową broszurę. Czarno-biały skarb kibica. Było w nim trochę nieścisłości, pomyłono kilka nazwisk, ale... nikt tu nie chce wystawiać złej oceny autorowi. Henryk Marzec zostawił bardzo ciekawą dokumentację czasów prosperity klubu, który dwukrotnie sięgał po mistrzostwo Polski. Klubu, o którym słuch zaginął. Klubu, na którego stadionie nie powstały nowoczesne apartamentowce, ale jego tereny porastają teraz chaszczki. Aby poznać kryjącą się za nimi historię, musimy cofnąć się o ponad sto lat. Do 1915 roku.

„Rodowód KS Zagłębianka sięga okresu sprzed pierwszej wojny światowej. Pierwsze próby założenia klubu przypadają na koniec 1911 r. Były to rzecz jasna nieśmiałe próby wyżywiania się na różnych grach ruchowych. Entuzjastów tych zabaw nie brakowało. Oczywiście największą popularność zyskała od razu piłka nożna. Na będzińskich łąkach rozdzielających Koszelewo, Ksawerę i Warpie toczyły się zacięte mecze drużyn Sęp, Orzeł i Naprzód... Do 1917-1919 roku nie było jednak możliwości oficjalnego zrzeszania się w klubach z prawdziwego zdarzenia. (...) Zakończenie wojny przyniosło radykalne zmiany. Można było przystąpić do stworzenia legalnego koła sportowego. W roku 1920 z inicjatywy Mieczysława Bluszcza odby-

ło się „zebranie porozumiewawcze” przedstawicieli różnych grup sportowych, a pod koniec tegoż roku powołano Koło Sportowe Odrodzenia Polska. (...) Organizowano więc przedstawienia teatralne, wycieczki, festyny. Młodzież dążyła jednak do organizacji sportu z prawdziwego zdarzenia. Zwrócono się więc o pomoc i radę do „Cracovii”. Cały statut i regulamin oparto na krakowskim wzorze. Również Cracovia pomogła w założeniu sekcji piłki nożnej. Zakupiono kostiumy, buty, piłkę w krakowskiej wytwórni Sporting.

Pierwsze mecze rozgrywano na prymitywnym boisku usytuowanym na łąkach Ksawery, linie rysowano patykami, a bramki stanowiły zwykłe patyki. Dopiero w 1926 roku po wyre-



▲ Zagłębianka na Turnieju Wielkanocnym w szwajcarskim Lugano w 1995 roku / Arch. prywatne Joanny Tokarskiej

montowaniu w czynie społecznym placu przy ulicy Cynowej na Ksawerze przez Członków klubu zgłoszono własne boisko do rozgrywek. Było to jednak nadal prowizoryczne boisko bez trybun i ogrodzenia. Inne zespoły niechętnie rozgrywały tu mecze.

Dzień 5 sierpnia 1934 zmienił radykalnie sytuację piłkarzy KS Zagłębianka. Na tzw. Mrowcach, na terenach wydzierżawionych od kop. Paryż oddano do użytku stadion sportowy.

Obecnie klub posiada dobrą bazę szkoleniową. Nadal też piłka nożna jest sportem wiodącym. Starsi działacze wspominają lepsze czasy swojej drużyny i wierzą, że futboliści awansują w końcu do trzeciej ligi i będą zaliczać się w klasie do grona najlepszych. Póki co kibicują żeńskiej drużynie piłki nożnej, która w hierarchii wyżej stoi od mężczyzn – gra z powodzeniem i to w I lidze.”

KOPALNIA SYPIE PIENIĘDZMI

Po wojnie Kopalnia Paryż zmieniła patrona. Od tej pory był nim generał Aleksander Zawadzki, którego pomnik w Dąbrowie Górniczej zburzono w 1990 roku. Generał przemawiał na pogrzebie Bolesława Bieruta, a clue mowy

wyrażało zdanie: „Umarł Bolesław Bierut, ale żyje zwarta jak monolit nasza partia”. Były to jednak czasy, w których piłka nożna kobiet nie była jeszcze nawet w fazie planów.

Zagłębianka wkroczyła do gry w latach osiemdziesiątych. Właśnie wtedy w klubie wpadli na pomysł, żeby zamiast walczyć z uporem godnym lepszej sprawy w rozgrywkach mężczyzn, założyć drużynę kobiet i zabłysnąć. Skoro udało się w Sosnowcu, to dlaczego miałyby się nie udać w położonej w bezpośrednim sąsiedztwie Dąbrowie Górniczej? Z komunikatu nr 3/K/83 wynika, że 8 marca 1983 roku zgłoszono zespół Zagłębianki do rozgrywek „o mistrzostwo Polski kobiet”. Dzień wybrano zapewne nieprzypadkowo, ale decyzja poprzedzona została rozmowami na najwyższym szczeblu z władzami kopalni. Zagłębianka miała grać pod jednym warunkiem. Że będzie najlepsza. Początki nie były jednak obiecujące. W pierwszym sezonie klub z Dąbrowy Górniczej notował wysokie porażki, jak chociażby 0:9 z Czarnymi. Droga na szczyt zajęła pięć lat.

W 1985 roku trenerem wybrano Stefana Rygalika, który podobno początkowo niezbyt garnął się do zaproponowanej funkcji. To on doprowadził drużynę do pierwszego mistrzostwa Polski w 1988 roku. W decydującym o tytule meczu Zagłębianka pokonała na wyjeździe



▲ *Małgorzata Gospodarczyk ze złotym medalem za zdobycie mistrzostwa Polski w 1988 roku / Arch. prywatne Małgorzaty Gospodarczyk*

Czarnych Sosnowiec 3:1. Zagłębianka, mając za sobą potężnego sponsora, mogła ściągać najlepsze zawodniczki z całej Polski. Transfer Małgorzaty Gospodarczyk zainteresował nawet telewizję. Mniej więcej w tym samym czasie zespół wzmocniła Irena Mikołajczyk. Wszystko to było możliwe dzięki znacznemu zwiększeniu środków przekazywanych na klub przez Kopalnię Zawadzki. Za potęgą Zagłębianki stał Janusz Kordas, ówczesny dyrektor kopalni, który spełnił założenia swoich poprzedników. Wszystko albo nic. I udało mu się osiągnąć i jedno, i drugie.

„Zarząd postawił przede mną konkretne zadanie – utrzymać zespół w I lidze. Sytuacja nie była najlepsza. Trenowało tylko 14 zawodniczek, niektóre skarżyły się na kontuzje, a kilka następnych dopiero rozpoczynało przygodę z piłką nożną. Chciałbym jeszcze dodać, że nasze zawodniczki są nieźle zaangażowane technicznie, natomiast pod względem warunków fizycznych ustępują rywalkom z innych pierwszoligowych zespołów. Narzuca to niejako kierunki szkolenia i taktykę gry. Obecnie z grona 20 zawodniczek aż siedem znajduje się w kadrze narodowej. To też zachęca do solidniejszej pracy. Notujemy napływ chętnych, co gwarantuje nam rozwój sekcji. W tej chwili mamy już drugą drużynę, którą zarząd zgłosił do rozgrywek w nowym sezonie.”

PIŁKARKI ZE ZDJĘĆ

Na ósmej i dziewiątej stronie klubowej publikacji widnieją zdjęcia zawodniczek. Fotografie wykonano jeszcze przed nadejściem najlepszych czasów w historii kobiecej sekcji, ale już wtedy śmiało można było powiedzieć, że stworzono silny personalnie zespół.

Katarzyna Żak grała w klubie od samego początku. Była filigranową stoperką mierzącą niecały metr sześćdziesiąt. Nie lubiła dużo mówić, ale kiedy już zabierała głos, wszyscy słuchali. Być może dlatego dostała opaskę kapitańską. Katarzyna Myślin ocierała się o pierwszą reprezentację. Była bramkarką, a poza boiskiem duszą towarzystwa. O miejsce między słupkami rywalizowała z rodowitą Ślązaczką z Zabrze, Krystyną Pietrzak, która po upadku komunizmu wyjechała do Niemiec. Barbara Kołodziej miała dwie pasje. Piłkę nożną i piłkę ręczną. W szczypiorniaka grała z powodzeniem w AZS-ie Wrocław, futbol z kolei uprawiała początkowo w Pafawagu.

Krystyna Miśkiewicz miała ksywkę Ende. Gdy piłkarki Zagłębianki pakowały się do pociągu na mecz z Checzą, podstawowej obrończyni zabrakło na zbiórce. Tuż przed odjazdem Ende wparowała jednak na peron, przeprosiła wszystkich i szybko zajęła miejsce w wagonie. Na pytanie trenera, skąd się wzięło spóźnienie, odparła, że skaleczyła się w pracy. Gdy Ende pokazała skaleczenie, co wrażliwsze zawodniczki o mało nie pomdlały. Miśkiewicz pracowała w hucie. Tamtego dnia śpieszyła się na mecz, więc jak najszybciej chciała skończyć załadunek jednego z wagonów towarowych. Pośpiech w takich sytuacjach nie jest jednak wskazany. Kłapa od wagonu dostownie zmiażdżyła jej palce. Trener Baran złapał się za głowę, radząc swojej zawodniczce, aby ta natychmiast wysiadła i szybko udała się do szpitala. Ende wpadła we wściekłość. „To ja pędzę tu na złamanie karku i mam nie grać? Nigdy w życiu!”. Z Checzą rozegrała całe spotkanie i była jedną z wyróżniających się na boisku. Dłoń na szczęście udało się uratować.

Małgorzata Guttmejer przyjechała do Dąbrowy Górniczej z Warszawy. Grała w obronie, studiowała na Akademii Wychowania Fizycznego. Zmarła kilka lat temu. Urszula Sławecka również przyjechała ze stolicy. Po urodzeniu dziecka wyjechała w Bieszczady, ale udało się jej wrócić na boisko. Jolanta Dziedzic gdy dołączyła do zespołu, miała trzynaście lat. Jadąc pociągiem na mecz, czytała lekturę szkolną i stąd wziął się jej boiskowy pseudonim – „Zemsta”. Iwona Młodzik była genialna technicznie. Biła rekordy w żonglerce. Potrafiła podbić piłkę półtora tysiąca razy. Iwona Lis miała doskonały

K. S. „ZAGŁĘBIANKA”

DĄBROWA GÓRNICZA



▲ Broszura informacyjna pod tytułem „K.S. Zagłębianka Dąbrowa Górnicza” autorstwa Henryka Marca

przeгляд pola i również nienaganną technikę użytkową. Jej karierę wyhamowała kontuzja, ale udało się jej wrócić do gry i w klubie, i w reprezentacji. Teresa Walczuch grywała w obronie i na pozycji defensywnego pomocnika. Z kolei Marzena Biedra była jedną z najszybszych zawodniczek w całej lidze. Irena Mikołajczyk i Małgorzata Gospodarczyk to największe gwiazdy zespołu. Mikołajczyk miała niesamowitą kondycję. Dzień w dzień przebiegała po kilkanaście kilometrów. Gdy kopalnia przestała ulgowo traktować sportowców Zagłębianki, zaprosiła wszystkich do ciężkiej pracy pod ziemią, Mikołajczyk po przerwaniu łopatą ton miału w przerwie śniadaniowej... wychodziła pobiegać. Z kolei Gospodarczyk jest jedną z pierwszych Polek, które wyjechały grać w Szwecji (więcej na jej temat na stronach 18–21).

To właśnie z tymi zawodniczkami Stefan Rygalik wywalczył pierwsze miejsce w lidze. Na pamiątkę tego sukcesu cała kadra dostała wykute w węglu zegary. Sukces powtórzył dwa lata później Zbigniew Sączek. Było to o tyle niespodziewane, że Zagłębianka znajdowała się już w sporych tarapatkach finansowych i wyczyn ten przyjęto z dużym zdziwieniem.

PARYŻ NIE ISTNIEJE

Dziś nie ma już Kopalni Paryż. Nie ma też Zagłębianki. Pozbawiony wsparcia klub nie rozsypany się jednak jak domek z kart. Z roku na rok likwidowano sekcje, ale piłkarki walczyły do samego końca. W 1999 roku zdobyły w Rybniku brązowe medale mistrzostw Polski, mimo że na mecze jeździły w kilka samochodów, a pieniędzy brakowało nawet na posiłki. Kiedy szczęśliwe zawodniczki wparowały z trofeami do pokoju zarządzającego sekcją Jerzego Rajczykowskiego, ten spojrzął im głęboko w oczy i położył medale na stole. – Znajdujecie się na terenie nieistniejącej kopalni i reprezentujecie nieistniejący klub – tyle zapamiętałam z tamtego dnia, wspomina po latach Małgorzata Gospodarczyk.

Zaznaczone kursywą zdania pochodzą z wydawnictwa „K.S. Zagłębianka Dąbrowa Górnicza” (autor: Henryk Marzec, wydawca: KS Zagłębianka).



Stilon Gorzów Wielkopolski: Propozycja z NRD

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Każdy, kto przyszedł na świat w Polsce przed nastaniem ery płyty kompaktowej, musi znać wyroby gorzowskiego Stilonu. Zakłady Włókien Chemicznych specjalizowały się w produkcji pochodnych poliamidu, czyli jednego z komponentów służącego do wyrobu taśm magnetofonowych. Szpule, potem kasety, a w ostatnich latach prosperity zakładów, nawet dyskietki komputerowe. W Stilonie pracowało ponad siedem tysięcy osób, które często przyjeżdżały za pracę do Gorzowa Wielkopolskiego z ościennych województw. Nic więc dziwnego, że przy tak dużej fabryce zawiązało się koło TKKF. I właśnie od tego momentu rozpoczniemy opowieść o trzykrotnych mistrzyniach Polski.

TKKF-y, czyli Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej, powstawały przy każdym większym zakładzie produkcyjnym. Bardzo często stanowiły szansę na zawiązanie się kobiecej drużyny piłkarskiej, zrzeszającej w pierwszej kolejności pracowniczki danego przedsiębiorstwa. Tak było chociażby z opisywanym wcześniej Pafawagiem, ale podobna kolej rzeczy miała też miejsce w krakowskim Telpodzie czy gdyńskiej Checzy. Działająca przy Stilonie drużyna futbolistek TKKF powstała stosunkowo późno, bo w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, jednak właściwie z miejsca stała się mocnym punktem na piłkarskiej mapie Polski.

– Podają, że powstałyśmy w 1984 roku? – zastanawia się Jan Suwary, przez ponad dwadzieścia lat pierwszy trener gorzowianek. – Graliśmy już wtedy normalnie w lidze, więc sprawy musiały potoczyć się szybko za sprawą podpisanego przez władze Gorzowa i Eisenhüttenstadt po-



▲ *Drużyna Stilonu w 1986 roku. Na zdjęciu stoją (od lewej): Jan Suwary (trener), Halina Kaczmarek, Władysława Zagórska, Zofia Chojnacka, Mirosława Grancewicz, Barbara Galant, Wiesława Patykiewicz, Maria Kwiatkowska, Wiesława Wereda, Barbara Będowska, Tadeusz Czepiża. Dolny rząd: Anna Łapisz, Dorota Siupka, Małgorzata Mierkiewicz, Eleonora Sikora, Krystyna Tarajkowska, Mariola Silwończyk, Aneta Dudkiewicz, Izabela Maczyńska / Arch. prywatne Eleonory Sikory*

rozumienia o współpracy kulturalno-oświatowej obu regionów. Niemcy zaproponowali, aby jedną z aktywności był mecz piłkarski pomiędzy kobiecymi reprezentacjami obu miast. No i zaczęliśmy trenować.

Treningi rozpoczęły się na dwa miesiące przed spotkaniem z amatorskim zespołem z NRD. W hali pojawiło się kilkanaście zawodniczek, wśród nich między innymi Barbara Galant, Maria Kwiatkowska, Halina Kaczmarek, Alicja Drozd i uznawana za wielki talent Dorota Siupka. Ta ostatnia doskonale kierowała grą drugiej linii. Trafiła do reprezentacji Polski, ale karierę zakończyła szybko, mając 27 lat, na skutek ciężkiej kontuzji. Wtedy jednak przed piłkarkami świat stał otworem.

WIELKIE LANIE NA ŚWIĘTO PRACY!

– W TKKF-ie było kilka sekcji. Zanim powstała piłkarska, najczęściej grywałyśmy po pracy w siatkówkę – wspomina Siupka. – Ale za piłką ganiałam z chłopakami od dziecka. W rodzinnych Lipianach futbol był oczywiście na pierwszym miejscu, choć z naszej okolicy największe

sukcesy odniósł chłopak, który ścigał się na rowerze. Nazywa się Lech Piasecki. Wracając do początków Stilonu, trener Suwary zrobił rozegnanie w sekcjach TKKF-u i te z nas, które chciały spróbować się na boisku, dostały prawdziwą szansę od losu. Przed meczem z piłkarkami z NRD miałyśmy kilka treningów. Nikt nie wiedział, czego się po nas spodziewać, a debiut wypadł lepiej niż doskonale.

Dodajmy tylko, że w poszukiwaniach talentów Janowi Suwaremu pomagał później kierownik drużyny, Leszek Pieczyński, który swoją funkcję pełnił w klubie przez... 26 lat, co czyni go jedną z najdłużej pracujących osób w historii kobiecych rozgrywek.

Pierwszy historyczny mecz rozegrano 1 maja 1984 roku. Na stadionie Warty, według szacunków „Gazety Lubuskiej”, pojawiło się ponad cztery tysiące kibiców, którzy trafili tam od razu po zakończeniu pochodu. Mecz był promowany w miejscowej prasie i w zakładowym radiowęźle. Dziś brzmi to może zabawnie, ale w latach osiemdziesiątych taki radiowęzeł potrafił mieć wyższą słuchalność niż niejedna dzisiejsza stacja radiowa.

Dopisała też pogoda – było ciepło i bezchmurnie. No i wreszcie wynik! Pracujące w zakładach Stilonu piłkarki pokonały rywalki ze Stahl Eisenhüttenstadt aż 8:0. Po trzy bramki zdobyły Maria Kwiatkowska i Dorota Siupka, po jednej Wiesława Wereda i Grażyna Błaszczuk. Sukces tak rozochocił miejscowych działaczy, że postanowiono zgłosić zespół do rozgrywek ligowych. – Na początku byłem sceptyczny – wspomina Suwary. – To, że wysoko wygraliśmy z zespołem z Niemiec Wschodnich, nie musiało oznaczać, że równie łatwo pójdzie nam w lidze. Pojechaliśmy więc do Mierzyna zobaczyć, jaki poziom prezentują nasi potencjalni przeciwnicy i kiedy obejrzelśmy spotkanie tamtejszej Iskry z Telpodem, uznaliśmy, że diabeł nie jest taki straszny. Zapadła decyzja o utworzeniu zespołu ligowego. I tak oto pod kierownictwem Bogdana Jakubczaka, Jana Suwarego i Konrada Olszewskiego TTKF Stilon Gorzów Wielkopolski ruszył w świat! Nad wyraz pomocne w organizacji profesjonalnych, jak na owe warunki, struktur okazały się władze miasta. Klub nie proponował co prawda zawodowych kontraktów, ale gra w piłkę wiązała się z dobrze płatną pracą w fabryce. Za pełną stawkę, ale w niepełnym wymiarze czasowym.

POTRÓJNA KORONA I OBÓZ W MIĘDZYZDROJACH

– Gdy trzeba było, wyjeżdżaliśmy na przedmeczowe zgrupowania do ośrodka zakładów w oddalonych o 30 kilometrów od Gorzowa, Lubniewic – opowiada Suwary. – Mieliliśmy tę

przewagę nad resztą stawki, że na mecz miałem zawodniczki wypoczęte i nakarmione, tak jak powinni odżywiać się sportowcy. To budowało naszą przewagę jeszcze przed wyjściem na boisko. Na dalekie wyjazdy nie jeździliśmy w dniu meczu, tylko nocowaliśmy w hotelach. Starłem się tak ustawiać zmiany w fabryce, aby nie powodowały one zmęczenia wynikającego chociażby z zaburzenia rytmu snu. Te wszystkie szczegóły połączone z codzienną pracą na treningach dawały wymierne korzyści. Dodajmy też, że w okresie przerw mieliśmy do dyspozycji inne ośrodki wypoczynkowe należące do Stilonu. W Karpaczu, w Międzyzdrojach. Zdarzało się nawet, że aby w tym dobrobycie nie wpaść w zbyt dużą monotonię, zamienialiśmy się z Czarnymi na obozy przygotowawcze. Sosnowiczanki zajmowały nasze miejsca w Międzyzdrojach, podczas gdy my trenowaliśmy w Iławie.

– Stilon już wtedy szukał zawodniczek nie tylko u siebie w halach, ale i między innymi na wyższej uczelni. – dopowiada Eleonora Sikora, bramkarka gorzowskiej jedenastki, wtedy studentka Zamiejscowego Wydziału Kultury Fizycznej poznańskiego AWF-u, obecnie jego pracownik dydaktyczny, autorka pracy magisterskiej poświęconej Stilonowi. – A że często grywałam w piłkę z kolegami, od razu złożono mi propozycję. Pamiętam, że w tych pierwszych miesiącach trenowałyśmy gdzie popadło, ale najczęściej na „kukule”. Tak mówiliśmy na piaszczyste boisko, z którego piłki przez dziurawą siatkę często wypadały na jezdnię.



▲ Stilon Gorzów Wlkp. dwukrotnie w latach 90. zdobywał tytuł mistrza Polski / Arch. Prywatne Elżbiety i Wojciecha Łazowskich

Później trafiliśmy na boczną płytę stadionu Stilonu, nad którą podczas treningu unosiły się zazwyczaj tumany kurzu. Na luksusy musiałyśmy trochę poczekać.

Stilon rozpoczął ligowe zmagania w drugiej lidze, by po roku bez problemów awansować do elity. Do zespołu dołączyła wtedy między innymi Mariola Silwończyk. Drugoligowe rozgrywki gorzowianki rozniosły w pył, nie przegrywając ani jednego meczu i gromadząc komplet punktów. W pokonanym polu pozostawiły między innymi AZS Wrocław i Medyka Konin, których wielkie chwile miały nadejść niedługo. Teraz jednak, zbliżały się najlepsze czasy piłkarek z Gorzowa Wielkopolskiego.

Inauguracyjny mecz w pierwszej lidze Stilon rozegrał z Iskrą Szczecin (Mierzyn). Gorzowianki po bramce Doroty Siupki zwyciężyły 1:0, grając w składzie: Eleonora Sikora, Danuta Zatorska, Wiesława Patykiewicz, Halina Kaczmarek, Barbara Galant, Zofia Chojnacka (59' Anna Łapisz, 74' Aneta Dutkiewicz), Dorota Siupka, Małgorzata Mierkiewicz, Mirosława Garcewicz (29' Dorota Dłużewska, 70' Władysława Zagórska), Maria Kwiatkowska, Mariola Silwończyk. Mecz obejrzało dwa tysiące kibiców.

Z biegiem czasu do zespołu dochodziły nowe zawodniczki. Były to m.in. Maria Makowska, Emilia Wnuk, Renata Pupka, Aneta Urbanowicz, Beata Berger, Monika Buszyńska, Małgorzata Miśko, Justyna Baumgart, Małgorzata Płytnik i Barbara Gąsiorowska, które wraz ze starszymi stażem w drużynie koleżankami w sezonie 1991/92 całkowicie zdominowały krajowe rozgrywki. Stilon sięgnął wówczas po potrójną koronę, zdobywając mistrzostwo Polski, Puchar Polski i złote medale w hali. To był najlepszy czas drużyny Jana Suwarego, która aż do wczesnych lat dwutysięcznych liczyć się będzie w walce o najwyższe lokaty w tabeli.

Nie wszystko jednak układało się po myśli kierownictwa Stilonu. Sukces piłkarek skupił na nich uwagę nie tylko selekcyjera drużyny narodowej. Czołowe zawodniczki zaczęły otrzymywać atrakcyjne propozycje przejścia do innych klubów. Po meczu Polski z Niemcami w Aue z oferty Turbine Poczdam zdecydowała się skorzystać Makowska. Doszło do sporej awantury, której efektem było półroczne zawieszenie kadrowiczki, ale koniec końców w Gorzowie zostali z pustymi rękoma. – Podczas meczu we Wrocławiu nieszczęśliwie zderzyłam się z jedną z rywek – wspomina Siupka. – Ucierpiały przednie więzadła i z boiska trafiłam na stół operacyjny w Piekarach Śląskich. Gdy po długiej rehabilitacji wróciłam w końcu na boisko, pobyłam na nim kilkadziesiąt sekund. Jeden



▲ W drużynie zakładowej grały młode kobiety z całej Polski, które przyjeżdżały do Gorzowa Wielkopolskiego, by pracować w tutejszym Stilonie / Arch. prywatne Elżbiety i Wojciecha Łazowskich

sprint do piłki i wszystko się odnowiło. Miałam 27 lat, ale wiedziałam, że dla mnie to już koniec gry w piłkę.

Suwarey prowadził Stilon przez ponad dwadzieścia lat. Zespół, który przeszedł wiele rozsad personalnych, wywalczył w sumie trzy mistrzostwa Polski, trzy razy sięgał po krajowy puchar i aż pięciokrotnie zdobywał tytuł najlepszej drużyny w hali. Ostatnim sukcesem gorzowianek było trzecie miejsce w lidze w sezonie 2000/01. Brązowe medale wywalczyła już przebudowana i odmłodzona ekipa. O jej sile stanowiły wówczas Dorota Dłużewska, Justyna Białasek, Mariola Silwończyk, Katarzyna Połomska, Anna Grochowska, Patrycja Lipka, Magdalena Polak, Ewa Karpienia, Diana Wysoczańska, Anna Serwata, Anna Guce, Anna Szymankowska, Natalia Pisula, Edyta Łukaszewicz, Justyna Zajac, Agnieszka Kałuzińska, Katarzyna Łyjak i siostry Agnieszka i Anna Świątkowskie.


W ścisłym topie polskiego futbolu kobiecego Stilon utrzymywał się przez dwie dekady, nieprzerwanie występując w najwyższej klasie rozgrywkowej. W sezonie 2005/06 spadł do drugiej ligi. Dwukrotnie wracał do Ekstraligi, ale zaliczał w niej tylko epizody. Można powiedzieć, że zespół kobiecy, który, zaznaczymy, nigdy nie miał nic wspólnego z męskim klubem grającym pod tym samym szyldem, podobnie jak wielkie niegdyś zakłady chemiczne, nie odnalazł się w nowej rzeczywistości. Sezon 2020/21 piłkarki z ulicy Czerśniowej rozpoczęły od czwartego szczebla rozgrywkowego. Rok później piłkarska drużyna pod nazwą Stilon występowała już na piątym, ostatnim poziomie rozgrywkowym. Droga do piłkarskiej elity nie będzie tak prosta jak blisko czterdzieści lat temu, ale... przez chociażby wzgląd na piękną historię Stilonu warto życzyć mu lepszych widoków na przyszłość.



Piastunki Gliwice: Mistrz bez ziemi

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Dziś taka historia nie miałaby prawa się wydarzyć. Drużyna składająca się z samych amateerek, które za grę nie dostają ani grosza, bez własnego stadionu, w cuglach wygrywa ligę, po roku broni wywalzonego trofeum w podobnym stylu, przy okazji wygrywając mecz z mistrzem Anglii, aby niemal od razu rozpuścić się we mgle. Po latach od ostatniego mistrzostwa Polski zdobytego przez Piastunki wszystko brzmi jak w bajce. Prawie wszystko, bo bajki mają zazwyczaj szczęśliwe zakończenie.



Piastunki powstały w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych minionego stulecia przy Klubie Sympatyków Piłkarstwa Gliwickiego, w którym prym wiodli sędzia piłkarski Piotr Werner i szablista Maciej Chudzikiewicz. W Gliwicach istniała wówczas silna drużyna piłkarska. Piast ocierał się o grę w najwyższej klasie rozgrywkowej i dotarł nawet do finału Pucharu Polski. Życie tak pokierowało losami Piasta i Piastunek, że gdy tym pierwszym szła karta, drugie zbierały ciężki waciwie od wszystkich. Z kolei w czasach największych sukcesów piłkarek męska drużyna nie istniała. Gdy nie tak dawno ekipa Waldemara Fornalika zostawała mistrzem Polski, po Piastunkach dawno już nie było śladu. Choć etymologia nazwy kobiecego zespołu mogłaby wskazywać, że był on w jakiś sposób strukturalnie połączony z klubem z ulicy Okrzei, to w rzeczywistości były to zawsze dwa oddzielne byty.



▲ *Piastunki Gliwice – najlepsza drużyna w sezonie 1992/93. Na zdjęciu stoją (od lewej): Ryszard Zbroński (lekarz), Aneta Kowalczyk, Anna Dąb, Joanna Dejnert, Agata Kubis, Iwona Bomersbach, Katarzyna Walerianowicz, Sabina Żurek, Angela Illina, Aneta Rybak, Józef Drabicki (trener). W przysiadzie: Zdzisław Toczkowski (masażysta), Katarzyna Kuliberda, Joanna Bryłka, Renata Pielka, Dorota Strzelczyk, Elena Biellakowa, Katarzyna Jendryczko, Elena Stolarowa, Agnieszka Pluskota. Na zdjęciu brakuje kontuzjowanej Bożeny Wochnik / Arch. prywatne Katarzyny Jendryczko*

Początki były bardzo trudne. Złożony na bazie uczennic technikum kolejowego zespół notował porażkę za porażką. Mecze z Pafawagiem czy Czarnymi, którzy to walczyli o prymat w kraju, przeważnie kończyły się wysokimi przegranymi. Powoli jednak łątka dostarczycielka punktów odklejała się od gliwickiej jedenastki. Mozolna, wieloletnia praca zaczęła przynosić efekty, a na koncie Piastunek lądowały pierwsze zdobyte bramki i punkty. Zespół tworzyły, z nielicznymi wyjątkami, piłkarki ze Śląska. Od sformowania drużyny aż do momentu rozwiązania klubu za swoją grę nie otrzymywały wynagrodzenia, z jednym wyjątkiem, choć aby pozostać precyzyjnym należałoby wspomnieć, że wyjątki były dokładnie trzy.

Elena Bielakowa, Elena Stolarowa i Angelika Illina zostały wypatrzone na jednym z turniejów towarzyskich w Szwecji i po długich namowach udało się przekonać działaczy klubu, w którym występowały, że przejście do Polski otworzy przed zawodniczkami drogę do wielkiej kariery. Były to czasy, gdy z hukiem zawałił się Związek Radziecki, a poziom piłki u naszych wschodnich sąsiadów znajdował się na niskim poziomie. W 1990 roku reprezentacja Polski pod wodzą Józefa Drabickiego, który przez rok był jej selekcjonerem, równocześnie prowadząc Piastunki w lidze, dwukrotnie pokonała ZSRR,

wygrywając w obu meczach 2:0. Choć żadna z Rosjerek nie zawojowała świata, to właśnie rosyjskie trio stanowiło olbrzymie wzmocnienie drużyny z Górnego Śląska.

Rosjanki ceniono nie tylko za umiejętności, ale i dobry wpływ na zespół. Zawodniczki imponowały podejściem do swojej pracy, które przenosiło się na resztę zespołu. Drabicki, który objął gliwicki zespół w rok po jego założeniu, wytrwał na swoim stanowisku aż do ostatniego dnia w historii Piastunek. Dodajmy, że na stanowisku pierwszego trenera pracował wcześniej tylko Henryk Rogozik, więc na tych dwóch nazwiskach kończy się lista szkoleniowców dwukrotnego mistrza Polski.

Baza treningowa od początku do końca mieściła się w samochodzie trenera. Wiązanie końca z końcem i coraz większe sukcesy w lidze motywowały do pracy do tego stopnia, że kwestie materialne schodziły na dalszy plan. – Pamiętam, że po meczu z Telpodem Kraków pobiegłem prosto do kościoła. W ostatniej chwili wyrobiłem się na chrzest własnej córki – opowiada Drabicki. To tylko uzmysławia, w jakich warunkach toczono mecze decydujące o tytule mistrzowskim, gdzie brak pieniędzy łączył się z wielką pasją i prozą życia.

Przełom nastąpił na początku lat dziewięćdziesiątych. Z ligowego outsidera Piastunki



▲ *Trening w wykonaniu piłkarek z Gliwic / Arch. prywatne Katarzyny Jendryczko*

stały się już solidnym średniakiem, wschodnie wzmocnienia znacząco podniosły jakość drużyny. W sezonie 1991/92 Górnoślązaczki zabawiły się z rywalkami. Role się odwróciły i teraz to zespół Drabickiego wygrywał w imponującym stylu. Na finiszu rozgrywek Piastunki znalazły się na pierwszym miejscu. W składającej się z ośmiu drużyn lidze przegrały tylko jedno spotkanie, zdobyły 26 punktów przy bilansie bramkowym 48-9. W tabeli wyprzedziły mistrzynie z poprzedniego sezonu, Stilon Gorzów Wielkopolski i Czarnych Sosnowiec.

Oprócz piłkarek z Rosji w kadrze mistrzyń Polski znalazły się: Agnieszka Pluskota, Aneta Rybak, Dorota Strzelczyk, Renata Irka, Katarzyna Jendryczko, Joanna Dąb, Iwona Bommersbach, Ewa Olender, Sabina Żurek, Joanna Bryłka, Aneta Kowalczyk, Joanna Dejnert i Katarzyna Emilianowicz.

W kolejnym sezonie mogło być jeszcze lepiej, bo oprócz zwycięstwa w lidze nadarzyła się okazja, aby zdobyć Puchar Polski. Skład w zasadzie się nie zmienił. Do ekipy dołączyła z Zabrze Anna Kopińska. Górna część tabeli po ostatniej kolejce sezonu 1993/94 wyglądała tak jak przed rokiem. Piastunki wyprzedziły Stilon i Czarne, choć rywalizacja była tym razem bardziej zacięta. Mistrzynie Polski ubierały o dwa punkty więcej od swoich najgroźniejszych rywek i kiedy wydawało się, że finał krajowego pucharu będzie formalnością, przydarzył się wypadek przy pracy. Po trofeum sięgnęła drugoligowa Sparta Złotów, która w obecności Kazimierza Górskiego wygrała 2:0.

Przez cały okres działalności Piastunki nie dorobiły się nawet własnego boiska. Mecze rozgrywano a to przy ulicy Okrzei, a to na stadionie w Łabędach, ale zdarzało się, że w roli gospodarza grywano nawet w Knurowie czy w Stalowej Woli. Klub utrzymywał się dzięki pomocy drobnych sponsorów, dużą część niewielkiego nawet jak na tamtejsze realia budżetu zapewniał pomysłodawca sekcji Piotr Werner. Miasto podtrzymywało jedynie klub na duchu. Gdy Piastunki zdobyły złote medale, w nagrodę dostały



▲ *Piastunki Gliwice podczas turnieju w Szwecji / Arch. prywatne Katarzyny Jendryczko*



▲ Początki Piastunek / Arch. prywatne Katarzyny Jendryczko

dypłomy i... możliwość gry z mistrzem Anglii. Co ciekawe, rozegranie takiego trójmeczku było możliwe, bo Doncaster jest zresztą do dziś miastem partnerskim Gliwic, a prezesem tamtejszego klubu był Polak, Robert Kantecki. Piastunki dwukrotnie pokonały rywalki, raz zeszły z boiska pokonane. Mecze były doskonałą okazją do wymiany doświadczeń między klubami, które funkcjonowały na podobnych zasadach,

ale w zupełnie innych realiach. Piłkarki z Doncaster Belles podobnie jak Piastunki nie dostawały za swoją grę żadnego wynagrodzenia. Sport mogły traktować jak hobby, bo brytyjską gospodarkę w połowie lat dziewięćdziesiątych od polskiej różniło niemal wszystko.

Wyjazdy na mecze i turnieje międzynarodowe były najlepszą częścią związaną z grą w klubie. Los skrzyżował na przykład mistrza Polski z mistrzem Senegalu na turnieju w Mediolanie. Piastunki grywały też mecze w Szwecji, Niemczech, na Węgrzech, o częstych wypadkach do Czech nie mówiąc. Oprócz wspomnień nic z kopania piłki jednak nie miały, więc wcześniej czy później czysta ekonomia musiała wziąć górę.

Trudno się dziwić, że po dwóch latach dominacji na krajowym podwórku konkurencja zamiast walczyć na boisku z ekipą z Gliwic, po prostu ją rozkupiła. Piastunkom zaoferowano lepsze warunki, więc chętnych do gry zaczęło brakować. Mocno osłabiony kadrowo zespół zdołał jeszcze w kolejnym sezonie zająć miejsce w środku stawki, ale na więcej energii i siły już nie starczyło. – Można przewrotnie powiedzieć, że te mistrzostwa nas zabiły, ale z drugiej strony tego, co wywalczyliśmy, nikt nam nie odbierze – wspomina Drabicki. – Dziś jednak nie byłbym skłonny do takich wyrzeczeń w imię sukcesów, ale czasy się zmieniły. Może ktoś młodszy reaktywuje sekcję. Nie miałbym nic przeciwko.



▲ Józef Drabicki dwukrotnie doprowadził Piastunki Gliwice do mistrzostwa Polski / Arch. prywatne Katarzyny Jendryczko



AZS Wrocław: Witajcie w wielkim świecie!

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Nikt wcześniej ani też nikt później nie miał takiej serii. Osiem mistrzostw w osiem sezonów. Nie ujmując oczywiście niczego wcześniejszym zwycięzcom rozgrywek ligowych, to właśnie wrocławski AZS zaczął profesjonalizować swoje struktury na niespotykaną dotąd nad Wisłą skalę. Przez wiele lat to właśnie akademicki wyznaczały drogę, którą podążały inne polskie drużyny. Dziś AZS-u Wrocław już nie ma, ale na szczęście z obiegu zniknęła wyłącznie nazwa. Piłkarki grają obecnie pod sztandarami Śląska Wrocław. Historia kobiecego futbolu w samym sercu Dolnego Śląska pisze się więc dalej.

– Od małego trenowałam z chłopakami. Moi bracia grali w piłkę, a ja zawziętałem się w sobie, że będę lepsza. Cały tydzień harowałam, żeby w weekend zagrać mecz. A potem przychodził sędzia i mówił, że baba nie będzie grała z facetami. Pierwszy raz widział kobietę na boisku. Z li-tości pozwalali mi usiąść na ławce. Chciało mi się płakać, ale żadnych też nikomu nie dałam zobaczyć. Na podwórku najgorszy szedł na bramkę. Nie potrafiłam tego pojąć. Zawsze chciałam bronić. I kiedy już wchodziłam między słupki w Sianowie i nic nie wpadało, zadzwonili z Wrocławia. Miałam wtedy osiemnaście lat. Nie zastanawiałam się, ani przez mo-ment. Wrocław był dla mnie ziemią obiecaną. Grała tu najlepsza kobieca drużyna i był uniwersytet. A ja chciałam iść na prawo – przyznaje Anna Bocian, bramkarka AZS Wrocław, prawniczka.

W latach osiemdziesiątych o krajowy prymat z Czarnymi Sosnowiec walczyły zawodniczki Pafawagu. Dwukrotnie udało im się wygrać rywalizację i zostać najlepszymi piłkarkami w Polsce. Pafaważanki wygrywały też krajowe rozgrywki w hali. Był to umowny początek piłki nożnej we Wrocławiu, która na dobre zdominuje rozgrywki i wejdzie na europejskie salony w latach dwutysięcznych. Wspomnijmy jednak, że pod koniec lat pięćdziesiątych minionego stulecia sekcja piłkarstwa kobiecego istniała też przez krótki czas w Ślęzie.

Piłkarki AZS Wrocław zdominowały ligę. 2000/01, 2001/02, 2002/03, 2003/04, 2004/05, 2005/06, 2006/07, 2007/08 – osiem mistrzostw Polski. Ta seria nie wymaga żadnego komentarza. Zaczynały we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, gdzie nie wiodło im się zbyt dobrze. Fundamentem silnego zespołu stała się drużyna junierek, która zdobyła brązowe medale mistrzostw Polski. Magdalena Mleczo, Patrycja Pożerska, Małgorzata Rosół i Maria Wiorowska zostały powołane do reprezentacji młodzieżowych.

Gdy młody zespół okrzepł trochę w seniorskiej piłce, dość szybko zdominował ją na długie lata. Pierwsze mistrzostwo akademickie zdobyły, wygrywając kluczowe spotkanie z Czarnymi. Wrocławianki potrzebowały dwubramkowego zwycięstwa, bo na jesieni przegrały w Sosnowcu 0:1. W dramatycznych okolicznościach dopięły swego. Mecz zakończył się wynikiem 3:1. Hat-trick skompletowała Marta Otrębska, jedną z bramek zdobywając w niecodziennych okolicznościach. Kiedy w 70. minucie gry sędzia wskazał na jedenasty metr za zagranie ręką jednej z rywalek, do piłki podeszła Pożerska. Uderzyła wprost w bramkarkę. Sosnowiczanki za szybko jednak wbiegły w pole karne. Powtórzony rzut karny wykorzystała Otrębska, która... była wychowanką Czarnych.

W taki sposób dokonała się w kobiecej piłce zmiana warty. Czarni Sosnowiec – dwunastokrotnie mistrzyni Polski w sezonie 2000/01 ustąpiły miejsca na najwyższym stopniu podium piłkarkom z Dolnego Śląska. Wrocław stał się stolicą kobiecej piłki nożnej. Bywały mecze, w których w pierwszej jedenastce AZS-u na boisku przebywało osiem reprezentantek Polski. Klub dobrze szkolił i miał pieniądze na transfery. Przez pewien czas sponsorem tytularnym AZS-u był VB Leasing.

– Pochodzę z Aleksandrowa Łódzkiego. Miasta, w którym urodził się Włodzimierz Smolarek. Moją pierwszą zabawką była piłka. Z każdym chciałam grać, choć w rodzinie nie było



▲ Anna Bocian, bramkarka AZS Wrocław podczas finału Pucharu Polski z Medyką Konin w 2014 roku w Ostródzie / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

jakichś wybitnych piłkarzy. W piłkę grała tylko... moja babcia. Do Wrocławia trafiłam dość okrężną drogą. Przez Konin i Włochy. Grałam trzy lata w Sarzanie, pięknym miasteczku położonym nad samym Morzem Śródziemnym. Tak jak w całej Italii, tak i w Ligurii calcio jest drugą religią. Dla grających w piłkę to fantastyczne miejsce do życia, ale moje najlepsze lata i najpiękniejsze wspomnienia wcale się z nim nie wiążą. W trzecim sezonie gry strzeliły mi więzadła w kolanie. Kontuzja bolesna, ale w tym sporcie nienależąca do rzadkości. We Włoszech przeszedłam operację, ale do formy dochodziłam już w Polsce. Rehabilitując kolano, sama zainteresowałam się rehabilitacją. Zakotwiczyłam we Wrocławiu ze względu na uczelnię. Akademię Wychowania Fizycznego i Wydział Fizjoterapii. Które mistrzostwo wspominam najlepiej? Każde. Każde z ośmiu. Wygrywanie się nie nudzi. To najwspanialszy moment w życiu sportowca. Po odejściu z AZS-u grałam jeszcze w Unii Racibórz i ponownie we Włoszech. Ale po zakończeniu kariery postanowiłam wrócić do Wrocławia. To moje



▲ AZS Wrocław przed meczem ligowym z Medyką Konin w sezonie 2008/09. Górny rząd (od lewej): Magdalena Mleczek, Sofia Gonzalez, Justyna Nazarczyk, Natasza Górnicka, Anna Żelazko. Dolny rząd: Iwona Okrasa-Seniuk, Karolina Bochra, Agata Tarczyńska, Anna Bocian, Alicja Pawlak, Patrycja Pożerska / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

miejsce na ziemi – wspomina Dominika Maciaszczyk, była pomocniczka AZS Wrocław, obecnie fizjoterapeutka reprezentacji Polski kobiet w hokeju na lodzie.

AZS reprezentował Polskę w rozgrywkach kobiecego Pucharu UEFA, będących odpowiednikiem Ligi Mistrzów, przechodząc przy okazji do historii futbolu jako pierwszy polski klub, który zagrał w europejskich pucharach. Marta Otrębska jest pierwszą Polką, która strzeliła w nich gola. Dwukrotnie też, co jest jak na razie wyczynem bez precedensu, akademicki wyszły z grupy. W sezonie 2004/05 – była to już czwarta próba – udało się w pokonanym polu zostawić drużyny Metalista Charków, Klaksvíkaru Ídróttarfélag i Cardiff City. Losowanie nie było ani łatwe, ani bardzo niesprzyjające. Meczem o wszystko wydawał się być pierwszy – rozgrywany na Stadionie Olimpijskim z Metalistem. Wrocławianki wygrały 2:0 po golach Otrębskiej, a oprócz wyniku widzowie zapamiętali także olbrzymią wicher i opady śniegu. Takie historie oczywiście zdarzają się w piłce, ale... raczej nie w sierpniu. W drugiej fazie akademicki zmierzyły się z Turbine Poczdam, Torres Terra Sarda i Montpellier HSC, wyprzedzając ostatecznie zespół z Francji.

Rok później turniej eliminacyjny grupy siódmej, do której trafił AZS, znów zorganizowano we Wrocławiu. Mistrzyni Polski pokonały wówczas Arsenal Charków, Maccabi Holon

i AÉK Kokkinochovion Ammochóstou. Ta ostatnia drużyna oprócz bardzo długiej nazwy wstawiła się też najwyższymi porażkami. Ostatni mecz grupowy Cyprycki przegraly... 0:20. Tym razem mecze oprócz boiska na GEM-ie, gdzie AZS walczył o ligowe punkty, piłkarki zagrały również przy Oporowskiej. W kolejnej fazie lepsze od piłkarek Basiuka okazały się Arsenal Londyn, Brøndby IF Kopenhaga i Łada Togliatti. – Chciałem ukierunkować dziewczyny na granie w bardziej męskim stylu. Chodziło o taktykę i przygotowanie ogólne. Najpierw musiałem je przekonać, żeby podczas okresu przygotowawczego chodziły na siłownię. One twierdziły, że im siła jest niepotrzebna. Chciały tylko grać w hali. Po pierwszym zgrupowaniu byłem lekko przerażony. – takiej wypowiedzi udzielił Krzysztofowi Ostachowi ówczesny trener wrocławianek na łamach lokalnej prasy. Cała rozmowa nosi znamieny tytuł: „Z dziewczynami przez przypadek”.

Wojciech Basiuk, były piłkarz Ślący Wrocław, też trafił na GEM przypadkowo. To jedyne, co łączy go z poprzednikiem, bo jak mówią same zawodniczki, byli to nie tylko zupełnie inni trenerzy, ale i zupełnie inni ludzie. – Grałem wówczas w niższych ligach w Niemczech i jednocześnie robiłem kurs trenerski. Kiedy dostałem propozycję, w zasadzie długo nie myślałem. Futbol kobiecy w Niemczech był zdecydowanie bardziej



▲ Finał Pucharu Polski w 2014 roku: AZS Wrocław – Medyk Konin 2:3 / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

popularny niż w Polsce. Pracę z mistrzyniami Polski potraktowałem jako szansę dla siebie, ale wiedziałem też, że podpatrując to, co się dzieje na Zachodzie, mogę wnieść trochę nowego.

W wywiadach prasowych przyznawał, że zawodniczki traktuje tak, jakby miał do czynienia z męskim zespołem. Za swoją drużyną skoczyłby jednak w ogień. Poświęcił jej nawet pracę

magisterską, która po latach jest źródłem bardzo cennych informacji i stanowi coś w rodzaju klubowej kroniki. Osiągnięcia „dziewczyn Basiuka” są jak do tej pory wyznacznikiem górnych możliwości polskiego klubowego piłkarstwa kobiet. Wprowadził on zróżnicowane treningi, ale prowadzenie zespołu nie ograniczało się tylko do dwóch godzin ćwiczeń dziennie. Jak po latach przyznają zawodniczki, nauczyły się wtedy brać za siebie odpowiedzialność także w czasie wolnym od zajęć. Dieta, regeneracja organizmu, nawet sen – wszystko miało znaczenie w myśl zasady, że sportowcem jest się dwadzieścia cztery godziny na dobę. To właśnie we Wrocławiu, nic nie ujmując oczywiście poprzednim klubom zdobywającym mistrzostwo, możemy mówić o pierwszym, w pełni profesjonalnym klubie kobiecym, choć oczywiście z pensji piłkarki trudno było się utrzymać.

13 maja 2020 roku AZS został przejęty przez Śląsk Wrocław. Z historyczną nazwą klubu wiąże się osiem tytułów mistrzowskich. Z nową – nadzieja, że kiedyś uda się dołożyć dziewiąty.



▲ Trener Wojciech Basiuk najpierw poprowadził AZS Wrocław, potem kobiecą reprezentację Polski w latach 2013-2016 / Fot. Łukasz Grochala, PZPN


Przy tworzeniu tekstu korzystano z pracy magisterskiej Wojciecha Basiuka dotyczącej historii AZS Wrocław. Wypowiedź Anny Bocian pochodzi z książki „Skarby Miasta – Wrocław”.



Unia Racibórz: Komety ze Śląska

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Tak jak pojawiły się w zasadzie znikąd, tak i gwałtownie zniknęły z radarów. Piłkarki Unii Racibórz w ekspresowym tempie wdarły się na salony, pięciokrotnie zdobywając mistrzostwo Polski, trzykrotnie Puchar Polski i czterokrotnie halowe mistrzostwo Polski. Grały w Lidze Mistrzyń, bijąc przy okazji rekordy frekwencji na stadionie, co mogło zawstydząć wówczas wiele męskich klubów. Ich mecze były transmitowane w telewizji na cały świat. Z zagranicy ściągano klasowe zawodniczki. Wszystko się jednak zaważyło. Może nie jak domek z kart, ale zdecydowanie za szybko.



Unię Racibórz dostownie i w przenośni stworzył Remigiusz Trawiński. Ówczesny prezes Unii, klubu, w którym grali panowie, został poproszony przez swoje córki, aby zbudował dla nich drużynę piłkarską. Brzmi jak bajka, ale zdarzyło się naprawdę. Prośba została wysłuchana i w klubie powołano do życia sekcję piłkarek. Dwa lata później nastąpiło przejęcie wycofanego z rozgrywek RKP Rybnik. Następnie drużynę wydzielono z klubu i RTP Unia zaczęła żyć własnym życiem. Z biegiem czasu budowa kobiecej sekcji przestała być wyłącznie spełnieniem dziecięcych marzeń. W Raciborzu podjęto próbę stworzenia w pełni profesjonalnego klubu.

Unia rozwijała się w szybkim tempie, by w sezonie 2006/07 awansować do Ekstraligi, rozgrywki na jej zapleczu kończąc z przewagą 26 punktów nad drugim zespołem w tabeli. Na tak okazały dorobek złożyły się zwycięstwa we wszystkich meczach ligowych, co jest wyznacznikiem nie lada, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że była to jedynie rywalizacja na drugim froncie, umiarkowanie silnego jak na standardy europejskie kraju.



▲ *Unitki przed meczem Ligi Mistrzów z VfL Wolfsburg w 2012 roku. Górny rząd (od lewej): Hanna Konsek, Daria Antończyk, Donata Leśnik, Agata Tarczyńska, Patrycja Wiśniewska. Dolny rząd: Patrycja Pożerska, Natalia Chudzik, Marta Mika, Ivana Bojdova, Gloria Okoro Chinasa, Alicja Pawlak / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl*

Pierwszy, historyczny mecz unitek w Ekstralidze pokazała telewizja. Zresztą media często będą gościć na stadionie w Raciborzu, bo Trawiński, będąc jednocześnie sprawnym biznesmenem, doskonale rozumiał, że o każdym projekcie, który jest robiony na wielką skalę, musi być głośno. Mecze Unii można więc było śledzić w najpopularniejszych kanałach sportowych zdecydowanej większości liczących się nadawców. Prezes, będący jednocześnie trenerem, nie szczędził grosza na promocję w telewizji, robił wszystko, aby przyciągnąć ludzi na stadion. Po zaledwie dwóch sezonach gry unitki zdobyły mistrzostwo Polski, spychając z tronu ośmiokrotne mistrzynie, AZS Wrocław. Jeśli czas w futbolu kobiecym można umownie podzielić na ery, to w sezonie 2008/09 kończyła się era wrocławska, a zaczynała raciborska. Tym bardziej że do grona sponsorów dołączyło niedługo później Rafako.

– W szczytowym momencie dysponowaliśmy budżetem w wysokości półtora miliona złotych. Nawet jak na obecne realia robi to wrażenie – opowiada Trawiński. – Zdecydowaną większość tych pieniędzy inwestowaliśmy w rozwój zawodniczek. Nie tworzyliśmy kominów płaco-

wych, ale organizowaliśmy zagraniczne zgrupowania, na których graliśmy z lepszymi od siebie. Wychodziliśmy z założenia, że warto uczyć się od najlepszych. Rywalizowaliśmy z czołowymi zespołami z Niemiec, z Czech. Niekiedy wprawialiśmy przeciwników w ostupienie i wygrywaliśmy z teoretycznie silniejszymi.

PUCHAROWA KLĄTWA

Na skutek dobrej pozycji, jaką kobiecej piłce klubowej wywalczył w pucharach AZS Wrocław, raciborzanki nie musiały rozgrywać rundy eliminacyjnej. Dwukrotnie startowały już od fazy pucharowej, czyli od 1/16, ale za każdym razem ich występy kończyły się rozczarująco. W swoim pierwszym podejściu Unia zmierzyła się z mistrzem Austrii, SV Neulengbach. Na stadionie pojawiło się ponad cztery tysiące widzów. Mecz pokazała TVP Katowice. Było wszystko oprócz dobrego wyniku. Austriaczki wygrały 3:1 i w rewanżu nie pozwoliły na odrobienie strat. Rok później historia się powtórzyła, z tą tylko różnicą, że tym razem górą było duńskie Brøndby IF. Rywal z najwyższej półki, z którym unitki grały jak równy z równym, odpadając po nieznacznie



▲ *Remigiusz Trawiński - pomysłodawca, prezes i trener RTP Unia Racibórz / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl*

przegranym dwumeczem (1:2 u siebie, 1:0 na wyjeździe). Niepowodzenia w dwóch kolejnych sezonach Ligi Mistrzyń i reforma tychże rozgrywek w kolejnych latach zepchnęły raciborzanki do pierwszej fazy eliminacji.

Pierwsze podejście zakończyło się niewypałem, bo Polki zajęły w swojej grupie dopiero trzecie miejsce. Jednak już w następnym sezonie udało się zostawić rywalki w pobitym polu i po wygraniu grupy ze Slovanem Bratysława (5:0), Ekonomistom Nikić (7:1) i Bobrujczanką Bobrujsk (5:0) wylosowały najgorzej, jak mogły. unitki wpały na VfL Wolfsburg. Z takiego obrotu spraw nie robiono początkowo wielkiego dramatu, bo przecież w letnich sparingach... Unia ogrzała ten zespół. Dziś brzmi to niewiarygodnie, ale był w Polsce klub, który potrafił rozstawiać mocarzy po kątach. Na stadion przyszło ponad pięć tysięcy widzów, liczących, że uda się nawiązać z ówczesnymi wicemistrzyniami Niemiec równorzędną walkę. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Przeciwniczki wyszły na boisko w zupełnie odmienionym składzie. Zdecydowanie za silnym na zespół ze Śląska. Porażki 1:5 i 1:6 mówią same za siebie. Zresztą Wolfsburg przejechał się walcem po wszystkich, którzy stanęli na jego drodze. Zdobył klubowe mistrzostwo Europy.

Kiedy w kolejnej, piątej już próbie podboju Europy po wygraniu rozgrywek grupowych los przydzielił mało znany, turecki Konak Belediyespor, wydawało się, że jeśli nie uda się teraz, to już nie uda się nigdy. Niestety „nigdy” zbliżało się wtedy wielkimi krokami...

– Od dwóch lat byliśmy bliscy śmierci. Chciałem wycofać zespół z rozgrywek tuż po zdobyciu piątego z rzędu mistrzostwa – tłumaczy

Trawiński – ale uznałem, że skoro młoda drużyna rzutem na taśmę je wywalczyła, to warto dać dziewczynom nagrodę w postaci gier w europejskich pucharach. Rundę eliminacyjną ułatwiła nam nasza snajperka, Gloria Okoro Chinasa, która większość akcji swoich koleżanek kończyła bramkami. Liczyliśmy na to, że może po wyeliminowaniu Turczynek zdarzy się jeszcze jakiś cud.

KRÓLOWE STRZELCZYŃ

Choć w meczach międzypaństwowych nie wszystko szło w Raciborzu po myśli Trawińskiego, to już w kraju Unia nie miała sobie równych przez pięć sezonów. Wieść o operatywnym prezisie-trenerze szybko rozeszła się po kraju. Do Raciborza zaczęły zjeżdżać reprezentantki Polski i innych krajów. Rywalizacja była tak mocna, że nawet zespół rezerw Unia ulokowała na bezpośrednim zapleczu Ekstraligi. Barw Unii broniły między innymi Daria Antończyk, Agnieszka Winczo, Patrycja Pożerska, Dominika Maciaszczyk, Anna Żelazko czy Ewa Żyła.

Triumfy zespołowe przeważnie szły w parze z indywidualnymi osiągnięciami. W pierwszym mistrzowskim sezonie najsukuczniejszą zawodniczką Ekstraligi została Patrycja Wiśniewska, zdobywczyni 29 bramek. W kolejnym tę samą klasyfikację wygrała Anna Sznyrowska, strzelczyni 24 goli, a królowymi strzelczyń zostawały jeszcze Agnieszka Winczo (27 goli) i dwukrotnie Gloria Okoro Chinasa (20 i 18 goli).

Na przykładzie reprezentantki Gwinei Równikowej widać było najlepiej, kiedy klub rósł w siłę, a kiedy zaczynał lecieć lotem koszącym w dół. Zaraz po zakończeniu mistrzostw świata w Niemczech w 2011 roku część zawodniczek została na miejscu w poszukiwaniu pracy w lepszych klubach. Chinasa była pomocniczką reprezentacji. Zagrała w dwóch z trzech spotkań grupowych, za każdym razem w niepełnym wymiarze czasowym. Wielkiej furory, podobnie jak jej drużyna na mundialu, nie zrobiła, ale niedługo później dołączyła do przebywających na zgrupowaniu w Wolfsburgu mistrzyń Polski. W Unii przekwalifikowano ją na napastniczkę. W taki sposób Gwinejka została jedną z gwiazd i prawdopodobnie najlepszą zagraniczną zawodniczką w całej historii Ekstraligi. O ile sprowadzenie Chinasy, o którą, jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, starano się też Atlético Madryt, można uznać z dużym sukcesem, to już rozstanie z supersnajperką polskiej ligi nie należało do przyjemnych.

Piłkarka twierdziła, że w klubie nie grano z nią fair. – Najpierw poinformowano mnie, że

nie są w stanie wyptacić mi trzech zaległych pensji, bo nie ma z czego. Potem powiedziano mi, żebym na święta leciała do siebie, a potem w styczniu wróciła po zaległe pieniądze. To zupełna niedorzeczność, bo przecież bilety lotnicze do Afryki są bardzo drogie. Na razie siedzę w hotelu w Raciborzu i sama nie wiem, co zrobić, bo z klubu nikt nie odbiera ode mnie telefonów. Potrzeba mi co najmniej 600 euro na bilet do domu – mówiła dziennikarzowi katowickiego „Sportu” Michałowi Zichlarzowi zawodniczka, która z reprezentacją Gwinei Równikowej zdobyła w międzyczasie mistrzostwo Czarnego Łądu, w finale strzelając dwa gole.

Argumentacja Chinasy ma jednak pewne luki. W Unii nikt nie krył, że po wycofaniu głównego sponsora, nadchodzą bardzo ciężkie czasy. Poza tym po zdobyciu Pucharu Afryki przez reprezentację Gwinei Równikowej Chinasa zniknęła z widnokręgu i do klubu wróciła po wyznaczonym terminie, za to z wyraźną nadwagą. Kiedy najlepsze zawodniczki opuściły już nabierającą wody okręt, ona grała w Unii do samego końca. Inna sprawa, że w Raciborzu pojawiały się kolejne piłkarki z Afryki z reprezentacyjną przeszłości, co być może dawało jakąś nadzieję na przyszłość. Jeszcze w połowie marca 2013 roku do klubu dołączyły Cynthia Adobea i Grace Asare z Ghany a w meczu kontrolnym z Czarnymi Sosnowiec unitki zdeklasowały rywalki, wygrywając 7:1. Po rozegraniu rundy jesiennej sezonu 2013/14 Unia Racibórz została wycofana z rozgrywek. Zdobywający rok po roku mistrzostwa Polski zespół, czterokrotnie grający w fazie pucharowej Ligi Mistrzyń, dosłownie się rozsypał.



▲ Grace Asare i Cynthia Adobea nie odegrały w Ekstralidze większej roli. Chinasa Gloria Okoro (po prawej) do dziś uważana jest za najlepszą zagraniczną piłkarkę, która trafiła do polskiej ligi / Fot. Michał Chwieduk, 400mm.pl

CZEGO ZABRAKŁO?

Odpowiedź na to pytanie jest banalnie prosta, jednak poszukajmy przyczyn, dlaczego dobrze rokujący zespół nagle znika z powierzchni niczym kamfora. Unia była dziełem, tak jak wspomnieliśmy na początku, jednego człowieka. Remigiusz Trawiński był prezesem, trenerem, ale przede wszystkim przez zdecydowaną większość z dwunastu lat jej istnienia – sponsorem. Do pomocy klubowi, dyplomatycznie rzecz ujmując, nie garnęto się miasto. W niewielkim Raciborzu trudno zresztą było wykreować wielki sport, bo zwyczajnie brakowało w nim ku temu możliwości. Do pozycjonowania się przy kobiecej piłce nie było wielu chętnych, choć jak już mówiliśmy, telewizje często gościły na meczach Unii. Za ich obecność Trawiński musiał oczywiście zapłacić. – Klepano mnie po plecach i zapewniano o dobrej woli, ale od słów do czynów była daleka droga. Miasto dotowało nas kwotą około stu pięćdziesięciu tysięcy złotych na sezon, co wówczas i tak powodowało protesty innych klubów z regionu. Pytano, czemu kobiety miały dostać jakieś pieniądze, a męskie kluby z okręgówki już nie? – wspomina Trawiński.

W Raciborzu nie zdawano sobie sprawy z tego, jak mocnym wizerunkowo i marketingowo atutem jest posiadanie silnego zespołu kobiet. Dziś trudno nawet mówić o wspomnieniach, bo świętowanie jakichkolwiek jubileuszy nikogo z byłej ekipy po prostu nie interesuje. Remigiusz Trawiński skupił się na swoich pozasportowych biznesach, choć jak przyznaje, cały czas śledzi rozgrywki pań. Zapewne kibicuje on mocniej Dżesice Jaszek i Ewelinie Kamczyk, które są teraz piłkarkami reprezentacyjnego formatu, a na szersze wody wyptynęły właśnie z Unii. – Dziś widać, że zmieniło się nastawienie związku do kobiecej reprezentacji – przyznaje. – Z takim podejściem jest znacznie większa szansa na sukces także w piłce klubowej, choć z roku na rok skala trudności będzie rostała. Ale... jeśli znajdzie się w Polsce ktoś, kto zatrudni profesjonalistów, da im popracować w klubie według sensownego kilkuletniego planu, to stworzenie mocnej polskiej marki w Europie jest jak najbardziej realne.


Jeśli taki klub powstanie, to raczej nie będzie to miało miejsca w Raciborzu. Unia rozpadła się definitywnie 3 marca 2014 roku. Nic nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie pięciokrotne mistrzyni Polski miały się odrodzić. Gdyby kobiecy futbol podzielić na ery, to ta raciborska zalicza się do czasu przeszłego...



Medyk Konin: Historia jak z bajki o Kopciuszku

AUTORKA: HANNA URBANIAK

Jak szkolna drużyna przyszłych pielęgniarek stała się hegemonem na polskich boiskach? Droga Medyka Konin do chwały nie była usłana różami, ale dzięki determinacji i ciężkiej pracy doprowadziła go na szczyt. Klub z Konina od 27 sezonów nieprzerwanie gra w najlepszej polskiej lidze, a karierę zawdzięczają mu dziesiątki reprezentantek Polski z Ewą Pajor na czele.



Połowa lat 80. Konin, miasto na krańcu Wielkopolski, o którym żartobliwie mówiono, iż „na wschód od Konina Azja się zaczyna”. Jeszcze kwitnie przemysł górniczy, który z kilkunastotysięcznej osady uczynił miasto wojewódzkie i z którego w owym czasie utrzymuje się większość mieszkańców, gdy w miejscowym Medyku powstaje awangardowa drużyna piłkarek nożnych, która w przyszłości stanie się kultowym polskim klubem.

Założył ją 23 marca 1985 roku nauczyciel wychowania fizycznego i były bramkarz Górnika Konin Roman Jaszczak. – Za namową mojej teściowej rozpocząłem pracę w Zespole Szkół Medycznych. Gdy pod koniec sierpnia pojawiłem się na pierwszej radzie pedagogicznej, ku wielkiemu zdumieniu przekonałem się, że w szkole tej jest 400 uczennic, 80 nauczycielek, pan dyrektor i ja – wspominał z uśmiechem po latach. – Proponowałem uczennicom różne dyscypliny, ligę siatkówki, koszykówki czy piłki ręcznej, ale dopiero liga piłki nożnej spotkała się z takim zainteresowaniem, że zgłosiły się do niej wszystkie klasy.



▲ Świątowanie mistrzostwa Polski w sezonie 2016/17 / Fot. Paula Duda, PZPN

PIĘKA NOŻNA NIE SZKODZI KOBIECIOM

Ku zdziwieniu wszystkich – z trenerem na czele – przyszłe pielęgniarki, higienistki i rehabilitantki garnęły się do piłki nożnej. W kraju świeże są jeszcze wtedy wspomnienia o sukcesach legendarnych „Orłów Górskiego”. Futbolem zaczęły się więc też interesować kobiety, choć w owym czasie w Polsce działa wówczas tylko kilka klubów żeńskich. Istnieją również rozgrywki ligowe, ale mało kto o nich słyszał. Dla zdecydowanej większości Polaków kobieca piłka nożna nie istnieje. Także w Koninie drużyna piłkarek spotkała się ze społecznym ostracyzmem. – Wszyscy widzieli w tym wielkie złoto. Doszło do tego, że przygotowałem nawet referat na temat braku szkodliwości uprawiania piłki nożnej przez dziewczęta. Wykazywałem w nim, że futbol jest sportem mniej urazowym niż chociażby piłka ręczna, łyżwiarstwo i gimnastyka artystyczna, które w tamtym czasie były wskazywane jako sporty rekomendowane dla kobiet – wspomina Roman Jaszczak.

Piłkarki z Konina i ich trener nic sobie z tego nie robią i dalej rozwijają swoją pasję, choć z po-

wodu problemów z boiskiem na treningi muszą jeździć nawet do okolicznych miejscowości. Wreszcie zakładają klub o nazwie Medyk Konin i zgłaszają się do rozgrywek drugiej ligi. Długa i wyboista była jednak droga do sukcesów. Medyk nie poszedł w ślady innych legendarnych polskich klubów, tj. Czarnych Sosnowiec, Stilonu Gorzów Wielkopolski czy Pafawagu Wrocław. Tam zawodniczki już wtedy mają etaty, jak na tamte czasy są zawodowymi piłkarkami. Koninianki, żeby pojechać na mecz albo na obóz, zarabiają pieniądze po lekcjach, sadząc drzewka albo zrywając jabłka. Do Medyka nie ściągano wówczas najlepszych w kraju piłkarek, lecz drużyna w całości była złożona z jego wychowanki, które futbolu uczyły się od podstaw. I tak było przez długie lata.

Dlatego Medyk najpierw odnosi sukcesy w rozgrywkach młodzieżowych, dosyć szybko stając się czołową siłą w kraju. Jego zawodniczki zasilają młodzieżową reprezentację Polski, a koniński klub zaczyna być stopniowo największą kuźnią talentów. Medyk rozwija się powoli, ale regularnie. Na awans do pierwszej ligi, wówczas najwyższej klasy rozgrywko-



▲ Roman Jaszczak przed meczem eliminacji Ligi Mistrzów w 2016 roku / Fot. Paula Duda, PZPN

wej w Polsce, przyjdzie koniniankom czekać aż osiem lat! W tym czasie wiele klubów, zwłaszcza po 1989 roku, podupada, a budowany na solidnych fundamentach Medyk dopiero zaczyna rozkwitać. Drugi sezon w pierwszej lidze więcej zdobyciem brązowego medalu.

BARMANKI I TRANSFER ZAMIAST SAMOCHODU

Medyk świetnie radzi sobie w niezwykle trudnej rzeczywistości lat 90., podczas gdy upadek gospodarki centralnie planowanej wiele klubów zależnych od budżetu państwa po-

stawił nad przepaścią. Roman Jaszczak z nauczyciela przekształca się w prężnego menedżera, który pozyskuje dla Medyka coraz mniejszych prywatnych sponsorów, choćby z branży piwowarskiej. Na koszulkach Medyka pojawia się logo Lecha, a dorosłe zawodniczki pracują w firmowym pubie jako barmanki. Jednocześnie zespół podróżuje i zdobywa trofea w całej Europie, a do Konina zaczynają ściągać najlepsze piłkarki. Legendą owiane są kulisy sprowadzenia jednej z najzdolniejszych wówczas zawodniczek młodego pokolenia Joanny Tokarskiej z Zagłębianki Dąbrowa Górnicza, za którą Roman Jaszczak – w tajemnicy przed żoną – zapłacił pieniędzmi odłożonymi na prywatny samochód.

Na początku XXI wieku w Medyku Konin grają pierwsze piłkarki z zagranicy – Białorusinki Natalia Ryżewicz, Swietłana Ryżowa i Oksana Szpak. Medyk walczy wówczas o prymat w kraju z Czarnymi Sosnowiec i AZS Wrocław, ale tę walkę notorycznie przegrywa. Trenerowi Jaszczakowi kibice drużyn przeciwnych śpiewają złośliwie: „Srebrny Romanie, czy tak już zawsze zostanie?”. Medyk pozostaje na to niewzruszony i powoli prze do przodu, zdobywa pierwsze wicemistrzostwo i wygrywa pierwsze Pucharu Polski. Gdy Czarni i AZS stracili swą potęgę, wydawało się, że Medyk – wciąż rozwijający się – zasiądzie na tronie. Ale wtedy plany pokrzyżowała mu Unia Racibórz, stworzona dosyć szybko przez biznesmena Remigiusza Trawińskiego i równie szybko zlikwidowana.



▲ Medyk Konin w sezonie 2008/09 podczas meczu ligowego z AZS Wrocław (3:3). Górny rząd (od lewej): Anna Gawrońska, Sandra Sałata, Natalia Czernielewska, Aleksandra Sikora, Donata Leśnik. Dolny rząd: Aleksandra Komosa, Natalia Chudzik, Nina Patalon, Hanna Olszańska, Magda Mateńko, Karolina Wiśniewska / Fot. Włodzimierz Sierakowski, 400mm.pl

Medyk nigdy nie był łasy na szybkie sukcesy. Przez te wszystkie dziesięciolecia był cierpliwy i doczekał się swoich lat chwały. W 2014 roku sięgnął po pierwsze mistrzostwo Polski i panowania w kraju nie oddawał przez trzy następne sezony. Dobra gra w europejskich pucharach przeciwko mistrzyniom Francji, Włoch i Szkocji zaowocowała jednak transferami z Medyka do VfL Wolfsburg (Ewa Pajor), Brescii Calcio (Aleksandra Sikora, Katarzyna Daleszczyk) i wreszcie Paris Saint-Germain (Paulina Dudek). Inne piłkarki wzmocniły krajowych rywali, tj. Czarnych Sosnowiec i Górnik Łęczna. Medyk jednak bardzo dobrze poradził sobie z trudną sytuacją wymiany pokoleniowej. Nie poszedł w ślady poprzedników, którzy po latach chwały podupadali. Choć stracił mistrzostwo Polski, to nieprzerwanie od 29 sezonów rywalizuje w najwyższej klasie rozgrywkowej, stając się obok Czarnych Sosnowiec i AZS Wrocław najbardziej utytułowanym klubem w Polsce.

W BIAŁO-CZERWONYCH BARWACH

Największym osiągnięciem Medyka Konin nie są jednak trofea ani medale. Są to całe pokolenia wychowanych piłkarek, które później zasilały inne kluby i bez których trudno było sobie wyobrazić – kiedyś i dziś – reprezentację Polski. Pierwszą wychowanką Medyka w biało-czerwonych barwach była Marzena Małąg, która trafiła do reprezentacji Polski jako jedyna



▲ Ewa Pajor – zdobywczyni trzech goli w finale Pucharu Polski w 2015 roku. Górnik Łęczna – Medyk Konin 0:5 / Fot. Łukasz Grochala, PZPN



▲ Aleksandra Sikora udziela wywiadu po meczu rundy kwalifikacyjnej Ligi Mistrzyń w 2015 roku. Medyk Konin – Gintra Universitetas 4:0 / Fot. Radosław Piasecki, 400mm.pl

zawodniczką z drugiej ligi. W ciągu 35 lat Medyk wychował wiele gwiazd. Do drużyny narodowej z Konina trafiły m.in. Agnieszka Gajdecka (Śmiechowska), Paulina Rytwińska, Karolina Wiśniewska, Agata Mańczyńska, Marta Woźniak, Nina Patalon, Natalia Pakulska czy Ewa Pajor – polska piłkarka wszech czasów, która w Ekstralidze w barwach Medyka zadebiutowała jeszcze w wieku 15 lat.

Do tego doliczyć trzeba całą rzeszę zawodniczek, które nie były wychowankami Medyka, ale grając w jego barwach, reprezentowały kraj. To m.in. Dorota Konefał, Agnieszka Szondermajer, Dominika Maciaszczyk, Hanna Serocka, Agnieszka Leonowicz, Marta Otrębska, Anna Kijas, Joanna Tokarska, Anna Błażejewska, Natasza Górnicka, Agata Tarczyńska, Sandra Sałata, Aleksandra Sikora, Anna Gawrońska, Natalia Chudzik, Katarzyna Daleszczyk, Ewelina Kamczyk, Gabriela Grzywińska, Sylwia Matysik. W obecnej drużynie narodowej roi się od takich zawodniczek.


I tak oto Medyk Konin ze szkolnej drużyny przyszłych pielęgniarek – cierpliwie, bardzo powoli i w wyniku wielu wyrzeczeń – stał się kultową potęgą o uznanej marce w Europie. Ciekawe, co zapisze na kolejnych kartach swej pięknej historii.



Górnik Łęczna: Historia wciąż się pisze

AUTOR: ADAM DRYGALSKI

Tylko jedenaście klubów zdobywało w polskiej lidze tytuły mistrzowskie. Trzykrotnie najlepszą polską drużyną zostawał Górnik Łęczna, a znając ambicję i upór zespołu z Lubelszczyzny ten licznik w najbliższej przyszłości wcale nie musi stać w miejscu. Wszystko zaczęło się wbrew pozorom, wcale nie wieki temu. Historia Górnika jest więc historią, w której, tak naprawdę... więcej jest z teraźniejszości.



Piotr Mazurkiewicz trafił do Łęcznej z Dusznik Zdroju. Był 1981 rok. Ludzie z całej Polski ścigali do pracy w "Bogdance". Podobnie, rodzice Mazurkiewicza. Zdecydowali, że przeprowadzka z Dolnego Śląska na Lubelszczyznę, wyjdzie wszystkim na dobre. Swoje pierwsze kroki czternastoletni wówczas Piotr skierował na stadion piłkarski. Tak splatają się losy Górnika Łęczna i trenera, który doprowadzi klub do największych sukcesów w historii. Zanim jednak to nastąpi, Mazurkiewicz przejdzie całą drogę. Od trampkarza, przez juniora, aż do seniora. Awansuje z zespołem do drugiej ligi, aby niedługo później nabawić się ciężkiej kontuzji kolana. Trudno było wtedy przypuszczać, że wszystko, co najlepsze jest dopiero... przed 29-letnim piłkarzem. A w zasadzie byłym już piłkarzem i przyszłym trenerem.



▲ Górnik Łęczna świętujący mistrzostwo Polski w sezonie 2018/19 / Fot. Paula Duda, PZPN

DZIEWCZYNY WCHODZĄ DO GRY!

Początek kobiecego futbolu w Łęcznej nastąpił w 2002 roku. Do klubu coraz częściej dochodziły komunikaty, że w okolicy sporo dziewczyn chce grać w piłkę a nie ma gdzie. Stanisław Stachowicz, niegdyś nadsztygar w kopalni a wówczas jednocześnie prezes i "Bogdan-ki" i stowarzyszenia sportowego, zdecydował o powołaniu do życia sekcji piłkarstwa kobiecego. Budową struktur zajął się Tadeusz Łapa. Zorganizowano nabór, który przyniósł spory odzew. Na pierwszym treningu pojawiło się ponad pięćdziesiąt kandydatek na piłkarki. W sezonie 2003/04 drużyna została zgłoszona do rozgrywek ligowych. Na Lubelszczyźnie oczywiście na pierwszym planie, cały czas byli panowie. Nic w tym zresztą dziwnego. Otóż seniorzy Górnika wywalczyli historyczny awans do Ekstraklasy. Jak jednak czas pokaże, to na paniach skupi się wkrótce uwaga, nie tylko miejscowych, kibiców.

Łęcznianki zadebiutowały w najwyższej klasie rozgrywkowej w sezonie 2009/2010 pod wodzą Mirosława Stańca i od razu zaczę-

ły odgrywać w niej pierwszoplanowe role. Do zespołu sprowadzono zawodniczki ze Wschodu, z Olgą Zubczyk, która ma już dziś zresztą polskie obywatelstwo i później dołączyła do Czarnych Sosnowiec, Aną Alekperową z Azerbejdżanu, Białorusinką Mariną Huzarewicz, czy Marianą Iwaniszyn z Ukrainy na czele. Do granicy nie jest przecież stąd daleko a wspomniane piłkarki nie tylko pomagały zdobywać ligowe punkty, ale i pokazały, jak grać, młodszym koleżankom. – Ana miała niespotykaną technikę użytkową – wspomina Paulina Kawalec, była piłkarka Górnika, obecnie selekcjonerka kobiecej reprezentacji Polski U-15. – Drugiej takiej zawodniczki, jeśli chodzi o środek pomocy, w naszej lidze długo nie będzie. Duet Sznyrowska-Alekperova rozumiał się bez słów. Ana zagrywała piłki "na nos", W pełnym biegu potrafiła dać diagonalne podanie na trzydzieści metrów. Miała oczy dookoła głowy. Była tak szybka, że potrafiła zerwać się z radarów nie tylko rywalom. Prawdziwy diabeł w ciele kobiety – dodaje z uśmiechem Kawalec.

Kawalec przeszła do Górnika z Unii Racibórz. Był to dla niej powrót w rodzinne strony.



▲ Triumfatorki Pucharu Polski w 2020 roku / Fot. Łukasz Grochala, PZPN

Wcześniej grała w Czarnych Sosnowiec, wspomnianej Unii i reprezentacji Polski, za czasów gdy jej trenerem był Robert Góralczyk. Póttora roku później, z Raciborza trafi na Lubelszczyznę całą zaciąg klasowych zawodniczek. Zielono-czarne stroje założą Anna Żelazko, Natasa Górnicka, Natalia Chudzik, czy Dżesika Jaszek. Koniec potęgi jednego klubu, stanie się początkiem wielkich czasów dla drugiego. Do pierwszego w historii mistrzostwa poprowadzi Górnika jego były zawodnik. W 2014 roku Mirosław Staniec przekaze stery Piotrowi Mazurkiewiczowi. Wprowadzenie drużyny na krajowy szczyt, zajmie mu niecałe trzy lata.

MISTRZYNI

– Kiedy tu trafiłam, złapałam się za głowę! – wspomina Anna Żelazko. – Było tu wszystko, żeby zdobyć mistrzostwo Polski. Baza, profesjonalne kontrakty dla piłkarek. – Niczego nam nie brakowało, oprócz doświadczenia. Mając know-how nic już nie mogło Górnik zatrzymać – dodaje Kawalec, która piłkarską karierę zakończyła na rok przed wywalczeniem pierwszego tytułu przez ekipę z Łęcznej.

Mazurkiewicz zaczął budowę struktur od samego dołu. – Zależało mi na tym, abyśmy w każdym roczniku mieli zespół. Od najmłodszych kategorii, aż po seniorki – tłumaczy. – Zdawaliśmy sobie sprawę, że zdobycie mistrzostwa Polski spowoduje, że zainteresowanie futbolem wśród dziewcząt z naszej okolicy się zwiększy. Chcieliśmy być przygotowani na taki scenariusz. Drugi składnik sukcesu jest na pewno wszystkim do-

brze znany. To ciężka praca. Bez niej każdy plan bierze w łeb. Zresztą przykłady trzeba czerpać od najlepszych. Tam gdzie sukces przyszedł w ostatniej dekadzie, mam na myśli Hiszpanię i Anglię, pracuje się bez taryfy ulgowej. U nas też, nie jest to żadna nowość. Piłkarki dobrze wiedzą, że ci co grają w Górniku, dają z siebie sto procent.

Przed startem sezonu 2017/18 wiadome było, że o mistrzowski tytuł bić się będą trzy drużyny. Medyk Konin, broniący wówczas trofeum, Czarni Sosnowiec, właściwie etatowy kandydat do zwycięstwa w lidze i właśnie Górnik. W łącznej grały już wtedy Emilia Zdunek, Dominika Grabowska i Sylwia Matysik. W seniorskiej piłce eksplodował talent Dżesiki Jaszek. Ewelina



▲ Ewelina Kamczyk w barwach Górnik Łęczna / Fot. Paula Duda, PZPN



▲ Mistrzynie Polski w sezonie 2018/19 / Fot. Paula Duda, PZPN

Kamczyk zdobywała już hurtowo gole, więc jej wysoka skuteczność nie była dla nikogo żadnym zaskoczeniem.

Za moment zwrotny można uznać spotkanie z 28 października 2017 roku. Jeszcze w 90. minucie gry Medyk prowadził z piłkarkami z Lubelszczyzny 3:2. Końcówka należała jednak do przyjezdnych a konkretnie do Kamczyk, która swojemu byłemu zespołowi wbiła cztery gole, z czego ostatnie dwa w doliczonym czasie gry. Pierwsze mistrzostwo Polski Górnik zdobył z przewagą dziewięciu punktów nad klubem z Sosnowca. O drugi triumf było zdecydowanie trudniej, bo walka trwała do ostatniej kolejki. Znow w głównych rolach stanęły naprzeciw siebie zawodniczki Górnika i Medyka i znow o losach zwycięstwa przesądziły bramki Eweliny Kamczyk.

Wreszcie ostatni sezon, przerwany przez pandemię koronawirusa w momencie, gdy Górnik miał nad drugim w tabeli Medykiem, dziewięć punktów przewagi, przyniósł trzecie zwycięstwo w Ekstralidze. Aby zamknąć dorobek podopiecznych Piotra Mazurkiewicza musimy wspomnieć o dwóch Pucharach Polski zdobytych w sezonach 2017/18 i 2019/20.

Jedno jest pewne. Jeżeli piłkarki z Łęcznej zdobędą czwarte w historii mistrzostwo to będzie to zarazem pierwsze trofeum wywalczone bez udziału Mazurkiewicza. Twórca największych sukcesów klubu pożegnał się

z nim pod koniec marca 2021 roku. W międzyczasie Łęczna musiała uznać w lidze wyższość najpierw Czarnych a później SMS-u Łódź. Górniczki zajmowały w kolejnych sezonach odpowiednio trzecie i drugie miejsce. W sezonie 2022/23 walczą o zwycięstwa pod wodzą Roberta Makarewicza a ich szanse na odzyskanie mistrzostwa dla Łęcznej są całkiem duże.

Wyniki pierwszej drużyny nie są jedynym celem. Na topie klubowych potrzeb znajduje się szkolenie młodzieży. Górnik w swoim regionie nie chce być drapieżnikiem. Aspiruje raczej do roli sojusznika mniejszych klubów. W Łęcznej – nic jej oczywiście nie ujmując – jeśli chodzi o potencjał miasta, można zaryzykować tezę, że maksimum zostało już osiągnięte. Aby podnosić poziom piłkarski potrzebna jest ścisła współpraca z Lublinem. Ośrodkiem uniwersyteckim o bez porównania większym zapleczu i bazie. Jest to jedyny sposób, który pozwoli obecnym mistrzyniom Polski utrzymać się na topie. W czasach, gdy w kobiecej piłce pojawiają się coraz większe pieniądze, a uznane w męskim futbolu kluby coraz częściej formują drużyny kobiece o zdobyciu mistrzostwa będzie coraz ciężiej. Trudno to odbierać jako zagrożenie. Prędzej szansę na dogonienie Europy, bo Górniczki do sukcesów na krajowym poletku, chętnie dołożyłyby w niedalekiej przyszłości udane występy w fazie grupowej Ligi Mistrzyń.



UKS SMS Łódź: Praca organiczna

AUTOR: MACIEJ WITKOWSKI

Łódź to miasto, którego urodę dostrzec mogą jedynie koneserzy. Choć ulica Piotrkowska cieszy się całkiem zasłużoną estymą w całej Polsce, to pod względem czy to zabytków, atrakcji turystycznych, czy też kwestii przyciągających wielki biznes, są miasta które mają więcej do zaoferowania. Jednak jeśli chodzi o aspekty piłkarskie nie ma żadnej wątpliwości. Łodzianie żyją futbolem. Mecze derbowe ŁKS-u z Widzewem już dawno przestały być wydarzeniem lokalnym. Kiedy do nich dochodzi, żyją nimi kibice w całej Polsce. Łódź doczekała się trzech wielkich piłkarskich firm. Trzech klubów, które zdobywały dla niej tytuły mistrzowskie. To – w kolejności alfabetycznej – ŁKS, SMS i Widzew.

Pod koniec wakacji roku 1997, w łódzkich rozgłoszeniach radiowych można było usłyszeć informację o naborze do nowej szkoły – Liceum Ogólnokształcącego Szkoły Mistrzostwa Sportowego Polskiego Związku Piłki Nożnej. Była to część szerszego projektu Związku, który oprócz łódzkiej placówki obejmował Gdańsk, Kraków, Wrocław i Zabrze. Po dwóch latach projekt został jednak zakończony a jedyną szkołą, która zdecydowała się kontynuować działalność w nowej rzeczywistości była właśnie łódzka SMS. Szkoła uzyskała status niepublicznej, a miasto Łódź przekazało jej obiekty dawnego Włókniarza w 25-letnią dzierżawę.



▲ Drużyna SMS Łódź z fetującą pierwsze w historii mistrzostwo Polski / Fot. Radosław Joźwiak, PZPN

18 października 1999 roku przy szkole powstał Uczniowski Klub Sportowy, co pozwoliło jej działać w warunkach ligowych, na przykład dokonywać transferów zawodników. Projekt nabierał kształtów. Mocno zaniedbane obiekty przy ul. Milionowej zostały stopniowo wyremontowane. Po sezonie 2011/12 łódzki światek piłkarski obiegła informacja, że Kolejarz Łódź nosi się z zamiarem likwidacji swojej sekcji kobiecej. Szkoła Mistrzostwa Sportowego postanowiła przejąć sekcję i w sezonie 2012/13 UKS SMS Łódź zadebiutował w rozgrywkach drugiej ligi (trzeci poziom rozgrywkowy).

Druga liga została wzięta szturmem, co nie było początkowo oczywiste, ponieważ w roli faworyta stawiano bardziej na drużynę Pelikana Łowicz. Rzeczywiście, główny rywal do końca utrzymywał kontakt z łódzką drużyną, która na finiszu wyprzedziła go o trzy punkty. Ogółem, na szesnaście meczów, łódzka drużyna odniosła aż dwanaście zwycięstw i zanotowała cztery remisy, nie zaznając smaku porażki. Do sukcesu drużynę poprowadzili trenerzy: Mirosław Wojdyła (jesień) i Adrian Sokołowski (wiosna). W składzie natomiast były już trzy zawodniczki, które osiągnęły z zespołem bra-

my Ekstraligi: Kinga Kurek, grająca jeszcze w polu Danuta Paturaj i Monika Walak.

W pierwszej lidze UKS SMS spędził trzy sezony. W pierwszym zajął czwarte miejsce, zdecydowanie jednak ustępując Olimpii Szczecin i Stilonowi Gorzów Wielkopolski. W składzie drużyny pojawiły się kolejne piłkarki, które zagrają w Ekstralidze: Celina Chmal i Michalina Kowalska. Drugi sezon był już walką o awans do elity. Drużynę wzmocniły utalentowane zawodniczki, wśród których prym wiodły: mistrzyni Europy U-17 Anna Rędzia i Martyna Wiankowska (12 goli w sezonie). Zadebiutowały również zawodniczki o największej, jak się później okaże, liczbie gier rozegranych dla UKS SMS w Ekstralidze: Daria Kurzawa oraz – w ostatnim, decydującym meczu – Klaudia Jedlińska. Niestety, pod koniec sezonu drużyna dostała lekkiej zadyszki i po efektownym zwycięstwie nad Polonią Poznań 8:0, ostatnie dwa mecze z Pragą Warszawa i Sztormem Gdańsk zakończyła bezbramkowymi remisami, co premiowało awansem drużynę z Pomorza. W tym sezonie warto również odnotować pierwsze powołania do kadry seniorskiej – jako pierwsza debiut zaliczyła Anna Rędzia (21 sierpnia 2014 roku ze Szwecją 0:4), co było zresztą po-



▲ Trener Marek Chojnacki ze złotym medalem za mistrzostwo Polski w sezonie 2021/22 / Fot. Radosław Joźwiak, PZPN

wodem opuszczenia przez nią pierwszej kolejki ligowej oraz Martyna Wiankowska (11 lutego 2015 roku z Węgrami 7:2).

Do trzeciego sezonu na zapleczu Ekstraligi przygotowano się sumiennie. Drużynę przejęła grająca trenerka: Marzena Salamon. Klub doczekał się także trzeciej reprezentantki: 1 sierpnia w meczu z Białorusią zadebiutowała w kadrze Kinga Kurek. Sam sezon okazał się niezwykle udany: w osiemnastu meczach drużyna straciła punkty jedynie dwa razy. Mimo dobrego wyniku w rundzie jesiennej, władze UKS SMS Łódź zdecydowały się dokończyć sezon na stanowisku trenera pierwszej drużyny. Nowym szkoleniowcem został Marek Chojnacki, legenda ŁKS-u, czterokrotny reprezentant Polski. Od 2016 roku pozostaje na tym stanowisku, otrzymując stabilizację zawodową, której żaden klub piłki męskiej nie był w stanie mu zaoferować. Mimo debiutu w kobiecej piłce, Chojnacki powtórzył wynik całej czas grającej w drużynie Marzeny Salamon i poprowadził SMS do historycznego awansu do Ekstraligi z przewagą dwunastu punktów nad drugą w tabeli Pragą Warszawa oraz pierwszego w historii półfinału Pucharu Polski, gdzie lepszy okazał się Medyk Konin.

Pierwsze cztery sezony w Ekstralidze można by lapidarnie określić „klątwą piątego miejsca”. W Pucharze Polski natomiast łodzianki regularnie pojawiały się w ćwierćfinale, a w sezonie 2018/19 osiągnęły swój drugi półfinał, pokonując po drodze Włókniarza Białystok 8:0, AZS PWSZ Wałbrzych 3:1, by w meczu o finał Pucharu Polski ulec w karnych Czarnym Sosnowiec 4:5 (mecz zakończył się remisem 1:1).

Sezon 2019/20 został storpedowany przez pandemię koronawirusa. Rozgrywki Ekstraligi zostały zawieszane, a później zakończone bez rozgrywania wszystkich zaplanowanych meczów. UKS SMS zajął w ten sposób po raz czwarty z rzędu piąte miejsce, ale tym razem jego strata do drugiego Medyka Konin wynosiła zaledwie dwa punkty. Dokończono natomiast rozgrywki Pucharu Polski, gdzie po raz trzeci UKS SMS osiągnął półfinał, w drodze do którego w pokonanym polu zostawił: KSP Kielce (10:0), AZS Wrocław (2:1), GKS Katowice (3:0 i 1:1). W półfinale przegrał jednak z późniejszym zdobywcą „podwójnej korony” – Górnikiem Łęczna.

Pierwszy sezon „pocovidowy” okazał się przełomowym. Drużyna zaliczyła jedną z bardziej efektywnych od pierwszoligowych czasów rund jesiennych (zaledwie jedna porażka z Czarnymi Sosnowiec i jeden remis z Górnikiem Łęczna), by wiosną poprawić oba te wyniki (remis z Czarnymi i zwycięstwo z Górnikiem). UKS SMS Łódź wdarł się zatem do grona faworytów ligi. Oprócz pierwszego srebrnego medalu w Ekstralidze, drużyna po raz pierwszy stanęła przed szansą sięgnięcia po Puchar Polski. Tym razem droga do finału była wyjątkowo długa (co nota bene świadczy dobrze o rozwoju polskiego piłkarstwa kobiecego na



▲ Katarzyna Konat i Anna Rędzia świętują mistrzostwo Polski / Fot. Paula Duda, PZPN



▲ Piłkarki SMS zapewniły sobie pierwszy w historii tytuł mistrzyń Polski 22 maja 2022 roku po wygranej z AZS UJ w Krakowie / Fot. Paula Duda, PZPN

niwie klubowej). UKS SMS odprawił po kolei: KU AZS UW Warszawa (11:0), swoje własne rezerwy (1:0), Medyk Konin (3:0), GKS Katowice (2:0), Trójkę Staszówka-Jelna (4:0), by w wielkim finale nieznacznie ulec Czarnym Sosnowiec (0:1).

Mecz finałowy ujawnił kilka luk w składzie drużyny, brakowało m. in. klasycznej środkowej napastniczki. Udało się temu zaradzić, kontraktując zawodniczkę Medyka Konin, Dominikę Kopińską. Oprócz niej, pozyskano reprezentantkę Ghany – Ernestinę Abambilę. Dokoptowanie zawodniczek tej klasy do i tak już silnej jak na polskie warunki drużyny spowodowało, że od początku zaczęła nadawać ton rozgrywkom. Tytuł mistrzowski został osiągnięty kolejkę przed końcem, kiedy to w pokonanym polu zostały akademicki z Krakowa. Kończący sezon mecz z Olimpią Szczecin był już tylko okazją do wielkiej fety i, jak się później okazało, pożegnania jednej z zawodniczek z ponad setką gier ligowych na koncie w barwach UKS SMS, kolejnej mistrzyni Europy U-17 w klubie – Katarzyny Konat, która zdecydowała się na kontynuowanie kariery za granicą.

Eliminacje wstępne do Ligi Mistrzyń są dosyć skomplikowane, polegają na rozłożeniu grup czterech drużyn, które rywalizują

w dwóch meczach „półfinałowych”. Zwycięskie ekipy grają o awans do dalszej fazy, a pokonane o punkty w rankingu oraz gratyfikację finansową. Los skojarzył UKS SMS Łódź z mistrzyniami Belgii, Finlandii i Litwy – z zespołami: RSC Anderlecht, KuPS Kuopio i Gintra Universitetas Szawle. Turniej odbył się w Łodzi, na stadionie ŁKS-u, a SMS w pierwszym meczu podejmował Anderlecht. Niestety, mimo prowadzenia 2:0 po golach Anny Rędzi i Dominiki Kopińskiej, drużyna nie była w stanie przeszkodzić Belgijkom najpierw w wyrównaniu stanu meczu, a później zadaniu decydującego ciosu w ostatnich minutach gry. W meczu „pocieszenia” Łódzianki pokonały drużynę z Litwy 1:0, a na listę strzelczyń ponownie wpisała się Anna Rędzia.

Po 25 latach od założenia, SMS stał się jedną z największych sił w polskim piłkarstwie kobiecym, zdobył mistrzostwo i – o ile będzie się dalej tak rozwijał – miejmy nadzieję, zaznaczy swoją obecność w Europie. Łódź może nie jest tak atrakcyjna jak chociażby Gdańsk, Kraków i Wrocław, w których próbowano wdrożyć podobne projekty, ale mają tu zdecydowanie więcej cierpliwości. I dlatego właśnie to Łódź może cieszyć się z ostatniego mistrzostwa, a jej szkoła stanowi przykład dla innych, którzy myślą o sukcesach w sportach zespołowych.



FAST
IS IN THE
AIR



Introducing Nike Air Zoom Mercurial.

UEFA

PLAYMAKERS

Inspired by 

Poznaj piłkę nożną dzięki zabawie i historiom Disneya!

UEFA Playmakers to innowacyjny program dla dziewczynek w wieku od 5 do 8 lat.

Na zajęciach wcielimy się w bohaterów bajek z wytwórni Walta Disneya i poprzez zabawę oraz opowiadanie historii wejdziemy do świata piłki nożnej.

Zapisz się na zajęcia w swoim mieście na laczynaspilka.pl/playmakers

UEFA



Disney



Disney
VAIANA

Podziękowania

Polski Związek Piłki Nożnej pragnie podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania niniejszej książki. W pracach nad wydawnictwem oraz zebraniem unikatowych, archiwalnych zdjęć w sposób szczególny pomogli:

MATEUSZ BIESZKE

MAŁGORZATA GOSPODARCZYK

KATARZYNA JENDRYCZKO

ZOFIA KLIM

ANASTAZJA KUBIAK

ELŻBIETA I WOJCIECH ŁAZOWSCY

MARIA MAKOWSKA

JANUSZ MINCEWICZ

JOLANTA NIECZYPOR

MARTA OTRĘBSKA

JANUSZ PÓŁTORAK

BARBARA REMBIESA

ELEONORA SIKORA

WŁADYSŁAW SZYNGIERA

AGNIESZKA ŚMIECHOWSKA

JOANNA TOKARSKA

HANNA URBANIAK

MACIEJ WITKOWSKI

ZBIGNIEW WITKOWSKI

ZOFIA WOJTAS



PZPN

Łączy nas piłka

POLSKI ZWIĄZEK PIŁKI NOŻNEJ
ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r. 7
02-366 Warszawa

www.pzpn.pl

